

Most śmierci

Karol May



calibre 0.9.27

K~'1~ ~ ~ 1~1 ~Y

...

Old Shatterhand jako Kara Ben Nemzi

ponownie pojawia się na Bliskim Wschodzie.

W towarzystwie swego przyjaciela Halefa i jego

wojowników odbywa niezwykłą, pełną przygód

wędrówkę przez pustynię do Mekki.

"Most śmierci" tak zafascynował niemieckiego

pisarza Franza Kandolfa, znawcę twórczości

Karola Maya, iż pokusił się o dopisanie ciągu

dalszego losów naszych bohaterów.

Książka, o której mowa pt. "W podziemiach

Mekki" zostanie niebawem wydana, nakładem

naszego wydawnictwa.

s

~tAK~^

Do Mekki

-- Sidi, to było cudowne, kiedy obaj dosiadając rraszych niezrówna-

nych rumaków, bez towarzystwa obcych ludzi, jechaliśmy w głąb

pięknego świata Allacha, dokądkolwiek mieliśmy ochotę! Ten świat

należał do nas, bo nikt nam nie towarzyszył, więc nikt nie mógł nam

niczego zabronić. Robili~my cośmy chcieli i zaprzestawaliśmy gdy

nam się tak podobało. Byliśmy panami samych siebie, bo jeśli istniał

ktoś inny, kogo musieliśmy słuchać, to był `o organizm składający się

z dwóch osób ze mnie i z ciebie. Wydawałem się sobie często władcą

całej kuli ziemskiej, a nieosiągalne szczyty sławy wydobywalern z otchłani świadomości, by wspinać się po nich i potem znowu wesolo zstępowa~. Mogłem to czynić, ponieważ byliśmy sami i nie było żadnego niepożądanego wicherzyciela. 'I~k to były bardzo piękne czasy, gdy przeżywaliśmy to, czego nie przeżył żaden inny człowiek. Powiadam ci, sidi, wszystkie te czyny i wydarzenia są spisane na ścianach mojej duszy i wbite mocnymi słupami w dno pamięci: tak jak przywiązuje się do słupów konie i wielbłądy, kiedy istnieje obawa, że w ciągu nocy zmienią wskazane irn miejsce.

Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

5

Kim był ów mówca? Kto jeszcze nie rozpoznał go po jego specyficznym języku, niech słucha dalej:

-- A więc z rozkoszą wracam myślą do czasów, kiedy to sami mogliśmy kierować naszymi pocz<maniami, wtedy bowiem czułem, że człowiek jest prawdziwym władcą swego istnienia. Ale równie piękne i pod pewnymi względami jeszcze piękniejsze jest, kiedy ma się przy sobie tachtirewan, w którym siedzi władczyni namiotu kobiet. Czy sądzisz, że mam rację?

-- Nie wiem, mój drogi Halefie - odparłem.

-- Jak to? Ty mógłbyś nie wiedzieć? Ale dlaczego?

-- Ponieważ w tym tachtirewanie znajduje się władczyni nie mojego, lecz twojego namiotu kobiecego, a więc tylko ty, nie ja, możesz przeprowadzić porównanie między tym, co było dawniej, a tym co jest teraz.

--'Pdk, masz rację. By odpowiedzieć na moje pytanie, powinieneś

był zabrać ze sobą swoją Emmeh. A więc nie możesz wiedzieć, jak wielką różnicą jest to, czy pozostawia się w domu opiekunkę swego szczęścia, czy też zabiera się ją ze sobą. Kiedyś mi powiedziałeś jak święta księga chrześcijan tłumaczy właściwy stosunek między mężczyzną a niewiastą. Czy przypominasz sobie, sidi?

-- 'Pak.

-- Powiedziałeś mniej więcej tak: "Bóg stworzył człowieka, na obraz

,

i podobieństwo swoje, mężczyznę i kobietę." Allach ma różne cechy mianowicie cechy wszechmocy, do których należy wieczność, mądrość, sprawiedliwość oraz cechy miłości, które ukazują się także w łaskawości, cierpliwości, dobroci i miłosierdziu. Jeśli człowiek, który składa się z dwu istot, ma być obrazem Boga, to mężczyzna powinien być obrazem boskiej wszechmocy, a niewiasta obrazem boskiej miłości. Czy zapamiętałem to bardzo dokładnie?

-- Dość dokładnie.

-- Jeśli tak, to mi wystarczy. Odkąd mi wytłumaczyłeś zawsze usiłowałem być obrazem wszechmocy Allacha. Wiesz jaki jestem

6

odważny i rozważny w dowodzeniu u moim plemieniem. Tej stronie mej ludzkiej istoty nie można chyba nic zarzucić. A druga strona, która jest tam, w lektyce i swój życzliwy wzrok bez przerwy kieruje na mnie, jest taka, jak życzy sobie Allach. Jest obrazem miłości, która każdego dnia darzy mnie rozkoszą, a każdej godziny przyjemnością. A mieć przy sobie w czasie podróży dawczynię tego szczęścia to błogosławieństwo, którego podczas naszych poprzednich podróży niestety byłem pozba-

wiony. Mówiłem, że dawniej było pięknie, teraz twierdzą, że jest jeszcze piękniej. Czy mnie zrozumiałeś?

--'Idk.

-- Czy nigdy jeszcze nie zabierałeś ze sobą w podróż swojej Emmeh?

-- Owszem.

-- Wtedy ty chyba dosiadałeś konia, a ona była w tachtirewanie?

-- Nie. My nie mamy tachtirewanów.

-- Nie? Więc po prostu jechała na wielbłądzie?

-- Także nie. Na Zachodzie nie jeździ się na wielbłądach, lecz w powozie lub pociągiem.

-- Na Allacha! Kto może jechać pociągiem?

-- Każdy, kto zapłaci za przejazd.

-- Ihkże niewiasty?

-- 'Idk.

-- Ale siedzieć obok żony innego mężczyzny - to chyba jest surowo zabronione?

-- Nie.

-- Niemożliwe! Sidi, powiedz szczerze, czy ty także siedziałeś kiedyś w pociągu obok jakiejś kobiety, która należała do haremu innego mężczyzny?

-- Bardzo często. Jechałem nie tylko z obcymi żonami, ale i z obcymi córkami.

-- A twoja Emmeh, młoda, piękna mieszkanka twego namiotu?

Czy i ona musiała siedzieć obok innych mężczyzn?

-- 'Iak.

-- Oby więc Allah zniszczył wasze koleje żelazne i cisnął je w najgłębsze otchłanie piekiel! Jeśli nie tylko moja żona, która należy wyłącznie do mnie, lecz także wszystkie moje córki, których na szczęście jeszcze nie posiadam, musiałyby się zgadzać na to, by każdy obcy mieszkaniec miasta i każdy obcy Beduin mógł usiąść w pociągu obok nich, to nie chcę więcej słyszeć o waszym Zachodzie. Sidi, wiesz jak bardzo cię kocham i jak bardzo cię szanuję; ale ponieważ wiem, że siedziałeś obok cudzych żon oraz córek, które nie urodziły się w twoim namiocie i że pozwoliłeś swojej Emmeh podróżować z mężczyznami, z którymi nie wiąże ją żaden kontrakt niełatwo mi przyjdzie cię, mojego najlepszego przyjaciela, zaszczyścić teraz swoim uznaniem. Szyny waszej kolei ułożyły się pomiędzy mną a tobą, a nasze serca stały się tak obce, że żadna lokomotywa nie zdoła ich połączyć. Zostawiam cię i idę do Hanneh, by znaleźć u niej pocieszenie w moim wielkim smutku.

Kogoś kto zna mojego drogiego, małego Halefa, nie zdziwi jego zachowanie. Dla tych, którzy jeszcze nic o nim nie czytali, przeznaczam następujące uwagi:

Hadzi Halef Omar, obecnie szejka Beduinów, Haddedińców z wielkiego plemienia Szammarów, był dawniej ubożuchnym człowiekiem. Pochodził z zachodniej Sahary, towarzyszył mi jako sługa na Wschód i tam spotkało go szczęście, dostał za żonę wnuczkę szejka Arabów Ateibehów.

Ten zaś został później wybrany na szejka Haddedińców, a że nie miał syna, Halef stał się jego następcą.

Halef był bardzo małego wzrostu i bardzo chudy, przy tym jednak

niezwykle odważny i dzielny, wręcz zuchwały, tak że często musiałem go hamować. Dobry strzelec, świetnie władający każdą bronią, wytrwały, silny, doskonały jeździec, przebiegły i dowcipny, miał wierne złote serce, nie było w nim ani odrobiny faiszu. Dawniej byłem jego jedyną miłością; później musiałem się nią dzielić z jego żoną i synem, g

ale nic nie straciłem. Jego czułość do żony była po prostu niewiarygodna. Jego pierwsza myśl z rana, a ostatnia wieczorem skierowana była do niej. Nie potrafił wymówić jej imienia, nie dodając nadzwyczajnych cech, jakie w jego oczach posiadała. Kara Ben Halef, ich syn i jedyne dziecko, miał prawie dwadzieścia lat, a jak wiadomo, kobiety Wschodu szybko się starzeją. Mimo to Hanneh była "najprawdziwszą różą wśród wszystkich kwiatów świata", pozostała dla Halefa tak samo młoda i piękna, jak wtedy gdy ją ujrzał po raz pierwszy.

Była to wspaniała kobieta. Nie sądzę, żeby jakaś inna potrafiła tak właściwie jak ona obchodzić się z tym małym, pełnym bujnej fantazji Hadżim. Panowała nad nim całkowicie, ale z taką czułością i pozornie uległą mądrością, że nie czuł; iż to nie on, lecz ona jest szejkiem plemienia, przy czym Haddedihiom bardzo dobrze się wiodło.

Jednym z jego dziwactw było to, że nie mógł sobie wyobrazić stosunków panujących na Zachodzie. Opowiadałem mu o nich niezliczoną ilość razy, ukazywałem różnice pomiędzy życiem w Europie i na Wschodzie, ale nic nie pomogło. Wciąż mówił o moich namiotach, moich wielbłądach i moich palmach daktylowych.

Innym jego dziwactwem było zamiłowanie do mówienia. Szczególnie lubił opowiadać w tej kwiecistej orientalnej stylistyce, która wpa-

dała w przesadę. Jeśli pozwalałem rnu w ten sposób przemawiać i nie sprowadzałem jego przesady do właściwych rozmiarów, to dlatego, że chcę go pokazać takim, jaki był naprawdę, nie zaś dlatego bym się zgadzał z tego rodzaju sposobem wyrażania. Szczególnie kiedy mówił o naszych przygodach, tak okropnie fantazjował, że często musiałem mu przerywać.

Człowiek Wschodu jest przyzwyczajony do przesady i nie widzi w tym nic zdrożnego.

Odkąd Halef wiedział, że jestem żonaty, mówił czasem o moim "haremie", o moim namiocie kobiecym, o Emmie. Imię mojej żony przecrobił na Emmeh i było dla niego zupełnie zrozumiałe, że warunki życia mojej Emmeh, były dokładnie takie same jak jego Hanneh.

9

Oczywiście mój harem nie mógł być lepszy od jego haremu i najmniejsze napomknienie, że coś u mnie jest lepsze mogło go doprowadzić do szaleństwa.

Muszę jeszcze wspomnieć, że dawniej Halef starał się usilnie nawrócić mnie na islam. Ale skutek był taki, że teraz sam stawiał Ben Marjam wyżej niż Mahometa. W duszy stał się chrześcijaninem a jego Hanneh razem z nim.

Nasze wcześniejsze podróże odbywaliśmy przeważnie sami albo z nielicznymi przypadkowymi towarzyszami. Tym razem była to większa grupa, a stało się to tak:

Arab jest zdania, że im dłuższe ma imię, tym większy honor, toteż do swego imienia doczepia imiona swych przodków. Gdy poznałem Halefa nazywał się Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn

Hadzi Dawuhd el - Gossarah. Dodał sobie tytuł Hadzi, jak określa się mahometanina, który był w Mekce. Przy tym ani on sam, ani jego ojciec, ani dziadek nigdy tam nie byli. Później byliśmy w tym świętym miejscu islamu, ale krótko. Rozpoznano mnie jako chrześcijanina i musiałem uciekać by ujść z życiem.

Od tamtego czasu moim najgorętszym życzeniem było raz jeszcze udać się do Mekki. Byłem bardziej doświadczony niż wtedy, lepiej opanowałem język i poznałem obyczaje. Znałem teraz obrzędy religijne, wszelkie reguły i formy zewnętrzne tak dokładnie, że mógłbym uchodzić za mahometanina. Zrozumiałem jaką zuchwałością było wkroczenie do miasta, w którym każdego chrześcijanina czekała niechybna śmierć. Bardzo chciałem zaryzykować raz jeszcze. Poznałem islam i większość krajów zamieszkiwanych przez jego wyznawców, byłem dwukrotnie w Kairwan, tunezyjskim świętym wówczas mieście, do którego wstęp dla chrześcijanina był surowo wzbroniony. Jednak udał mi się ten wyczyn.

Dlaczego więc nie miałbym spróbować pomyślnie zakończyć swych wędrownych studiów pobylem w Mekce. Zdawałem sobie sprawę, że to przedsięwzięcie właśnie dla mnie jest bardziej ryzykowne niż dla

10

kogokolwiek innego. Mahometańskie okolice i miejscowości, gdzie poznano mnie jako chrześcijanina, były bardzo liczne. Zyskałem tam sobie wielu przyjaciół, ale też niejednen stał się moim wrogiem. W dodatku rysy mojej twarzy są bardzo charakterystyczne, tak że przez dłuższy czas pozostają w pamięci. Czyż mogłem liczyć na to, że w czasie mojej bytności w Mekce, nie spotkam tam nikogo kto by mnie

znał? Wiedziałem bardzo dobrze na co się ważę; jednak niebezpieczeństwo kusilo mnie jeszcze bardziej niż sam plan. Zamiar, by ten plan przeprowadzić, tak się wreszcie we mnie umocnił, że należało tylko czekać na odpowiednią sposobność. 'Id zaś rychło nadeszła; sprawiły to moje obecne odwiedziny u Haddedińów. Halef przyzwyczaił się do tego, że zawsze, kiedy do niego przybywałem, odbywaliśmy wspólnie długą konną podróż. Kiedy mnie zapytał jaką okolicę chcę teraz odwiedzić, powiedziałem znaczące słowo "Mekka". Najpierw się przeraził, ale potem tak samo jak ja, poczuł podwójną pokusę ryzyka. Dla mnie najważniejszą sprawą było, co powie na to Hanneh, dobrotliwa opiekunka jego ziemskiego szczęścia. Omówiliśmy najpierw wszystko w cztery oczy, a potem od czasu do czasu zaczęliśmy rzucać ostrożne uwagi, mające przygotować nasz właściwy atak. Lecz mądra "najjaśniejsza spośród wszystkich gwiazd na kobiecym firmamencie" przejrzała nas już po pierwszych drobnych aluzjach i poprosiła, byśmy nie owij ali nic w bawełnę, tylko powiedzieli całą prawdę. Hadzi uznał, że to zbyt zuchwale i szybko wymknął się z namiotu, w którym siedzieliśmy. Ja szczerze opowiedziałem o swoim zamiarze i o życzeniu by Halef mi towarzyszył. Byłem ogromnie ciekaw, co Hanneh mi odpowie.

Patrzyła przez chwilę przed siebie, wreszcie rzekła:

-- Effendi, on nie będzie ci towarzyszył sam, pojedę z wami.

Można sobie wyobrazić moje radosne zdziwienie. Poznała to po mnie i z uśmiechem ciągnęła dalej:

-- Nie spodziewałeś się tego? A przecież powód nietrudno zrozumieć. Wiem, że jesteś rozsądnym człowiekiem i dlatego chcę ci zadać

pytanie: czy czuleś kiedykolwiek w swoim sercu to, co nazywa się "tęsknota za ojczyzną"?

-- '1'dk -- odparłem.

-- Więc mogę ci się przyznać, że często ją odczuwam i także teraz ją w sobie noszę. Wiesz, że jestem córką Ateibehów, poznałeś mnie i moje plemię w pobliżu Mekki. 'Pam przeżyłam jasne dni mojego dzieciństwa. i~tie wiem, czy mi uwierzysz, ale sądzę, że to prawda, iż serce człowieka im jest starsze, tym bardziej tęskni do miejsc, które były świadkiem jego młodości. Kocham mego Halefa, a także Karę Ben Halefa, mojego syna, jestem szczęśliwa w mojej i ich miłości. Ale obok tego szczęścia żyje we mnie pragnienie, by jeszcze ujrzeć swą ojczyznę. Proszę nie mów o mej tęsknocie Halefowi, bo zmartwiłoby go to. W zamian spełni się twoje życzenie, Halef będzie ci towarzyszył, a ja pojedę z wami.

-- A Kara Ben Halef, wasz syn? -- zapytałem.

-- Nie mogłabym go tutaj zostawić, wyruszy z nami. Sądzę nawet, że będziesz miał więcej towarzyszy podróży. Wiesz wprawdzie, że nasi Haddedihni od dawna już nie czczą Proroka tak jak wtedy, kiedy ciebie nie znali, ale Mekka jest dla wielu z nich bardzo ważnym miastem i kiedy się dowiedzą, że tam zdążamy, niejeden będzie gotów zabrać się z nami. Czy będziesz miał coś przeciwko temu?

-- Nie. Przeciwnie. Jako chrześcijanin mogę sobie tylko życzyć, by otaczało mnie możliwie dużo przyjaciół, którzy w razie niebezpieczeństwa będą mi pomocni.

-- A więc umowa stoi. Zaraz pójde po Halefa i powiem mu, że może zacząć przygotowania do drogi.

Miała zdecydowany charakter. Kiedy raz powzięła jakiś plan, nie zwlekała z jego wykonaniem. Jak bardzo uszczęśliwiła Hadżiego swoją niespodziewanie szybką zgodą, dowiedziałem się wkrótce, kiedy rozpromieniony przyszedł do mnie i powiedział:

-- Sidi, zgodziła się, moja najmilsza spośród wszystkich najmilszych. Wyruszamy do Mekki! Właśnie teraz to wszystkim oznajmiłem. Znowu dokonamy wielkich, bohaterskich czynów i dokonamy 'tego, że sława nasza rozniesie się po wszystkich krajach. Dzieci naszych dzieci będą nas czcić, a wnuki i prawnuki naszych następców będą głosić naszą chwałę od wschodu do zachodu słońca. Czyż nie mam cudownej żony, sidi?

-- 'I'ak -- przyznałem. -- 'Twoja Hanneh jest niewątpliwie najwspanialszą ze wszystkich kobiet.

-- Na pewno. Ale twoja Emmeh także. I aby nie doszło między nami na tym tle do kłótni czy scysji, musimy ustalić, że moja Hanneh jest najwspanialszą niewiastą Wschodu, a twoja Emmeh Zachodu. Czy jesteś zadowolony?

-- 'Pdk.

-- Naprawdę możesz być zadowolony, bo jeśli ja bez wahania nazwałem twoją żonę najwspanialszą kobietą Zachodu, odtąd żadna inna kobieta nie waży się tam z nią porównywać. Powiedz jej to, kiedy wrócisz do swojego domu. Niech się dowie jakiego masz we mnie przyjaciela, a i ona także. Niech Allah zachowa jej młodość, da jej czarne rzęsy, jedwabne wstęgi warkoczy i najpiękniejsze czerwone

paznokcie!

Zgłosiło się tak wielu Haddedińców, że nie można było zabrać wszystkich chętnych. Podróż przez wielkie arabskie pustynie była z powodu braku wody tym trudniejsza, im więcej osób brało w niej udział. A poza tym mając ze sobą tak liczną gromadę, jaka się zgłosiła, nie moglibyśmy myśleć o dłuższym pobycie w Mekce. Tę też zdecydowano, że tym razem tylko pięćdziesięciu wojowników może brać udział w wyprawie. Reszta mogła dokonać dalszego wyboru i miała wyruszyć później. Obecnie nie była to jeszcze pora właściwego hadżdżu, wielkiej pielgrzymki. Wtedy to tłumy mahometan spływały tysiącami ze wszystkich stron świata do Mekki, a ryzyko rozpoznania było w tym czasie największe. 'Tę też chcieliśmy się dostać tam, kiedy tłumy nie były zbyt wielkie i mógłbym spokojnie przeprowadzić swoje studia. Nic nie zmuszało nas do przybycia do miasta Kaby w czasie

13

pielgrzymki, ponieważ muzułmanie także o każdej innej porze roku mogą spełniać obowiązki religijne i osiągać z tego duchowe korzyści. Głoszonym przez mahometan twierdzeniem, że jedna minuta~obytu w Mekce podczas hadżdżu jest więcej warta i przynosi więcej błogosławieństwa niż cały dzień o zwykłej porze, Halef i jego Hanneh już dawno nie dawali wiary.

Kilku wojowników, którzy mieli nam towarzyszyć, chciało zabrać ze sobą żony, ale nie wyraziliśmy zgody, gdyż już ze względu na Hanneh nie mogliśmy jechać tak, szybko jakbyśmy to robili bez jej udziału. Chcę dodać, że wśród wybranych znajdował się także Omar Ben Sadek, którego większość moich czytelników już poznała.

Dla mojego bezpieczeństwa postanowiono, że podczas tej wyprawy nie będę występował jako Kara Ben Nemz i. 'Ib imię było tak znane, że mogłoby mi teraz sprawiać kłopoty. Halef wyjaśnił to na swój cudaczny sposób:

-- Widzisz, sidi, my obaj jesteśmy bardzo podobni do wielkich sławnych władców Ziemi i musimy blask naszej wspaniałości ukryć pod obcym imieniem. Co prawda tym razem nie dotyczy to mnie, tylko ciebie, ale tak jak ty możesz się pławić w promieniach mojej sławy, tak ja muszę chronić się w dobroczynnym cieniu twojego incognito. Ale jak mamy cię nazywać? Czy pomyślałeś już o jakimś imieniu?

-- Nie. Chodzi nie tylko o moje imię.

-- 'I-k to prawda. Musimy też wiedzieć jak odpowiadać na pytanie, kim jesteś.

-- Najprościej będzie, jeśli będę uchodził za Haddedihna.

-- Nie, to niemożliwe, sidi, bo wtedy wspaniałość twoja tak całkowicie by znikła, że trudno by ją było później odzyskać. Poza tym chcę być dumny z tego, że jesteś z nami. Dlatego musimy znaleźć ci imię i godność wymagającą szcunku. Najlepiej będziemy mówili, że jesteś wielkim uczonym. Odpowiada ci to?

-- 'Iak.

-- Skąd pochodzisz?

14

-- Z jakiegoś mahometafiskiego kraju, ale nie z wielkiego miasta, ponieważ kto przybywa stamtąd do Mekki, musiałby znać wielkiego uczonego.

-- Czy pozwolisz, że Maghreb, moja ojczyzna, będzie miejscem

twojego urodzenia?

-- 'Pak.

--'Pdm, w Wadi Draa, ujrzałeś światło dzienne.

-- Bardzo chętnie.

-- A w jakiej dziedzinie jesteś uczonym?

--~Pozostawiam to do twojego uznania Halefie.

-- Zgoda! Ponieważ jesteś taki skrośny, ja cię wywyższę. Zajmu-

jesz się więc nie jedną dziedziną nauki, lecz twoja nieskoczona

mądrość przeniknęła szczyty i otchłanie wszelkich nauk. A może tego

ci jeszcze mało?

-- Na razie wystarczy.

-- Tb dobrze. Thki człowiek powinien mieć sławnych przodków, a

więc i długie imię. Powiem ci je teraz, a ty zapisz, abyśmy je zapamię-

tali i nauczyli się na pamięć.

Zgodziłem się cały rozbawiony. Halef chodził tam i z powrotem i

powoli, wyrzucił z siebie następujące zdanie

-- Hadzi Akil Szatir el - Medżarrib Ben Hadzi Alim Szadzi er -

Ghani Ibn Hadzi Daim Maszhur el - Azim. Sądzę, że to piękne imię

znajdzie twoje uznanie.

W tłumaczeniu ten olbrzymi wąż oznacza: rozsądny, mądry, do-

świadczone, syn hadżiego, mędrzec, odważny, bogaty, syn hadżiego,

nieśmiertelny, sławny, wspaniały. Chyba było tego aż nadto. Mimo to

Halef dodał jeszcze do całkowicie mi dotąd nie znanych przodków

honorowy tytuł hadżi. Doprawdy nie mogłem wymagać więcej: Jednak

chciałem się z nim podroczyć:

-- Wydaje ci się, że zadowoliliś mnie, ale się mylisz, imię to mogło-

by być dłuższe i lepsze. .

-- Dłuższe... lepsze...?

15

Halef ze zdziwienia otworzył usta. Patrzył na mnie przez chwilę wielkimi oczyma i wreszcie wybuchnął gniewem:

-- Jakie... jakie mogłoby być? Mogłoby być dłuższe i lepsze? Czy mam je rozciągać stąd aż do księżyca i z powrotem? Czy mam obrażować wszystkie siedem niebios Mahometa, by skraśić dla ciebie jeszcze więcej słów wspaniałości i wzniosłości? Skąd to przykre dla mnie niezadowolenie? Czy ty zamówiłeś u rnnie to imię, czy też ja nadałem ci je dobrowolnie?

-- Dobrowolnie.

-- A więc musisz przyznać, że jest to dar ode mnie.

-- 1'ak.

-- Dobrze, więc przyznałeś się do swej niewdzięczności w jej przegromnym wymiarze. Z własnej woli, z głębi mego dobrego serca daruję ci nowe imię. Szukam we wszystkich kątach i zakamarkach ludzkiej mowy, by wynaleźć to, co tam najlepszego złożono. Wyszukałem najwspanialsze słowa, najcudowniejsze wyrazy i składam je dla ciebie z tak głębokim rozeznanie, z tak godną podziwu umiejętnością, jak jubiler dobiera najpiękniejsze perły do naszyjnika. Podaję ci ten niezrównany dar, który własnymi ustami z trudem wymawiam. A ty co czynisz po otrzymaniu go? Ty obracasz go w swych myślach i swych rękach niezadowolony. Rzucasz nafi niechętnie spojrzenie swych nieuprzejmych oczu i obrażasz głębię mojej duszy, mego serca krzyczącą niesprawiedliwością niesłusznych wyrzutów, że te

nieocenione klejnoty mogłyby być dłuższe i lepsze. Jeśli to nie jest niewdzięczność; która pozbawić cię może mojego całego szacunku i miłości, to nigdy dotąd nie wiedziałem, co to jest niewdzięczność.

Motyką twojej niewdzięczności i lopat~ twojego niezadowolenia wykopałeś między nami głęboką przepaść, której nie mógłbym przeskoczyć, gdybym chciał ją pokonać. Los zdecydował o naszym rozstaniu. Kismet rozdziela nas na wieki -ja tu, a ty tam - będziemy odtąd musieli samotnie kroczyć przez życie i po wieczne czasy z siebie zrezygnować.

Żegnaj, sidi, żegnaj!

16

Halef opuścił namiot, a ja z całym spokojem zapamiętałem sobie to imię. Wiedziałem co będzie dalej. Po upływie mniej więcej kwadransa Halef odsunął zasłonę u wejścia i wsunął głowę do namiotu.

-- Sidi -- rzekł.

-- Co takiego?

-- Byłem u Hanneh, najpiękniejszej korony wszystkich niewiast.

-- Ach tak!

-- Opowiedziałem jej wszystko.

-- No i co.

-- Czy wiesz co ona zrobiła?

--'Pdk wiem, wyśmiała cię!

-- Nie, nie wyśmiała, lecz tylko się uśmiechnęła. Potem dała mi najlepszą radę jaka tylko istnieje, bo musisz wiedzieć, że Hanneh, moja gwiazda na jawie i we śnie, zawsze potrafi znaleźć tylko najlepszą radę. Uznała, że imię dla ciebie jest za krótkie.

--'Ib było mądre z jej strony.

-- I powiedziała, że powinienem jeszcze dołączyć dziadka twojej prababki.

-- 1b pięknie. Znałeś go?

-- Nie: Ale weź papier i pisz. Jego imię brzmiało: Ben Hadzi 'Pdki Abu Fadl el - Mukarram.

Zapisałem te słowa, które w tłumaczeniu znaczą: syn Hadżiego, pobożny, ojciec dobroci, szacowny.

-- Masz teraz całe imię? -- zapytał Halef.

-- 'Pak.

-- Przeczytaj. _

-- Hadzi Akil Szatir el - Medżarrib Ben Hadzi Alim Szadzi er -

Ghani Ibn Hadzi Daim Maszhur el- Azim Ben Hadzi lhki Abu Fadl el- Mukarram.

-- Piękne. No i co teraz powiesz?

-- Ogromnie mi się podoba.

Wtedy twarz jego znowu rozpromieniała i rzekł wesolo:

-- Hamdulillah! Niech będzie chwała i dzięki Allachowi, że udało mi się twoją otchłań znowu zasypać! Znowu jesteśmy starymi przyjaciółmi i możemy, jak dotąd, z rozkoszą ze sobą przebywać. Powiadam ci, że tam, po mojej stronie, nie wytrzymałbym, gdybyś ty miał pozostać na zawsze po swojej stronie. Niech to będzie przestroga dla mnie, bym nigdy w życiu nie był taki nieostrożny i nie wynajdował imion zmarłych osób, które wcale nie żyły. 'I~raz proszę wyjdź ze mną. Dżemma zbiera się na naradę. Mają postanowić, kto i w jaki sposób w czasie mojej nieobecności będzie sprawować władzę nad plemieniem. Musisz być przy tym, bo zawsze ilekroć u nas przebywasz,

uchodzisz tak jak my za członka Haddedińców, najsłynniejszego plemienia Szammarów.

1'dk było rzeczywiście. Kiedy przebywałem u tych dzielnych ludzi, musiałem brać udział we wszystkich ich naradach i ceniłem sobie wielce honor jaki mi w ten sposób okazywano. Szammarowie wzięli swoje imię od góry Dzebel Szammar, położonej w Arabii, na południe od pustyni Nefud, którą uważają za punkt centralny ich rozległego obszaru. Jako członkowie tego plemienia powinniśmy się tam udać, zwłaszcza, że najkrótsza i najlepsza droga do Mekki prowadziła przez Dzebel Szammar. Ale byłem tam już z Halefem i jego synem. Znano mnie tam jako chrześcijanina i nie dałoby się ukryć, że ja także udaję się do Mekki. To mogłoby wywołać niechęć, a nawet poważne niesnaski. Aby tego uniknąć, woleliśmy nadłożyć drogi i nie zahaczać o Dzebel Szammar. Nie było to co prawda łatwe, zwłaszcza, że nie znaleźliśmy rozmieszczenia źródeł wodnych. Pięćdziesięciu ludzi wraz z końmi i wielbłądami musi pić na pustyni arabskiej tak samo jak na Saharze, brak wody może oznaczać klęskę. Na szczęście jeden z wojowników, pochodzący z plemienia Beduinów, Beni Harb, zakochał się w dziewczynie Haddedińców, a że nie chciała pójść do jego plemienia, on został włączony do jej. Był to poważny, niezawodny młody człowiek, znający dokładnie okolicę, przez którą mieliśmy jechać. Twierdził, że zna dość studni i źródeł, gdzie znajdziemy wodę;

18

jako przewodnikowi możemy mu ufać. Postanowiliśmy zgodzić się na jego propozycję, z czego był bardzo dumny, a my nie żalowaliśmy tego.

Dla Hanneh przeznaczony był duży tachtirewan, który nieś miały dwa wielbłądy. Był bardzo obszerny i wygodny. Hanneh mogła w nim siedzieć i leżeć, a nawet wyciągnąć się na poduszkach. Daszek z kolorowych bogato haftowanych tkanin, chronił ją dostatecznie przed słońcem. Ponieważ droga nasza prowadziła przez pustynię, a mieliśmy pięćdziesięciu wojowników, ludzie zrezygnowali z jazdy konnej, gdyż konie muszą pić codziennie. Haddedihi znani są z hodowli wspaniałych wielbłądów do jazdy wierzchem; posiadają duże stada tych zwierząt, tak że mogliśmy sobie wybrać najlepsze. Wielbłąd pod wierzchem nazywa się hedżin, a wielbłąd juczny dżemel. Najlepsze hedżiny spotykało się u plemienia Biszari, dlatego też zwano je biszarhedżinami. Liczba mnoga brzmi hudżun. Szammarowie jak też Haddedihi byli tak mądrzy, że nabyli ten wspaniały materiał hodowlany i wyhodowali wielbłądy pod wierzchem, które dorównywały biszarom, a moim zdaniem nawet je przewyższały.

Takich hedżinów mieliśmy dosiadać. Mysioszare wielbłądy uchodzą za najlepsze i najwytrwalsze. Halef wyszukał kilka dla siebie, dla rennie i kilka zapasowych. Poza tym wolno było nam obu, ale oprócz nas nikomu innemu, zabrać nasze konie. Hadżi twierdził, że to konieczne ze względu na naszą godność. Ponieważ jest słynnym szejkiem Haddedihiów, ja zaś równie sławnym uczonym o imieniu Hadżi kil Szatir el-Medżarrib z dalekiego Wadi Draa, musimy w świętym mieście i jego okolicach, a także w innych ważnych lub uroczystych okolicznościach dosiadać najlepszych koni najczystszej krwi. Jego kary koń nazywał się Barkh; był to wspaniały ogier. Mój koń także kary ogier nazywał się Assil Ben Rih i był równie dobry jak jego ojciec

mój wspaniałz Rih, którego zastrzelono pode mną. Kula, która go trafiła przeznaczona była dla mnie. Teraz dosiadałem Assila, przejechałem na nim przez Persję i mogłem na nim polegać.

19

Jeszcze krótko przed naszym wyruszeniem Halef nie mógł już dłużej sprzeciwić się prośbom syna, by i on mógł zabrać konia.

Przeznaczono dla niego wspaniałą białą klacz Kawamę, wnuczkę słynnej białej klaczy, która należała do Mohammeda Emina, dawnego szejka Haddedińów.

Kiedy byliśmy w drodze, tworzyliśmy wraz z wielbłędami, objuczonymi bukłakami z wodą i innymi niezbędnymi przedmiotami, zwartą grupę.

Wielbłądy rasowe wyglądają inaczej niż zwykle. 'Iii pragnę zaznaczyć, że nie jest prawdą twierdzenie, jakoby wielbłąd przeszło tydzień mógł obywać się bez wody i że zdarza się, iż podróżującym po pustyni ocala życie, jeśli spragniony, zabije wielbłąda i wypije znajdującą się w żołądku zwierzęcia wodę. Prawdą jest, że wielbłąd jest łatwy do karmienia, może się żywić kolczastymi twardymi roślinami, których nie jadłby koń. Poza tym z powodu dużego żołądka, może wchłonąć dużą ilość wody, która wystarcza mu na dłużej niż koniowi. Ale już nazajutrz jest spragniony, trzeciego dnia słabnie, a czwartego staje się niedołężny, jeśli dźwiga ciężary. Zależy też ile wysiłku się od niego wymaga. Równie starą co nie potwierdzoną bzdurą jest opowiadanie, że woda z żołądka wielbłąda jest zdatna do picia. Nieraz widziałem jak zabijano wielbłądy tuż przed ich pojeniem. Mięso ich ludzie

chętnie jadają, ale już w dwie godziny po zabiciu woda z żołądka przybiera wygląd moczu i ma po prostu obrzydliwy zapach żołądka. Potem staje się coraz gęściejsza, ciemna i wkrótce cuchnie gnojówką. Nawet gdybym był najbardziej spragniony, nie połknąłbym ani kropli tej ohydnej cieczy, ponieważ jestem przekonany, że prędzej bym zmarł po wypiciu tego gnoju niż wskutek pragnienia. Niestety ta stara bujda szerzy się do dziś w różnych książkach.

Nasza właściwa droga prowadziła obok Hit przez Eufurat, a potem prosto przez pustynię do el-Djuf, stamtąd zaś do Hail, głównej miejscowości Dżebel Szammar. Bardziej póżdniowa linia przebiegała od Hille dookoła Jeziora Nedżef, a potem przez Dżebel Dararah do Hail. My trzymaliśmy się środka, między obiema trasami, z daleka ominęliśmy Dararah i staraliśmy się dotrzeć do słynnej Wadi Rumen.

Wadi to nazwa koryta rzeki i wedle tamtejszych stosunków może oznaczać płynącą wodę, ale także wyschnięte koryto.

'Iitaj, a więc na południe od Dżebel Dararah, pojechaliśmy z

Halefem przodem i prowadziliśmy wspomnianą na początku tego rozdziału rozmowę o zachodnich kolejach. Już wielokrotnie opowiadałem Halefowi o wielu naszych urządzeniach i o naszej kolei. Opisywałem mu dokładnie i wyjaśniałem jakim są dobrodziejstwem. Dla przykładu wskazałem na tramwaje konne, które wprowadził w Bagdadzie Midhat pasza, ale wszystko było nadaremne. Halef, ten na ogół mądry i rozsądny człowiek, nie mógł wyzwolić się ze swego kręgu widzenia i uważał, że wszystko, co nie zgadza się z jego przyzwyczajeniami i jego doświadczeniem, jest niepraktyczne lub wręcz karygodne. Iżak też dzisiaj dla jego wschodniego sumienia wydawało się po

prostu grzechem, że u nas w wagonach kolejowych wolno jechać mężczyznom i kobietom razem. Przecież to przestępstwo, łamie najważniejszą regułę haremu. Potępiał całą sprawę, a że ja uważałem to za dobre i sam brałem udział w tym grzechu, to wzbudzało jego gniew i odstręczało ode mnie.

Nie przejąłem się tym, on zaś ruszył do swojej Hanneh, by się wyżalić. Poprawiła turban, który mu się przekręcił. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że jadąc obok tachtirewanu bardzo gorąco z nią dyskutował, gestykulując z ożywieniem. Widocznie chciał bronić swego punktu widzenia, a więc należało przypuszczać, że ona trzyma moją stronę. Po jakimś czasie Halef znowu podjechał do mnie, ale nic nie mówił, bo reprimenda, jaką przedtem wygłosił; była tak mocna, że nie łatwo mu było teraz przejść na ton uprzejmiejszy. Pokasływał, chrząkał kilkakrotnie, wreszcie zaczął:

-- Sidi, zdaje się, że jesteś zagłębiany w rozmyślaniach. Czy wolno zapytać o czym?

-- Myślę o zawodności przyjaźni.

21

-- Czy to chodzi o mnie?

-- 'Pdk.

-- Moja przyjaźń wcale nie jest zawodna, ale nie może przyzwyczaić się do myśli, że niewiasty, dziewczęta i mężczyźni siedzą razem. A najgorsze, że ty tam również z nimi siedziałeś.

-- Czy sądzisz, że mi to zaszkodziło?

-- Tobie? Ach nie, na pewno nie!

-- A kobietom czy dziewczętom?

-- Im? Na pewno także nie, bo jesteś wytwornym effendim, który dobrze wie, jak należy się zachowa~.

-- Jeśli ani im, ani mnie to nie zaszkodziło, czemu więc tak to ciebie gniewa?

-- Dlatego ... hm ... dlatego, że to nie wypada.

-- Kto tak twierdzi?

-- Każdy rozsądny mężczyzna.

-- 'I-k? Ale ja twierdzą coś wręcz przeciwnego, a więc jestem mężczyzną nierozsądnym. Dziękuję ci, Halefie!

-- Sidi, nie powinieneś tak tego ujmować. Znam cię i wiem, że posiadasz tyle rozsądku, iż wystarczyłoby go jeszcze dla dziesięciu osób. Wcale nie chciałem cię obrazić.

-- Jeśli więc mam aż tyle rozsądku, to chyba mogę mieć swoje zdanie o naszych kolejach? Przypuszczam, że rozmawiałeś o tym z Hanneh.

-- 'Pdk.

-- I co ona powiedziała?

-- Sidi, aż trudno mi powtórzyć, co usłyszałem dzisiaj z ust mojej Hanneh, która przecież jest uosobieniem wszelkiej niewieściej mądrości. Ona ... przyznała ci rację.

-- 'I=ak też sobie pomyślałem.

-- Naprawdę? 'Ij~ tak pomyślałeś? A ja nie.

-- Widocznie znam twoją Hanneh lepiej niż ty. Ona nie chce, jak inne kobiety Wschodu, być tylko lalką swego męża, którą on ukrywa

-- Lalka! Dziwne! Dokładnie tak samo ona powiedziała. Zapytała mnie, czy jest tylko moją zabawką albo lalką, której nikt nie powinien oglądać prócz mnie. Wyobraź sobie, zagroziła mi, że po naszym powrocie urządzi męski namiot, męski harem i tam mnie zamknie, aby żadna kobieta na mnie nie spojrziała. Potem mówiła o "okropnie żalosalnej haremowej polityce", która jest niewybaczalną obelgą dla kobiet.

-- I ma rację.

-- Ma rację? Sidi, czy chcesz, aby Hanneh zbuntowała się przeciw mnie?

-- Nie, tylko przyznaję jej rację. Ty co zrobisz, to jej sprawa.

-- Nie mogłem zrozumieć, co uważa za obelgę dla wszystkich niewiast, więc mi wytłumaczyła.

-- I zrozumiałeś?

-- Widocznie znów wszystko z góry wiedziałeś. 'Ty prawda, że Hanneh, najpiękniejszy kwiat w ogrodzie mej błogości, ma szczególnie sposób tłumaczenia; podaje takie tylko powody, którym nie można zaprzeczyć. Teraz podała mi dwa przykłady, którymi tak mnie oszłomiła, że nie wiedziałem co powiedzieć~.

-- Czy możesz mi zdradzić, jakie to przykłady?

-- Była to róża i czarcie łajno, wyobraź sobie!

Roześmiałem się mimo woli z tego mocnego porównania, ale Halef szybko wtrącił:

-- Czemu się śmiejesz, czy może ze mnie? Cóż ja poradzę, że Hanneh, radość moich oczu, właśnie wpadła na tę smrodliwą roślinę! Zapytała mnie, czy wolno komuś pokazać różę i musiałem przytak-

nać. Wobec tego zapytała, czy wypada podsunąć komuś pod nos czarcie łajno i wtedy zaprzeczyłem. Ledwie to uczyniłem, zarzuciła mi, że traktuję ją nie jak pachnącą różę, lecz jak cuchnące czarcie łajno. 'liwierdzi, że na Wschodzie mężowie tak samo owijają swoje żony, jak owija się smrodliwą roślinę, by nie urazić niczyjego nosa. Jest to

23

największa obelga, jaka w ogóle istnieje, to musi się zmienić, bo absolutnie nie wolno tolerować takiego poniżenia płci niewieściej. Powiadam ci, w swym gniewie zażądała, aby i u nas wprowadzono koleje żelazne i lokomotywy. Nie chce więcej, by traktowano ją jak czarcie łajno, lecz chce siedzieć w wagonie jak kobiety Zachodu, które mają takie same prawa jak mężczyźni. Pomyśl tylko! Moja Hanneh, najłagodniejsza, najbardziej wyrozumiała spośród wszystkich najmilszych istot mówi o prawach, o takich samych prawach, jakie mają mężczyźni! Co by się stało, gdyby nie powstrzymać kobiet w ich dążeniu?

-- Powstrzymać? Sądzisz, że wówczas niby drapieżniki opadłyby nas i pożarły?

-- Nie, nie powinieneś mówić od razu o najgorszym. Ale jestem zdania, że należałoby je bardzo ograniczać.

-- Jak na przykład?

-- Zakazać, aby nie wychodziły gdy zapadnie zmrok.

-- W porządku. I co dalej?

-- Powinny unikać pozostawiania sam na sam z mężczyzną, który nie jest ich mężem.

-- Czy mówisz to poważnie?

-- T~k! Pod tym względem nie uznaję żartów. Wobec kobiety, która łamie te prawa, należy zachowywać się tak jak padyszach w swoim haremie.

--'Ib znaczy jak?

-- Każe on pakować takie kobiety do worka i topić.

-- Drogi Halefie, czy masz może taki worek ze sobą?

-- Nie.

-- A szkoda!

-- Dlaczego?

-- Bo powinniśmy wpakować twoją Hanneh do takiego worka i wrzucić do pierwszej napotkanej wody.

24

-- Moją Hanneh? Moj e życie ziem~Cie? -- zapytał Halef zaskoczony.-- Dlaczego? Powiedz, dlaczego?

-- Bo złamała oba te prawa, które przed chwilą wymienileś.

-- Sidi, ty chyba żartujesz!

-- Nie. Jestem świadkiem, że to uczyniła.

-- Sidi, nie chcesz chyba mnie unieszczęśliwić? Moja Hanneh była zupełnie sama z mężczyzną, którym nie byłem ja?

- Tak, w dodatku o zmroku, podczas nowiu księżyca, za namiotami waszego obozu.

-- Umieram ze smutku, chociaż uważam to za zupełnie niemożliwe, by popełniła tę największą ze wszystkich zbrodni. Ale ty to mówisz, ' sidi, mój najlepszy przyjaciel, który by mi tego nie oznajmil, gdyby nie mógł udowodnić.

-- Powiedziałem ci już, że jestem świadkiem, a teraz oświadczam ci,

że jest jeszcze jeden świadek.

--- Kto taki? Mów! Zabiję tego lajdaka, bo przemilczał o tym przede mną.

-- Drogi Halefie, byłoby to samobójstwo.

-- Samo ...

-- 'Ihk, bo chyba zapomniałeś o tym, więc muszę przyjść z pomocą twojej pamięci. Przypominasz sobie ową noc przed naszym wyruszeniem nad Tygrys, kiedy rozpoczęliśmy naszą wyprawę do Persji?

-- 'Idk.

-- Wtedy to twoja Hanneh przez dłuższy czas siedziała za waszym namiotem z pewnym mężczyzną, który nie był Hadżim Halefem.

Wtedy Halef radośnie uniósł obie ręce do góry, odetchnął głęboko i zawołał uszczęśliwiony:

-- Hamdulillah! O, jak lekko mi znów na sercu! O, sisi, co za smutek zasiałeś w mojej duszy! Czulem, jakby całe szczęście mego życia zostało zniszczone. Gdyby ktoś inny mi to powiedział, od razu bym wbił nóż w jego ciało, za karę, że odważył się pokalać swym podejrzeniem najcudowniejszą podobiznę najczystszej słońca. Ale, że to

25

byłeś ty, który tak mówił, słowa, które sprawiły mi tak wielki ból, nie mogły być kłamstwem. Dlatego czulem się taki przygnieciony, jak mały robak, na który spadła duża góra. Ale teraz słyszę, że masz na myśli ową noc przed naszą wyprawą i ta góra znów zanikła, a robak wesolo pełźnie dalej, wiem bowiem, że to ty byłeś owym obcym mężczyzną, który wtedy z nią rozmawiał.

-- I już nie jesteś nieszczęśliwy?

-- **Nieszczęśliwy? Gdybym miał tysiąc Hanneh, które byłyby tak niezrównane jak ona, wszystkie je mógłbym z tobą zostawić.**

-- **Wierzę ci. Ale czy wiesz, co mnie uczyniłeś tak zaszczytnym zapewnieniem?**

-- **Okazałem ci bezprzykładne zaufanie.**

-- **Owszem, ale zarazem cofnąłeś swoją skargę wobec Zachodu i wyraziłeś aprobatę naszych kolei.**

-- **Wcale mi to nie przyszło do głowy, sisi! Wasze koleje dalej odrzucam i wcale nie mam zamiaru się z nimi pogodzić.**

-- **Ale to uczyniłeś.**

-- **Jak to?**

-- **Posłuchaj! Czy twierdzisz, że zakazane jest, by kobiety siedziały z innymi mężczyznami w przedziale kolejowym?**

-- **Surowo zakazane.**

-- **Dalej uważasz, że zakazane jest kobietom, zwłaszcza w nocy, przebywanie z innymi mężczyznami za namiotem?**

-- **Właściwie tak, ale jeśli o ciebie chodzi; jest to dozwolone, bo wiem, że mogę ci ufać.**

-- **Ale gdybyś to ty znalazł się w takim wagonie, każdy mężczyzna pozwoliłby swojej żonie czy córce usiąść w pobliżu ciebie.**

-- **'Ihk sądzisz? -- zapytał Halef zadowolony.**

-- **'Pak, bo od pierwszego wejrzenia widać, że jesteś człowiekiem uczciwym i budzącym zaufanie.**

-- **Hm! I wolno by mi było z nią rozmawiać?**

-- **Oczywiście!**

-- I nawet jej pomóc gdyby moja pomoc była jej potrzebna?

-- Oczywiście. 'Ib jest bardzo wielka zaleta, że nasze żony i córki mogą w czasie podróży liczyć na opiekę i pomoc ze strony współpodróżnych.

-- Wiesz sidi, ogromnie mi się to podoba. Wiesz jak chętnie staję w obronie swoich bliźnich. Jest to dobre, kiedy dotyczy mężczyzn, ale jakże piękne musi być wówczas, kiedy można udzielić pomocy niewiaście, która na znak wdzięczności uśmiechnęłaby się do mnie.

-- Na pewno by to zrobiła.

-- Sidi, proszę cię, nie mów o tym uśmiechu wdzięczności mojej Hanneh, bo ona nabierze złego mniemania o waszych kolejach, a mnie byłoby przykro.

-- Przykro?'Tobie? Sądzę, że nie chcesz słyszeć o naszych kolejach?

-- Słusznie, właściwie ich nie znoszę, ale jeśli kobiety siedzą z dzielnymi, usłużnymi mężczyznami, którzy za swe usługi otrzymują miły uśmiech, nie widzę żadnego powodu, dlaczego mnie nie wolno było by jechać koleją. Powiadam ci, gdyby taka kolej była stąd do Mekki, prawdopodobnie nie jechałbym na wielbłądzie.

-- Wsiadłbyś do pociągu?

--'Pak. Czy wolno by mi było takiej niewieście opowiedzieć także o naszych wyprawach, o czynach pełnych odwagi i śmiałości?

--'Pdk. Byłaby ci nawet za to wdzięczna, bo takie opowieści rozprószyłyby nudę podróży.

-- Nie tylko to. Wzbogaciłyby znacznie jej wiedzę w dziedzinie historii świata i geografii. Posłuchaj sidi, ta sprawa waszych kolei wygląda zupełnie inaczej, niż sądziłem. Dlaczego od razu nie opowie-

działeś mi o uśmiechu? Zawsze zapominasz o najważniejszym i to mam ci do zarzucenia. A kiedy ja wskutek tego nabieram błędnego przekonania, to mnie przypisujesz winę, a przecież ja tu nic nie zawnilem. Teraz zdaję sobie sprawę, że wasze urządzenie nie jest tak nieczne, jak myślałem, i ... popatrz do góry, sisi. Widzisz te dwa sępy białogłowe?

27

--'Pdk -- odparłem. -- Już od dłuższej chwili je obserwuję. -- Krążą tu nad nami, jakby nas podsłuchiwały.

--'Pak. Chcą się przekonać, czy mogą spodziewać się od nas łupu. Jeśli zostaną nad nami i będą nam towarzyszyć, możemy być pewni, że znajdujemy się sami w tej okolicy. myliłeś się, to nie są sępy białogłowe, tylko brodate. Spotyka się je częściej w Egipcie iw krajach Maghrebu, tutaj zdarzają się rzadko. Widziałem, że nadciągnęły z południowego zachodu. Popatrz, znów się oddalają w tym samym kierunku. Tb bardzo dziwne.

-- Dlaczego?

-- Ponieważ sądzą, że znajdą tam łatwiej pożywienie niż u nas. 'Ih ptaki widzą na niesłychanie dużą odległość. Zobaczyły nas z bardzo daleka i przyleciały, aby nam się przyjrzeć. Ponieważ znowu odlatują należy przypuszczać, że tam, skąd przybyły, mogą spodziewać się więcej łupu niż u nas. Nasze zwierzęta są zdrowe i silne. 'Ih ptaki potrafią to dobrze ocenić, zwłaszcza, że posuwamy się dość szybko. 'Iam na południowy zachód od nas, są widocznie chore istoty, których ruchy i postawa robią sępom nadzieję na żer w krótkim czasie. Śledziliśmy lot ptaków. Kiedy Halef ich już niedostrzegal, ja wi-

działem jeszcze dwie kropki, które krążyły nad jednym miejscem.

-- Czy wciąż jeszcze je widzisz? -- zapytał Halef.

--'Pdk -- odpowiedziałem. -- Widocznie jest tam jakaś kaleka istota albo nawet kilka.

-- Może trupy?

-- Możliwe.

-- Mówisz o jakiejś kalekiej istocie. Czy nie jest naszym obowiązkiem nieść pomoc?

-- Owszem.

-- Może chodzi tylko o zwierzęta

-- 'Ib możliwe, ale musiałyby to być duże drapieżniki, lwy albo pantery, tylko, że one nie poruszają się w biały dzień po równinie.

Gdyby to nie były drapieżniki, sępy dawno byłyby już na ziemi i czekały

28

w spokoju na swój łup. Dlatego jestem zdania, że są tam ludzie, którzy z jakiś powodów nie mogą poruszać się dalej. Jesteśmy zobowiązani przyjść im z pomocą, ale trzeba to zrobić rozważnie. Zapytajmy więc Ben Harba, czy tu, w okolicy jest jakieś pastwisko Beduinów.

Nasz przewodnik powiedział, że znajdujemy się pośrodku piaszczystej pustyni, gdzie nie ma ani jednej studni, a więc i żadnego pastwiska. Najbliższe źródło wody jest daleko stąd.

Ponieważ nie było wskazane zmieniać kierunku całej karawany, pojechaliśmy powoli dalej i poleciliśmy Omarowi Ben Sadekowi i jednemu z Haddedińów, by pojechali na miejsce, nad którym krążyły sępy. Wzięli ze sobą pełen bukłak wody. Równina pustyni tylko wydaje się płaska, w istocie jest falista, tak, że obu jeźdźców wkrótce

straciliśmy z oczu. Tiwało przeszło godzinę nim wrócili. Omar Ben

Sadek zawołał do nas z daleka:

-- Effendi, musicie pojechać z nami. 'Ii~zeba ratować pięciu ludzi!

-- Kim oni są? -- zapytałem.

-- Prawdopodobnie to ludzie z Mekki.

-- Prawdopodobnie? Nie powiedzieli nic dokładnie?

-- Nie. Wiesz, tu na pustyni każdy jest ostrożny. Moglibyśmy przecież być członkami wrogiego plemienia.

-- Nie powiedziałeś im, że jesteśmy Haddediwnami i mieszkamy tak daleko stąd, iż mowy nie ma o żadnej krwawej zemście z naszej strony?

-- Owszem, powiedziałem, ale oni nie wierzą. Ty także byś nie uwierzył od razu we wszystko, lecz przedtem sprawdziłbyś osobę, która to mówi.

-- Więc to pięciu mężczyzn?

-- Pięciu żywych i jeden martwy.

-- Opowiedz wszystko po kolei.

-- Pojechaliśmy na południowy zachód i wkrótce ujrzeliśmy sępy, które wydawały się unosić bez ruchu w powietrzu; ale im bardziej się zbliżaliśmy, tym wyraźniej było widać, że powoli zataczają kręgi.

Później dojrzeliliśmy przedmiot ich zainteresowania: sześć hedżinów

29

leżących na ziemi, obok ich jeźdźcy; zwierzęta i ludzie nieruchomi jak trupy. Kiedy się zbliżyliśmy, wielbłądy uniosły głowy, ale zaraz znów opuściły. Wyglądały na bardzo utrudzone, jakby po szybkim mozolnym biegu i były na wpół martwe z pragnienia. 'Itzech mężczyzn było w średnim wieku, jeden młody a jeden stary. Stary wydawał się naj-

mniej wyczerpany, poprosił od razu o wodę, którą mu daliśmy. Wypił prawie cały bukłak.

-- A trup?

-- Nie mogliśmy dojrzeć, kto to był, bo leżał nakryty haikiem.

-- Jakie były pytania i odpowiedzi.

--Stary zapytał, kim jesteśmy, a my mu odpowiedzieliśmy; on jednak wyrzekł pełne wątpliwości słowa: "Allach to wie!" Kiedy zapytałem jakie jest jego imię, rzekł, że oni wszyscy są z Mekki, na co ja z kolei powiedziałem: "Allach to wie!" Poprosił o wodę dla ludzi i zwierząt, a także trochę jedzenia dla wielbłądów, mąkę i daktyle jeszcze mieli.

-- Skąd pochodzą?

-- Tego nie powiedział. Rzekł, że on nas także o nic nie pyta.

Człowiek wierzący musi swemu bratu pomóc, nie pytając o imię.

-- Albo ten człowiek nie ma czystego sumienia, albo to wyniosły mahometanin na wysokim stanowisku w Mekce. Może chodzi tu o jedno i drugie. Ale miał rację: potrzebuje naszej pomocy i my musimy mu jej udzielić o nic nie pytając. Na szczęście jesteśmy obficie zaopatrzeni w wodę, tak, że ten dobry uczynek niczym nam nie zagrozi.

Zboczyliśmy z drogi i Omar Ben Sadek poprowadził nas na miejsce, do którego dotarliśmy po kwadransie. Wielbłądy leżały tak, jak padły z wyczerpania. Garby ich były wychudzone, nie poruszały wargami. Pięciu mężczyzn tworzyło ściśle koło, w środku znajdował się zakryty trup w pozycji siedzącej; podtrzymywany przez wsadzone do piasku długie strzelby. Modlili się głośno. Kiedy się zbliżyliśmy, przerwali modły, a ten, który je prowadził rzekł raczej rozkazującym niż

proszącym głosem:

30

-- Widzę, że macie wodę i suszoną kukurydzę. Dajcie wielbłądom jeść i pić i zostawcie nam kilka pełnych bukłaków. A potem już nam nie przeszkadzajcie w modłach za tego, którego Allah powołał do siebie.

Było to niezwykle "skromne" żądania ze strony tego człowieka!

T'utaj, gdzie pasza, a jeszcze bardziej woda były tak cenne, mieliśmy napoić i nakarmić jego zwierzęta, a potem zostawić im kilka bukłaków wody i bez słowa podziękui, takjak nam nakazał, od razu odjechać!

Ręka Halefa już sięgała po bicz, który zawsze miał u pasa. Ale ja dałem mu znak i szepnąłem:

-- Znajdujesz się tu wśród dumnych i mściwych Arabów, a nie wśród uciemiężonych ,fellachów, gdzie można wymachiwać biczem, nie pokutując potem krwawo.

-- Powiedz, co chcesz uczynić?

-- Damy wielbłądom wodę i słomę, niech te biedne zwierzęta nie cierpią wskutek bezczelności ich właściciela.

-- A oni?

-- Nie dostaną wody, jeśli nas o to grzeczenie nie poproszą. Pozostaniemy tu i rozłożymy obóz.

-- 'li~? Z tymi drabami? Hamdulillah -- niech będzie pochwalony Allah, który podsunął ci tę myśl! Jeśli tu z nimi zostaniemy, prawdopodobnie coś przeżyjemy, ale oni także.

-- I tak nie mogliśmy daleko ujechać, bo wkrótce zapadnie noc, a skoro i tak stracimy tu trochę czasu, uważam, że najlepiej będzie od

razu zostać. Wydadaj swoim ludziom odpowiednie rozkazy.

Ponieważ byli z nami Haddedihi, nie musiałem się o nic troszczyć.

Zsiadłem więc z hedżina, wskazałem, gdzie mają rozłożyć mój dywan

i poszedłem do mego ogiera, by go pogłaskać i dać mu kilka daktyli.

Był do tego przyzwyczajony. Potem ułożyłem się na moim dywanie.

Celowo ulokowałem się w pobliżu obcego, który prowadził modły,

a którego Omar Ben Sadek nazwał "starym". Miał chytrą twarz.

"Młody" siedział u jego boku i był do niego tak podobny, że uznałem,

31

iż to jego syn. Miał w oczach niepewność i niepokój. 'Ii~zej pozostali

nie wyróżniali się niczym szczególnym. Wspólne było ich osłabienie,

i przybyliśmy w samą porę, by uratować ich przed śmiercią z pragnie-

nia. Wydawało mi się, że słyszę, z jakim trudem przychodzi im ta

głośna modlitwa. Czemu nie milczeli, zwłaszcza że ta litania nie była

potrzebna. Głos starego brzmiał głucho z nużącym drżeniem:

-- O ty, którego spośród istot stwórcy najbardziej szanuje. Na

początku zdarzenia, które wszystkich dotyka, nie znam nikogo inne-

go, w kim mógłbym szukać obrony, tylko w tobie!

Inni powtarzali za nim słowa, potem stary ciągnął dalej:

-- A kiedy miłosierny okaże się karzącym, nie będzie możliwe dla

ciebie, posłanniku Boga, pomóc mi swoją mocą.

Bo do obfitości, którą nas darzyłeś, należy ten świat i tamten świat

i ty wiesz wszystko, co napisane jest na tablicy za Światów i to co pióro

napisало.

O, moja duszo, nie wątpij w miłosierdzie Allacha, mimo ciężkiego

grzechu, jaki popełniłem; bo jeśli idzie o przebaczenie, grzechy cięż-

kie nie są równe lekkim.

Miłosierdzie mojego pana, kształtować się będzie wedle rozmiarów grzechów.

O spuść ulewę z chmur twego miłosierdzia na Proroka...

Kiedy doszedł do tego miejsca, nasi Haddedihi dali już jego wielbłądom wodę i słomę i zaczęli teraz przygotowywać obozowisko.

Wtedy stary przerwał modły i szybko zwrócił się do mnie, ponieważ sądził, że jestem tu główną osobą:

-- Cóż ja widzę? Rozsiodłujecie wasze wielbłądy. Wygląda to tak, jakbyście chcieli tu zostać.

-- Bo tak w istocie jest, zostajemy tutaj -- odparłem spokojnie.

-- Nie macie prawa.

-- Czemu? Pustynia jest własnością Allacha. Nie musimy nikogo o to pytać.

-- Byliśmy tu przed wami.

32

-- Tę też zostaniemy o tyle dłużej i czasy się wyrównają.

-- Ale my chcemy pozostać sami.

-- Będziemy się zachowywać tak, jakby nas tu nie było i nie będziemy się do was odzywać.

-- Ale widzicie, że mamy tu zmarłego. '17-upy są nieczyste.

-- My go nie tkniemy.

-- Niech Allach pozwoli mi opanować mój gniew! Widzisz i słyszysz przecież, że życzymy sobie, byście od nas odeszli.

-- A ty widzisz, że nasze życzenia są przeciwne, dlatego Allach może spełnić życzenie jednej tylko strony, jak zapisane jest w księdze życia,

a tą stroną my jesteśmy. I musicie usłuchać tego co zapisane jest w księdze życia.

Mówilem mimochodem, ale pod koniec przeszedłem na ton gniewny. Byłem ciekaw, co z tej przykrej rozmowy wyniknie. Halef odczuwał to samo co ja; nadzorował zdjęcie tachtirewanu i wygodnego ułożenia swojej Hanneh w jej małym, szybko ustawnym namiocie, a teraz podszedł, kazał rozłożyć dywan obok mojego i usiadł.

Potem rzekł cicho:

-- Czy byłeś przygotowany na takie przyjęcie, sisi?

-- Nie -- odparłem.

-- Ja także nie. 'Iaka niewdzięczność woła o pomstę do nieba. Co zrobisz?

-- Na razie odczekam spokojnie. Chcę posłuchać, jak się modlą.

S2ary bowiem zaczął od nowa:

-- Oto Mahomet, pan tego i tamtego świata, pan ludzi i duchów, pan obu wielkich oddzielonych od siebie ludw: Arabów i barbarzyńców. Nasz prorok kiedy nakazuje lub zakazuje, kiedy gani lub pochwala, jest sędzią, którego prawdy nikt nie podważy i któremu nikt nie dorówna.

On przewyższył wszystkich innych proroków zarówno pod względem postaci cielesnej, jak też szlachetności duszy. 'Ihmci nie dorównywali mu ani wiedzą, ani cnotami.

2 - Most śmierci 33

Oni, którzy błagali wysłanników Allacha o zgodę na czerpanie dłonią z morza lub picie wód przeciągających się deszczów.

A obok niego ci, którzy różnili się od niego wiedzą i mądrością -

stali oni na najdalszej granicy i nie mogli jej przekroczyć.

**Jego obrał Stwórca ludzi jako swego oblubienicę, kiedy wewnątrz-
nie i zewnętrznie dojrzewał do doskonałości.**

**1b, co chrześcijanie twierdzą o swoim proroku, ty tego nie twierdź,
lecz sław w nim to, co tylko chwalebne w nim widzisz.**

**Gdyż doskonałość wysłannicy Boga nie ma granic, tak, że mówca,
który posługuje się ustami, nie zdoła wyrazić jej w całej objętości. Jeśli
przemówią cudowne znaki jego godności, to jego imię, jeśli się je
wymówi, ożywi zmarłe zwłoki. Zrozumienie jego wewnętrznej istoty
to zadanie, które przekracza możliwości śmiertelnika i ani w jego
pobliżu, ani w oddali nie ujrzysz nikogo, kto by nie stał bezradny, gdy
chodzi o rozwiązanie tego zadania.**

**Jego wewnętrzna istota podobna jest do słońca, które ukazuje się
oku w oddali w pomniejszeniu, a w pobliżu oślepia.**

**Całe mnóstwo cudownych znaków, które ukazują wysłannicy Alla-
cha, pochodzi tylko z jego światłości.**

**Albowiem jest on wielkim słowicem doskonałości; ale słowice i jego
gwiazdy dają ludziom światło w ciemnościach.**

**Chociaż obawiałem się, że zanudzę czytelnika, przytoczyłem tę
modlitwę, ponieważ składa się ona z fragmentów Burdy, najsłynniej-
szego mahometafiskiego poematu, napisanego ku chwale Mahometa
i odmawianego podczas pogrzebów. Może niejednego zainteresuje
słynny islamski poemat, którego piękna, jak twierdzą mahometanie,
nie da się porównać z żadnym innym utworem poetów innego wyzna-
nia.**

Stary znał cudowną Burdę na pamięć, a więc nie był to zwykły Arab.

Podczas modlitwy w ogóle robił wrażenie fanatycznego mahometani-
na, dobrze obeznanego z obowiązkami duchownego. Przy tym spoj-
rzenia jego często skierowane były w naszą stronę, a wyraz ich

34

bynajmniej nie był życzliwy. W oczach jego syna natomiast malowała
się wcale nie ukrywana nienawiść.

Modlitwa ta zrobiła na mnie wrażenie, nie była bowiem odmawiana
z potrzeby wewnętrznej, lecz z innego powodu. Brzmiała tak nużąco,
jakby wymuszona. Ludzie mówili powoli, jak gdyby z trudnością;
opuszczali pewne miejsca, których stary nie opuszczał, a teraz, jako
że zrobił przerwę, położyli się, wobec czego on już nie ciągnął modli-
twy dalej.

Pomyślałem, że modlili się tylko po to, by nie zostawić nam czasu
na rozmowę z nimi. Mieli widocznie zamiar nic nam o sobie nie
mówić; a to musiało mieć jakiś powód i nie świadczyło o nich zbyt
dobrze.

Kiedy leżeli nieruchomo jak nieżywi, zapadł zmrok i nasi Hadde-
dihni zaczęli swoje modły, które odmawia się po zachodzie słońca.

Kiedy już zapadła noc, odmawiano Aszija - czyli modlitwę nocną. W
obu wypadkach tamci unosili się i modlili razem z nami, co jako
mahometanie musieli robić mimo wrogiego zachowania wobec nas.

Ale modlili się po cichu, byśmy nie usłyszeli ich głosów; oznaczało to
lekceważenie, co przyjęliśmy ze spokojem. Potem poszedłem z Hale-
fem do namiotu jego Hanneh, by rozpalić ogień. "Najmilsza i najle-
piej gotująca kucharka pod słońcem", jak Halef nazywał żonę, kiedy
mowa była o jej sztuce kulinarnej, chciała zaparzyć nam kawy, a potem

w gorącym popiele upiec kurss tari, czyli świeży chleb w kształcie ciasteczek. Do szlachetnej czynności zaparzenia kawy zabraliśmy imbryk, a Haddedihi przygotowali skórzane kubki na gorący płyn, bo i oni mieli go otrzymać.

Kiedy rozszedł się aromat kawy, wśród tamtych ludzi powstało ożywienie. Naradzali się krótko po cichu, po czym młody wstał i podszedł do nas.

-- My też chcemy kawy -- rzekł, podsuwając nam małe naczynie z dyni.

Powiedział to głosem, jakby wystarczyło mu tylko zażądać. Halef

35

już miał się zerwać, by z gniewem dać mu odprawę, ale zatrzymałem go i bardzo zwięźle acz stanowczo odpowiedziałem:

-- Kawa jest tylko dla nas.

-- Ale ja też dostanę! -- ofuknął mnie ten bezczelny typ.

-- Nie, nie, nie, po raz czwarty, dziesiąty i setny nie! -- wrzasnął teraz mały Halef, który już nie mógł dłużej się pohamować.

Wówczas tamten odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jego ludzie słyszeli każde słowo. Pochylili do siebie głowy. Było nam obojętne co mówili.

-- Sidi, czy sądzisz, że rnusimy wystrzegać się tych ludzi? -- zapytał Halef.

-- Nie -- odparłem -- wcale nie.

-- I ja tak myślę. Jest nas pięćdziesięciu dwóch dobrze uzbrojonych ludzi, a ich pięciu ledwo dyszących. Mimo to myślę, że w nocy ktoś musi czuwać.

-- Ja też tak sądzę. Wyznacz kilku swoich ludzi, tak, aby się zmieniali do rana.

Później, kiedy zapach pieczywa zaczął się unosić, młodego znowu do nas wysłano.

-- Dajcie nam chleba -- zażądał takim tonem, jakim żądał kawy.

-- Jedźcie to co macie.

Musiał więc znowu odejść z kwitkiem, ale zaraz wrócił z nowymi żądaniami.

-- I dajcie nam pełen bukłak wody.

-- Już nie mamy.

-- Przecież widzę, że tam leżą.

-- 'I~ są tylko dla nas. 'II; , które mieliśmy dodatkowe, daliśmy wam.

-- Czy nie znacie praw pustyni i gościnności, że nie dajecie nam żądanej wody?

-- Znamy wszystkie prawa, a nawet nakazy uprzejmości, które wam nie są widocznie znane. A teraz wynoś się stąd, bo inaczej...

-- Bo inaczej tak cię pogonię, że nauczysz się fruwać w powietrzu!

36

-- krzyknął Halef gniewnie. -- Wody, chleba, kawy! Może zażadasz jeszcze kawioru i ostrygi wielkiej jak gigantyczny żółw!

Mały Halef poznał żółwie, ostrygi i kawior jako delicje, kiedy był ze mną w Konstantynopolu. Mekkańczyk, jeśli był nim naprawdę, odwrócił się z dumnym lekceważącym ruchem ręki i wrócił do swoich, którzy przez dłuższy czas się naradzali. Kiedy wreszcie coś uzgodnili, stary wstał i powoli, mimo wyraźnego osłabienia, podszedł do nas w postawie, jakby przyzwyczajony był nosić koronę na głowie.

--'li~zykrotnie odprawiliście mego syna -- rzekł mocno podkreślając każde słowo. -- Pytam was - dlaczego?

Właściwie niewart był odpowiedzi, jednak woląłem dać mu odpowiednią odprawę:

-- Tym pytaniem przyznajesz się, że jeśli chodzi o rozum, jesteś małym dzieckiem, a jeśli chodzi o brak rozsądku i niewiedzę - olbrzymem.

-- Nie obrażaj mnie! Jestem przyzwyczajony, że odnoszą się do mnie z największym szacunkiem.

-- Ale sam jesteś uosobieniem niegrzeczności. Przysługuje nam prawo żądania przynajmniej takiego samego szacunku i godności, jakiego ty żądasz.

-- Wam? ... --1'ak wyniośle przeciągnął to słowo, że najchętniej bym go spoliczkował. -- No tak, nie wiecie, kim jestem. Więc słuchajcie i pochylcie w pokorze wasze głowy! Moim przodkiem jest Qatadah, jestem potomkiem słynnego Mohammeda Abu Numehijja, najjaśniejszego światła wśród wszystkich wielkich szafirów świętego miasta Mekki. Kiedy ja jego następcą umrę moje zwłoki nosić się będzie uroczyście siedem razy dookoła Kaby. Który człowiek w wielkim świecie Allacha może się poszczycić takim wyróżnieniem?

-- A ty już umarłeś?

-- Nie -- odparł zdziwiony.

-- A więc jeszcze nie noszono cię dookoła Kaby.

-- Nie.

37

-- Wobec tego poczekaj, aż to nastąpi. Wtedy może zechcemy pomyśleć o twoich zwłokach z szacunkiem.

-- Człowieku, nie wąż się ... No, ale nie znasz mego imienia, więc opanuj mój gniew. Zresztą zbędne jest zatykanie twojego ucha tym imieniem. Wystarczy, że ci powiem, iż nazywają mnie El Ghani i że jestem ulubieńcem'Aun er- Rafiqa, obecnego wielkiego szarifa Mekki. 'I~raz wiesz, jak masz się wobec nas zachowywać.

'Ifudno byłoby zachowywać się bardziej wyniośle i bezczelnie niż ten człowiek. Ale ponieważ chciałem się dpowiedzieć, kim był zmarły, powstrzymałem gniew i zapytałem:

-- 'Pdkże wobec innych? A kim oni są? .

-- Jeden to Ben Abdallah, mój syn. Reszta to ludzie ze świętego Miasta, ich imiona należą do najszacowniejszych.

-- A zmarły?

-- Był ulubieńcem Allacha i Proróka. Nazywano go El Munedzi, więc chyba rozumiesz niezrównaną wielkość jego zalet? Jego duszy udzielono daru opuszczania ciała. Błądziła ona po dalekich miejscach i dawno minionych czasach i takich, które nadejdą, po to, by zobaczyć i usłyszeć to, czego żaden inny śmiertelnik się nie dowie. Kiedy potem wracała do niego, El Munedzi mógł opowiadać wszystkie tajemnice tych czasów i miejsc. Rozmawiał z dżinami i melajikamijak z równymi sobie i dlatego miał władzę nad wolą i czynami wszystkich, z którymi obcował. Teraz odszedł do nieba Allacha, do tych, z którymi obcował już w czasie swego ziemskiego życia: Byłem jego najbliższym przyjacielem. Mieszkał w moim domu, bo oślepl. Okazuję mu miłosierdzie, jakie Allach nakazał swym wybrańcom, a on mi się odwdzięcza. 'I~raz wiesz kim jesteśmy i przeprosisz mnie i mojego syna.

-- Przepraszę? Jeśli myślisz, że ...

Nie mogłem mówić dalej, bo Halef zakrył mi usta dłonią i rzekł:

-- Zamilcz sisi, proszę zamilcz! Bo gotuję się tak, jak przedtem gotowała się kawa, a jeśli nie pozwolisz mi mówić, imbryk pęknie.

Pozwolisz?

38

-- Dobrze! Nie wolno mi dopuścić, by pękł.

Halef zerwał się, zwrócił do Ghaniego i zapytał owym pozornie opanowanym, spokojnym tonem, jakim mawiał tylko w stanie najwyższego gniewu:

-- A więc myślisz, że poprosimy cię o przebaczenie?

-- 'Idk -- brzmiała odpowiedź.

-- A przedtem żądałeś, abyśmy pokornie pochylili głowy?

-- 'Ihk.

-- Ty psi synu! Co sobie wyobrażasz? Schylamy głowy przed Allahem, a nie przed żadnym człowiekiem, nawet gdyby to był sam padyszach. A przed tobą? ... Powiem ci, że raczej padłbym na kolana i modlił się do naohydniejszej ropuchy, niżbym miał moją uczciwą głowę skłonić przed tobą: Jeśli naprawdę jesteś ulubiecem obecnego wielkiego szarifa, to jak najrychlej udam się do niego i powiem, że powinien znaleźć sobie innego ulubieńca, jeśli nie chce wszystkim wierzącym dostarczyć tak niegodnego widowiska, że będzie musiał w ciągu pięciu minut spalić się ze wstydu. Wy, psy i psie syny i wnukowie psich przodków i następców - zdechlibyście z pragnienia, gdyby nie my. Wasze brudne dusze wisiały tylko na włosku brody razem z ginącymi z pragnienia członkami. Daliśmy wam wodę, najcenniejsze, co się na pustyni posiada, wypiliście cały bukłak, nie

**dziękując ani słowem. Zażądaliście kawy, nie prosząc o nią. Później
rzuciliście nam w twarz rozkaz, byśmy wam dali chleba, a wreszcie
przekazaliście nam polecenie, abyśmy wam dali cały pełen bukłak
wody, chociaż nawet napiiliśmy wasze wielbłądy. Skąd mamy wziąć
wodę na pustyni? Czy myślisz, że możemy wyczarować źródło? I tego
wszystkiego zażądałeś w taki sposób, jakbyśmy byli niewolnikami. W
głupocie swojej zarozumiałości sądziłeś, że rozdziawimy usta ze zdumienia,
słyszając twoje imię. Jak ty się nazywasz? El Ghani, bogacz!
Czy możesz nam udowodnić, że zdobyłeś swoje bogactwo uczciwym
sposobem, że nie zgromadziłeś go kradzieżą i oszustwem? A gdyby to
nawet była prawowita własność, to wiedz, że nie wolno chęłpić się**

39

**swoim bogactwem, bo zastało ono wypożyczone tylko na jakiś czas
przez Allacha, by uczynić dobrze tym, którzy nic nie posiadają. My
także jesteśmy bogaci, w każdym razie dziesięciokrotnie bogatsi niż
ty, ale nie chęłpimy się ani tym, ani naszym imieniem, bo, jak w twoim
wypadku, jest to tylko znakiem nadętej buty. Właściwie powinienem
odpowiedzieć ci nie ustami, ale biczem. Ale twoja nędzna postać jest
godna pożałowania, tak że miłosierdzie skapuje mi z czubków palców,
więc uda ci się ująć bez bicia. Ale jeśli jeszcze raz ważysz się pokazać,
że nie stoimy dziesięć razy wyżej od ciebie, stłukę twoją psią
skórę tak, że na całym świecie nie znajdzie się dość miejsca na twoje
strzępy. A teraz wynoś się i nie przychodź tu więcej! I żebyś wiedział,
kto tak miło i cierpliwie z tobą rozmawiał - niech nasze imiona
towarzyszą ci do twego miejsca. Jestem Hadzi Halef Omar Ben Hadzi
Abul Abbas Ibn Hadzi Dawuhd el - Gossarah, szejk Haddedińów z**

wielkiego plemienia Szammarów.

Słowo o towarzyszeniu Halef niemal wcielił w życie, ponieważ podszedł, grożąc biczem przy wymienianiu każdego imienia, tak blisko do mekkańczyka, że ten się cofnął. W ten tak miły dla nas sposób towarzyszył mu Halef krok za krokiem, a raczej kopniak za kopniakiem i wymachując biczem ciągnął dalej:

-- A tu siedzi świątły i słynny na cały świat Hadżi Akil Szarir el -

Medżarrib Ben Hadżi Alim Szadżi er - Ghani Ibn Hadżi Daim

Maszhur el - Azim Ben Hadżi 'Pdki Abu Fadl el - Mukarram.

Jak widać, dobrze wyuczył się na pamięć mojego imienia. Każdemu członowi towarzyszyło następowanie na pięty El Ghaniemu, a ponieważ te kroki następowały zbyt szybko, ten nie mógł im umknąć. Kiedy mekkańczyk dotarł do swego miejsca, opadł wyczerpany, niezdolny wydać z siebie ani słowa.

-- No więc siadaj teraz w całej twojej niepojętej wspaniałości --

rzekł Halef bardzo zadowolony. -- A jeśli twoja wyniosłość znowu zacznie świerzbić cię w pięty, wystarczy byś mi powiedział, a chętnie ci ją z pięty wybiję.

Wrócił i usiadł obok mnie.

-- Sidi -- zapytał po cichu -- czy dobrze się spisałem?

-- Jestem z ciebie zadowolony -- odparłem.

-- A ty, Hanneh?

Hanneh, siedząca po jego prawej stronie odrzekła:

-- Mój Halef jest równie odważny w słowach, jak w czynach. Nawet ulubieniec wiekiego szarifa nie może mu sprostać.

-- Nie, ten najmniej. A ty -- zwrócił się do syna, który siedział obok

matki -- zawsze, przez całe życie, bierz przykład z ojca, który nie ścierpi żadnej obrazy swego honoru i który dałby kopniaka nawet Mahometowi, Prorokowi wszystkich muzuhnanów, gdyby mu się zachciało potraktować bez szacunku szejka Haddedihnów:

Zachowanie Hadżiego, które nas tak ubawiło, zastraszyło mekkaficzików do tego stopnia, że nie wazyli się głośno ze sobą rozmawiać. Siedzieli albo leżeli w milczeniu, a jeśli któryś się odezwał, to mówił tak cicho, że nic do nas nie docierało,

Sierp księżyca wszedł i zalał światłem obie grupy, mniejszą mekkańczyków i większą Haddedihnów, tak, że widać było wyraźnie, co ci pierwsi robili. Owinięty skierowany w stronę Mekki trup robił na nas dziwne wrażenie. Odkąd ten ociemniały Munedzi już nie żył? Na pustyni, tak jak w ogóle w krajach mahometahskich, zmarłych szybko chowają. Nie mogliśmy się niczego dowiedzieć, bo po tym co zaszło, nie chcieliśmy już ani słowa zamienić z tymi ludźmi. Sądziliśmy, że oni także nie odezwą się do nas. 'Ibteż byliśmy mocno zdziwieni, kiedy po pewnym czasie El Ghani wstał, podszedł do nas na pół drogi i rzucił mi te słowa:

-- 'Iwoje imię brzmi Hadzi Szatir, jak słyszałem. Czy mogę z tobą pomówić?

-- 'Pak -- odrzekłem zdziwiony, że początek mego imienia, mimo kopniaków zapamiętał.

-- Chciałbym wiedzieć, czy powiedzieliście prawdę ?

-- Powiedzieliśmy prawdę -- oświadczyłem.

41

-- Czy mogę sprawdzić, że jesteś tak wielkim uczonym, effendi?

-- Nie mam nic przeciwko temu, Chociaż nie jesteś odpowiednim człowiekiem, by mnie kontrolować.

-- Czy wiesz, co to była za modlitwa, którą przedtem odmawialiśmy?

-- 'Ib była część Burdy.

-- A kto ten poemat napisał?

-- El - Busiri.

-- Powiedz mi całe jego imię.

-- Szarif el - Din Abu Abdallah Mahommed Ben Said Ben Ham-
mad Ben Muszin Ben Abdallah Ben Szamhagh Ben Hilal as- Sanha-
dzi. Jest to imię, którego z pewnością ty nie znasz na pamięć.

-- Znam je, ponieważ każdy uczoney znaje je dokładnie. Wiem teraz,
że naprawdę jesteś uczony. Ale jak mi dowiedziesz, że ci ludzie
naprawdę należą do plemienia Haddediwnów?

-- Nie muszę ci udowadniać. Jest nam obojętne, czy ty w to wierzysz,
czy nie.

-- Tvoje zachowanie dowodzi, że to prawda. Więc chcę zapytać, czy
to wam nie przeszkodzi, jeśli dalej będziemy odnawiać modły nad
zmarłym?

-- Należy przestrzegać przepisów islamu.

-- Dacie nam wody?

-- 'Tylko wtedy, gdy o to poprosicie.

-- Czy udajecie się do Mekki, Świętego Miasta?

-- 'Pak.

-- My także. 'Iraz pochowamy zmarłego i odmówimy modły. Po-
tem wyruszemy. Ponieważ napoiłście nasze wielbłądy wytrzymają

teraz do Bir Hilu. Ale my pomrzemy z pragnienia, jeśli po drodze nie będziemy mieli nic do picia. Dlatego prosimy was o jeszcze jeden bukłak wody.

-- Dobrze, ponieważ prosisz, dostaniecie go. MoQemy wam napel-
ni~ jeden bukłak.

42

-- Dziękuję ... tobie ...

Bardzo rozciągał sylaby i kładł na nie niezwykle silny nacisk, ale mimo to nie cofnąłem obietnicy. Kiedy wrócił na swoje miejsce i usiadł, zaczęli śpiewać Haszrije, pieśń pogrzebową, w której opisany jest sądny dzień. Zaczyna się tak:

"Chwalę doskonałość tego, który stworzył wszystko, co ma jakąś postać. Podporządkował swoje sługi śmierci, która unicestwia wszelkie istoty wraz z ludźmi."

Kiedy skończyli tę pieśń, wykopali trochę dalej od swego miejsca rękami dół w piasku, przenieśli zmarłego i tam złożyli. Potem uklękli, z wyjątkiem starego, który stojąc zawołał:

-- Podejdźcie wierzący, bo muszę wygłosić modlitwę pogrzebową nad zmarłym muzułmaninem.

1b wezwanie jest przepisowe. Nie podeszliśmy, ale wstaliśmy, ponieważ wedle praw islamu byłoby niewybaczalnym grzechem dalej siedzieć. 'I~raz Ghani podniósł dłonie do głowy, dotknął palcami uszu i zawołał:

-- Bóg jest wielki! Bóg jest bardzo wielki!

Mekkaficzycy powtórzyli głośno te słowa. Następnie Ghani wyre-
rozdział Koranu, raz jeszcze zawołał "Bóg

cytował al - Fatiha, pieXwszy

**jest wielki", co inni powtórzyli i dodał: -- O Boże, bądź przychylny
naszemu Panu, Mahomętowi, Prorokowi, także jego rodzinie, jego
towarzyszom i chroń ich! - Bóg jest bardzo wielki!**

**Kiedy i ten okrzyk powtórzono, Ghani modlił się dalej. Po ukoń-
czeniu modlitwy pokłonił się na prawo, lewo i rzekł dwukrotnie:**

-- Pokój wam i miłosierdzie Boże!

**'Ib pozdrowienie skierowane było do aniołów, które zgodnie z
wiarą muzułmańską stoją niewidoczne po obu stronach. Potem zgod-
nie z regułą wezwał swych ludzi.**

-- Dajcie Świadećstwo o tym zmarłym!

-- Był jednym z cnotliwych -- odparli.

**Kiedy zmarły został zasypany piaskiem, nastąpił dalszy ciąg Fatihy
i modlitwa końcowa składająca się z trzech ostatnich wersów sury
Bakary.**

**'I~m samym skończony był obrzęd, który podczas pogrzebów w
miejscach zamieszkałych wygląda całkiem inaczej.**

**El Ghani posłał jednego ze swych ludzi do nas z bukłakiem, który
napelniliśmy. Potem zaczęli przygotowywać się do drogi. Kiedy do-
siedli wielbłądów, odjechali, nie zwracając na nas uwagi; tylko El
Ghani podjechał do nas i zawołał:**

**-- Nie modliliście się na głos z nami, chociaż było to waszym
obowiązkiem. Dlatego nie zakryliśmy oblicza zmarłego, aby przeklął
was w zaświatach, jeśli nie weźmiecie udziału w części jego pochówku,
dodając jeszcze brakującej ziemi. Wasze obelgi zapamiętałem i zabie-
ram, je ze sobą. Jak tylko przybędziecie do Mekki, policzę się z wami.**

Nie daruję ani jednego słowa. Niech Allah was przeklnie!

Wtedy Halef zerwał się, chwycił bicz, skoczył za mekkańczykiem i dał mu dwa lub trzy razy tak mocno w plecy, że ten aż krzyknął z bólu.

Ze względu na szybkość Halefa nie zdążył się wymknąć. 'I~n zaś zawołał za nim:

-- Ty psie, psi dziadu i pradziadu! Dziś otrzymałeś tylko część zapłaty! Resztę uczciwie zapłacę ci w Mekce! Możesz być pewien. Tego co przyrzekłem, dotrzymam.

Doleciały nas jeszcze przekleństwa; potem "ulubieniec wielkiego szarifa" i jego ludzie znikli.

Slepy Munedzi

Haddedihni z ożywieniem omawiali nasze spotkanie z mekkańczykami. Halef brał w tym udział, ja milczałem. Kiedy po jakimś czasie to spostrzegł, zapytał o powód mego milczenia. Musiałem przełożyć moją odpowiedź na później; milczenie moje mogło być karą dla niego, wiedziałem przecież jak był na to uczulony. W obecności żony i syna nie mogłem mu powiedzieć, że popełnił dwa niewybacalne błędy. Nie powinien był podawać mekkańczykom naszych imion, a potem bić El Ghaniego. Jeśli on istotnie jest poważanym obywatelem Świętego Miasta i ma osobiste stosunki z wielkim szarifem, może przysporzyć sporo kłopotów, zwłaszcza, że ja nie byłem mahometaninem i dlatego należało być podwójnie ostrożnym. .

Słowo szarif oznacza tyle co szlachetny, arystokratyczny, dostojny.

Szarifem określa się bezpośredniego potomka Mahometa poprzez jego córkę Fatimę, która była żoną Alego. Tylko szarifowi wolno było

**nosić zielony turban i zieloną wierzchnią odzież. Najdrobniejsza
obrazą takiego człowieka jest surowo karana. Godność szarifa prze-
nosi się zarówno na osobę żeńską, jak i męską. Zwłaszcza w Persji jest
wiele gałęzi szarifów, na przykład Alidzi, Fatymidzi, Dżafarydzi. Ale**

45

są także rodziny, które określają się jako szarifowie, choć nimi nie są.

**Prawie w każdym mahometańskim mieście urzędnicy, nazywani nikib
el aszraf, prowadzą listy rodzin i osób uprawnionych do tego tytułu.**

Listy te rokrocznie przywozi się do Mekki i przekłada tamtejszemu

wielkiemu szarifowi. On jest głównym księciem wszystkich potom-

ków Proroka, namiestnikiem Mekki, głównym strażnikiem Kaby i

wszystkich Świętości. Otrzymuje od sultana rokrocznie bogate dary.

Szarifat jest właściwie tylko duchowym wyróżnieniem czy godnością.

Szarifowi, dlatego, że pochodzi od Mahometa, nie wolno korzystać

ze świeckich przywilejów, ale w świecie mahometańskim pod każdym

względem dominują stosunki duchowe, więc szarif uważa, iż ma

prawo pod względem dóbr materialnych, tak samo jak pod względem

duchowym, daleko wyprzedzać tych, którzy nie są potomkami Proro-

ka. 'Paki punkt widzenia reprezentuje szczególnie wielki szarif, szarif

al - aszraf. Uważa on, że nie stoi niżej niż sultan, który przecież jest

kalifem, a więc głównym pasterzem i władcą wszystkich wierzących.

Historia dała wielokrotnie przykłady na to, że pan nad Kabą jest w

stanie pokazać padyszachowi pięść. Milionom mahometafiskich piel-

grzymów, przybywających do Mekki i Medyny wielki szarif wydaje się

bliższy niż oddalony od świętości sultan. Nic więc dziwnego, że ich

zdaniem, są raczej pod władzą tego pierwszego.

Tyle należałoby powiedzieć o wielkim szarifie, którego ulubieńcem nazwał siebie El Ghani. Chociaż przypuszczałem, że to określenie wedle znanego wschodniego zwyczaju jest przesadzone, coś z prawdy musiało w tym być. Miał on jakieś kontakty z władcą miasta, które zamierzałem odwiedzić i mógł mi przy każdej sposobności rozpiąć sieci. I to zawdzięczałbym porywczości Halefa, który puścił w ruch swój ukochany bicz. Zielony turban El Ghaniego dowodził, że on także należy do potomków Mahometa, którego obraza jest dziesięciokrotnie bardziej niebezpieczna, niż każdego innego. Całkowicie zgadzałem się z mocną, ale słowną odprawą, nie był to bowiem atak,

,
lecz uprawniona obrona. Jednak uderzenie biczem Araba, który posiada godność szarifa, było lekkomyślnością, której nie mogłem pochwalić. Dlatego skorzystałem ze sposobności, by podejść do Hadżiego, gdy przed udaniem się na spoczynek raz jeszcze zajrzał do swego, konia. 'Iix byliśmy sami. Moje nieprzerwane milczenie poskutkowało. Halef przyjął mnie słowami:

-- Jesteś zły na mnie sidi, bo dałem posmakować mojego bicza temu wyniosłemu człowiekowi, ale on na to zasłużył.

-- Mądrość często zakazuje traktowania ludzi wedle ich zasług. Nie wolno ci było wymieniać naszych imion. Byłoby lepiej, gdyby nic o nas nie wiedział. Ale ty musisz od razu każdemu nieznanemu człowiekowi opowiadać, jaka to z ciebie ważna osoba.

-- A może nie jestem?

-- Nie.

-- A n,?

-- 'Także nie. Jesteśmy w niektórych okolicach znani, to wszystko.

Nie bądźmy tacy dumni, jest tysiące ludzi o wiele lepszych niż ty, czy ja. Myślisz, że szejk Haddedińów i jakiś tu po Wschodzie wędrujący zachodni dudet el - kutub są najwspanialszymi i najpotężniejszymi mieszkańcami Ziemi, ponieważ kiedyś ustrzelili lwa albo nie uciekli od razu przed kilku Kurdami. Nie powinieneś uważać nas za tak strasznie ważne osoby. Powiadam ci, gdyby cały milion ludzi podobnych do nas nagle zmarł, historia świata toczyłaby się spokojnie dalej.

-- Nie sądzę, sisi.

-- Ale tak jest.

-- Nie, bo moi Haddedińi należą także do historii świata, a gdybym teraz nagle zmarł, to jej rozdział dotyczący Haddedińów zalałby się gorzkimi łzami i byłby ogromnie smutny. A co by się stało z plemieniem niemieckich Beduinów, gdybyś tutaj umarł i do nich nie powrócił? Przede wszystkim w twoim haremie wybuchłby lament i rozpacz, a z twego kobiecego namiotu popłynąłby potok łez, który by zalał góry, doliny i równiny twojej ojczyzny. Palmy wyschłyby z bólu, a stada

47

wielbłądów padłyby od nieuleczalnej zarazy smutku. Wybuchłby nieskończony lament ...

-- Przystafi -- przerwałem mu. -- moja Emmeh bardzo by się smuciła i wkrótce by za mną poszła, co do tego jestem przekonany. A poza tym twój nigdy nieustający strumień łez zalałby tylko twoją wyobraźnię. Nie jesteśmy wcale lepsi od innych i nie mamy powodu do takich hymnów pochwalnych, jakie zawsze wygłaszasz, kiedy cho-

dzi o ciebie i o mnie. Słyszysz, mówię "o ciebie i o mnie" Wiesz co mam na myśli?

-- Nie.

-- Kiedy ja mówię o nas obu, zawsze uprzejmie najpierw wymieniam ciebie. Ty natomiast zawsze mówisz "ja i ty" albo "mnie i tobie", a więc wysuwasz się na pierwsze miejsce. Obserwowałem to przez całe lata, nigdy nie było inaczej.

-- Sidi, wcale tego nie spostrzegłem.

-- Właśnie o to chodzi. Kiedy rozmawiam z tobą o nas obu, myślę nie tylko o należytym ci grzeczności, lecz także o mojej przyjaźni do ciebie, która wymaga, abym zawsze wymieniał ciebie pierwszego. Ale ty o tym nie myślisz, uważasz się za niesłuchanie ważnego człowieka i dlatego zawsze wysuwasz swoje ukochane "ja" na pierwsze miejsce.

-- 'I~udno mi w to uwierzyć.

-- Mogę ci tego dowieść, choć tylko pośrednio.

-- W jaki sposób?

-- Wiesz, że w moich książkach opisuję także nasze podróże i przygody. Prosiłeś mnie bym dokładnie cię opisał jaki jesteś. Uczyniłem to i teraz każdy, kto przeczyta taką książkę, może się przekonać, że ty zawsze stawiasz mnie za sobą. Halef przerażony chwycił mnie za rękę i zapytał:

-- Sidi, czy naprawdę tak jest w książkach?

-- 'Pdk.

-- Zlituj się i powiedz, że tak nie jest.

-- Nie mogę, bo tak jest.

--Allah kerim! Niech Allah się nade mną ulituje! Co ludzie o mnie

pomyśla? Co powiedzą o szejku Haddedińów z wielkiego plemienia Szammarów? Moje "ja" jest zawsze przed "ty". Zburzyłem całą moją sławę! Uznają mnie za niesłuchanie bezwzględnego i słusznie mnie potępiają za to niewybaczalne cofnięcie twojego "ty" i wysunięcie mojego "ja". Honor mojej skromnej pokory zgasł, a blask moich pięknych manier zasnęła ciemność. O sidi, czemu wyrządziła taką krzywdę twemu wiernemu Halefowi?

-- Sam tego chciałeś. Miałem cię opisać takim jaki jesteś.

-- Tb chyba prawda; ale kiedy wyraziłem to życzenie, nie wiedziałem nic o "ja" ani o "ty". 'I~raz twój Hadzi Halef stał się na całym Zachodzie podejrzanym człowiekiem i cała moja dawna sława zamieniła się w hafibę. Jestem zepsutym melonem, zgniłym jabłkiem, robaczywą buczyną, której żadna wiewiórka nie zechce zjeść. Miej litość dla mnie sidi, powiedz, czy nie można by tego zmienić?

-- To, co jest w książce, tego niestety nie można usunąć.

-- A jeśli napiszesz nową?

-- Wtedy chętnie spełnię twoje życzenie i pokażę, że się zmieniłeś.

Tylko ta zmiana musi nastąpić naprawdę.

-- Na pewno tak będzie, przyrzekam ci. A, że jesteś moim przyjacielem, chyba mnie i ciebie zasmuci, kiedy...

-- Stop! -- zawołałem. -- Właśnie znowu powiedziałeś "mnie" i "ciebie".

-- Sidi, uwierz mi, chciałem być na drugim miejscu, ale w pośpiechu tak mi się wymknęło z ust, że nie zdążyłeś stanąć przede mną. Proszę, zwracaj mi zawsze uwagę, kiedy nie będziesz miał należnego ci pierwszeństwa. A więc przez cofnięcie twojego "ty" straciłem u ciebie

slawę?

-- Nie, chciałem ci tylko pokazać, jak znamienna jest ona dla ciebie i twojego sposobu bycia. Tb była kara za twoje nierozważne postępowanie wobec Ei Ghaniego. 'Iiwój dzisiejszy postępek z biczem może nas drogo kosztować, możemy go nawet przyplacić życiem. On jest

49

Arabem, a więc człowiekiem mściwym, a poza tym jest szarifem. Nie zwróciłeś uwagi na zielony kolor jego turbana?

-- Sidi, z gniewu było mi tak zielono przed oczami, że nie odróżniłem koloru turbanu. Mam nadzieję jednak, że kiedy opiszesz naszą utarczkę z mekkańczykami, nie wspomnisz o mnie i o biciu.

-- Bardzo mi przykro.

-- .Chyba możesz sobie wyobrazić, że nie chciałbym, być opisany jako człowiek, który popełnia głupstwa.

-- Więc strzeż się, by ich nie popełniać!

-- Łatwo ci mówić, ale kiedy mnie język świerzbi albo coś we mnie i to coś wyskakuje, zanim zdołam go powstrzymać. Ale przedtem, kiedy mówiłeś o książkach, wpadł mi do głowy dobry pomysł. Postanowiłem, że będę odtąd świecił przykładem jako człowiek dojrzały, rozważny i roztropny. A ty, jako przyjaciel, musisz mi w tym pomagać.

-- Zgadzam się.

-- Ale tak, aby nie spostrzegł tego ktoś, kto stoi w pobliżu. Dlatego nie powinieneś mi długo tłumaczyć, sidi. Powiedz po prostu "książki", a ja będę wiedział, co masz na myśli, osoba postronna zaś tego nie zrozumie. To słowo poskromi mój największy gniew, zalewając złość łagodnością, podczas największego wzburzenia doprowadzi mnie do

opamiętania; tak, że część historii świata, która będzie mówiła o moich czynach, nie będzie zawierała niczego, co by zaciemniało blask mojej sławy. A więc tylko jedno słowo wystarczy, byś szalejącego lwa, jakim czasami się staje, zmienił w posłuszną owieczkę. 'Il;raz jestem przekonany, że dla złagodzenia twojego gniewu zrobiłem wszystko i proszę nie wspominać więcej o niepotrzebnych razach, jakie wymierzyłem swym biczem.

W ten sposób Halef uznał sprawę za zakończoną, ja co prawda jeszcze nie, bo byłem przekonany, że na skutki nie będziemy długo czekać.

T~raz była pora aby położyć się spać, więc jeszcze raz zajrzałem do hedżina, którego podczas podróży dosiadałem, a potem zwołałem do siebie ogiera Assila, bo tak samo towarzyszył mi podczas spania, jak dawniej jego matka Rih. Jego szyja służyła mi za poduszkę, a przed snem wyrecytowałem mu do ucha przeznaczoną dla niego surę. Zapanowała cisza. Poza jednym Haddedihnem, który miał stać na straży, wszyscy ułożyli się do spoczynku. Zbudził nas jakiś strzał. Sępy zaudto zbliżyły się do zmarłego i strażnik je odpędził. Kiedy później znowu się zbudziłem, była już pora na f~dżr, modlitwę przed zorzą. Większość Haddedihnow już wstała. Hanneh roznieciła ogień, by zaparzyć poranną kawę

Chcę przy sposobności powiedzieć, że Beduini prowadzą bardzo umiarkowany tryb życia i ~tylko podczas świątecznych uczt robią od tej zasady wyjątki. Obcy, który pragnie. podjąć takie same wysiłki jak tubylec, musi zastosowa~ się do takiego umiaru, jeśli nie chce wkrótce ciężko zachorować i umrzeć. Dziś jeszcze wspominam z przyjemno-

ścią spotkanie z pewnym podróżnikiem na pustyni, którego dokonania są znane. Opowiadał mi z widocznym zadowoleniem, że na pustyni co godzinę wypijał parę szklanek wody. Podróżował z czternastoma namiotami. Kiedy je tylko ustawiano, jadł śniadanie składające się z butelki wina, sardynek, zimnego ozora i herbatników. Na obiad jadł rosół z ogonów wołowych lub z żółwia. Potem następowało pieczone z owcy lub jagnięcia, omlet z jajek lub budyń z ryżu, herbatniki z winem i kawą. Podróżnik 6w zapewniał mnie z dumną satysfakcją, że na pustyni nigdy nie odwiedził żadnego Beduina, nie wkładając uprzednio rękawiczek. To co mi opowiadał opisał i opublikował. Jeśli istnieją Europejczycy, którzy w krajach południowych przesadnie dbają o dobro swego ciała, to nic dziwnego, że wskutek tak obfitego jedzenia tworzące się zbędne zapasy wyładowują się całkiem po prostu w tropikalnym szaleństwie. Co do mnie, prowadziłem dokładnie taki sam tryb życia jak tubylcy i nigdy nie uważałem, że muszę odróżniać się od nich spożywaniem specjalnych potraw i delicji. Jadłem to co oni, a ponieważ tej zasady przestrzegałem pod każdym względem, nigdy nie zapadłem na tropikalne szaleństwo.

Kiedy skończyliśmy poranną kawę, należało pomyśleć o wyruszeniu. Przedtem jednak trzeba było zasypać piaskiem ciało Munedźiego, jeśli nie chcieliśmy popełnić niewybaczalnego grzechu. Czynność tę polecono kilku Haddedihnom, którym Halef nakazał nie poprzestać jedynie na zwykłym zasypaniu, lecz mieli usypać wysoki masywny pagórek, aby zwierzęta pustynne nie dobrały się do trupa. Zgodnie z moim starym zwyczajem, polegającym na troszczeniu się o wszystko samemu, jeśli to tylko było możliwe, podszedłem z ludźmi do miejsca,

gdzie mekkańczycy pozostawili trupa. Halef mi towarzyszył.

Ciało zasypali oni piaskiem; ale głowa pozostała odkryta. Liwarz zasłonięto rąbkiem odzieży. Odsłoniłem ją.

-- Allah, Allah -- rzekł Halef. -- Co za godność maluje się na tym obliczu! 'Pdk właśnie wyobrażałem sobie proroków minionych stuleci. Miał rację, odniosłem takie samo wrażenie. Rzadko zdarzało mi się widzieć taką piękną, budzącą szacunek twarz starca.

-- Wygląda jak gdyby spał -- ciągnął Halef dalej -- i śnił o niebie Allacha. Popatrz jak błogo się uśmiecha.

Zgodnie z moim doświadczeniem tak zwany "błogi uśmiech" na twarzy zmarłego występował tylko u osób, które zmarły gwałtowną śmiercią.

Kiedy spoglądałem na rysy Munedżiego, zwróciłem uwagę na kolor twarzy; była blada i jakby martwa, ale miała jakiś szczególny odcień, który mnie zastanowił. Przyłożyłem dłoń do jego policzka i poczułem, że jest zimny. Nie patrzyłem na oczy, bo przecież słyszałem, że był niewidomy. Nie czuć było trupiego odoru, ale ciało jego było sztywne, co jednak tak samo jak chłód i zmiana rogówki oka nie są niezawodnym dowodem zgonu. Nakazałem kilku Haddediinom, którzy stali w pobliżu, by usunęli z Munedżiego piasek.

-- Dlaczego? -- zapytał Halef zdziwiony.

-- Mam uczucie, jakby na twarzy miał jeszcze lekkie oznaki życia, co może świadczyć, że to tylko omdlenie.

-- Tylko omdlenie? A więc pozornie martwy? Sidi, przeżyliśmy tyle,

kogoś pozornie zmarłego. Cóż za sławę zyskalibyśmy, gdybyśmy mogli powiedzieć, że nawet potęga śmierci jest wobec nas bezsilna.

-- Powoli, nie bądź taki szybki, drogi Halefie. Jeszcze nie stwierdziłem, że chodzi o śmierć pozorną. Może się mylę, ale uważam za swój obowiązek nie chować tego człowieka, póki się nie przekonam, że zgon naprawdę nastąpił.

-- A jak chcesz się przekonać?

-- Badając jego oddech i tętno.

-- Oddech? Przecież nie oddycha, to każdy widzi.

-- Oddech pozornie zmarłego jest taki słaby, że dostrzec go można tylko wsluchując się dokładnie. Zobaczymy!

Heddedihi usunęli piasek i położyli ciało obok dołu. Uklękłem, odsunąłem odzież z piersi i skierowałem wzrok na klatkę piersiową.

Halef ukląkł obok mnie. Podeszli inni Haddedihi i otoczyli nas pełni napięcia. Nie minęła minuta i Halef zawołał:

-- Teraz odetchnął. Widziałeś sisi?

Mnie także się zdawało, jakby jego piersi lekko się uniosły. Kazałem podać sobie kawałek skóry, zwinąłem w rurkę i nakazując Haddedihnom rnilczenie, przyłożyłem mekkańczykowie do serca. Minęła chyba minuta, kiedy zdawało mi się, że słyszę jakiś szmer, potem usłyszałem to znowu. Były to rozkurcze serca, drugie krótsze i jaśniejsze tony, które usłyszałem; pierwsze tony serca są wprawdzie mocniejsze i dłuższe, ale bardziej przytłumione i u pozornie zmarłych się nie zdarzają. Teraz miałem całkowitą pewność. Zerwałem się z kolan.

-- Halefie, twoje życzenie się spełniło, ten człowiek żyje, jest tylko pozornie martwy i z Bożą pomocą uda nam się przywołać z powrotem

jego duszę.

--Hamdulillah! Pokonamy śmierć i nakażemy życiu, by przyprowadziło go tam, gdzie wedle prawa powinien być! Ale, że nie wiem jak to zrobić, więc wzywam cię sisi, byś nam powiedział co teraz należy ezynić.

53

-- 'I~raz należy ~astosować sztuczne oddychanie. Nie wolno nam tracić ani chwili, byśmy nie spóźnili się z naszą pomocą. Pokażę ci, co masz robić.

Obnażono górną część~ ciała mekkańczyka i nieco uniesioną położono na wznak. W regularnych odstępach odginałem jego ramiona od klatki piersiowej, prowadziłem je kolistym ruchem nad głową i przyciskałem znowu do tułowia. Halef miał w takich samych odstępach uciskać podbrzusze, wskutek czego następowało regularne rozszerzenie i zwężenie klatki piersiowej, a więc płuca nabierały i wypuszczały powietrze. Przedtem wyciągnąłem mekkaficzykowi język, który jeden z Haddedihnów miał trzymać by droga oddechu nie była zamknięta. Podczas, gdy byliśmy tym zajęci, dwóch Haddedihnów bez przerwy mocno nacierało nogi Munedziego.

Chyba nie muszę dodawać, że podczas naszych starań mały, rozmowny Hadzi nieustannie perorował i choć mówił nie wszystko do rzeczy, nie przerywałem mu, by nie ostudzić jego zapału. Nasze usiłowania, przez dłuższy czas nie dawały rezultatu.

Minęta chyba godzina i byłem po tym wysiłku mocno zmęczony.

Właśnie chciałem, żeby przez jakiś czas ktoś inny mnie zastąpił, kiedy zauważyłem, że pozornie zmarły nabiera kolorów. O zmęczeniu nie

było mowy. Wkrótce Munedzi samodzielnie zaczerpnął tchu i otworzył oczy.

Czytałem wiele wierszy o wspaniałych, błękitnych, a nawet morderczych jak niebo oczach, ale nigdy dotąd nie widziałem oczu o takim błękicie jak niebo. Jeśli kiedykolwiek istniały takie oczy, to były to oczy Munedziego, które teraz z nieopisanym wyrazem skierowały się na Hadżiego. Był to blask, którego nigdy nie widziałem, wzrok jakby powracający z zaświatów.

-- Sidi, on się zbudził! On oddycha i spogląda na mnie! - zawołał Halef uszczęśliwiony.

-- Pić -- szepnął chory.

Przyniesiono wodę. Posadziliśmy go i ostrożnie po kropli dawali-

54

śmy mu pić. Regularne łykanie wzmocniło jego jeszcze bardzo słaby oddech. Było mu coraz lepiej.

-- Dziękuję! -- rzekł, kiedy zaspokoił pragnienie. Potem osunął się na ziemię, zamknął oczy i zasnął, ale nie przeszkodziło mu to oddychać. Przeciwnie, jego twarz stawała się coraz bardziej wyrazista.

-- Czy widziałeś jego oczy, sidi? -- zapytał Halef.

--'Pdk.

-- I nie zdziwiło cię to?

-- Nie. 'I~n kolor oczu występuje nie tylko na północy. Widziałem go nawet na południu, na Saharze u zupełnie ciemnoskórych ludzi.

-- Nie to mam na myśli. El Ghani twierdził, że Munedzi jest niewidomy, ale odkąd ujrzałem te oczy, twierdzę, że to kłamstwo.

-- Ja także mam takie wrażenie, ale nie jest wykluczone, że się

mylimy. Poczekajmy.

-- Ale co mamy robić teraz? Przecież musimy wyruszyć, a on śpi.

-- Nie wolno mu teraz przeszkadzać, pozostaniemy, aż on się obudzi.

-- A potem?

-- Potem porozmawiamy z nim i w ten sposób dowiemy się jakie są jego dalsze zamiary.

-- Dobrze, zaczekajmy! Nic nas nie nagli. Póki on nabiera we śnie nowych sił, możemy cieszyć się zmartwychwstaniem i powrotem z krainy śmierci. Czy kiedykolwiek słyszałeś o takiej krainie, sisi?

--'Pdk! Znałem nawet jedną osobę, która zmartwychwstała, bardzo ją kochałem i Kocham ją jeszcze dziś, chociaż nie należy do istot ziemskich.

-- Kto to był?

-- Moja babcia, matka mojego ojca, ziemski anioł mojego dzieciństwa. I~raz na pewno przebywa wśród aniołów. Była ona, tak samo jak moja matka, tak pełna miłości, że dziś jeszcze korzystam z tej obfitości; jest to największe bogactwo jakie istnieje, mój drogi Halefie. Uszkodzenie nerwu spowodowało, że dostała tężca i uznano ją za

55

martwą. Ułożono ją w trumnie, a na krótko przed pogrzebem, kiedy żałobnicy się z nią żegnali, odkryto, że ona jeszcze żyje.

-- Przypadkowo?

-- Halefie, wiesz, że dla mnie nie istnieją przypadki. Jeśli wszechmoc Boga spleta ze sobą przyczynę i skutek, którego powiązania nie zdola dostrzec słabe ludzkie oko, to wszystko tłumaczy się przypad-

kiem.

-- Czy już byłeś na świecie, kiedy twoja babcia pozornie umarła?

-- Nie. Była ona jeszcze w owym czasie młoda, ale do późnej starości często opowiadała o okropnym strachu, jaki ją nawiedzał, gdyż myślała, że zostanie za życia pochowana.

-- Odczuwała strach? Ja słyszałem, że pozornie zmarli nic o sobie nie wiedzą, bo ich dusze opuszczają ciało i wędrują poza nim.

-- Uczeni twierdzą co prawda, że podczas pozornej śmierci świadomość i wrażliwość zmysłów całkowicie ustają. I'ak było u mojej babci przez dwa dni. Kiedy trzeciego dnia wróciła jej świadomość~, stwierdziła., że leży w trumnie, czego dowiedziała się z rozmów siedzących dookoła niej. Sama nic nie czuła, nic nie widziała, nie mogła zrobić najlżejszego ruchu ani otworzyć oczu. Później nie potrafiła opisać potwornego strachu i rozpacz, z jaką usiłowała dać znak życia, ale jej wola, cała suma jej sił duchowych nie miały wpływu na jej ciało. Tę też zrozumiała, że jedyne jej ocalenie to modlitwa. Była pobożną kobietą i możesz sobie wyobrazić~, że nigdy tak żarliwie się nie modliła, jak wtedy przed ciemną furtą grobu, w którym miano ją ułożyć w pełni jej świadomości. Nasze Pismo święte powiada: "Modlitwa sprawiedliwego może wiele zdziałać, jeśli jest poważna". I~j powagi babci nie brakowało a słowa biblijne stały się jej ratunkiem. Kiedy jakieś dziecko podczas pożegnania ujęło jej dłoń, mogła wreszcie ruszyć palcem i odwzajemnić uścisk. Dziecko ze strachu głośno krzyknęło i drżąc powiedziało, że babcia "jeszcze nie zmarła, lecz żyje w ręku". Ludzie przekonali się, że dziecko mówiło prawdę; posłano po lekarza, który powoli przywrócił chorą do przytomności.

Hanneh która opuściła swój namiot i przyłączyła się do nas. Z

wielką powagą słuchała mojej opowieści, teraz zadała mi pytanie:

-- Jesteś zdania, sidi, że dusza matki twojego ojca opuściła ciało?

-- 'Pak -- odpowiedziałem.

**-- 'Ib dla mnie ogromnie ważne! Z tego co powiedziałaś, wynika,
że twoja bacia miała duszę.**

-- Oczywiście.

**-- Czy sądzisz, że była jedyną kobietą na ziemi, której Allach dał
duszę?**

-- Nie, każda niewiasta otrzymuje ten dar boski.

**-- A islam uczy, że kobieta nie ma duszy i dlatego nie może
uczestniczyć w wieczystej radości rajy. Islam powiada, że kobieta
stworzona została tylko w tym celu, by swym ciałem służyć mężczyźnie
a wraz ze śmiercią ciała całe życie dla niej ustaje. Owej nocy rozma-
wiałem z tobą o tej obraźliwej fałszywej wierze, effendi. Napelniłeś
moje serce spokojem, przekonując mnie, że my kobiety, także mamy
duszę i tak samo jak wy możemy pójść do rajy. Wysłuchałeś wtedy
mojej gorącej prośby, a także mojego Halefa, który jest moim ziem-
skim szczęściem i przekonałeś do wiary w moją nieśmiertelną duszę.**

**Dzisiaj, kiedy opowiadasz o duszy twojej babci, powinny zniknąć wszel-
kie wątpliwości co do naszej nieśmiertelności u wszystkich mężczyzn,
którzy słuchali twoich słów. Chciałabym jedno jeszcze wiedzieć, jeśli
dusza twojej babci opuściła jej ciało, to gdzie przebywała aż do
powrotu. Czy wiesz gdzie?**

-- Nie.

-- Nie pytałeś jej?

-- Jako dziecko nigdy, bo brakowało mi rozumu. Później gdy zacząłem badać tajemnice wiary, bardzo często i dokładnie wypytywałem ją, czy luki pomiędzy zanikiem i powrotem świadomości nie wypełnia jakieś później zbudowane wspomnienie. Ale nie wiedziała nic.

-- 'I-go nie pojmuję. Po tym co usłyszałam od ciebie o ludzkiej

57

duszy, nie mogła przecież w jej świadomości powstać przerwa.

-- Przerwa? 'Ib jest właściwe słowo. Ułatwiasz tym samym porównanie, które choć nie całkiem trafne, pozwoli ci przynajmniej częściowo to zrozumieć. Podczas nieobecności duszy w mózgu pozornie zmarłej powstały przerwy, puste miejsca, które potem okazały się niewrażliwe na ton wspomnień. Ale choć ona nie mogła sobie jasno przypomnieć, pozostało skierowane wstecz święte przeczucie, pobożne uczucie błogiego spojrzenia, wobec czego ujrzałem wielką nadzieję jej doczesnego życia, które było życiem w biedzie i pełne troski. Było nadzieją skierowaną na ponowne zbudzenie się we wspaniałości, którego jej słaba ziemską pamięć nie mogła zatrzymać. Do śmierci żyła podwójnym życiem, pracując z wiernością i ofiarnością dla swoich najbliższych, a w wolnych od tej pracy chwilach w nadziei na niebiańską łaskę. Jestem przekonany, że łaski tej od dawna doznała.

-- Jakże mocna jest twoja wiara, sidi, -- rzekła Hanneh -- Chyba nie istnieje nic co by odwiodło cię od twojej wiary?

-- Nie, walczylbym o nią z wszelkimi wrogami życia zewnętrznego i duchowego i nawet teraz w każdej chwili jestem gotów o nią walczyć.

Możesz mi wierzyć, że wrogowie w postaci ludzkiej nie są najsilniejszymi i najgorszymi przeciwnikami mojej wiary. Najgorsze walki stacza człowiek w swoim wnętrzu, gdzie wpływ ciemnych mocy jest większy niż w widzialnym życiu, które może ukazać tylko skutki tego działania. Szczęśliwa jesteś moja droga Hanneh, jeśli twoi aniołowie unoszą nad tobą dłonie, by chronić cię od takich mocy i takiej walki. Nie każdy posiada siłę, by wyjść z tych walk zwycięsko.

Wtedy Hanneh uśmiechnęła się do mnie serdecznie i rzekła:

-- Masz rację sisi, ale popatrz ten ocalony jakby się poruszył.

-- Wody! -- zabrzmiało cicho z ust Munedziego, który usiłował unieść się nieco.

Podano mu wodę i tym razem pił pełnymi haustami. Potem siedząc, rozglądał się swymi niezwykłymi oczami, głęboko nabral tchu i rzekł powoli, składając ręce, jakby nieobecny duchem:

58

-- Ludzie śpią; kiedy jednak umierają, budzą się,

Teraz zamknął oczy i znowu się położył, ale nie potrzebował już pomocy. Głos miał głęboki i dźwięczny, jakby wzmocniony wewnętrznym echem. Wypowiedziane przez niego słowa mogą się temu, kto nie zna arabskiego, wydawać nic nie znaczące, ale na mnie wywarły niezwykle wrażenie. Na Haddediwnach również, co potwierdziło ciche, pobożne "Amen".

Słowa te były jedną ze słynnych "stu sentencji" Alego kalifa. Dlaczego wypowiedział je dopiero co zmartwychwstały Munedzi, czy po namyśle, czy też z nagłego impulsu, tego nie wiedziałem. Pasowały tak dokładnie do obecnej sytuacji i wywołanych nią uczuć, że byłem

wstrząśnięty.

Staliśmy dokoła Munedziego i czekaliśmy, co uczyni dalej. Leżał jakiś czas nieruchomo, równomiernie oddychając. Potem uniósł się do pozycji siedzącej i jeszcze z zamkniętymi oczami rzekł, wskazując ręką miejsce obok siebie:

-- Przysiadź się do mnie.

Nie wiedzieliśmy kogo ma na myśli, ale wszystkim wydawało się samo przez się zrozumiałe, że to chodzi o mnie.

-- Czy słyszałeś, co powiedziałem? -- rzekł tetaz.

-- 'Pak -- odparłem.

-- Czy znasz te słowa?

-- Była to druga ze stu sentencji kalifa Ali Ben Abu l'aleba.

Munedzi skinął głową w moją stronę, jakby słuchał nadal mego głosu. Potem rzekł z wciąż jeszcze zamkniętymi oczami:

-- Druga? 'Ió się zgadza! Ale wytłumaczenia tych słów nie znasz!

-- Znam je.

Munedzi pochylił głowę bliżej do mnie i twarz jego podczas dalszych pytań i odpowiedzi przybierała wyraz coraz większego zdumienia.

-- Znasz oba?

-- Arabskie i perskie.

59

-- A kto je wydał?

-- Perski poeta Raszid Ed - Din, któremu nadano imię Watwat.

-- Co? Znasz go tak dokładnie?

-- Żył na dworach trzech władców i zmarł w roku pięćset siedem-

dziesiątym ósmym Hedzry.

-- Maszallah! A jak brzmi arabskie tłumaczenie tej drugiej sentencji czwartego kalifa?

-- Dopóki ludzie żyją na tym Swiecie, są beztroscy. Wydają się pogrążeni w tak głębokim śnie, że zapominają o rozkoszach rajy i ognistych mękach piekła. Kiedy jednak umierają, budzą się z tego beztroskiego snu i żałują za swoją opieszałość w służbie temu, który ich stworzył. Robią sobie wyrzuty z powodu zaniedbania wdzięczności wobec tego, który im wszystko dał, ale dopiero wtedy, kiedy skrucha przychodzi za późno, a robione sobie wyrzuty nic już nie pomogą.

-- A tłumaczenie perskie?

-- Ludzie podczas pobytu na tej ziemi nie dbają o sprawy tamtego świata. Dopiero kiedy umierają, budzą się ze snu obojętności. Wtedy uświadamiają sobie, że nie zważali na wartość życia i nie poszli drogą prawdy, żałują swych słów i nagannych czynów, ale wtedy to wszystko już nic nie pomoże.

Teraz wyraz twarzy Munedżiego był skupiony. Słuchał uważnie.

Czekał chwilę, potem spytał dalej:

-- Czy ty jesteś El Ghanim moim dobroczyficą? Wydaje mi się, że to on siedzi obok mnie.

-- Nie.

-- Więc powiedz, czy zgadzasz się z oboma tłumaczeniami.

-- Nie zyskują mojego uznania, bo są zbyt powierzchowne. Pozostaje nie poruszony głęboki sens owych sentencji.

-- A jaki jest ten sens?

-- Ludzie śpią, ale kiedy umierają, budzą się. 'Ib znaczy: ludzie żyją

jak ślepcy, z zamkniętymi oczami i nie widzą dowodów wiecznego życia. Kiedy słyszą głosy Allacha i jego wysłanników, myślą, że to sen i wcale ich nie słuchają. Ale kiedy ~mier.ć budzi ich ze snu i otwierają oczy, wtedy stają nieprzygotowani poza wielką granicą i nie mogą przekroczyć jej z powrotem, by naprawić to co zaniedbali. Ich przebudzeniem jest drzenie, a błogosławieństwem przerażenie.

-- Allah! Allah! -- zawołał Munedzi. -- Sądziłem, że wróciłem na ziemię, a oto znajduję się jeszcze u Ciebie, który mnie prowadziłeś! Nie, nie jesteś El Ghanim, który nigdy takich słów nie wypowiedział. Weź mnie za rękę i powiedz, czy i ja należę do tych, którzy żyją z zamkniętymi oczami i których przebudzenie będzie takie okropne!

-- Czynosisz w sobie miłość?

Czemu zadałem to pytanie? Chyba dlatego, że przedtem mówiłem z Haddedihiami o miłości. Zachowanie i słowa Araba nie były dla mnie jasne. Właściwie nie wiedziałem, kogo miał na myśli, mówiąc "on". W ogóle była to dziwna scena. Dokoła nas nieogarniona pustynia, nad którą wciąż jeszcze unosiły się sępy, dziwaczne kształty długonogich wielbłądów, tajemniczy obcy człowiek obok grobu ze swymi niezrozumiałymi słowami, nasza poprzednia rozmowa religijna i nastrój, w którym się z tego powodu znajdowałem, do tego sens sentencji jakby powstałego z grobu Alego; wszystko to razem widocznie spowodowało, że zadałem to pytanie.

-- Miłość? -- odparł Munedzi. -- Czy właściwie ona jest taka ważna w chwili przebudzenia ze snu?

-- Tylko ona jest ważna. Jest jak oliwa do lampy, bez której nie znajdziesz słusznej drogi.

-- Oliwa? Lampa? -- 'I~ słowa wyrwały go jakby z postawy uważnego słuchacza. -- 'Ib brzmi jak przypowieść o pannach z Nikah.

-- 'Pak -- powiedziałem pod wrażeniem tych słów, nie myśląc o tym, że mam przed sobą muzułmanina, który nie powinien wiedzieć, że jestem chrześcijaninem. -- Niebo będzie podobne do owych dziesięciu panien, które wzięły lampy i wyszły na spotkanie pana młodego. Pięć z nich było nierozsądnych, a pięć roztropnych. Nierozsądne wzięły lampy, ale nie wzięły oliwy. Roztropne zaś razem z lampami zabrały

61

naczynia z oliwą. Gdy się pan młody opóźniał, zmorzone snem wszy-

,

stkie zasnęły. Lecz o północy rozległo się wołanie: "Pan młody idzie wyjdźcie mu na spotkanie". Wtedy powstały wszystkie panny i opatrzyły swe lampy. Gdy nierozsądne rzekły do roztropnych: "Użycie nam swej oliwy, bo nasze lampy gasną", roztropne odpowiedziały ...

Dalej nie doszedłem. Podczas kiedy mówiłem zaszła w Munedzim dziwna przemiana, dziwna przynajmniej ze względu na jego osłabienie. Wydawało się, jakby jego żyły napelniały się nową krwią, a nerwy nowym życiem. Uniósł się, otworzył oczy i skierował swoje promienne, nieopisane spojrzenie na mnie. Zmarszczki na jego obliczu jakby się wypełniły, a wyraz jego twarzy stawał się coraz żywszy, a~wyciągając do mnie ręce przerwał mi błagalnie i z obawą:

-- Zatrzymaj się! Nie chcę dalej słuchać! Pomyliłem się. Nie jesteś tym, który dopiero co był przy mnie i za którego dotychczas cię uważałem.

-- Powiedz więc, myślałeś, że kim jestem?

-- Ben Nurem, wysłannikiem Proroka.

-- Nie jestem nim i nie znam go. Jego imię nie jest zapisane w żadnej księdze mówiącej o Proroku.

-- W żadnej ziemskiej księdze, ale w Kitab et -'Ihbanijin można je znaleźć. 'I~raz nie wiem, gdzie się znajduję. Nie jesteś bowiem Ben Nurem ani też El Ghanim. Czy przebywam jeszcze w krainie zmarłych, czy wróciłem już na ziemię?

Dziwne! Czy mieliśmy do czynienia z szaleńcem? Rozglądał się błyszczącymi oczami i trudno było uwierzyć, że nie widzą. Mówił, że był w krainie zmarłych? Nazywano go El Munedzim, wróżbitą. Tb tureckie słowo oznacza także wróżącego z gwiazd i znaków. Dla osób, które przestrzegają zakazów biblijnych, ma to również posmak ostrzegawczy. Pomyślałem o sztuczkach południowoafrykańskich zaklinaczy deszczu, o jarmarcznych astrologach i podobnych oszustach. I choć ten człowiek wywarł na mnie głębokie i szczere wrażenie, teraz uznałem, że muszę zachować ostrożność. Hanneh cofnęła się, Pralef

62

spoglądał na niego nieufnie, a Haddedihi jakby nie wiedzieli, czy mają się dziwić, czy się z niego wyśmiewać.

-- Jesteś na ziemi -- odpowiedziałem na jego ostatnie pytanie.

-- Gdzie?

-- 'I~m gdzie byleś przedtem.

-- Byłem u El Ghaniego. Gdzie on jest? Nie słyszę go.

-- Ale nas widzisz?

-- Widzę? Allah wallahi! 'I~voje słowa mówią mi, że znajduję się wśród ludzi, którzy mnie nie znają. Czyż nie widzisz, że jestem ślepy?

-- Nie! Wydaje mi się, że masz doskonały wzrok.

-- Mylisz się. Wiem, że moje oczy błyszczą, ale ten blask jest mylący.

Słyszając twój głos, wiem, jak daleko jesteś ode mnie, ale nie mogę cię rozpoznać. 'l~lko jeśli podejdziesz do mnie blisko, mogę dojrzeć cię jako rozplywającą się postać ducha.

-- Czyżbyś widział także duchy?

-- Och, bardzo często! Ale gdzie jest El Ghani? Niepokoję się o niego. On jedyny może mnie zrozumieć i wie, jak się ze mną obchodzić, on, mój dobroczyńca, bez którego dawno bym umarł nędznie. Powiedzcie mi! Proszę was!

Wydawało mi się, że jego strach jest szczery. Musiałem go sprawdzić. Położyłem dłoń na rękojeści noża, który tkwił za pasem, nagle go wyciągnąłem i skierowałem w jego twarz, jakbym chciał mu wykluczyć oko, on ani drgnął. Widzący człowiek zachowałby się inaczej, widocznie był naprawdę niewidomym. Dlatego odparłem życzliwiej niż poprzednio:

-- Otrzymasz żądane informacje, ale przedtem powiedz nam o sobie. Przede wszystkim pragnę ci powiedzieć, że nie powinieneś się obawiać. Znajdujesz się u dobrych ludzi, którzy będą cię traktowali jak przyjaciela i człowieka potrzebującego pomocy. Czy El Ghani to mekkańczyk?

-- 'Pdk, my wszyscy jesteśmy rnekkańczykami. Ale ja jestem ślepy, więc nie wiem, jak mam wam odpowiadać. Proszę, bądźcie pobłażliwi

63

wobec mojej niemocy i najpierw powiedzcie mi, kim wy jesteście.

-- Najpiervv choć do naszego obozowiska. Musisz przejść najwyżej

piętnaście kroków.

-- Więc poprowadź mnie.

Zanim wziąłem go za rękę, Halef powtórzył mój poprzedni manewr z nożem. Niewidomy nic nie zauważył, spojrzenie jego pięknych oczu pozostało puste i bez życia. Potem kiedy szliśmy, prowadziłem go tak, że grób znajdował się tuż przed nim. 'Il~zy kroki i byłby wpadł do dołu, gdybym go nie szarpnął z powrotem. Zmiana miej sca nie była potrzebna, zaproponowałem je, by sprawdzić jak ten człowiek chodzi. Poruszał się niepewnie, a nie było to skutkiem doznanych przejść i wyrzeczefi. Chociaż go prowadziłem, kroki jego były ostrożne i szukające, jak zwykle u niewidomych. A więc nie była to ślepotą udawana. Pozytywne skutki tego egzaminu od razu zaznaczyły się w zachowaniu Haddedihnów, którzy teraz poczuli dla ślepeca serdeczną litość. Przygotowali mu wygodne siedzenie i zapytali o jego życzenia. Znow poprosił o wodę.

Kie~y po raz trzeci ugasił pragnienie zapyfaliśmy, czy nie jest głodhy, odparł:

-- Nie wiem, jak dawno temu jadłem, bo nie przebywałem w swoim ciele, a wzrokiem nie odróżniam dnia od nocy. Kiedy jadłem ostatni raz, był piątek rano.

-- A dziś jest poniedziałek! -- zawołał Halef. -- A więc nie jadłeś pełne trzy dni.

-- Mimo to nie jestem głodny. Dajcie mi tytoniu, jeśli wolno o to prosić!

I już wyciągnął z kieszeni starą fajkę z krótkim cybuchem, niezwykle dużą główką i wsadził do ust. Prośbę swą wypowiedział niemal

blagalnie; a na twarzy malowała się taka tęsknota, jakby nie mógł się doczekać spełnienia swojej prośby. Kiedy pragnienie to zostało zaspokojone, pykał tak żarliwie, jakby życie zależało od tego, kiedy znowu będzie mógł napelnić fajkę tytoniem.

64

-- Biedy niewidomy człowiek -- szepnęła mi Hanneh ze współczuciem. -- Dopiero co powstał z martwych, opuszczony przez przyjaciół pośrodku pustyni. Co postanowiłeś?

Dalem jej uspokajający znak i już otwarłem usta, by przemówić kiedy Halef zadał mi pytanie po cichu:

-- Sidi, czy chcesz mu powiedzieć kim jesteśmy?

-- 'Thk -- odparłem równie cicho.

-- Pozwól, że ja to zrobię! Znam nas równie dobrze jak ty.

Usiadł po drugiej stronie niewidomego i zaczął mu wyjaśniać:

-- Poznasz teraz dwóch sławnych mężów, więc słuchaj z uwagą, co ci powiem. Jestem Hadzi Halef Omar Ben Abul Abbas Ibn Hadzi Dawhud el - Gossarah, największy szejik Haddedińów z wielkiego plemienia Szammarów. A człowiek po twojej drugiej stronie to największy uczony Wschodu i Zachodu. Jest uczonym nad uczonymi, w jego głowie mieści się tysiąc szuflad, a w każdej tkwi przeszło sto pełnych nauk, które studiował na dwustu sześćdziesięciu uniwersytetach i je opanował. Pochodzi z Maghrebu, urodził się w Wadi Draa, skąd jak wiadomo, pochodzą najmądrzejsi ludzie. Imię jego ...

-- Kutub! -- przerwałem mu.

-- Co? O co ci chodzi? -- zapytał, w swym ferworze nie pamiętając o znaczeniu słowa, które uzgodniliśmy.

-- Kutub! -- powtórzyłem.

-- Wahajati! -- zawołał, teraz sobie przypominając. -- Coś takiego, pomyliłem się. Powinienem był mówić najpierw o tobie, potem o sobie.

-- Oczywiście, drógi Halefie!

-- Na Boga, co za przykra historia, na Allacha! Wybacz mi, sidi!

Zaraz naprawię i zacznę od początku, wymawiając najpierw twoje imię, a potem dopiero moje.

-- Tb zbędne. Wymień moje imię, a swoje pomiń, bo już je podałeś.

-- Ale musi ono nastąpić po twoim, bo inaczej będzie to dla ciebie obraźliwe.

3 - Most śmierci 65

-- Jeśli powiesz je jeszcze raz, to moje wymienisz tylko jeden, a swoje dwa razy, a to będzie jeszcze bardziej obraźliwe.

-- Dobrze, niech więc będzie twoja wola. A więc imię tego uczonego brzmi: Hadzi Akil Szatir el - Medżarrib Ben Hadzi Alim Szadzi er - Ghani Ibn Hadzi Daim Maszhur el - Azim Ben Hadzi 'Idki Abu Fadl el - Mukarram.

Zabawne było, jak szybko i bezbłędnie wymienił tę długą listę. I równie zabawny był widok pięćdziesięciu Haddedińców, którzy te dwa tuziny słów cicho powtarzali, poruszając przy tym ustami jak żujące króliki. Ponieważ Munedzi był Beduinem, nie obawiałem się, że imię i poprzednia nagana wydadzą mu się śmieszne. Wysłuchał z uwagą i zapytał:

-- Czy jesteś może owym szejkiem Haddedińców Halefem Omarrem, który przed kilku laty w ruinach Bir Nimrud w Starym Babilonie

odkrył skarb przemytników?

-- 'I-k, istotnie, to ja -- odparł mały Halef z dumą. -- Więc wiesz o moim sławnym czynie? A gdzie o tym słyszałeś?

-- W Meshhed Ali, świętym miejscu szytów.

-- Kiedy?

-- 'I-raz, kiedy byliśmy tam razem z EI Ghanim.

-- Ale przecież nie jesteś szytą?

-- Nie. EI Ghani udał się tam jako wysłannik wielkiego szarifa i zabrał mnie ze sobą.

-- Czy wolno zapytać, po co tam pojechał?

--'I-go nie wiem, nie powiedział mi. Zdaje się, że to była sprawa religijna, o której mieli wiedzieć tylko wielki szarif i jego wysłannik.

-- I tam o mnie słyszeliście?

-- Tak. Byli tam Persowie, którzy znali dokładnie wasze ówczesne przygody. Przemycnicy, których pojмалиście, zamiast ponieść karę, zostali ulaskawieni i zatrudnieni jako urzędnicy celni. Dlatego głoszą waszą sławę daleko i szeroko. W ten sposób się dowiedzieliśmy.

-- Mówisz "waszą", a więc nie tylko moją?

-- 'Pak, bo z tobą był jeszcze ktoś, jakiś effendi z Zachodu. Był to chrześcijanin i nazywał się Kara Ben Nemzi. Czy to się zgadza?

-- 'Pak.

-- W jakim kraju Zachodu się urodził?

-- W Almacji.

-- Czy naprawdę był chrześcijaninem?

-- Najlepszym, jaki tylko może być?

-- Powiadają o nim, że chociaż jest chrześcijaninem, zna na pamięć

cały Koran. Czy to prawda?

-- 'Pdk.

-- Podobno także zna całą jego wykładnię?

-- 'Ib także się zgadza.

-- Jestem biednym człowiekiem, nic nie posiadam, ale gdybym był bogaty, dałbym połowę swego majątku, by móc go mieć chociaż kilka chwil przy sobie i z nim porozmawiać.

-- Czemu?

-- Bo znam Pismo święte chrześcijan, tak dobrze jak on Koran.

Byłoby dla mnie rozkoszą z takim człowiekiem dochodzić do prawdy i nawrócić go na islam.

Kiedy powiedział to, westchnął głęboko jak ktoś, komu sprawa, o której mówi, ogromnie teży na sercu i sprawia dużo niepokoju. Już to samo było dla jego wiary w Koran złym znakiem. W dodatku dopiero ze mną chciał dochodzić prawdy, a więcej jeszcze nie posiadał. Jeśli mówił, że chce mnie nawrócić na islam, były to tylko czerne słowa, które miały ukryć jego wahania. 'I~n człowiek mógł należeć do tych wielu spragnionych, którzy nigdy nie znajdują źródeł, bo ślepo przechodzą obok. Halef nie doszedł do moich wniosków, mówił to, co czuł i teraz także odezwał się w ów charakterystyczny dla niego sposób:

-- Nie pragnij tego -- rzekł ostrzegawczym tonem

-- Dlaczego? -- zapytał Miinedzi.

-- Bo osiągnąłbyś przeciwieństwo tego, do czego dążysz.

-- Jak to?

67

-- Pozwól, że wytłumaczę ci to na przykładzie. Byliśmy w Erbil,

mieście położonym w Dżesireh, którego może nie znasz. Poszliśmy do meczetu, by się pomodlić. Kara Ben Nemzi effendi, nie uważa bowiem, że to grzech odmówić chrześcijańską modlitwę w mahome- tańskiej świątyni. Uważa nawet, że wskutek tego meczet nie będzie zbezczeszczone, lecz uświęcony. Nie wolno tylko przy tym odwracać się od swojej wiary. Nikt go nie znał, także mufti, który klęczał obok nas. Później ów urzędnik od spraw religijnych i prawnych dowiedział się, że effendi jest chrześcijaninem i doniósł na niego za zbezczeszczenie świątyni. Musieliśmy stanąć przed sądem, gdzie kadi usiłował wykazać, że to ciężkie przestępstwo. Ale Kara Ben Nemzi udzielał takich odpowiedzi, że sędzia coraz bardziej się irytował i wreszcie gniewnie go zgromił: "Chyba nie obawiasz się kadiego?" Effendi odparł spokojnie: "Nie, to kadi powinien się mnie obawiać". Potem powołał się na wydaną decyzję naczelnego urzędu muzułmanów, zgodnie z którą uczonym chrześcijanom wolno wchodzić do meczetów, jeśli czynią to w sposób pobożny, pełen szacunku, by poznać nasze obrzędy i modły. Widzisz na tym przykładzie, że nie należy wciągać go w coś, co mu nie odpowiada. On potrafi przeciągnąć cię na swoją stronę. Znam mahometan, którzy chcieli nawrócić go na islam, ale osiągnęli tylko tyle, że sami, zostali chrześcijanami.

-- Mnie by to niebezpieczeństwo nie groziło, nawet gdyby jego wiedza była większa niż jest.

-- Dlaczego?

-- Bo mi powiedziałaś, że siedzący tutaj Hadzi Akil Szatir jest największym uczonym Wschodu, a nawet Zachodu.

-- Och, oni by się pogodzili, bo mimo niezliczonych nauk, które

znalazły miejsce w głowie mojego przyjaciela, nie narzuca się ze swoją wiedzą nikomu.

-- Ale zauważyłem, że wytłumaczył sentencję kalifa Alego.

--'Pdk, takie uwagi wymykają mu się czasami, ale zazwyczaj zachowuje je dla siebie i to mu się chwali. 'I~raz wiesz już kim jesteśmy.

68

Allach był ci przychylny, że cię z nami zetknął. Mamy ze sobą pięćdziesięciu odważnych Haddedihnów, a poza tym usłyszysz czasem głos kobiety. To Hanneh, wdzięczna władczyni mojego serca, której uroda i wdzięk należą do największych w Turcji i we wszystkich pafistwach prowincji perskich. Co jeszcze chcesz wiedzieć, powiemy ci później.

'I~raz mów ty. Czy wolisz, bym cię pytał?

Munedzi zwlekał chwilę z odpowiedzią. Potem rzekł:

-- Mowa o mnie może być krótka. Mnie także zaliczają do ludzi uczonych. Byłem zamożnym człowiekiem, kiedy przed kilku laty przybyłem do Mekki. Majątek ukradli mi obcy pielgrzymi. Mieszkalem u El Ghaniego. Zaopiekował się mną i zatrzymał u siebie, kiedy ośleplem. T~raz żyję tylko dzięki jego dobroci. Kiedy przed dwoma miesiącami musiał jechać do Meszhed Ali, zabrał mnie ze sobą, bo są tam przeważnie Persowie, których mowy nie rozumiem. Teraz byliśmy w drodze powrotnej. Skończyła się nam woda i wyczerpani musieliśmy się zatrzymać pośrodku pustyni. Byliśmy przekonani, że wołą Allacha była nasza śmierć tutaj. Resztę wiecie sami.

Zobaczyłem, że Halef znowu chce zadać pytanie, więc dałem mu znak, żeby tego zaniechał. Były pewne punkty, które mimo małomówności mekkańczyka, chciałem wyjaśnić. Był naszym gościem, a przy

tym nieszczęśliwym, ociemniałym człowiekiem. Wobec takich ludzi nie należy być natrętnym, ale miałem powody, by nie poprzestać na dotychczasowych niewystarczających informacjach. Dlatego zapytałem oględnie:

-- Czy mógłbyś nam powiedzieć, jaki jest zawód El Ghaniego?

-- Jest głównym nadzorcą dzielnicy miasta.

-- A jak brzmi jego właściwe imię?

-- Czy wam nie powiedział?

-- Nie.

-- Więc pozwól, że go także nie podam. To mój dobrodziej, któremu winienem wdzięczność. Nie mam prawa mówić czegoś, co on z pewnością celowo przemilczał.

69

-- Szanuję twoje poczucie wdzięczności, chociaż jestem zdania, że uczciwy człowiek nie musi ukrywać swego imienia. Ty swojego także nie wymieniłeś.

-- Effendi, czy oskarżasz mnie o nieszczerłość?

-- Nie. Wystarczy mi, że dowiedziałem się od El Ghaniego, iż nazywają cię el - Munedzim. Ale chyba mogę się dowiedzieć, kiedy zatrzymaliście się tu, pośrodku pustyni.

-- Było to w niedzielę z rana.

-- A więc przedwczoraj. A kiedy zasnąłeś?

-- Od razu, kiedy spadłem z wielbłąda. Na zejście zabrakło mi sił.

-- Podczas twego snu śniłeś o tamtym swiecie?

-- Effendi, o tym wolę milczeć. Ja nie śniłem. Tb, co uważasz za sen, jest czymś innym. Jesteś słynnym uczonym, ale twoja wiedza nie

wystarczy, by pojąć to, co wolałbym przemilcze~.

-- Ja zaś przeciwnie, uważam, że jako uczonej łatwiej to zrozumieć niż człowiek ciemny.

-- Nie. Uznasz to za chorobę, podczas gdy jest to dowodem najlepszego duchowego zdrowia. Proszę cię, nie nalegaj i zaprowadź mnie do El Ghaniego.

-- Niestety, tego życzenia nie możemy spełnić, El Ghani odjechał.

-- Beze mnie?

-- 'Pdk. Uznał, że umarłeś i już cię pochował. Kiedy odjechał ze swoimi ludźmi, wydobyłem cię z grobu i zobaczyłem, że żyjesz.

-- Umarły? Pogrzebany? -- powtórzył Munedzi z przerażeniem. --

Niech Allah ma litość nade mną! El Ghani przecież wie, że zawsze prędko wracam do siebie.

Tymi słowy na wpół zdradził nam swą tajemnicę, nie zauważając tego w swym podnieceniu; drugiej połowy sam się domyśliłem. Dlatego zapytałem:

-- Jak długo zazwyczaj byłeś poza sobą?

-- Tylko parę godzin.

-- A tym razem trwało to przeszło dwa dni. 'Ib nie był zwykły u ciebie stan, lecz nas ~ąpiła pozorna śmierć. 'Iiwdy długiej jazdy i brak wody, wpływ twojej choroby nerwów, której oni nie uznają, tak jak ty, za "dowód najlepszego duchowego zdrowia", w dodatku to, że wydajesz się nałogowym palaczem przesiąkniętym tytoniem i mało jadasz - to wszystko razem doprowadziło cię do stanu, który określamy pozorną śmiercią.

-- Pozorna śmierć? -- rzekł Munedzi. -- Dwa pełne dni leżałem?

Naprawdę? To byłoby okropne, gdybym został pochowany, nie będąc naprawdę martwym. Pozorna śmierć! W ogóle nie istnieje prawdziwa śmierć, bo to co wy tak nazywacie, nie jest niczym innym jak pozorem. To jest zrzucenie ziemskiej szaty, którą pod nazwą "ciało" tutaj nosimy, ale nigdy więcej jej nie nałożymy. Ciało pozostaje, by się rozłożyć na części, dusza natomiast, która w nim była uwalnia się z ciała, które ją krępowało.

Zaskoczył mnie ten sposób wyrażenia się. Munedzi nie mówił jak wierzący mahometanin, toteż nie mogłem powstrzymać się i wtąciłem:

-- Więc nie zgadzasz się z nauką Mahometa i wszelkimi wykładnikami Koranu?

-- Nie -- odparł. -- Pomyśl, że Prorok i jego następcy nie byli trzeźwymi ludźmi Zachodu i jako tacy wyrażali się alegorycznie. Jeśli Hadzi Halef nazywa cię największym uczonym Wschodu i Zachodu, nie muszę tego brać dosłownie, lecz tylko przyjąć, że nauczyłeś się więcej niż wielu innych. Nawet Biblię chrześcijan należy czytać i tłumaczyć z tego punktu widzenia, ponieważ autorzy zawartych w niej ksiąg pochodzili ze Wschodu.

-- Więc zaprzeczasz, jakoby te księgi były podyktowane przez ducha boskiego?

-- Nie, ale On mówił językiem Wschodu, jeśli przyjęcie tej inspiracji nie jest błędne. Duch boski nie może być wyraźnie wschodni.

Teraz ja z kolei byłem zdumiony. Ten Mahometanin znalazł listy do Koryntian. Mówił dalej:

- Dzięki współpracy ducha i ciała w tym życiu tworzy się drugie, dla

nas niewidzialne ciało, które przenika przez pory ciała ziemskiego i usta~awia więź pomiędzy tym ciałem a duszą.

--'Pdkie mniej więcej było zdanie Abu en - Nasraniego Orygenesa. Ojca Kościoła.

Teraz on się zdziwił:

-- Znasz Orygenesa? -- zawołał. -- Więc jesteś bardziej uczony niż przypuszczałem. Tę też mnie zrozumiesz, jeśli powiem, że nie obawiam się śmierci, bo nie jest ona niczym innym niż zrzuceniem prostackiej odzieży, która miała chronić duszę. Co prawda nie jest to takie łatwe i bezbolesne jak zdjęcie zwykłej odzieży, dlatego przeląkłem się swojej pozornej śmierci. Nie mogę uwierzyć, że tak było, raczej przypuszczam, że się omyliłeś. Moje ciało jest przyzwyczajone, że czasami dusza je opuszcza, a jeśli w tym wypadku nie było jej dwa dni, to o wiele dłużej niż zwykle. Nie można tego jednak określać jako pozorną śmierć, gdyż tę od grobu dzieli tylko mały krok.

Oświadczenie to, które uszczuplało nasze zasługi przy ocaleniu Munediiego, sprowokowało Halefa. Już ostatnia część rozmowy mu się nie podobała, a teraz uważał, że ominię go tak bardzo zasłużone podziękowanie, więc wybuchł ze złością:

-- Mały krok? Myślisz więc, że znalazłeś się poza ciałem? Leżałeś już w grobie i byłeś zasypany, tylko twarz miałeś odkrytą. Jeśli twoja dusza ma to złe przyzwyczajenie częstego opuszczania ciała, by sobie z ciekawością pospacerować po wszechświecie, to nie mam nic przeciwko temu, bo to nie moja dusza, której nie zezwolilibym na tak nierozsądne postępowanie. Gdyby kiedyś nie znalazła drogi powrotnej, toby się błąkała jak pozbawiona małżonka wdowa, a ja bym leżał,

nie wiedząc gdzie mam jej szukać. Nie muszę ci mówić, jakie by to było dla mnie przykre. Przecież każdy rozsądny człowiek pragnie być prawowitym właścicielem swej duszy. Jeśli sprawia ci przyjemność pobłażliwe traktowanie swej duszy, nie mam nic przeciwko temu, zwłaszcza, że wedle twoich słów ona po niedługim czasie wraca. Ale

72

sprawa staje się wątpliwa, jeśli zaczyna znikać na dwa pełne dni. Nie mogę nic na to pozażyc. Inaczej jest natomiast złużenie, w jakim się znajdujesz. Zdajesz się mniemać, że ta lekkomyślność nie może ci, zaszkodzić. Och, Muneżi, nawet jeśli twoja dusza tkwi w ciele, nie możesz na niej polegać, bo na pewno mówiłbyś wówczas inaczej.

Widzę, że muszę ci przyjść z pomocą i wyjawić całą prawdę, gdzie i jak cię odkopaliśmy. Posłuchaj więc!

I oto nastąpił malowniczy opis wydarzenia, od chwili kiedy spostrzeżliśmy sępy, do chwili obecnej. Dopiero teraz ślepiec dokładnie się dowiedział, że jego towarzysze go opuścili i jaka była tego przyczyna. Zrozumiał, że naprawdę był pogrzebany. Spóźnione podziękowanie wypadło w taki sposób, że nawet bardzo wymagający Halef był zadowolony. Do przestרחu i uczucia wdzięczności przyczynił się wielki kłopot z własnej bezradności. Co z nim teraz będzie? Znajomi go pogrzebali, on sam był ślepy i pozbawiony wszelkich środków do dalszej drogi, znajdował się wśród obcych ludzi. Było oczywiste, że zapewniliśmy go o naszej pomocy. Przecież zmierzaliśmy do Mekki, a więc mieliśmy tę samą drogę, nie będzie to żadna ofiara z naszej strony, jeśli jednego wielbłąda przeznaczymy dla niego. Kiedy to usłyszał, ogromnie się ucieszył i oświadczył, że jest już dość silny i

można wyruszy~ w dalszą drogę.

Sądziłem, że mam powód, aby nie dowierzać jego siłom. Odkąd oddaliliśmy się od grobu, kopciljak żołnierz i napelniał ośmiokrotnie cybuch. Prawdopodobnie ciało jego było przesiąknięte nikotyną, a żołądek całkowicie zniszczony. Dlatego po tak długim poście nie odczuwał głodu. Powiedziałem, że nie wyruszamy, zanim nie zje solidnego posiłku. Wymagało to niemal przymusu, by zjadł danie, które Hanneh przyniosła mu z naszych zapasów. Choć nie jestem okulistą, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jego ślepotą ma ścisły związek z tym nałogowym paleniem .

Zresztą przypuszczałem, że nie jest tym, za kogo pragnął uchodzić i miałem ku temu swoje powody.

73

Że był uczonym, dowiedział tego. Znał nawet Pismo Święte, był obeznany z wierzeniami starożytnych Persów. Poza tym opowiedział, że przybył do Mekki jako człowiek bogaty. To nie zgadzało się z mizernymi dochodami wschodniego uczonego. 'Pakże sposób jego wyrażenia zwrócił moją uwagę. Nie był to opisowy kwiecisty język człowieka urodzonego na Wschodzie, lecz raczej Europejczyka. Wyrażał się dobitnie, bez przenośni. 'Pdkże inaczej wymawiał niektóre arabskie głoski, nie jak tubylec. Posługiwał się również kilkoma wyrazami, których Arab co prawda używa, ale nie w mowie potocznej. Nic więc dziwnego, że stanowił dla mnie zagadkę.

Jego stosunek do El Ghaniego był również niejasny. Nie dlatego, że tak mało o nim powiedział, ta powściągliwość była zrozumiała.

Jednak poza wdzięcznością za okazaną mu dobroć czuł wobec tego

człowieka coś, co usiłował ukryć. Czemu wytworny mekkaficzny zabrał ślepcę ze sobą do Meszhed Ali. By posłużył za tłumacza? Na pewno nie. W Mekce jest dużo młodych ludzi znających perski, poza tym każdy jako tako wykształcony Pers mówił dobrze po arabsku. W każdym razie tkwiło w tym coś, czego nikt, a tym bardziej człowiek obcy, nie powinien był się dowiedzieć.

Dziwny wydawał mi się ten niezdrowy stan, który wyrażał się w słowach Munedziego: "Moje ciało przyzwyczaiło się do tego, że dusza je czasem opuszcza." Głębokie omdlenia zdarzają się przy rozmaitych chorobach. Czy był epileptykiem, histerykiem, czy lunatykiem? W każdym razie był nerwowo chory! 'I~ierdził, że podczas omdleń przebywa w innym świecie i dokładnie go sobie przypomina. By zyskać moje współczucie, nie musiał nic więcej dodawać. Jestem człowiekiem trzeźwym i nie uznaję żadnego fantazjowania, przyjmuję za prawdziwe tylko to, co mogę sprawdzić zmysłami. Jednak mimo to, a może właśnie dlatego "niechętnie zaglądam do zakamarków, gdzie tkwią rzeczy tajemnicze". Za omdleniami Munedziego coś się kryło i budziło to moją ciekawość.

O El Ghanim, który opuścił nas z groźbami, myślałem teraz

74

z mniejszym niepokojem. Sądziłem, że nasza znajomość z nim nie będzie dla nas korzystna. Tego rodzaju u przeczucia, nawet jeśli są słabe, prawie nigdy mnie nie zawiodły.

Przygotowaliśmy dla starca najwygodniejsze siodło i wymościśmy je miękkimi tkaninami, tak że mógł siedzieć wygodnie jak w fotelu.

Zanim wsiadł, poprosił, by zaprowadzono go na grób. Jeśli nawet go

nie zobaczy, to przynajmniej chce dotknąć rękami miejsca, które o mało nie zostało jego grobem. Hanneh wzięła go za rękę, mówiąc:
-- To twoje obecne zmartwychwstanie jest ziemskie, twoje oczy nie ukążą ci miejsca owego zmartwychwstania. Jeśli kiedyś nadejdzie zmartwychwstanie boskie oczy twoje otworzą się i ujrzysz krainę wspaniałości, którą Allah przygotowuje tym wszystkim, co mają czyste serca. Allah jekun ma'ak

Pers

Nasza dzisiejsza trasa miała za cel Bir Hilu, które położone było nie na północno - południowym szlaku karawan, lecz o wiele bardziej w bok. Wymieniał je także El Ghani, co dowodziło, że ten mekkańczyk nie zawsze przebywał w mieście Proroka, lecz musiał dokładnie znać pustynię.

Pustynia!

'Pak często opisywałem jej rozmaite rodzaje, że wygląd jej jest bardziej znany niż wychowacze znaczenie jakie ma w stosunku do ludzi. Pustynia ma swoje szczególne formy życia roślinnego, zwierzęcego, ludzkiego, których na próżno by szukać w innych okolicach. Co prawda Freiligrath, gdyby myślał serio o "lwie jako królu pustyni", nie zgodziłby się z tym określeniem, przecież lew żyje także w innych okolicach Afryki. Gdy znajdzie się na pustyni, to tylko na jej skraju i tylko dlatego, że się tam zabląkał. Potrzeba mu mięsa i wody, a więc nie jest zwierzęciem pustynnym, wytrzymałby na niej najwyżej jeden dzień.

Człowiek posiada dar przystosowania się do warunków przyrody

w obranym miejscu. Dzieci jego, im dłużej tam przebywają, tym bardziej się oswiają, dostosowując się do szczególnego rodzaju ziemi, na której położone jest domostwo. 'Pdk samo jest z mieszkawicami pustyni. Właściwie nie jest ona zamieszkana, a jeśli przecięta jest szlakiem karawan, to można mówić tylko o wędrowcach a nie o mieszkańcach.

Pustynia rozpościera się szeroko, jest wstrząsającym obrazem ziemskiej nędzy i bezradności. Rozżarzona słońcem, naga i pusta. Jej skały wystrzelają w górę, często dziwacznie i fantastycznie ukształtowane, często pojedyncze lub połączone ławicuchy. Czasem złożone są z dzikich członów, tak, że wydają się z daleka ruinami miasta, opuszczonych zamków lub wsłaniał kolumnadą, to znów jakby zmiażdżone, poszarpane i rozbite, przecięte zięjącymi otchłaniami, do których głębi nie dociera nawet żar równikowego słońca. Czyż obszar ten nie jest dokładnie taki sam jak historia tego jakby zapomnianego przez Boga kraju?

Po strzelających często w górę wzniesieniach nastąpiły bezładnie rozrzucone, miażdżone masywy skalne, pokrywające pustynię, która wygląda, jakby diabeł w swym gniewie za to, że wypędzono go z raj, rozbił tu świat, a potem porozrzucił jego odłamki. Leżą tu różnej wielkości głazy, czasem jeden, dwa lub trzy, gdzie indziej cała masa, niby niezliczone ziarna tysięcy piekielnych owoców, które w pustynnym słońcu mają dojrzeć i umrzeć. Samotnego wędrowca przeszywa dreszcz mimo okropnego żaru. Popędza swojego wielbłąda, by szybciej opuścić te miejsca.

Potem rozciąga się pustynia, której piasek łączy się z odłamkami

skalnymi. Na zachodzie ściele się szeroka równina piasku. Wieje nad nią przerażający zachodni wiatr, który zabiera ze sobą najdrobniejsze ziarenka, by odłożyć je na jakimś wzniesieniu. Wzniesienie to rośnie z dnia na dzień. Buduje je wiatr, a przyniesiony przezefi piasek zostaje na szczycie, część zaś spada w dół. Jest to pustynia piaszczystych wzgórz. Najdrobniejsze brzęczące drobiny wędrują dalej, docierają do zwalisk skalnych, wypełniają ich czeluście i zagłębienia, powoli zmieniają owe gruzowiska w łagodne faliste wzgórza.

Gdzieś dalej rozciąga się pustynia martwego piasku. Migocący, gęsty skwar dnia otacza ją swym ciężarem. Niebo nad pustynią jest jak ciężki ołów. Oczy stęsknione palą i nie znajdują punktu, na którym mogłyby spocząć. Człowiek traci poczucie odległości, energię, wolę, zaciera się powoli ostrość zmysłów, występują majaki.

Dlatego pustynia jest terenem fatamorgany, tak samo jak stanowi główny obszar niszczących burz piaskowych, których ofiarą padł nie jeden samotny wędrowiec i niejedna karawana.

Dokładnie taki sam jak pustynia jest jej mieszkaniec. W jego wnętrzu żyje ten sam żar. Bezradny, głodny i spragniony jak piasek, kieruje on swoje życie od pierwszego do ostatniego dnia ku niebu, prosząc Allacha o litość.

Bezlitosna surowość pustyni sprawia, że człowiek jest poważny i twardy. Tak jak pustynia jest bezlitosna wobec niego, tak on sam jest bezwzględny wobec innych, obcych istot. Nieugięty, wymaga uznania nieomyślności swych opinii i spełnienia swej woli. Tak co zachwycało go za dnia, może wieczorem zimo i pogardliwie odrzucić. Kobietę, którą namiętnie kocha, może już po kilku godzinach wypędzić, wypowiada-

jąc obowiązującą formułę: "Oddalam cię". Miłości bliźniego człowiek pustyni w ogóle nie uznaje, bo i pustynia go nie rozpieszcza. Ona tylko żąda ofiar, dlatego on jest samolubny. Poddaje się cierpliwie wszystkim wyrzeczeniom, by potem oddać się rozkoszą bez umiaru i opamiętania. Nie jest uduchowiony, a dno jego duszy podobne jest do skalnego rumowiska i pustyni.

Na pustyni należy ograniczyć swoje potrzeby cielesne do najmniejszego stopnia. Nastawić się na post i wtedy czynność ducha przewyższa czynność ciała, żyjesz bardziej duchem niż ciałem. Przywykłeś już do kołyszącego chodu wielbłąda, w wysokim siodle hedżina nie zważasz na ruchy zwierzęcia, którego łagodne elastyczne kroki nie docierają do ciebie na górę. Kiedy jedziesz przez pustynię skalistą lub pokrytą odłamkami kamieni, czujesz się taki mały, nic nie znaczący, opuszczony w tym przygniatającym morzu kamieni. Kiedy jedziesz przez ocean piasku, nie widzisz, by znikał za tobą, a przed tobą rozciąga się dalej. Nie ma początku i nie ma końca. Nie wiesz gdzie kończy się dół a zaczyna góra i masz uczucie jakby prażące nad tobą słońce unosiło nieprzerwanie coraz wyżej ziemię, a wraz z nią ciebie. Ciało twoje unosi się, choć tego nie czujesz, staje się coraz bardziej znikome, marne, aż jako "nic" znika w bezkresie twoich myśli.

Mija dzień i w porze mohrebu karawana się zatrzymuje. Urządza się obozowisko i następuje rozdział wody. Jak wzniośle brzmi wówczas wołanie: "Powstać do modlitwy: Allah jest wielki, nie ma boga nad Allacha! "

Po szybkim zapadnięciu zmroku następuje owijanie się w koce.

Beduini śpią, ty jednak masz oczy otwarte, ponieważ gwiazdy są tu

piękniejsze niż gdziekolwiek indziej. Z całą mocą przyciągają ku sobie twój wzrok a z nim wszystkie twoje myśli. Przypominasz sobie , najpienw ojczyste niebo, przypominasz sobie drogą ojczyznę i wszystkich jej mieszkańców. Serce twoje zdąza do tych, których kochasz. Wracasz do kraju z pustyni, lecz blask gwiazd znowu cię przyciąga, ^a cho~ nie tracisz uczucia, że jesteś w domu. Pustynia staje się domem i także tutaj gwiazdy pozdrawiają cię swojsko.

Pustynia, którą dziś przebyliśmy, była południowo - wschodnią odnogą Nefudu, którego obawiali się nawet tubylcy. Z trudem utrzymywaliśmy właściwy kierunek, pustynia bowiem składa się z często równoległe, często zaś zupełnie nierówno względem siebie położonych, rozciągniętych piaszczystych pagórków, połączonych nieregularnymi poprzecznymi rzędami. W ten sposób powstają między nimi głębokie czworokąty. Można więc sobie wyobrazić, że trudno nam było poruszać się naprzód, ponieważ nie było ciągłej płaskiej trasy i aby dojść~ od czworoboku do czworoboku musieliśmy pokonywać położone między nimi wzniesienia. Było to ogromnie męczące dla wielbłądów, zwłaszcza, że nie potrafiały dobrze się wspinać. Zbocza były

79

często bardzo strome, tym trudniejsze do przejścia, że ściany składały się z luźnego piasku, nie dającego mocnego oparcia i przy każdym kroku osuwającego się spod nóg wielbłądów.

Było tu niezwykle łatwo wpaść w błędne koło , ale mieliśmy doświadczenie. Ben Harb był naprawdę dobrym przewodnikiem i szliśmy śladami mekkaficzykow, którzy wyborem drogi dowiedli, że

świetnie znają tę okolicę i na pewno często ją przemierzali.

Pustynia nie była całkiem martwa. Czasem ukazał się nam jakiś pojedynczy krzak wysokości człowieka, przemknęła jaszczurka, natrafiało się na ślady małych lisów. Odkryliśmy także trop pantery, ale należała do małego, rzadkiego gatunku.

El -Munedzi zachowywał się bardzo spokojnie, wydawało się, że pogrążony jest w stałym półśnie.

Zanim nastąpiło południe znaleźliśmy się na grzbiecie pagórka i zauważyliśmy, że poza nami znajdują się jacyś ludzie. Ujrzyliśmy na lewo za nami gromadę jeźdźców na wielbłądach, którzy zdradzali duży pośpiech. Doliczyłem się dwudziestu dwóch ludzi. Jechaliśmy dalej, oni zbliżali się do nas i wtedy zauważyliśmy, że dwudziestu ludzi było w mundurach. 'Iireccy żołnierze na arabskiej pustyni! To musiało mieć jakiś niezwykły powód. Ale nas to nie obchodziło, więc spokojnie jechaliśmy dalej.

Po jakimś czasie jeźdźcy dogonili nas. Dwaj cywile jechali przodem, jeden z nich nas zagadnął. Był to Pers, ubrany w jedwabną odzież, brofi miał piękną i bardzo kosztowną. Ale niezwykły był jego hedżin. Zbudowany wspaniale, nigdy nie widziałem tak cudownie zbudowanego wielbłąda pod wierzch. Była to wielbłądzica mająca nie więcej niż pięć lat, o jasnoczerwonych oczach, jasnoszarej maści w granatowe kropki. Miała tak wierne, mądre oczy jakich nie widziałem jeszcze u żadnego wielbłąda. Nogi miała małe, kształty pełne i zaokrąglone. Przyznaję, że byłem tym zwierzęciem zachwycony.

Równie dobre wrażenie wywarł na mnie jeździec, lecz nie ze względu na bogaty strój i brofi, bo takie rzeczy nie wzbudzają mojego

szacunku. Siedział w wysokim siodle prosto i dumnie jak król przywykły do rozkazywania i do posłuchu. Duma ta była naturalna, twarz mężczyzny otoczona czarną, pielęgnowaną brodą wyrażała inteligencję, oczy były łagodne, ale pozwalały się domyślać, że nie obcy im jest płomień energii czy gniewu. Robił wrażenie naprawdę szlachetne.

--Assalam 'aleikum! -- pozdrowił nas uprzejmie w perskim narzeczu, obrzucając badawczym spojrzeniem, a potem zatrzymał wzrok na naszych koniach.

-- T~ci 'aleikum assalam! -- odpowiedziałem równie uprzejmie i tym samym perskim narzeczem.

Halef już otworzył usta, by przemówić, ale go wyprzedziłem, gdyż jego pochopne zachowanie byłoby wobec tego człowieka niewłaściwe.

Moja odpowiedź wywołała na twarzy Persa przyjazny uśmiech.

-- Mówisz po persku, czyżbyś był Persem? -- zapytał.

-- Nie, ale przebywałem przez dłuższy czas w tym kraju, polubiłem go i mam w tym kraju przyjaciół.

-- Oby twoja przyjaźń nie wygasła! Jestem Khtab Aga, główny nadzorca sanktuarium Meszhed Ali. Niech Allach błogosławi to miejsce!

Nawet gdyby nie spojrział na mnie tak pytająco, uprzejmość wymagała, bym podał swoje imię. Tę też je wymienilem:

-- Nazywam się Hadzi Akil Szatir effendi i przybywam z dalekiego Maghrebu, by zwiedzić państwa Wschodu i poznać ich mieszkańców. Ale mój Halef uznał, że jest to zbyt skromne. Jeszcze nie skończyłem, kiedy już gorliwie przerwał:

-- Zb tylko początek jego imienia, chwalebny ciąg dalszy i jego

wspaniale zakończenie przemilcza on przeważnie z fałszywej skromności. Pełne jego imię, które mogłoby być i tak dłuższe brzmi: Hadżi Akil Szatir el - Medżarrib Ben Hadżi Alim Szadżi er - Ghani Ibn Hadżi Daim Maszhur el - Azim Ben Hadżi 'Pdki Abu Fadl el - Mukarram effendi. Miejscem jego urodzenia jest Wadi Draa, skąd pochodzą tylko sławni mężowie, a w ogóle ma zgromadzone strony, wersy i paragrafy wszystkich nauk. Niech Allah w swej dobroci zachowa, te wszystkie zalety jego ducha!

Khutab Aga czekał z cierpliwym uśmiechem, aż Halef skoficzy długą wyliczankę, potem zapytał:

-- A ty? Kim jesteś i kim są pozostali?

-- Ja jestem Hadżi Halef Omar Ben HadżiAbul Abbas Ibn Hadżi Dawhud al - Gossarah, szejk Haddedińów z wielkiego plemienia Szammarów. Ci ludzie to moi wojownicy, którzy z nami odbywają pielgrzymkę do Mekki.

Ironiczny wyraz, jaki Pers przybrał podczas wymieniania moich imion, znikł teraz z jego twarzy.

-- Słyszałem o Haddedińach -- rzekł. -- Są to dzieli ludzie, spokojni, miłujący pokój i uczciwość. Mają oni przyjaciela z Zachodu, nazywa się Kara Ben Nemzi effendi i był ich nauczycielem we wszystkich pożytecznych sztukach wojny i pokoju.

-- 'T~k, to prawda. A skąd się o tym dowiedziałeś?

-- Od człowieka, który mi powiedział, a ty go także znasz, jeśli istotnie jesteś Hadżim Halefem.

-- Jestem nim. Jak się ów człowiek nazywa?

-- Mirsa Dżafar, mój najlepszy przyjaciel.

Mirsa Dżafar! Odegrał on podczas mojej wyprawy z Halefem do Persji znaczącą rolę. Pers nazywał go Mirsa Dżafar, a nie Dżafar Mirsa, dał mu nie książęcy a zwykły tytuł. 'Pd ostrożność dowodziła, że wiedział o Dżafarze więcej, niż mógł tu powiedzieć. Byłem zaskoczony. Khatub Aga nazwał Dżafara swym najlepszym przyjacielem, ale sytuacja nakazywała nam ostrożność. Najlepiej było nie rozwodzić się bliżej nad tą znajomością, niestety Halef nie potrafił zachować powściągliwości.

Pragnąłem sam przejąć rozmowę, lecz Halef nie oglądał się na mnie i w swym ferworze zawołał z radosnym zdziwieniem:

-- Mirsa Dżaraf! Nasz perski przyjaciel! I ty go znasz, nazywasz przyjacielm, tak jak my? Popatrz na ten chandżar tkwiący w pasie

82

mojego effendiego. Ta broń jest darem Mirsy Dżafara i ma dla niego i dla nas wielką wartość.

Co za brak rozwagi! W ten sposób zdradził, że nie jestem tym, za którego się przed chwilą podałem.

Khutab Aga obrzucił rnnie przeciągłym spojrzeniem. Żaden rys jego twarzy nie zdradzał, że przejrzał naszą tajemnicę, ale odtąd zwracał się tylko do mnie.

-- Pozwól, że zapytam cię o drogę, którą dotąd przebyliście. Powód mojej prośby później ci wyjawię.

-- Przybywamy z górnej Dżesire -- odparłem -- i na gołudnie od Hit przeszliśmy Euftrat.

-- Czy zahaczyliście o Jezioro Nedżef?

-- Nie.

-- **Awięc nie wędrowaliście szlakiem karawan prowadzącym z Hille i Meshed Ali do Mekki?**

-- **Nie. Położony był on na lewo od naszej drogi.**

-- **Szkoda! Gdybyście jechali tą drogą, na pewno moglibyście mi coś powiedzieć o małej karawanie, której szukamy.**

-- **Szukacie? Wy szukacie? Dziwne!**

-- **Dziwne? Czemu nazywasz nasze poszukiwanie dziwnym?**

-- **Bo jej szukasz, a przecież mówisz, gdzie się może znajdować, mianowicie na drodze z Meshed Ali do Mekki.**

-- **Więc powiem ci, że ta karawana ma ważne powody, by się przed nami ukrywać.**

-- **Jeśli musi się przed wami ukrywać, to ma także powody nie pokazywać się innym, którzy by ją zdradzili wobec was.**

Khut ab Aga pokiwał głową i uśmiech zadowolenia ukazał się na jego ustach, jakby potwierdziły się jego tajne myśli i ciągnął dalej:

-- **Widzę, że naprawdę jesteś mądrym effendim z Maghrebu, bo w ciągu kilku minut przemyślałeś wszystko, co inny człowiek zrozumiałby dopiero po długim zastanowieniu. Odgaduję twoje myśli i wiem, że się dziwisz, widząc nas tu, w tym miejscu.**

-- **Mylisz się ktoś, inny by się dziwił, że tu jesteście, chociaż sam mówisz, że poszukiwani przez was ludzie obrali drogę leżącą daleko od tutejszego szlaku. Wnioskuje z waszej tu obecności, że ci ludzie zboczyli z drogi karawan. Sądzę, że znaleźliście tego dowody.**

-- **Masz rację effendi. Stwierdziliśmy, że zboczyli z drogi wiodącej na zachód.**

-- **Czy wiedzieli, że ich gonicie?**

-- Nie. Ale musieli wiedzieć, że natychmiast urządzę za nimi pogoń, jak tylko uczynek ich został odkryty.

-- Czy wolno mi zapytać, co to za uczynek?

-- Tbbe powiem. Okradli świątynię Meszhed Ali. Czy możesz w to uwierzyć?

-- Czemu nie? Znam ludzi, którzy dokonali większych zbrodni.

-- Nie może być nic gorszego! Kto okrada świątynię, okrada Allacha.

-- Zwykły złodziej także okrada Allacha, ponieważ dni życia nie należą do niego, lecz do Boga i jeden dzień życia jest równie ważny jak każdy przedmiot w świętych murach.

-- Nie będę się o to z tobą sprzeczał, bo jako człowiek z Fran... - przerwał na chwilę i poprawił się mówiąc dalej -- jako człowiek z dalekiego Maghrebu masz odmienne zdanie ode mnie. Rabunek odkryliśmy w cztery dni po odejściu złodziei i jako stażnicy świątyni bez zwłoki pospieszyliśmy za nimi.

Fran..., powiedział, czy miał na myśli Frankistan, kraj Franków, chrześcijan? Jeśli tak, to nieostrożność Halefa zdradziła, że jestem Karą Ben Nemzim a nie człowiekiem z Wadi Draa. Teraz należało zapobiec skutkom tego odkrycia.

-- Czy od razu wiedziałeś, jaką drogę obrali złodzieje? -- spytałem.

--'I-k. Byli to mekkaficzycy, a więc nie wątpiłem co do obranej przez nich drogi.

-- Ale było przecież możliwe, że wyruszą w innym kierunku, by wprowadzić was w błąd -- rzekłem.

-- Przewidziałem to i posłałem oddziały na drogi, które prowadzą do Kerbeli i Hit, do Hille i Bagdadu, do Samua i do el - Dżuf. Że ci ludzie nie znajdą złodziei, zrozumiałem w Akabet esz - Szeitan, gdzie mekkańczycy przechodzili przed czterema dniami. Kierunek na Mekkę, który obrałem jest więc właściwy.

-- Teraz tak długo jedziecie tą drogą, a nie osiągnęliście celu.

-- Niestety to prawda. Szatan widocznie chroni łajdaków, czyniąc ich przed nami niewidzialnymi.

-- Widocznie szatan ma większą władzę nad waszymi oczami niż nad moimi.

Khutab Aga spojrział na mnie zdziwiony i szybko zapytał: -- Nad twoimi? Czyżbyś ich widział?

-- 'Iak.

-- Gdzie?

-- Jedną trzecią dziennej drogi stąd.

-- Dzięki Allahowi! Wierzę twoim słowom, nie możesz się mylić, bo wiem, że jesteś ... -- znów się zatrzymał, a potem nadał swym słowom inny kierunek: -- ... że jesteś bardzo mądrym effendim z Wadi Draa. Musimy od razu zawrócić, bo...

-- Nie spiesz się zbyt - przerwałem mu. -- Już nie są oni za nami, lecz przed nami. Popatrz na ślady, którymi jedziemy. To trop złodziei, których poszukujesz.

Ledwo to powiedziałem Halef zawołał:

-- Effendi, nie mów tego! Wprowadzasz w błąd okradzionych strażników świętości. Przecież te ślady ...

-- Zamilcz proszę! -- zawołałem stanowczo, mimo obecności Han-

neh, jego syna i Haddedihnów. -- Chyba mogłeś już stwierdzić, że
zawsze wiem co mówię.

-- 'I-k -- odparł Halef wciąż jeszcze przekornie -- zawsze przyzna-
wałem, że twój rozum jest dłuższy od mojego, ale za to mój rozum jest
szerszy, tak więc nie wiadomo, czy błąd tkwi w długości czy w szer-
kości.

85

--Drogi Halefie, nie bądź taki dumny z szerokości twojego rozumu!

Mimo tego popełniłeś błąd niewybaczalny.

-- Ja? Jak to? Dlaczego?

-- Później ci powiem.

-- Nie, sisi! Chcę wiedzieć teraz.

Wtedy Pers zwrócił się do mnie :

-- Pozwolisz, że ja mu powiem.

-- Tak, powiedz mu -- odparłem, bo w ten sposób i ja mogłem się
dowiedzieć, jak dalece sięga nieostrożność Halefa.

Khatub Aga znowu się uśmiechnął ironicznie i zapytał małego

Hadżiego:

-- Powiedz mi jeszcze raz zgodnie z prawdą, kim jest ten effendi.

Halef wyprostował się w siodle i odparł z największą gotowością:

-- 'I-n effendi nazywa się Hadżi Akil Szatir el - Madżarrib Ben
Hadżi Alim Szadzi er - Ghani Ibn Hadżi Daim ...

-- Zamilcz -- przerwał mu Basz Nazir ze śmiechem. -- On wcale się
tak nie nazywa. Wiem to nie gorzej od ciebie.

-- 'Pdk? Jeśli jesteś mądrzejszy, to wymiefi jego imię.

-- To Kara Ben Nemzi z Almanii.

Ti-zeba było zobaczyć twarz Halefa, ze zdumienia wydłużyła mu się niemal podwójnie.

-- Wiesz .. ty wiesz... -- jękał się.

-- 1'dk wiem -- uśmiechnął się Pers.

-- Znałeś go wcześniej?

-- Nie.

-- Widziałeś go już?

-- Nie, także nie widziałem. Ale o nim słyszałem.

-- Więc skąd możesz wiedzieć, że ten effendi nim jest?

-- Bo mi poprzednio powiedziano.

-- Kto ci powiedział?

-- ~!

-- Ja?

Halef spoglądał na Khatuba Agę szeroko otwartymi oczami, potem gniewnie mówił dalej:

-- Słuchaj, zabraniam ci takich żartów ze mną! Jeśli sądzisz, że możesz wyśmiewać się ze mnie, szejka Haddedihnów z wielkiego plemienia Szammarów to zaraz się dowiesz, do czego może doprowadzić niezręczna mowa. Cisnę ci w głowę wszelkie grubiafistwa wszechświata. Jeśli szukasz ze mną zwady, to żadne twoje świętości nie zmuszą mnie do szacunku, ponieważ prawda jest świętsza od całego twojego Meshed Ali. Powiedziałeś przed chwilą nieprawdę. Przyznaj się!

-- Mogę tylko przyznać, że powiedziałem prawdę. Czy nie wspomniałeś przedtem o sztylcie, który effendi ma za pasaem.

-- 1'ak, wspomniałem.

-- Powiedziałeś, że to dar Mirsy Dżafara?

-- Tak.

-- Tym samym zdradziłeś, że effendi nie nazywa się Akil Szatir, tylko Kara Ben Nemzi.

-- Jak to?

-- Bo wiem od Dżafara, że podarował swój chandżar swemu przyjacielowi Karze Ben Nemziem.

Halefowi znowu wydłużyła się twarz.

-- Zgadza się. O Allachu, jacy ludzie są nieostrożni! Udajemy się z effendim do Mekki, a że jako chrześcijaninowi nie wolno mu wejść do Świętego Miasta, uczyniłem z niego mahometańskiego uczonego i nadałem mu imię, którego długość sięga od Bagdadu do Stambułu. I kiedy włożyłem w to tyle trudu, dowiaduję się, że wysiłek mego umysłu był daremny, ponieważ Mirsa Dżafar był tak nieostrożny, że opowiedział ci historię sztyletu.

Wówczas nawet Hanneh nie mogła się dłużej powstrzymać. Przechyliła się ponad krawędź tachtirewanu i zawołała dość gniewnym głosem:

-- Hadzi Halefie, to ty byłeś nieostrożny!

-- Dlaczego?

-- Mirsa Dżafar nie uczynił nic złego, nie mógł przewidzieć, że ten Basz Nasir spotka się z nami w porze, kiedy nasz effendi będzie musiał nosić inne imię. Ty wiedziałeś, że prawdziwe imię effendiego należy ukryć. Usłyszałeś także, że Basz Nasir zna Mirsę, a mimo to powiedziałeś o sztylenie. Mogłeś sobie wyobrazić, że obaj rozmawiali o tym darze.

-- 'Pak. Mogłem sobie wyobrazić. -- powiedział zgnębiony Halef.

-- Mogłeś i powinienes! Czemu wciąż gadasz, kiedy chce mówić effendi? Słynny szejk wielkiego plemienia musi umieć milczeć.

Wówczas Halef pochylił się, złożył ręce i rzekł:

-- Masz rację, o Hanneh, ty najrozsądniejsza z wszystkich rozsądności kobiecego namiotu, jestem sławny i będę milczał. Tym razem przemówiłaś do mnie z duszy.

Z największym spokojem przyjął pocieszenie, jakiego udzielił mu Pers.

-- Nie troszcz się o bezpieczeństwo twojego effendiego, szejku Haddedihnów! Nikt z nas nie zdradzi jego prawdziwego imienia

,
przrzekam ci to na Allacha, Proroka i na synów Alego kalifa. Jestem szczęśliwy, że tak nieoczekliwanie poznałem Karę Ben Nemziego i tylko dlatego, że to on, ufam jego słowom. Jeśli mówi, że widział złodziei, jestem przekonany, że to prawda.

-- Bo to jest prawda.

-- Widziałeś ludzi -- ciągnął dalej Khutab Aga. -- Lecz skąd wiesz, że to ci o których mówię?

-- Kilkakrotnie wspominałeś o czterech dniach, a to mi wystarcza w związku z kilku innymi okolicznościami, by osoby, które mam na myśli, uznać za te, których poszukujesz.

Tu muszę dodać, że el - Munedzi wciąż jeszcze był w stanie półsnu i nie spostrzegł, że wielbłądy się zatrzymały i nie słyszał naszej rozmowy. Naciągnęliśmy mu na twarz zasłonę, by go słońce nie prażyło. A więc nie był widoczny.

-- Sądź się więc, że się nie mylisz? -- zapytał Pers.

-- Żaden człowiek nie jest nieomylny, ale myślę, że w tym wypadku się nie mylę. Pozwól, że zapytam, czy chodzi tu o sześć osób?

-- 'I=ak.

-- Czy wśród nich był starzec, który się dziwnie zachowywał?

-- 'I-k. Był opętany dżinem. Sądzę, że on nic nie wie o kradzieży.

-- Był też starszy człowiek z synem?

-- 'Iak.

-- I trzech mężczyzn w średnim wieku?

-- To także się zgadza.

-- Czy ci ludzie mówili, że są z Mekki? -- pytałem dalej.

-- 'I'ak. Ojciec przybył do nas jako wysłannik wielkiego szarifa.

-- Czy nie jest zuchwalstwem posądzać takiego wysłannika o kradzież?

-- 'I'dk, to nie do pojęcia. Tylko dlatego trwało to pełne cztery dni, zanim uwierzyliśmy dowodom, ale nagromadziło się ich tak wiele, że nie mogliśmy dłużej wątpić.

-- Czy nie jest możliwe, że mimo to jesteście w błędzie? Pytam o to także ze względu na mnie, bo przyznam ci się, że oskarżeni i dla mnie są ważnymi osobami i może staną się jeszcze ważniejsi niż teraz.

Więc mam powody, by o to pytać.

-- Effendi, wiem, że Kara Ben Nemzi nigdy nie robi i nie mówi

niczego bez ważkiego powodu. Sądzę, że wasze spotkanie z tymi

ludźmi nie było zwyczajne i zapewniam cię, że zetknęliście się z

łotrami, którzy skradli nam świętości. By cię o tym przekonać, musiał-

bym przytoczyć ci dowody, o do tego musiałbym mówić o sprawach i opisać miejsca, o których nie wolno nam mówić z żadnym szytą, a cóż dopiero z innowiercą. Ale daję ci moje słowo, że się nie mjlę. Zapewne możesz mi pomóc przy wykonaniu mojego zadania, toteż zapewniam cię, że możesz to spokojnie uczynić, nie obawiając się, że bez powodu skrzywdzisz tych ludzi. Wiem od Mirsy Dżafara, że twoje doświadczenie z szytami nie mogą wzbudzać twojej miłości do nas,

89

ale proszę cię, nie osądzaj mnie tak jak tych, którzy budzą w tobie wstręt i pogardę. Swej pomocy udzielasz człowiekowi, który jest jej godny i nie należy też do niewdzięczników, których tak wielu poznałeś.

Chętnie mu uwierzyłem. Wrażenie jakie wywarł, najlepiej określić zdaniem, szyita, bardzo wysoki urzędnik miejsca, gdzie szita pozbawia się swego najgorszego osadu, ale jednak człowiek honoru. Byłem więc gotów udzielić mu pożądaných informacji, a miałem po temu dwa dalsze powody. Zrozumiałem, że nie tylko nazywał siebie przyjacielem Dżafara, lecz naprawdę nim był i ze względu na tę przyjaźń, nie będzie mnie jako chrześcijaninowi, niczego utrudniał. A po drugie, odkrycie, że "ulubieniec wielkiego szarifa", ten dufny Ghani, jest poszukiwanym przestępcą, była mi bardzo na rękę. Mogłem przyjąć bez złośliwej radości, ale jako bardzo pożądané odkrycie, że dumny, tryskający wobec nas pogardą muzułmanin został określony jako podły przestępca. Ió w jakiś sposób dawało nam pewne korzyści, tak że wszelkie niepokoje w związku z nim stały się zbędne.

-- Możemy i chcemy ci pomóc -- zapewniłem. -- Dlatego nie traćmy

dłużej czasu na rozmowy. Możemy w drodze omówić to co trzeba.

Ruszyłem mając przy boku Basz Nasira i przywołałem do nas

Halefa. Mój przyjaciel z powodu nagany udzielonej mu przez Persa, a także przez Hanneh był speszony. Wiedziałem, jak przykra była dla niego ta nagana. Jego nieostrożność nie pociągała za sobą następstw, a jego nieopatrzna wypowiedź była wyrazem miłości do mnie. Za nami jechali Haddedihi, za którymi posuwali się żołnierze ze swoim dowódcą. Oczywiście poganiałiśmy wielbłądy. Prawdopodobnie Khutab Aga oczekiwał od nas szybko konkretnych informacji, ale ponieważ należało się spodziewać wspólnej akcji, chciałem przede wszystkim dowiedzieć się, co to za człowiek i jakie ma poglądy, dlatego zacząłem wypytywać:

-- Czy kiedy wyruszałeś z Meszhed Ali, myślałeś o niebezpieczeństwach nieuniknionych podczas takiej wyprawy?

--'Pdk, ale się ich nie boję -- odparł. -- Zanim zostałem strażnikiem, byłem oficerem szachinszacha i nie po raz pierwszy jestem na pustyni. I'dkże nasz chabir jest wspaniałym przewodnikiem, na którym mogę polegać.

-- Zauważyłem, że nie obawiasz się pustyni. Gdybyś się obawiał, nie podjąłbyś się tej drogi sam, lecz nakazałbyś innym. A że wasz chabir to dzielny człowiek, też nie ulega wątpliwości, inaczej nie ważyłby się zboczyć ze szlaku karawan.

-- On zna studnie znajdujące się poza szlakiem i ukrywane przez Beduinów. Wie dokładnie gdzie jest dobra woda.

-- Zdążamy w tym samym kierunku i zapewne natrafimy na złodziei.

-- Jakże się cieszę! Przynam ci, że już wątpilem, że dogonię ich na pustyni, co jest konieczne, nie muszę ci tego mówić.

-- Tak, mają jeszcze skradzione przedmioty przy sobie, a więc można ich zaskoczyć. Później, w Mekce ukryją łupy. Poza tym oskarżenie ich może już wtedy okazać się niemożliwe. Ich przywódca wydaje się być faworytem wielkiego szarifa. Tu znowu nasuwa mi się problem, który nie ma nic wspólnego z niebezpieczeństwem pustyni.

-- A jaki to problem?

-- Są jeszcze inne, groźniejsze dla was przyczyny nienawiści pomiędzy szyitami a sunnitami. Odkąd opuściliś Meszhed Ali, już nie znajdujesz się na obszarze szyickim, a im dalej poruszasz się w kierunku Mekki, tym bardziej zbliżasz się do centrum wrogości. Miesz-

kańcy Arabii to fanatyczni sunnici, a w dodatku odrzucają wszelki przymus, każde naruszenie ich wolności. Ich wrogość kieruje się z tego powodu przeciwko wojsku. A teraz przychodzisz ty z żołnierzami, na arabską pustynię, gdzie Beduin nienawidzi cię podwójnie.

Jestem przekonany, że każda grupa nomadów, licząca nie mniej mężczyzn niż wy, natychmiast was napadnie. Czy pomyślałeś o tym, zanim wyruszyłeś?

pl

--'1'dk, ale sądziłem, że szybko odnajdę złodziei.

91

-- Czy pomyślałeś o przewadze czterech dni, jaką mieli?

-- Sądziłem, że szybko ją zmniejszę, bo mamy najlepsze wielbłądy.

Popatrz na mego, nazywa się Maszhura. Imię to mówi co prawda

wiele, ale nie wszystko. Pochodzi ze słynnej hodowli T~zarbagh, nigdy bym jej nie sprzedał. Jako znawca co o niej powiesz? Jest dwukrotnie szybsza niż inne wielbłądy.

-- Nigdy jeszcze nie widziałem takiego wielbłąda i w myśli ją podziwiałem. Niech Allah ją chroni! Ale co poradzi doskonałość twojej wielbłądzicy, jeśli wielbłądy żołnierzy nie są równie szybkie? Gdybyś obliczył, ile czasu, nawet przy największym pośpiechu i wytrwałości, zabrałoby nadrobienie czterech dni, wynik wskazałby, że ci których gonisz, przybyli do Mekki prędzej niż ty. Na szczęście skończyła im się woda, pozostali na wpół skonani, kilka dni i zginęliby marnie, gdybyśmy na nich nie trafili. ^

-- Yah, Ali! Nie tylko ich widzieliście, ani z nimi rozmawialiście? =

-- Nawet więcej, przez jedną noc obozowaliśmy razem.

-- Nawet obozowaliście? Effendi, musisz mi to opowiedzieć!

-- Ale najpierw jeszcze jedno pytanie. Kim właściwie jest ten wysłannik wielkiego szarifa?

-- Nie powiedział ci?

-- Chcę to usłyszeć z twoich ust.

-- Podobno jest bogaty i dlatego nazywa się El Ghani. Jest także głównym nadzorcą jednej z dzielnic Mekki. Należy do znanej rodziny Qatadah, jest potomkiem Mahometa Abu Numehijja i nazywa się Abadillah el - Waraka, ale nie lubi tego imienia.

-- Dlaczego?

-- Bo to imię może stać się kiedyś dla niego niebezpieczne.

-- Ach! A więc dlatego to przemilczał. Podał tylko El Ghani.

-- A właściwe imię ukrył?

-- 'Pak. A na czym polega niebezpieczeństwo tego imienia el -

Waraka?

-- Aby to zrozumieć, musiałbyś poznać życie obecnego wielkiego

92

szarifa oraz jego długi, zaciekły spór z othmanem paszą, posłem sultana.

-- Znam tę sprawę. Pasza chciał uporządkować ustawy i opanować wybuchające epidemie, zwłaszcza dżumy i cholery, a przede wszystkim zająć się bezpieczeństwem szlaku karawan. Wielki szarif uznał, że to jest naruszenie jego praw i odmówił uznania paszy. Zaczęła się między nimi zacięta walka, prowadzona przez wielkiego szarifa nawet niegodnymi środkami. I tak na przykład na meczecie można było przeczytać, że Allah przeklął paszę i że każdy, kto go usunie ze świata, zasłuży sobie na rajskie rozkosze, a grzechy będą mu odpuszczone

-- Tb właśnie mam na myśli -- wtrącił Pers. -- Tę kartkę podobno napisał El Ghani. Cały świat o tym wie i o tym mówi i dlatego nazywa się go: Abadillah el - Waraka, Abadillah z kartką. Zabrania używania tego imienia, gdyż boi się a swoje życie. A teraz proszę, opowiedz mi, jak to było z tym waszym spotkaniem.

Przy tej prośbie Halef chrząknięciem skierował na siebie mój wzrok i popatrzył prosząco. Kto wie jak Halef namiętnie lubił opowiadać, ten może to zrozumieć. Halef był przekonany, że tylko on potrafi przedstawić jakieś wydarzenie we właściwy sposób. Dałem mu znak przyzwalający, a on od razu zaczął swą opowieść.

-- Chcesz wiedzieć, w jaki sposób odbyło się nasze spotkanie z nimi? Opowiem ci to dokładnie, tak jak było i jestem przekonany, że

z pełnym szacunku podziwem wysłuchasz mojej opowieści. Allah darował każdemu człowiekowi usta i język, ale nie wszystkim darował cenną umiejętność korzystania z nich w taki sposób, jak tego wymagają prawa sztuki i przepisy retoryki. Dlatego proszę cię uprzejmie, byś mnie słuchał i nie przerywał.

Muszę przyznać, że usłyszeliśmy teraz majstersztyk, ale na sposób Halefa. Potrafił on uruchomić nieruchome, ożywić martwe. Wszystko w jego ustach nabierało kształtu, barwy i treści. Nawet najprostsze sprawy potrafił tak opisać, że nabierały powabu. Wróbel stawał się albatrosem, a kropla zmieniała się w powódź. Z Hanneh uczynił

93

boginię, ze mnie co najmniej półboga, z siebie jedną z niepojętych istot, które panując nad mocami i prawami żyją w poezji Wschodu. Pers, przywykły do takiej mowy, potrafił wyluskać prawdę z całości i słuchał z owym zachwytem, który na Zachodzie właściwy jest tylko dzieciom słuchającym bajek. Zakoficzywszy swoje sprawozdanie, Haleb spojrzal na Agę, a ponieważ ten milczał zapytał:

-- No i co powiesz na to? Czyś kiedykolwiek słyszał o takich czynach tak wspaniałych poemat? Czy rozumiesz tę kijame, to zmartwychwstanie człowieka umarłego, który wcale jeszcze nie umarł i wrócił na ziemię, chociaż jej wcale nie opuszczał?

-- 'Idk, jesteś znakomitym gawędziarzem, rzadko zdarzało mi się słyszeć coś takiego -- oświadczył zapytany -- Mógłbym słuchać cały dzień.

Była to pochwała cenniejsza dla Halefa niż podziwianie jego mądrości i odwagi. Obrócił się w siodle i zawołał do Hanneh, która

podążała za nami w pewnej odległości:

-- Teraz powinnaś była usłyszeć, co powiedział Khutab Aga. Mówi, że jestem niezrównanym gawędziarzem, którego możnaby słuchać od dziś do sądnego dnia, nie tęskniąc nawet za rajskimi rozkoszami. 'Pdk więc zganiony został pochwalony, poniżony - wywyższony, a geniusz wreszcie uznany w całej swej doskonałości. O Hanneh, ukochana żono, o Kara Ben Halefie, mój posłuszny synu, zawsze gorliwie podążajcie za przykładem waszego ojca i męża, wówczas osiągniecie równą mu sławę. Niech da wam to Allach, obrońca i opiekun!

-- Pytałeś mnie -- snuł dalej Pers swoje rozmyślenia -- czy mogę pojąć to zmartwychwstanie. Ci mekkańczycy byli u nas prawie dwa miesiące i choć nie zdarzyło się, by el - Munedzi został złożony do grobu, to jednak widzieliśmy często, jak całymi godzinami leżał sztywny niczym trup. Często też we śnie spacerował, nie wiedząc co robi i gdzie się znajduje.

-- Czy można było wtedy się do niego odezwać?

-- Czyniliśmy to.

94

-- Budził się wtedy?

-- Nie. Udzielał odpowiedzi, których często nie rozumieliśmy, a często tylko częściowo. Kiedy dusza jego powracała, on odzyskiwał przytomność, ale tylko na chwilę, bo zaraz kładł się i zasypiał.

-- Czy nikogo przy tym nie było?

-- El Ghani nie odstępował go. Pokazywał ludziom i pozwalał, by zadawali mu pytania. Odpowiedzi na nie, brzmiały często tak dziwacznie, jakby pochodziły z innego świata, albo były zrozumiałe dla każ-

dego dziecka. Szczególnie pytano go o środki na różne choroby i o rozmaite tajemne sprawy, których chciano dowiedzieć się za jego pośrednictwem. El Ghani kazał sobie za to płacić i zebrał tyle pieniędzy, że nie mógł ich zabrać do Mekki, więc zamienił je u sarrafa na banknoty.

-- A więc pokazywał ślepcą za opłatą?

-- 'Pdk.

-- Wykorzystywał go więc jako źródło dochodów. 'Il;raz rozumię jego tak zwaną dobroczynność wobec Munedżiego. Od razu jej nie dowierzałem. Będzie to czynił w Mekce z jeszcze większym powodzeniem, a chory o niczym nie będzie wiedział. Teraz j uż wiem, dlaczego zabrał go ze sobą do Meszhed Ali. Powiedział mu, że jako tłumacza. Ale właściwym powodem było to, że chciał na nim zarobić pieniądze i że nie mógł go zostawić pod opieką innych ludzi, którzy by ślepcowi zdradzili prawdziwy powód dobroczynności jego obrońcy. By temu zapobiec, musiał go trzymać przy sobie. Sądzisz, że ten pożałowania godny starzec nic nie wie o kradzieży w Meszhed Ali?

-- Prawdopodobnie jest niewinny. Sądzę nawet, że starzec by nas ostrzegł, gdyby wiedział, że mamy zostać okradzeni. Nie wiem jak ty, chrześcijanin tłumaczysz sobie jego stan, prawdopodobnie jako chorobę, bo tak to nazwałeś. Ja jestem przekonany, że jest on opętany przez duchy, ale dobre duchy, gdyż wszystko co mówi i czyni jest dobre i pobożne. Cieszę się, że jest u was, nie grozi mu niebezpieczeństwo. Kiedy dogonię "ulubieńca wielkiego szarifa", będę mógł obejść się

wać.

-- Co chcesz z nimi zrobić, jeśli uda ci się ich złapać?

-- Zabiorę ich do Meshed Ali.

-- Czy masz jeszcze jakieś pytania?

-- Nie. Jeśli przypomnę sobie, to powiem ci później przy Bir Hilu, gdzie przecież znów się spotkamy.

-- Więc chcesz się z nami rozstać?

-- 'Pak, bo posuwacie się zbyt powoli. A może chcesz mi towarzyszyć? Nie muszę cię chyba zapewniać effendi, że bardzo by mnie to cieszyło.

-- Pozwolisz, że zostanę z Haddedihdami. Poza tym mam zasadę, aby nie wtrącać się do spraw, które mnie nie dotyczą. Nie obchodzi mnie to, że wasza świątynia została okradziona, a z Ghanim na razie nie chcę mieć nic do czynienia. A więc nie ma powodu, bym brał udział w pogoni za złodziejami.

-- Masz rację, zostafi. Ale dziś wieczorem na pewno zobaczymy się przy studni Hilu.

-- 'Idk. Jestem przekonany, że ujrzymy złodziei jako twoich więźniów.

-- Na pewno, jeśli ich tam zastaniemy.

-- Nie mogą być gdzie indziej, muszą tam jechać ze względu na wodę. I pozostaną tam, bo są zbyt wyczerpani, by jechać dalej. Jeszcze tylko pozwolę sobie powiedzieć, abyście uważali, by nie uciekli, jeśli zobaczą was z daleka.

-- Nie sędzę. Ponieważ Allah za waszym pośrednictwem pozwolił nam znaleźć właściwy trop, nie będę tak lekkomyślny, by dać im okazję

do ucieczki. 'I~raz się z wami pożegnam.

Khutab zawołał swego przewodnika, żołnierzy i szybko wyruszyli.

Jakiś czas jeszcze widzieliśmy ich przed sobą na wzgórzach, a gdy się oddalili Halef rzekł do mnie: `

-- Sidi, czy nie byłoby lepiej, gdybyś pojechał z nimi?

.
-- Dlaczego?

-- Nie pojechałbyś na pewno sam, lecz zabrałbyś mnie ze sobą. I

wtedy jaka rozkosz byłaby zobaczyć, jak z tych zarozumiałych mek-
kaficzyków wybija się ich wyniosłość.

-- Naprawdę, opuściłbyś swoją Hanneh?

-- Czemu nie? Byłaby to, tylko kwestia kilku godzin, a jest ona pod
opieką mego syna i pięćdziesięciu wojowników.

-- Jeśli poczekaś te kilka godzin, będziesz miał jeszcze dość~ czasu,
by rozkoszować się upokorzeniem tych ludzi. A gdybym ja miał tu, na
pustyni arabskiej moją Emmeh, to nawet obecność pięćdziesięciu
wojowników, nie byłaby dla mnie wystarczającym zabezpieczeniem,
by choć na godzinę ją opuścić. Nasze wspólne przeżycia powinny były
ci uświadomić, że niebezpieczeństwo przychodzi przeważnie zniena-
cka.

W ten sposób załatwiłem się z jego życzeniem. Spotkanie z Persem
dało nam wszystkim ciekawy temat do rozmowy.

4 - Most śmierci

Szejk Tawil

Minęło południe, upał osiągnął szczyt, zatrzymaliśmy się więc, by
wielbłądom umożliwić krótki odpoczynek.

Gdy zdejmowaliśmy Munedżiego z siodła nie zbudził się, ale i nie upadł, kiedy posadziliśmy go na rozpostartym kocu. Mimo nieobecności ducha, musiał być jakiś powód, który wpływał na ruchy jego ciała. Podczas, gdy siedział w całkowitym bezruchu, niby dziwnie wyrzeźbiona postać, usta jego wykonywały ruchy, jakby pykał fajkę.

Wyglądało to zabawnie.

I nagle rozpostarł ramiona, jakby chciał się oprzeć. Głęboko odechnął, poruszył głową i zapytał:

-- Gdzie teraz jesteśmy? .

-- Cztery godziny jazdy na północ od Bir Hilu -- odparłem. -- Kim wy jesteście, bo nie jesteście moimi towarzyszami.

-- Jesteśmy Haddediwnami, dziś rano wydobyliśmy cię z grobu.

Kierując się dźwiękiem głosu, Munedżi zwrócił ku mnie swe oczy i rzekł:

-- Przypominam sobie. Nie jestem u El Ghaniego, lecz u was, a ty jesteś uczonym z Wadi Draa. Byłem wysoko, w jasnym, cudownym

98

miejscu i widziałem twego anioła stróża. Nazywa się Marjam. Kazał cię pozdrowić. Jego mieszkanie dotyka stopni tronu Allacha, jego postać to piękno, szata to mądrość, głos to łagodność, a wzrok miłość. Widziałem jego ręce rozpostarte nad tobą. Widziałem także ciebie w dwóch różnych postaciach, które ze sobą walczyły. Jedna była ciemna jak noc, druga jasna i czysta jak łagodne słońce. Ciemna postać składała się z twoich błędów, była mocna i chytra, ale jasna silniejsza od tamtej uzbrojona była w miecz silnej woli. I kiedy patrzyłem, jak ze sobą walczysz, usłyszałem głos twego anioła: "Nie obawiaj się o

niego, bo on zwycięży. On nie może ulec, bo wie, że nad nim czuвам."

Wróciłem, by powtórzyć ci te słowa.

Mówił tak, jakby tego rodzaju wiadomości nie były niczym szczególnym. Milczałem, bo doprawdy nie wiedziałem, co mam na to powiedzieć. On zresztą nie spodziewał się odpowiedzi, myśli jego wróciły do czegoś bardzo konkretnego.

-- Dajcie mi tytoniu -- poprosił, wyjmując fajkę z kieszeni.

Gdy spełniłmy jego życzenie, zaczął pykać z taką żarliwością, jaką już u niego wcześniej zauważyłem. Po rozmowie z Persem nasunęły mi się pytania, które chciałem mu zadać.

-- Czy nie mówiłeś, że El Ghani zabrał cię ze sobą do Meszhed Ali jako tłumacza?

-- Owszem, tak powiedziałem i tak było -- odparł.

-- 'Idk więc musiałeś mu bez przerwy towarzyszyć?

-- Nie, bo jestem niewidomy. Kiedy wychodził, wszędzie znajdował ludzi, z którymi mógł się porozumieć, bo znali oni arabski lub turecki.

-- Wobec tego, nie było wcale potrzebne zabieranie cię ze sobą?

-- Ależ tak. Bó kiedy El Ghani był w domu, często przychodziło do niego dużo ludzi, którzy mówili perskim językiem, wtedy byłem mu potrzebny.

-- Do ciebie chyba także przychodzili goście, kiedy on wychodził?

-- Nie, on mnie zamykał i słusznie, bo niewidomy w obcym miejscu jest narażony na niebezpieczeństwo.

99

-- A jak jest w Mekce?

-- 'Idm przychodzi do mnie mnóstwo ludzi, a czasem wychodzę z EI

Ghanim, moim dobroczyńcą.

-- Czy ludzie odwiedzają cię z powodu twojej uczoneści?

**-- Przeważnie przychodzą, by zadawać ważne religijne pytania, na które im odpowiadam. Ale potem bardzo rzadko wiem co im powie-
działem, bo tracę przytomność.**

-- Nie wiesz co się dzieje w czasie, kiedy tracisz przytomność?

**-- Patrzę we wszystkie czasy, minione, obecne i przyszłe. Widzę
miejsca znajdujące się na ziemi i miejsca, których na niej nie ma.'Tylko
tego nie widzę, co dotyczy mnie samego.**

**-- Dziwne, że ukryte jest przed tobą właśnie to, co najbardziej cię
obchodzi.**

**-- Ja jestem zadowolony, ponieważ taka jest wola Ben Nura, który
ukazuje mi to wszystko.**

=- Czy E 1 Ghani wie o wszystkim co widzisz i słyszysz?

**-- Dużo mu opowiadam, ale on nie wierzy. Zawsze jest sceptyczny
kiedy mówię, że byłem w świecie tych, co odeszli. Ale ty byś mi
uwierzył.**

**-- Mylisz się. 'Idkże mahometanin uznaje Biblię za świętą księgę,
bo Mahomet czerpał z niej wiedzę i uznaje proroków biblijnych za
prawdziwych. A ta święta księga zabrania wypytywać zmarłych.**

**-- Kiedy nie jestem na ziemi, to nie przebywam wśród zmarłych,
tylko wśród żywych, a kiedy rozmawiam to j edynie z Ben Nurem, który
nie jest zmarłym. Nikt nie powinien się bać słuchania tego, co słyszy
moja dusza. Nie wróżę z gwiazd, nie tłumaczę snów ani znaków na
niebie, ale odkąd stałem się bezradny wskutek ślepoty, należę do tych
biedaków, którym dane jest widzieć to, co ukryte jest przed bogatymi.**

Nie jestem wizjonerem. Jestem po prostu zabłąkaną na pustyni owieczką szukającą swego pasterza. Moja tęsknota pozwala mi słyszeć głosy pustyni, których nikt poza mną nie słyszy. Moje pragnienie już z daleka wyczuwa wilgotność wody, której nie dostrzegają inni.

100

Chciałem przed tobą to przemilczeć, ale wydaje mi się, że właśnie ty, który wydobyłeś mnie z grobu, powinieneś dowiedzieć się wszystkiego, co widziałem poza grobem. Nie obawiaj się! Nie powstanie z tego żadna szkoda dla twojej duszy, w ten sposób dane ci będzie poznać, że miłość jest początkiem wszystkiego co istnieje i że tylko ona wskazuje drogę do ziemskiego szczęścia i do raj.

-- Czy i ty masz w sobie miłość -- zapytałem, kiedy przestał.

-- Mam ją, a jednak nie znajduję -- rzekł.-- Czy możesz to pojąć?

-- Tak.

-- Mówiąc owo "tak" myślisz o miłości wzajemnej, ale nie ją mam na myśli, a zarazem ją także. Nie zdołasz mnie na pewno zrozumieć.

-- Rozumię cię. Chodzi o to, że miłość jest jedna i niepodzielna.

.

-- Tó prawda. Miłość jest boską siłą i nie może być przecięta nożem, tak by każdy człowiek otrzymał należną mu część. Błędem jest mówienie: "kocham moją matkę, kocham moje dziecko", gdyż prawdziwej miłości nie da się ograniczyć do pewnych osób. 'Pdk jak mówisz "żyję", musisz powiedzieć "kocham". Prawdziwa miłość nie zna nienawiści

,

obejmuje wszystkie istoty. Żyjesz. Czy możesz podzielić swoje życie?

Kochasz. Czy możesz podzielić swoją miłość? Nie dziw się jeśli odpo-

wiem ci pytaniem: czy ty masz miłość, tę prawdziwą miłość?

Zwrócił na mnie swe martwe, a przecież tak jasne oczy. Miały

zawierać pytanie, ale spojrzenie było puste, nic nie wyrażało.

Oczy wszystkich skierowane były na mnie, odparłem więc spokojnie:

-- Staram się nie robić wyjątku i obejmować wszystkich ludzi moją miłością. Moim gorącym dążeniem jest być dzieckiem Allacha, a pragnieniem głębokim jest traktować wszystkich ludzi jak braci i siostry. Spodziewam się, że jest to miłość, o której mówisz.

-- Nie, nie jest. Mówisz o dążeniu, o staraniu się, a więc nie osiągnąłeś jeszcze tego. Prawdziwa miłość sama w sobie jest spełnieniem, jest jedyną siłą w niebie i na ziemi, nie kończy się nigdy.

Wypełnia drobinki słońca i przestrzeffi wszechswiata, krótką sekundę ziemskiego czasu i całą wieczność. Nasze poznanie i nasze prorokowanie to takie rozdrobnienie, wobec miłości jednak, która jest doskonałością, każde rozdrobnienie znika.

Był to prawie dosłowny rytat listu do Koryntian. Nie mogłem milczeć, gdy on muzułmanin, cytował Pismo Święte, musiałem go zmusić do przyznania, iż je zna. Zapytałem więc szybko:

-- Czy to twój własny pogląd, czy też zapisane jest to w Koranie. Ja tego nie znalazłem.

--'Ib są słowa ze świętej księgi chrześcijan -- odparł.

-- A więc najwyższe nauki pobierasz nie z dzieł Mahometa, lecz z Bibli? '

-- 'Pak. Ale to nie powód, byś wątpił w moją prawowierność, gdyż Mahomet, jak sam to przed chwilą mówił, często czerpał z tej księgi

i jeśli ja także to czynię, biorę tylko z niego przykład.

Nagle mwał, chwilę milczał jakby się zastanawiając i potem ciągnął dalej, z większym namysłem:

-- Miałem na myśli, że studiowałem wiele ksiąg z tą nauką i zetknąłem się z niejednym tak zwanym chrześcijaninem, który był przeciwnikiem tego, czym być powinien. Przeżyłem tyle smutnych rzeczy, że bardzo niechętnie to wspominam, więc nie mówmy już o tym.

Dajcie mi lepiej tytoniu, bo fajka mi zgasła.

Spostrzegł, że powiedział więcej, niż zamierzał. Co do mnie, zadowolilem się tym i wiedziałem teraz, dlaczego tak dobrze zna Pismo Święte. Dawniej był chrześcijaninem. Mówił o tak zwanych chrześcijanach i o przykrych doświadczeniach. Należał do grona ludzi wykształconych, gdyż pewne jego wypowiedzi świadczyły, że studiował.

Kiedy minęła pora wypoczynku, znów posadziliśmy go na siodło i ruszyliśmy dalej. Halef dzielił się ze mną swoją opinią o ślepcu. 'Pdkże zwrócił na to uwagę, że Munedzi mówił o smutnych doświadczeniach, a przy tym powiedział, że tak zwane chrześcijaństwo poznał, studiując wiele ksiąg.

-- Wiesz co sidi, -- rzekł Halef -- z tymi wieloma księgami to chyba

102

prawda, bo on naprawdę jest człowiekiem uczonym, ale poglądy jakie nam wyjawiał, wydają się pochodzić nie tyle z tych pism, co raczej z jego życia. Powiedziałbym, że często stykał się z chrześcijanami, którzy wyznawali swą wiarę bardzo powierzchownie. Co o tym sądzisz?

-- Jest to zagadka, której rozwiązanie ma dla mnie wielkie znaczenie -- odparłem wymijająco. -- Zdanie wyrobię sobie dopiero, kiedy

go zrozumieć. Na razie jest faktem, że jest to opuszczony, nieszczęśliwy człowiek, któremu musimy pomóc.

-- Uczynimy to z całego serca. Ten zmartwychwstały wzbudził we mnie ogromne współczucie. Jesteśmy zobowiązani się o niego troszczyć, póki starczy nam sił i to uczynimy.

W ciągu następnej godziny pustynia się zmieniła. Pagórki stawały się płytsze, a doliny się unosiły, aż rozciągnęła się równa przestrzeń piasku, której widnokraj stanowił nieprzerwane koło.

Początkowo piasek był głęboki, drobny. Nogi wielbłądów i koni "melły" go. Później stał się płytszy i grubszy, grunt był twardy. Coraz więcej ukazywało się miejsc kamienistych i wreszcie zastąpiły piasek. Znaleźliśmy się na pustyni gładkich kamieni. Grunt wymieciony był wiatrami do naga i czasem tak gładki, że trzeba było dobrze uważać, by nie zgubić śladów, którymi podążaliśmy. Na tego rodzaju pustyniach dobowe zmiany aury są największe, ponieważ rozpalony słońcem w ciągu dnia kamień wieczorem stygnie. Europejczyk musi bardzo uważać, bo łatwo tu o gorączkę i przeziębienie.

Po pewnym czasie kamienisty grunt stał się nierówny. Zaczęły się falowania, a przerwy między nimi okazywały się pełne piasku, który nanosił wiatr. Wypolerowane pagórki zmieniły się w ostro rzeźbione wzgórza, które na rozległej pustyni unosiły się niby pojedyncze wyspy.

'I-ka okolica jest bardziej niebezpieczna niż pustynia otwarta. Tu nawet ten, który nie ma wroga musi zachować ostrożność.

Ben Harb, nasz przewodnik, powiedział nam, że Bir Hilu położona jest przy największych i najbardziej przepastnych skalnych wyspach, w odległości może pół godziny jazdy od nas.

-- Musimy natychmiast zmienić kierunek -- rzekł Halef.

-- Dlaczego? -- zapytałem, chociaż wiedziałem, co ma na myśli. --

Z jakiego powodu mielibyśmy zbaczać z prostej linii.

Wówczas zrobił filuterną minę i rzekł:

-- Wiesz dobrze, czego chcę, bo się od ciebie tego nauczyłem. Przy studni sądzą, że nadjedziemy z północy i dlatego musimy obrać okrężną drogę.

-- Czy uznajesz dziś ten środek ostrożności za konieczny, Halefie?

-- Ostrożność jest zawsze potrzebna. Nawet wtedy, gdy pozornie nie ma powodu; jest zawsze lepsza niż jej brak. Zwłaszcza podczas takiej wyprawy jak nasza nigdy nie wiadomo, co przyniesie najbliźsza chwila.

Zatrzymaliśmy się, nasza gromada była w komplecie, więc wszyscy usłyszeli te słowa. Halef był dumny, że okazał przezorność i ciągnął dalej pouczająco:

-- Odwaga jest pierwszą i najznakomitszą cechą, jaką musi posiadać wojownik, ale tuż po niej konieczna jest ostrożność. Mąż tylko odważny może łatwo stać się szalonym, a tylko ostrożny może narazić się na miano tchórza. Odwaga potrzebna jest tylko podczas walki, ostrożność natomiast zawsze. Wiem, że ci nieliczni mekkańczycy pojechali do Bir Hilu i że kilkakrotnie przewyższający ich liczebnie Basz Nasir ich goni. Jesteśmy przekonani, że tamci są wobec nich bezsilni i nie mogą nam zagrażać, toteż możemy jechać prostą drogą do studni. Mimo to proponuję tego nie robić. Może inni ludzie byli już przy studni, a wtedy zetknięcie Persa z "ulubieciem wiekiego

szarifa" może się odbyć inaczej, niż sądzimy. Dlatego nie pojedziemy tam wprost, lecz od innej strony. Jeśli stwierdzimy, że to nie było konieczne, to za cenę kwadransa zyskamy świadomość, że byliśmy przezorni. W jaką stronę skrećmy sisi, na prawo czy na lewo?

-- Przewodnik zna tę okolicę, niech on zadecyduje -- odparłem.

Ben Harb uznał, że lepiej okrążyć studnię od wschodu, ponieważ tam znajduje się więcej wysokich skał i będziemy mieć lepszą osłonę.

104

Po zatoczeniu kręgu, gdy mieliśmy już skręcać w kierunku studni, jadący przodem Ben Harb odwrócił się i zawołał:

-- Zawróćcie i szybko na dół za skały! Nadjeżdżają jacyś ludzie!

-- Ilu ich jest? -- zapytał Halef, kiedy zawróciliśmy i nie byliśmy dla nikogo widzialni.

-- Tylko trzech -- brzmiała odpowiedź.

-- Więc nie mamy się czego obawiać.

-- Nie chodzi tu o ilość osób -- wtrąciłem -- Skąd jadą?

-- Z zachodu -- rzekł przewodnik.

-- A więc od strony studni. Czy należą do ludzi Persa?

-- Nie, to nie są jego żołnierze.

-- Nó to musimy być ostrożni. Jak daleko są od nas?

-- Będą tu za chwilę.

-- My trzej pojedziemy na ich spotkanie, ty, Halef i ja. Reszta

zostanie tu i pojedzie za nami tylko wtedy, kiedy usłyszy strzały. Na ich pytania, ty będziesz odpowiadał Ben Harbie. Móvv co'chcesz, byle nie to kim jesteśmy, skąd przybywamy i dokąd zdążamy. Naprzód!

Wyjechaliśmy zza skał i ujrzeliśmy jeźdźców w odległości dwustu

metrów od nas. Byli zaskoczeni, my także udawaliśmy zdziwienie, potem powoli zbliżyliśmy się do siebie. Nagle przewodnik nasz rzekł:

-- Maszallah! 'I-go długiego Beduina znam. Jest to 'Pdwil, szejk Beni Khalidów.

-- A on cię zna? -- zapytałem

-- Nie. Tylko jeden raz go widziałem, ale on mnie nie.

-- Jaki jest?

-- Grubiafiski, okrutny, mściwy, ale uczciwy. Szczyci się tym, że nigdy nie kłamie.

-- Więc wkrótce się z nim załatwimy.

-- Nie sądz tak, bądź ostrożny sisi! On na pewno nie jest sam w tej okolicy. Nie wie co to strach. Jest uczciwy jak lew, który rykiem daje znak, że nadchodzi, ale Qaraz po tym grzmocie jego głosu następuje śmiercionośny skok.

105

Na dalszą rozmowę nie było już czasu, gdyż zbliżyliśmy się do jeźdźców tak, że mogło nastąpić powitanie. Ale kto miał je zacząć?

Tyle tylko miałem czasu, żeby powiedzieć przewodnikowi, aby on nie zaczynał pierwszy.

'I-n pośrodku, a więc szejk 'Idwil, był zgodnie ze swoim imieniem, które oznacza "wysoka postać", bardzo wysoki, miał opaloną twarz, a rysy jego bynajmniej nie wyrażały uprzejmości. Widocznie czekał, aż pierwsi go pozdrowimy. Ponieważ nie kwapiliśmy się do tego, obrzucił nas gniewnym spojrzeniem i surowo nas ofuknął:

-- No co? Nie macie gąb? A może nie wiecie, że podczas spotkania należy się pozdrawiać?

Wiedziałem, że mój mały Halef z trudem się powstrzymał by nie zareagować na te słowa. Lecz Ben Harb dobrze się spisał odpowiadając:

-- Spotykający się ludzie przybywają z dwóch stron. Skieruj swoje słowa nie tylko do nas, ale także do siebie.

-- Niech Allah zadusi cię swoją mową! Tylko głupcy gadają do siebie. Żądam od was pozdrowienia. Jeśli ważycie się obrazić mnie swoją odmową, to poniesiecie tego skutki.

-- Do tego także potrzeba dwóch stron, więc poczekajmy, kto poniesie skutki.

'Idwil groźnie sięgnął ręką do pasa, zza którego wзираły rękojeść noża i kolba starego pistoletu, ale potem się powstrzymał i pogardliwie rzekł do swoich towarzyszy:

-- Chyba Allah opuścił tych ludzi, albo przybywają z okolic, gdzie grubiaństwo uznawane jest za uprzejmość. Ich niewiedza nie może być dla nas obelgą, są pożałowania godni. Miejmy więc litość nad nimi.

I znów zwrócił się do Ben Harba:

-- Jestem I'awil Ben Szahid, słynny szejk Beni Khalidów, których liczba nie ma końca. Moja władza sięga na całą pustynię i poza jej granicę. Żaden wróg nie mógł powiedzieć, że odniósł nade mną zwycięstwo. W swej dobroci powiedziałem wam, kim jestem, więc chyba powiesz nam kim wy jesteście. Chyba tyle przynajmniej się nauczyłeś, i wiesz, że tak należy postępować.

-- Nauczyłem się być uprzejmy wobec ludzi uprzejmych i w ogóle zachowywać się wobec ludzi tak, jak oni zachowują się wobec mnie.

A więc ponieważ powiedziałeś nam, kim jesteś, zaspokoję twoją

ciekawość. Należymy do plemienia Beni Solaibów i przybywamy z

Dżesire.

'Ili trzeba powiedzieć, że Beduini Solaibowie wskutek specjalnych umów nigdy nie są atakowani przez inne plemiona, ale za to są zobowiązani zawsze zachowywać się pokojowo. 'Ibteż nie uchodzą za odważnych i wcale się nie dziwię, że 'Ihwil uniósł biwi i rzekł z lekceważącym uśmiechem:

-- Solaibowie, aha, Solaibowie! No to tłumaczy całkowicie waszą głupotę. Znam was. Stu ludzi waszego plemienia, mimo dobrego uzbrojenie nie stanowi nawet jednej tysięcznej części jednego wojownika. Wskutek waszego tchórzostwa korzystacie z ulgowego traktowania przez wszystkie plemiona i tak też my was potraktujemy.

Dokąd zmierzacie?

-- Posłano nas do Szakry, by kupić kilka zarodowych wielbłądów.

-- Macie ze sobą pieniądze?

-- 'Ihk.

Radosny uśmiech ukazał się na obliczu 'Idwila, rzucił swym towarzyszom znaczące spojrzenie, był to dowód, że naprawdę uważa nas za spokojnych, niegroźnych ludzi, wobec, których nawet nie warto ukrywać swych intencji. Jego plan zrabowania nam pieniędzy zdawał się być gotowy, kiedy rzekł:

-- Jeśli chcecie stąd jechać do Szakry, musicie przejechać przez obszar Beni Lamów, z którymi jesteśmy w zwadzie. Oni nie powinni wiedzieć, gdzie ja się obecnie znajduję, a że wszyscy Solaibowie to gadatliwe baby, więc zatrzymamy was aż nasza waśń z Beni Lamami zostanie zakoficzona.

Nasz przewodnik był na tyle mądry, że na oświadczenie o przemoc

1~7

nie zareagował, zamiast sprzeciwu zadał niewinne pytanie:

-- Jedziemy do Bir Hilu. Czy jesteśmy na właściwej drodze?

-- 'Pdk, ale na razie tam nie pojedziecie, lecz ruszycie z nami.

-- Dokąd?

-- Na zwiady.

-- Dlaczego? Jazda na zwiady jest niebezpieczna.

-- Aha, już się boją -- roześmiał się 'Pdwil. -- Od razu poznać po

twoim strachu, żeś Solaib. Ale właśnie dlatego, że należycie do tego

plemienia, mogę wam bez obawy powiedzieć to, czego niedługo i tak

się dowiecie. Byłem z dużą gromadą wojowników przy Bir Hilu, by

zaopatrzyć się w wodę na wyprawę przeciwko Beni Lamom, kiedy

przybyli nasi znajomi, ludzie z Mekki. Za nimi nadciągnęli żołnierze

sultana. Nie znosimy tych opłacanych niewolników wojskowych, a

poza tym popełnili zbrodnię. Obrazili naszych mekkafiskich przyja-

ciół, oskarżając ich o kradzież. Dlatego zostali ujęci i rozbrojeni. A

teraz nadciąga gromada składająca się z pięćdziesięciu mężczyzn. Są

to Haddedihni z plemienia Szammarów. Musimy ich pokonać, a

ponieważ nie dadzą się ująć i będą się bronić, ułożyłem chytry

plan. Niech sądzą, że są sami przy studni, nie będą wówczas zachowy-

wali należytej ostrożności. Wtedy na nich napadniemy. Dlatego wy-

cofaliśmy się z tamtej okolicy.

-- Czy nie dojrzą waszych śladów ?

-- Zatarliśmy je~

-- Ale ponieważ jest was tak dużo, zużyliście tyle wody ze studni,

że to zwróci ich uwagę.

-- Zwróci ich uwagę! Haddedihi, którym Allah dał co prawda głowę, ale nie dał rozumu! Nigdy im do głowy nie przyjdzie, że wyczerpana studnia opanacza, iż byli tu ludzie, którzy zużyli wodę. Żyją pośród rzek, znają się na życiu na pustyni jak żaba na cechach czystej krwi arabów. My trzej odjechaliśmy z Bir okreśną drogą, by obserwować jak oni się będą zachowywać. Pojedziecie z nami. Nie ma w tym o niebezpieczeństwa, bo będziemy się trzymali od nich z daleka, nie powinni nas dojrzeć. Więc nie macie powodu się obawiać.

-- Ale też nie mamy potrzeby jechać z wami. Chcemy dotrzeć do Bir Hilu, nie mamy gdzie indziej nic do roboty.

-- Ale my mamy! Nie puszcze was do studni samych, musicie jechać z nami. Nic się wam nie stanie. Haddedihi to znani tchórze, a ich przywódca, ten Hadzi Halef Omar, podobno ucieka już przy pierwszym strzale.

Halef już sięgał po swój bat i otworzył usta, by wybuchnąć gniewem, ale był na tyle mądry, że opanował się i zamilczał. Dla mnie jednak przyszła pora, by włączyć się do rozmowy. Szczerość szejka Beni Khalida była co prawda oznaką jego lekceważenia, ale należało ją wykorzystać. Toteż zwróciłem się do 'Idwila z pytaniem:

-- Jesteś przekonany, że nic nam się nie stanie, jeśli pojedziemy z wami?

'Pawil omiółł mnie spojrzeniem pełnym głębokiej pogardy i odparł:

-- Mogę cię zapewnić, że wasze cenne ciała nie ucierpią, a wasza czysta odzież nie zabrudzi się. Pozostaniecie zdrowi i czysti jak teraz.

-- A później dopuścisz nas do studni?

-- 'Pdk, od razu, jak tylko uporamy się z Haddedihami, ale teraz nikomu nie wolno tam jechać.

-- Czy wasi mekkaficzycy tam zostali?

-- Nie, są u nas.

-- A żołnierze?

-- Tych także zabraliśmy, by łatwiej ich pilnować. Są zamknięci w bocznym parowie, którego urwiska są tak wysokie, że nie da się na nie wdrapać. Od przodu zaś też nie wyjdą, bo strzeże ich nasz wartownik. Mówię to, by cię uspokoić i przekonać, że ci ludzie nie mogą wam nic zrobić. -- Czy żołnierze nie mieli ze sobą oficera, który nimi dowodził? Sądzę, że gdyby był przezorny, to nie pozwoliłby wam na tak łatwe uwięzienie wśród skał.

-- Oficer! Przezorność! -- zaśmiał się 'Pdwil, a jego obaj towarzysze mu wtórowali. -- Jesteś Solaibem, i taką głupotę można ci wybaczyć. Chyba nigdy nie byłeś obecny podczas ćwiczeń żołnierzy, wykręcają się w prawo, w lewo, biegną to naprzód, to w bok, opuszczają strzelby, podnoszą na ramię. A robią to wszystko, bo oficer żąda tych wariactw. I myślisz, że taki błazen mógłby nam przeszkodzić? '1'dk może myśleć tylko Solaib, który nie ma pojęcia o sprawach wojskowych. Ale nie było z nimi oficera, lecz jakiś przeklęty szyita. Ten lajdak miał czelność prześladować naszych przyjaciół i wymyślać im od złodziei. Ośmielił się nawet domagać, byśmy mu ich wydali. Kiedy odmówiliśmy obrzucił nas wyrzutami i obelgami, na które mogliśmy odpowiedzieć tylko śmiercią tego niewiernego.

-- A więc on nie żyje? -- zapytałem, starając się ukryć wrazenie, jakie wywarła na mnie ta wiadomość.

-- Jeszcze żyje, ale jutro rano już nie będzie go wśród żywych. Kiedy z naszymi mekkafiskimi przyjaciółmi odbywaliśmy nad nim sąd, został skazany na podcięcie żył. Gdyby był chrześcijaninem, Żydem albo innym jakimś poganinem, zastrzelilibyśmy go. On jest wprawdzie niewiernym szyitą, jednak muzułmaninem, więc tylko podcięliśmy mu żyły, aby do jutra rana się wykrwawił. 'Pdk więc ma czas na załatwienie swych rachunków z Allachem. Czy słyszeliście kiedyś o karze fassade?

-- 'Pak, są plemiona, które stosują ją z powodu, który przed chwilą przytoczyłeś. Jakie żyły mu podcięliście?

-- Na razie dwie żyły palców.

-- Żołnierze, z którymi został, będą się starali przeszkodzić wykrwawieniu, zakładając mu opatrunek.

-- 1b także może powiedzieć tylko Solaib. Szyita nie jest z żołnierzami, lecz leży wśród naszych wojowników, którzy pilnują by krew wypływała bez przeiwy. Jeśliby was dziwiło, że mówię wam to wszystko, to powtarzam, że wkrótce i tak się o tym dowiecie, bo zabieramy was teraz ze sobą do naszego obozu.

-- Naprawdę? Mój towarzysz powiedział wam przecież, że zdążamy do studni i wykonamy ten zamiar.

-- Wasze zamiary nic nas nie obchodzą, tutaj liczy się nasza wola.

-- A jeśli będziemy się bronić?

-- Bronić? Śmiechu warte! 'Iirzej tchórzliwi Solaibowie przeciwko nam.

-- Was także jest tylko trzech -- rzekłem.

-- To by wystarczyło, nawet gdyby was było dziesięciu! Nie opierajcie się, bo przysięgam na Allacha i wszystkich jego ...

'Ihwil spojrział z największym zdumieniem na zakręt skały z za której wyjechaliśmy. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem oba wielbłądy wiozące tachtirewan, na którym królowała Hanneh. Stały, jak to często bywa u tych upartych zwierząt niespokojne i patrzyły za nami. Na szczęście żaden z Haddediwnów nie pojechał za lektyką, my zaś ubawiliśmy się na widok zaskoczonych min Beni Khalidów.

--'Pdchtirewan z kobietą? -- zawołał I'dwil. -- Czyja to kobieta?

-- Nasza -- odparłem.

-- Dlaczego pozostała w tyle?

-- Zapytaj ją sam. Albo jak wolisz, zapytaj jej wielbłądy, które prawdopodobnie tak sobie życzyły.

-- 'Ib niestosowne żarty -- upomniał mnie 'Ihwil. -- Pytać kobietę?

-- wskazał ręką na Hanneh, ~któFa się zbliżyła i ciągnął dalej -- Spójrzcie tylko na tę starą, kaprawą wiedźmę. 'Paką twarz może mieć tylko prababka Solaiba, u nas nie mogłaby się pokazać.

Hanneh usłyszała te szydercze słowa, ale siedziała spokojnie. Zaś Halef znieruchomiał. Kto wie, jak szaloną miłością kochał swoją żonę, może sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła na nim ta obelga. Nigdy mu się nic takiego nie przydarzyło. Szejk Beni Khalidów także nigdy nie doznał tego, co nastąpiło. Myślałem, że Halef wybuchnie stekiem wyzwisk, ale byłem w błędzie.

Mały Hadzi, jakby nagle przewyciężył swoje oszłomienie, zeskończył z wysokiego siodła na ziemię, popędził do wielbłąda 'Pawila, chwycił obiema rękami nogę jeźdźca i szarpnął z taką siłą, że nawet ja się zdziwiłem. Zaraz też wyrwał bat z za pasa i tłukąc leżącego na ziemi w taki sposób, że ten, tylko zasłaniając twarz rękami, mógł się bronić

przed gradem gęsto spadających razów. Przy tym Halef nie odezwał się ani słowem. Jego wściekłość była tak wielka, że mógł ją wyrazić tylko za pomocą bata. Bity wrzeszczał do swych towarzyszy, by mu pomogli. Chcieli przyjść mu z pomocą, ale ja wyciągnąłem rewolwer i oddałem strzał, umówiony znak dla Haddedińców. Od razu przybyli, a ich nagłe zjawienie się tak zaabsorbowało obu Beni Khalidów, że zapomnieli o swym szejku. Otoczono ich i zrzucano z wielbłądów, przy czym zostawiono Hadziemmu miejsce, by mógł dalej chłostać szejka. Wreszcie Halef odrzucił bat, podszedł do mnie i zawołał drżącym z wściekłości głosem:

-- Sidi, na litość Allacha, proszę cię nie wtrącaj się, bo nie wytrzymam. Tym razem nie powinieneś mówić, co należy robić, ja teraz będę tym, którego mają słuchać. 'In psi syn obszczekał moją żonę, moją Hanneh, najpiękniejszą i najlepszą istotę jaka żyje na tej ziemi. Jeśli mi przeszkodzisz odplacić mu za to świętokradztwo, to przysięgam, że natychmiast wyrwę naszą przyjaźń z serca. Przyrzekam ci, że obejdę się z nim po ludzku, ale nie żądaj ode mnie niczego więcej. Czy się zgadzasz?

-- 'Pdk -- odparłem. -- Zejdźcie na dół, kto jeszcze siedzi w sidle. Na razie zostaniemy tutaj.

Usluchali tego polecenia. Pomogli Hanneh i Munedziemmu zejść z wielbłądów. Munedzi już nie spał. Zapytał; co się stało, ale musiał się zadowolić zwięzłą odpowiedzią. Beni Khalidowie zostali związani. Tiwarz i ręce ich szejka nosiły ślady chłosty. Wciąż jeszcze wrzeszczał i przywoływał Allacha, Mahometa i wszystkich kalifów na świadków,

że okrutnie zemści się na "psach Solaibach". Wówczas Halef znów wziął do ręki swój bat i zagroził:

-- Milcz, ty synu wszystkich psich ojców i przodków wszystkich psich synów, bo zacznę cię bie od nowa! Powiedziałeś, że Allah stworzył Haddedińów bez hiózgów, a ty gdzie podziałeś swój własny?

Wiesz, że Hadzi Halef Omar nadejdzie z pięćdziesięcioma wojownikami i jeszcze wciąż sądzisz, że jesteśmy Solaibami? Czy nie masz

112

oczu? Nie słyszałeś, że przy szejku Haddedińów znajduje się także władczyni jego haremu? Gdzie się podział twój rozum, który przecież musiał ci powiedzieć, że nie jesteśmy Solaibami, lecz tyxni, których chciałeś śledzić i potem przy Bir Hilu zaatakować? No więc zmusz nas teraz, byśmy za tobą podążyli, ty nędzny robaku bezwładu i głupoty!

Czy doprawdy Haddedińi są żabami, jak ich określiłeś? Oto leżysz wychłostany przeze mnie. 'liwoja postać jest dwukrotnie dłuższa od mojej, ale gdyby Allah wyciągnął ją jeszcze dziesięciokrotnie, byłaby karłem wobec bezkresnej głupoty, która jest jedynym dziedzictwem wszystkich twoich przodków.

By podkreślić swoje słowa, zwrócił się do syna stojącego za nim.

Ujął go za rękę, wysunął do przodu, wskazał na '1'dwila i ciągnął dalej:

-- Widzisz, tu leży ten cp twoją matkę, w której połączone są wszystkie kobiece i niewieście cnoty nazwał "kaprawą wiedzmań! Powiedz mi teraz, co należy z nim zrobić?

Kara Ben machnął ręką i powiedział:

-- Nic.

-- Nic? -- zapytał ojciec niezadowolony. -- Nic?

-- Nic! Na taką bezczelność odpowiedzią może być tylko chłosta.

A to już zrobiłeś. Poza tym człowiek ten nie jest godny uwagi.

Dzielny młodzieniec odwrócił się i podszedł do matki. Halef jakiś czas patrzył przed siebie zamyślony, potem uniósł głowę i zawołał zachwycony z promiennym wzrokiem:

-- Sidi, słyszałeś, co Kara Ben, syn mój powiedział? I co ty na to?

-- On ma rację -- rzekłem.

-- 'Pdk, on ma rację. Za obelgę wobec najlepszej ze wszystkich kobiet ten psi syn został ukarany i na tym koniec. Ale muszę pomówić z nim jeszcze o innych sprawach i mam nadzieję, że postąpię słusznie. Przywiążcie mu jego strzelbę do boku, a do niej ramię tak mocno, by nie mógł nim ruszać. Podczas, gdy Omar Ben Sadek z dwoma Haddedihiami wykonywali jego rozkaz, Halef podszedł do mnie, podał mi rękę i poprosił:

113

-- Sidi, pokaż gdzie się znajdują żyły palców, muszę to wiedzieć. Zrozumiałem o co mu chodzi i zgodziłem się z nim. Był to najprostszy sposób ocalenia Persa. Wy tłumaczyłem mu położenie żył, a kiedy się dowiedział, podszedł do tachtirewanu, by wziąć mały ostry nóż. Potem wrócił do szejka Beni Khalidów, którego, mimo że był związany, musiało trzymać trzech czy czterech Haddedihiów. Stałem trochę dalej i wiedziałem, jak Halef się nad nim pochylił. Potem rozległ się krzyk 'Ihwila:

-- Coś ty zrobił z moją ręką? Ukluleś mnie. Krew tryska!

-- 'Pdk, uklulem cię -- odparł Halef. -- Dzieje się tak wedle prawa pustyni, krew za krew, życie za życie. Zostawiłeś Persa, by umarł z

upływu krwi, więc ten sam los spotka ciebie. Jutro rano razem z nim staniesz na moście śmierci. Allach wie kto przez niego przejdzie, ty czy on.

-- Więc zadaleś mi fassade?

-- Otworzyłem ci tylko dwie żyły palców, dokładnie tak, jak ty tamtemu.

-- Niech cię Allach przeklnie! Jak śmiesz przelewać moją krew?

- --'Ihk jak ty ośmieliłeś się przelać krew Persa?

-- Tb był wyrok sądu.

-- Tb także, bo ja jestem najwyższym sędziom plemienia Haddedi-nów.

-- Ten szyita musi umrzeć od fassade, bo obraził mekkańczyków, naszych przyjaciół, których gościłem.

-- I ty umrzesz od fassade, ponieważ obraziłeś jego, który jest naszym przyjacielem. Jeśli pragniesz pozostać przy życiu, to jego trzeba uratować.

Hadzi podszedł do mnie i zapytał:

-- Sidi, czy jesteś ze mnie zadowolony?

-- Tkk. Nawet bardzo.

-- Jakże jestem rad! Thk trudno cię zadowolić, więc tym większa moja radość, że mogę się cieszyć całą obfitością twojego zadowolenia.

114

A teraz chciałem cię zapytać, czy mam podać temu człowiekowi warunki, na jakich może zachować życie.

-- Jeszcze nie teraz, bo on nie jest przekonany, że naprawdę masz zamiar pozbawić go życia. Niech się naprawdę przestraszy. Jakie

warunki chcesz mu postawić?

-- Uwolnię go tylko wtedy, jeśli wyda nam Persa i żołnierzy. Początkowo chciałem żądać także, by wydał Persowi mekkaficzyków. Ale powiedział, że to byli jego przyjaciele i goście, a w takim wypadku prawo pustyni wymaga, by raczej umarł, niż zgodził się na moje żądanie.

**-- To prawda i biorąc pod uwagę jego charakter, jestem przekonany, że nie postąpiłby inaczej. Zostaw mu tych ludzi i tak ich schwyta-
my.**

-- W jaki sposób?

-- Pomyśl co się teraz stanie. Przecież chcesz zawiadomić Beni Khalidów, gdzie się znajduje 'Pdwil?

-- 'Pak. Poślę jednego z jego towarzyszy, ktbry im oznajmi, że ich szejka tak długo będzie się wykrwawiał, aż Pers znajdzie się u nas. Jak sądzisz przyślą go?

-- Na pewno.

-- A żołnierzy?

-- 'I-kże. Co prawda bardzo niechętnie, ale chcąc ratować szejka, nie mają innego wyboru. 'I-raz zastanów się co zrobią mekkaficzycy, gdy zobaczą, że ich prześladowcy są znowu na wolności.

-- Będą szybko zmykać.

-- W jakim kierunku?

-- W kierunku Mekki.

-- 'I-k, ale my ich tam przyłapiemy, by wydać Persowi. Co prawda, musimy wziąć pod uwagę to, że u Beni Khalidów oni czują się bezpieczniej niż gdzie indziej, a więc zechcą pozostać u nich, aż odjedziemy

z Persem. 'I~mu musimy zapobiec, bo ci mekkafiscy złodzieje tak się wobec nas zachowali, że nie możemy ułatwia~ im ucieczki. Coś mi się wydaje, że i dla nas będzie to z pożytkiem, jeśli postaramy się, by przyznali się do kradzieży. Wówczas będziemy mieli brofi przeciwko El Ghaniemu, gdyby zechciał w Świętym Mieście zachować się wobec nas wrogo.

-- Rozumiem to sisi, ale sam sobie przeczysz. Najpierw mówisz, że nie możemy żądać od 'Idwila wydania ich, bo to jego gogcie i on nie spełni naszego żądania, a teraz twierdzisz, że możemy ich ująć, nawet jeśli zostaną u nich, by odczekać aż odjedziemy. Jak połączyć jedno z drugim?

-- W wojowniczy sposób, nara~ając się przy tym na niebezpieczefi-stwo.

-- Na Allacha! Czyżbyś miał na myśli pojedynek?

--'Pdk. Persa i żołnierzy' Pawil wyda za cenę własnej wolności, to go nie hafibi. Ale wydanie gości możemy wymusić zgodnie z prawami pustyni, tylko przez pojedynek. Wówczas nikt mu nic nie będzie mógł zarzucić. Powiedz mu więc, że jestem gotów walczy~ z każdym przeciwnikiem, jakiego wystawi, na każdy sposób i każdą bronią, aby sprawę rozstrzygnąć.

-- Maszallah! Według świętej reguły El Ghani musiałby z tobą walczyć, bo o niego tu chodzi. Ale jemu nawet do głowy nie przyjdzie narażać swoje cenne zdrowie na niebezpieczefstwo. Więc trzeba będzie z gromady Beni Khalidów wybrać jakiegoś zastępcę.

-- 'Pdk przypuszczam.

-- Ależ sisi, pomyśl, że może zostać wybrany jakiś słabeusz!

-- Na taką hańbę bym się nie zgodził. Ale mamy czas na omówienie tej sprawy. Na razie musimy się dowiedzieć, gdzie Beni Khalidowie obozują, a że ich szejik nam tego nie zdradzi, pojedę, by się rozejrzeć.

-- Pojadę z tobą!

-- Nie. Sytuacja jest niejasna, w każdej chwili może zajść coś nieoczekiwanego. Jako dowódea nie możesz się oddalać, ale zabiorę ze sobą Kara Ben Halefa.

-- Mojego syna? Dziękuję ci sisi. Będzie miał sposobność dowieść

116

ci, że nauczył się ode mnie nawet za dnia skradać niepostrzeżenie. Jak pojedziecie? Konno czy na wielbłądach?

-- Konno.

-- Dobrze. Zaraz każę osiodłać konie.

--1b niepotrzebne, pojedziemy tylko z cuglami. Za niecałą godzinę zapadnie noc, więc musimy być z powrotem.

W kilka minut później dosiadłem mojego Assila Ben Riha, a Kara Ben Halef dosiadł konia swego ojca, gdyż biała maść jego siwka mogła nas zdradzić. Zdjęliśmy też nasze szare haiki i zostaliśmy w odzieży, która kolorem nie różniła się od otoczenia. Po krótkiej ostrożnie przeprowadzonej rozmowie z przewodnikiem, zorientowałem się dokładnie w położeniu studni i jej otoczeniu, po czym odjechaliśmy.

i

I

Skarb członków

Nie obraliśmy prostej drogi do studni, lecz skręciliśmy nieco na południe i mijaliśmy liczne wspomniane już wyspy skalne. Żadnej nie

okrażyliśmy, nim nie przekonaliśmy się, że otwarta przestrzeffi prowadząca do następnej grupy nie jest obserwowana. 'Idk posuwaliśmy się, aż w dali spostrzegliśmy białe poruszające się punkciki. Byli to Beduini Beni Khalidowie, którzy jechali na koniach, by te rozprostowały nogi. Robili tak zwaną "fantazję" dobrze ułożoną ńgurę, z czego wywnioskowaliśmy, że nie uznali za konieczne zachowanie ostrożności. Byli dość daleko od Bir Hilu, by ich stamtąd nie było widać, a w ogóle polegali na swoim szejku, wiedzieli, że pojechał na zwiady i że zawczasu uprzedzi ich o nadejściu Haddedińów.

Postanowiliśmy, że jak tylko ich ujrzemy, zsiądziemy z koni, by możliwie najbliżej do nich podejść. Ale ponieważ byli w ruchu, nie mogliśmy wykonać naszych zamiarów. Jedyne co nam pozostało, to odszukanie studni, gdzie jeszcze niedawno wszyscy obozowali. W najlepszym razie odkryjemy tam coś, co ułatwi nam późniejsze pertraktacje z tymi ludźmi. A więc zawróciliśmy na północ a ponieważ jechaliśmy galopem, już za dziesięć minut byliśmy w okolicy, gdzie

118

wedle opisu przewodnika miała znajdować się studnia:

Cztery wysokie stromo wznoszące się szczyty skalne tworzyły kąty nieregularne czworoboku, którego wydłużona strona wynosiła może osiemset metrów, a najkrótsza pięfset. '1'dm, gdzie się znaleźliśmy, obie strony się stykały, a w kącie na przeciwko występował ze skał jakby ochronny mur, zwiastujący Bir. Grunt tego czworoboku składał się z piasku, a choć 1'awil powiedział, że wszystkie ślady zostały zatarte, to oświadczenie to było nieprawdziwe. Grunt był tak stratowany, że tylko ślepiec by nie zobaczył, że znajdowała się tutaj

wielka gromada jeźdźców. Rozróżnienie poszczególnych tropów było jednak niemożliwe.

Każdy tropiciel szuka wśród tylu licznych śladów jednego tropu.

'Idk też i ja uczynilem, ale nie mogłem wykryć żadnego pojedynczego śladu... a jednak właśnie pod przednim kopytem mojego konia leżał kamień wielkości najwyżej dwóch dłoni, który zwrócił moją uwagę. Jego gładka strona wyglądała czysto, nowo, podczas gdy pozostałe strony były brudne i zwietrzałe. Odlamek ten niewątpliwie odpadł z unoszącej się obok skały. Zapewne było to bez znaczenia, ale spojrzałem w górę i spostrzegłem miejsce, gdzie by pasował. Mógłbym się tym zadowolić, ale ujrzałem coś więcej. Niedaleko od wspomnianego miejsca była wypełniona piaskiem szczelina, a w tym piasku widniały cztery pionowe, na wpół zatarte kreski. Ktoś chciał się tam oprzeć, lecz cztery jego palce ześlizgnęły się w piasku. Czego ten człowiek szukał tam w górze?

Właściwie było to pytanie bez znaczenia, ale przyzwyczajony do zwracania uwagi nawet na drobnostki, poleciłem Kara Ben Halefowi, by zsiadł z konia, wdrapał się w górę i sprawdził co tam może być.

Może jeden z Beni Khalidów coś tam ukrył? Ach, było ich nawet dwóch, bo teraz, kiedy się bliżej przyjrzałem, ujrzałem na dole skały głębsze ślady dwóch stóp, z czego wywnioskowałem, że jeden stał i usiłował drugiego podeprzeć. 'I~n drugi był chyba bardzo niedołężny, albo stary, bo inaczej nie potrzebowałby pomocy. Nie wiem dlaczego,

119

ale pomyślałem o El Ghanim.

Zwinny Kara bez mojej pomocy szybko wspiął się w górę, tam,

gdzie już nie mogłem go dojrzeć i gdy ukazał się znowu za wołał:

**-- Sidi, znalazłem! Jest to paczka zawinięta w dywan do modłów i
związana sznurem od burnusa.**

-- Duża?

-- Nie, ale ciężka. Czy podać ci ją?

-- Nie. Wejdę tam, żeby samemu to zobaczyE.

**Kiedy dotarłem na górę, stwierdziłem, że nie było tu wygodnego
miejsca, aby się dostać wyżej i wywnioskowałem, że ludzie, którzy
umieścili tam paczkę, ogromnie się spieszyli. Szczyty były poszarpane
przez szczeliny a w jednej takiej szczelinie tkwiła paczka. Aby nie była
widoczna, zakryto ją kamieniami, które Kara usunął.**

-- Czy paczka była dobrze ukryta?

1

**- Nie -- odparł Kara. -- Miejsce jest dobrze wybrane, bo wśród
tysiąca Beduinów żadnemu chyba nie wpadnie do głowy, by bez**

1

**specjalnego powodu wspiąć się tu w gbrę, zakryto paczkę kamieniami
bardzo niedbale.**

**-- Bo zabrakło im czasu. Tb nie lekkomyślność, lecz pośpiech. A
czy znasz ten dywan do modłów?**

-- Nie.

**-- Więc nie zwróciłeś na niego uwagi. Mnie wpadł w oko ze względu
na dziwny wzór, składający się z jednego fa i położonego na nim
odwrotnie kaf. 'I~n dywan należał do El Ghaniego.**

-- Więc ten stary by się tu wspiął?

-- Prawdopodobnie.

-- Co też ta paczka może zawierać?

-- Myślę, że przedmioty skradzione w Meshed Ali. Będziemy musieli sprawdzić, ale też dołożyć starafi, by zapakować ją dokładnie tak samo i ułożyć tak, jak była poprzednio.

Paczka była związana sznurem od burnusa, zdjęliśmy go. Zawierała przeszło dwadzieścia worków ze skóry, różnej wielkości, ozdobionych

120

złotymi frędzlami i owiązanych barwnymi jedwabnymi sznurami. Na każdym wisiały artystycznie zdobione płytki z kości słoniowej noszące literowy numer i perskie określenie zawartości. Przeczytałem kilka napisów, brzmiały one:

Ssih anguszht - trzy palce, panj tšaszyn - pięcioro oczu, du bini - dwa nosy itd.

Nie dziwiły mnie wyjaśnienia zawartości, ponieważ znałem ten zwyczaj. Często bowiem zdarza się u szytów zwłaszcza podczas długotrwałej choroby i w przypadku trudno gojących się ran, że cierpiący szuka w świątyni przybytku pomocy, której nie znalazł u lekarzy. 'Pdk się dzieje, jeśli możliwa jest pielgrzymka do Meshed Ali albo do Kerbel. Jeśli nie to posyła się kopię właściwego członka lub części ciała do jednego z tych miejsc, a do tego odpowiedni dar pieniężny, który ma skłonić "świętych przybytku", by wstawili się w swych modłach za nadawcami. Jest to ostateczny i jak się mniema, zarazem niezawodny lek, po który chory sięga. Biedak może sobie pozwolić na kopię z drewna, gliny, ołowiu lub innego taniego tworzywa. Niewielkie ma więc nadzieje na uzdrowienie przez Allacha. Bogaty jest w lepszej sytuacji, wybiera srebro, złoto a nawet szlachetne kamienie.

W ten sposób do celu pielgrzymek docierają kosztowność, którymi opłacono by nawet najsłynniejszych lekarzy. Zdarza się, że książęta lub inni bogacze posyłają prawdziwe skarby o wielomilionowej wartości, które gromadzi się w podziemnych pomieszczeniach Kerbeli i Mszhedu. Rozumie się oczywiście, że Allah nie jest jedynym ich odbiorcą. Zdarzało się też, że zdobywcy zabierali te skarby, nie pytając o pozwolenie. Ale one wciąż rosną, tak że obecnie panuje przekonanie, iż za zgromadzone w obu świętych przybytkach skarby można by zakupić całą Persję.

Nasz nowy znajomy Khutab Aga był zatrudniony w Mszhed Ali jako główny strażnik tamtejszej skarbnicy, a więc był jednym z największych urzędników tego miasta. Jeśli taki człowiek osobiście podejmuje pogofi za złodziejem i naraża się przy tym na ryzyko dalekiej

121

wyprawy, to musi tu chodzić o wiele znaczące przedmioty. Otworzyłem mały woreczek z napisem "ssih anguszt - trzy palce". Zawierały trzy palce z czystego złota i odtworzone na nim chore miejsca. Na każdy palcu tkwił pierścieni ze szlachetnymi kamieniami. Jeśli zawartość innych worków była podobnie cenna, to złodziejowi opłacało się podjąć to wielkie ryzyko, aby udać się do Mszhed Ali.

Zawiązaliśmy worek i zwinęliśmy w dywan.

-- Zabieramy tę paczkę sisi? -- zapytał Kara, na którym zawartość worka wywarła wielkie wrażenie.

-- Nie -- odparłem. -- Możemy dowieść El Ghaniemu jego kradzieży tylko wtedy, kiedy będzie przekonany, że nikt tej paczki nie widział.

Zobaczyłem, że Kara mnie nie zrozumiał. Ale ponieważ nie odwa-

żył się zapytać, sam powiedziałem:

1

-- Zejdź do mnie na dół. Potem ci to wytłumaczę. Ułóż kamienie

1

? możliwie tak samo, jak leżały przedtem. 'Ihraz chcę się przede wszy-

,

stkiem dowiedzieć dlaczego El Ghani tak się spieszył podczas wspi-
naczki na górę. Nie mogę tego zrozumieć, przecież Beni Khalidowie
musieli zauważyć, co robił.

Kiedy miejsce ukrycia paczki było doprowadzone do poprzedniego
, stanu, zeszliśmy na dół i wsiedliśmy na konie. Pojechaliśmy do murów
gdzie spodziewaliśmy się ujrzeć studnię. Była tam istotnie. U góry, na
sznurze z palm daktylowych wisiało wiadro ze skóry obciążone kamie-
niem. Tdk chyba zrobiona była studnia, z której czerpała wodę Rebeka
dla głównego pasterza Abrahama i jego wielbłądów. Pewne urzędze-
nia i obyczaje wschodu ni zmieniają się ani trochę w ciągu tysiącleci.

W pobliżu studni wyrzucone były wnętrzności dwóch gazeli, a od
zachodu ciągnął się świeży ślad jeźdźców pustyni. W okolicy nie
pokazał się żaden sęp, bo inaczej resztki obu zwierząt dawno by
zniknęły. Gdy to ujrzałem, od razu uświadomiłem sobie pewną rzecz.

-- Popatrz na te wnętrzności i na te ślady -- powiedziałem do Kary.

-- Mówią mione to, czego przedtem nie rozumiałem. Beni Khalido-
wie podczas obozowania tutaj ujrzeli gazele i ogarnięła ich chęć

122

zapolowania, więc pojechali wszyscy. Tymczasem przybyli mekkań-
czycy, osłabieni i zmęczeni, musieli tu pozostać, chociaż wiedzieli, że

miejsce jest zajęte.' I bteż od razu usiłowali przede wszystkim zabezpieczyć swój cenny łup. Podczas gdy El Ghani szukał na próżno tu na dole dobrej kryjówki, ujrzał, że Beni Khalidowie wracają i wtedy spojrzął na górę, ku skale najdalej położonej od studni i dlatego najmniej rzucającej się w oczy. Szybko spakował rzeczy do dywanu i z pomocą syna wspiał się. Zdażył to miejsce byle jak zasłonić kamieniami, bo musiał zejść, zanim Beduini nadjadą i zauważą gdzie on się znajduje. Ku swojej radości poznał, że to zaprzyjaźnieni ludzie, ale nic im o paczce nie powiedział. Później zobaczył Persa z żołnierzami i był podwójnie rad, że ukrył skradzione rzeczy, bo mógł teraz pozwolić, by przeszukano jego i jego towarzyszy. Ponieważ żołnierze nic nie znaleźli El Ghani miał dowód, że jest niewinny. A nawet mógł uczynić coś więcej, mianowicie zniszczyć swego prześladowcę, oskarżając go, o prześladowanie tylko ze względów religijnych. Co mu się udało.

--'Pak to jest effendi! Mekkańczycy mają zamiar po kryjomu zabrać te rzeczy, zanim opuszczą studnię.

-- 1'dk. Właśnie dlatego tę paczkę zostawiłem, by dowieść, że ulubieniec wielkiego szarifa naprawdę ukradł "skarby członków". Kiedy uznaję, że nadeszła właściwa pora, potajemnie wejdę z szejkiem 'Pawilem na górę, by tam zaczekać na El Ghaniego. Kiedy Ghani wyjmie paczkę z ukrycia, będziemy mieli dowód. Ale teraz wracajmy, bo słońce zbliża się do horyzontu i zanim się ściemni, musimy wrócić do naszych.

Gdy wróciliśmy, trzech Beni Khalidowie leżeli wciąż jeszcze związani na ziemi, a więc nic się nie zmieniło, tylko Halef powiedział zadowolony:

-- Dobrze że wracacie, sisi. Czekaliśmy na was, by zamienić szejka na Persa, ale nie chce on uwolnić żołnierzy.

-- Dlaczego?

-- Powiada, że człowiek za człowieka, a on ze swoimi ludźmi to trzy
123

osoby, Pers zaś ze swoimi żołnierzami to dwadzieścia dwie osoby, czyli rachunek nierówny. Dlatego tym czasem należy uwolnić tylko jego i Persa.

-- Dlaczego tym czasem?

-- Bo o mekkańczyków trzeba stoczyć walkę. Jeśli zwyciężymy żołnierze zostaną uwolnieni i wydadzą nam mekkańczyków, ale tylko jeśli przyrzekniemy, że nie poniosą szkody na ciele i życiu.

-- A jeśli zwyciężą Ben Khalidowie?

-- W takim wypadku nie dostaniemy ani mekkańczyków, ani żołnierzy i będziemy musieli znowu wydać im Persa.

-- Jego także? To zbyt wygórowane żądanie. Dlaczego zgodziłeś się na to?

Wówczas na twarzy Halefa pojawił się pełen wyższości uśmiech i odparł:

-- Zgodziłem się na dalsze żądania, sisi, bo nie jest możliwe, nawet w najmniejszym stopniu, że oni nas pokonają.

-- Ostrzegam cię, jesteś zbyt pewny siebie. Pycha z nieba spycha.

-- Ty nie pycha sisi, tylko przekonanie. Każdziej czarnej panterze walczyć na śmierć czy życie z kotką z namiotu. Czy to pycha z jej strony, jeśli się roześmieje? Cóż to za przeciwnicy! Wystarczy, że pantera dotknie kotki swoją łapą, a już biedna kocia dusza opuści swe

futerko. A teraz pomyśl, że myjesteśmy panterą, a Beni Khalidowie kotami. Masz całkowicie błędne mniemanie, jeśli moją pokorę nazywasz pychą.

Gdybym nie znalazł tego dziwnego sposobu dowodzenia swojej racji, wybuchnąłbym śmiechem. Ale zapytałem:

-- Mówisz o życiu i śmierci. Czy walka ma przybrać tak ostrą formę?

-- 'Pdk.

Czy wyznaczone są osoby, które będą walczyć?

-- Na razie tylko dwie.

-- Jak to na razie tylko dwie? Przecież to wystarczy.

124

-- Nie sidi, to wcale nie wystarczy. 'Pdwil Ben Szahid domagał się by było po trzech z każdej strony.

-- Dlaczego?

--'I-go nie wiem. Nie pytałem go. Nam to wszystko jedno, a raczej moi Haddedihni woleliby, żeby przy tej sposobności zezwolono każdemu z nich zmierzyć się z jednym Beni Khalidem.

-- Mimo to nie powinieneś był się zgodzić na potrójny pojedynek nie zapytawszy mnie o zdanie. Których dwóch poza mną mamy wyznaczyć? Wszyscy zechcą walczyć, a to utrudni sprawę.

-- Poza tobą powiadasz?

-- Czy nie powiedziałem ci, że masz szejkowi'1'dwilowi podać mnie jako tego, który będzie przeciwnikiem Beni Khalida?

-- Owszem, powiedziałeś.

-- I tak zrobiłeś?

-- Nie. Czy naprawdę sądziłeś; że mam tak mało honoru, iż pozwolę sobie zastąpić? Podalem oczywiście siebie nie ciebie.

-- Hm! A co na to Hanneh?

-- Nie spodziewała się niczego innego i cieszy się, że tak ma być.

-- Nie boi się?

-- Boi? O mnie? Och, sidi! Moja Hanneh miałaby się bać o swego odważnego Hadżiego Halefa Omara? Kiedy będę wiedział, że jej piękne oczy są podczas walki skierowane na mnie, zaduszę stu wielkoludów. Czy widok twojej Emmeh nie budzi w tobie podobnej woli walki?

-- Nie.

-- Wobec tego nie mogę przed tobą zataić, że moja Hanneh jest lepsza od twojej Emmeh. Przy kobiecie, która tak pokojowo usposabia swego męża, traci on całą odwagę. Jak może być dumna z jego bohaterstwa, które nie jest spowodowane jej urokiem i miłością? Nie, moja Hanneh poznała mnie jako bohatera, widzi go we mnie nadal i nie doczeka, by w mojej sławie ktokolwiek odkrył namniejszy uszczerbek. Thk więc nie ciebie podalem szejkowi, lecz siebie.

125

-- A zatem brakuje tylko trzeciego.

-- Masz na myśli drugiego i trzeciego?

-- Nie, bo ten drugi to ja.

-- T~? Sidi, proszę cię, odstęp choć raz od twego zwyczaju brania na siebie zawsze największego niebezpieczeństwa. Po pierwsze nie jesteś Haddedihnem, lecz Europejczykiem, który walcząc w naszej sprawie pozbawiłby nas honoru. Po drugie, moi wojownicy ćwiczą

codziennie i nie mają okazji dowieść swojej odwagi, bo wskutek twojej rady i zgodnie z wolą Allacha żyjemy w zgodzie z wszystkimi otaczającymi nas plemionami. A teraz, kiedy nadarza się możliwość zmierzenia się z innymi wojownikami, chcesz nas pozbawić tej radości. I co na to powiesz?

-- Tiwoje powody są słuszne, ale przecież wiesz, że zawsze wolę polegać na sobie niż na innych.

-- Więc podam ci jeszcze jeden powód, który na pewno złamie twój opór.

Halef podszedł do mnie, zrobił minę pełną wahania, uniósł ostrzegawczo palec wskazujący i rzekł cicho:

-- Jeśli weźmiesz udział w walce i wszyscy trzej zostaniemy pokonani, to wszystko będzie stracone. Jeśli jednak nie to ty pozostaniesz i nic nie będzie stracone.

'I~raz istotnie się roześmiałem. Położyłem mu rękę na ramieniu i odparłem:

-- Chcesz mnie przechytrzyć i może masz rację. Jeszcze się zastanowię. Chodź ze mną do Beni Khalidów.

Idąc do nich minąłem Kara Ben Halefa, któremu powiedziałem w skrytości, że nie powinien zdradzać nikomu, także ojcu i matce cośmy odkryli w skale.

Ti-zej Beni Khalidowie leżeli tak jak ich zostawiliśmy. Szejkowi krew płynęła z otwartych żył, ale jej ubytek jeszcze go nie osłabił.

Kiedy podszedłem do niego, zwrócił ku nam ponury wzrok i rzekł:

-- Zawarłem z szejkiem Hadzi Halefem Omarem z plemienia

Szammarów umowę, ale on twierdzi, że będzie ona ważna dopiero

wtedy, kiedy potwierdzi ją jego effendi. Czy to ty?

-- 'Idk -- rzekłem.

-- A więc nazywają cię effendim? 'R~ mi nie wystarczy. Jak się nazywasz i kim jesteś?

Zanim coś powiedziałem Halef szybko wtrącił:

--'I~n mąż słynny we wszystkich częściach naszego kraju i w krajach zamorskich nazywa się Hadzi Akil Szatir el - Medżarrid Ben Hadzi el - Azim Ben 'Paki Abu Fadl el - Mukarra, pochodzi on z Wadi Draa w dalekim Maghrebie i jak wszyscy tam urodzeni ludzie ma w głowie nie tylko księgi wszystkich nauk, lecz jest także wojownikiem tak odważnym i silnym, że żaden wróg nie zdołał go nigdy pokonać.

T~wil Ben Szahid pominął milczeniem moje długie imię i rzekł:

-- Zgadzasz się?

-- 1'dk -- odparłem.

-- Kiedy ma nastąpić walka?

-- Kiedy zechcecie, ale możliwie jak najprędzej.

-- Więc musimy ustalić miejsce, na którym będziecie czuli się pewnie, inaczej obawialibyście się do nas dołączyć, ponieważ gromada moich wojowników jest czterokrotnie większa od waszej.

Lekceważąco machnąłem ręką i zapytałem:

-- Macie drewno by rozpalić ogień?

-- Suche łajno wielbłądzie i sporo drewna. Ponieważ się zgadzasz, uwolnij mi ręce, obiecałem bowiem przysiąc na mój Hamail, że wyrzekamy się wszelkiej chytrłości i będziemy uczciwie przestrzegać naszej umowy. Allach zaś mi świadkiem, że nawet prostej obietnicy

przestrzegam jak przysięgi.

-- Kto może zawiadomić twoich wojowników?

-- Jeden z waszych pojedzie do nich z moim towarzyszem. Obaj

wrócą i przywiozą Persa. Wtedy mnie uwolnicie.

Spojrzałem 'Pdwilowi prosto w oczy, wyciągnąłem swoją tworbę z

bagażami i usiadłem pxzy nim, by na razie powstrzymać krwawienie.

127

i

**Potem rozwiązałem krępujące go sznury. Zerwał się i zapytał zasko-
czony:**

-- Rozwiązałeś mnie?

-- Jak widzisz.

**-- Przecież miało to nastąpić dopiero wtedy, kiedy Pers tu przybę-
dzie i przekonacie się, że został przez nas uwolniony.**

**Nic nie odpowiedziałem, lecz uwolniłem także jego ludzi, po czym
rzekłem:**

**-- Oni także są wolni. Tb moja odpowiedź na twoje poprzednie
pytanie. Powiedziałeś jeszcze, że się was boimy. Hadži Halef Omar i
jego Haddedihni nie boją się żadnych wrogów, nawet gdyby mieli
dziesięciokrotną przewagę i tego chcę ci dowieść.**

**-- Brawo! -- zawołał Halef zachwycony, a Haddedihni mu zawtóro-
wali.**

Ja zaś ciągnąłem dalej:

**-- Daruję ci przysięgę na Hamil. Widzę wprawdzie na twojej szyi
Koran pochodzący z Mekki, ale rzekłeś, że twoja obietnica równa się
przysiędze, więc ufam ci. Kto nie dotrzymuje obietnicy, ten nie dba o**

święte przysięgi. Wróćcie teraz do swoich ludzi, a my z wami.

Wtedy jego mroczna twarz się rozjaśniła, a wyraz zdziwienie zastąpiła radość.

-- Effendi -- zawołał -- jeszcze mi się coś podobnego nie zdarzyło!

Albo jesteś ogromnie lekkomyślnym, albo bardzo dzielnym człowiekiem.

-- Nie jestem lekkomyślny, lecz oddaję cześć każdemu, kto na to zasługuje. Jesteś twardym, może nawet żądnym krwi wojownikiem, ale swego słowa nigdy nie złamiesz. Czy mam rację?

'Pdwił wyciągnął do mnie rękę.

-- Cieszę się, że jesteście teraz naszymi wrogami, a my waszymi.

Walka między nami się rozstrzygnie, a jeśli naprawdę z nami pojedziecie, nigdzie nie będziecie bardziej bezpieczni niż u nas. Wolalbym jechać przed wami, aby móc zawczasu powiadomić swoich ludzi, jak się mają wobec was zachować.

-- Dobrze jedźcie przodem. Nie pojedziemy za wami, lecz obieremy drogę do studni, gdzie chyba się zatrzymaliście?

-- A znacie drogę? Niebawem zapadnie noc.

-- Znajdziemy ją. Nie trzeba nam przewodnika.

Wsiedli na wielbłądy i pojechali.

Kiedy już byli daleko, podeszła do mnie Hanneh i rzekła:

-- Sidi, czy wiesz, że odniosłeś wielkie zwycięstwo?

-- ~k?

-- To znowu była miłość, której nauczasz nie tylko słowami. Pojedynek na pewno rozstrzygnie się na naszą korzyść, ale nawet gdyby nie, szejk i tak nie byłby głuchy na nasze życzenia.

-- A gdyby on tylko udawał? -- wtrącił Halef. -- Wówczas twoja ufność wtrąciłaby nas w paskudną sytuację.

-- Nawet i wtedy nie, ojciec -- odparł jego syn. -- Nasz sisi, wie co czyni. Możemy na nim polegać.

Nigdy jeszcze Kara nie wtrącił się w tak zdecydowany sposób do rozmowy. Ojciec spojrział na niego ze zdziwieniem, ale skinął głową zadowolony i rzekł:

-- Skoro tak zacne osoby ujmują się za sidim, muszę wycofać swe wątpliwości. Czy masz coś jeszcze na sercu synu?

Promienny wzrok pofrunął do ojca, a odpowiedź brzmiała:

-- Chcę być jednym z trzech, którzy będą walczyć z Beni Khalidami.

-- Cooo? Tyyy?

-- Tak, chcę walczyć -- powtórzył Kara stanowczo, przy czym twarz miał rozpaloną.

Przeczuwałem, że Halef najchętniej przycisnąłby go do serca, ale Kara był nie tylko jego, ale także Hanneh synem, dlatego powstrzymał się, skierował niepewny wzrok na żonę i zapytał?

-- Hanneh, ty najlepsza z matek wszystkich dzielnych synów, slyszalaś jakie życzenie wyraził nasz ulubieniec. Co ty na to?

-- Ty mów pierwszy.

5 - Most śmierci 129

-- Nie! Co prawda wiem, że jestem władcą mojego plemienia i władcą mojego namiotu, ale tu niech zadecyduje nie ojciec, nie wojownik, lecz tylko serce matki.

-- A ta matka zna ojca i wie, czym go może uradować. Przecież płonie w tobie gorące pragnienie, bym nie stała na przeszkodzie

synowi, by pokazał, że jest uczniem swego ojca we władaniu bronią.

-- 'Idk, życzę sobie tego z całego serca -- przyznał Halef.

-- Niech więc walczy.

Hadzi wydał triumfalny okrzyk i otworzył ramiona, by uściskać

Hanneh. W porę przypomniał sobie; że publicznie nie uchodzi tego

czynić i znalazł sobie inny obiekt zachwytu. Najpierw objął syna, a

potem mnie, wołając:

-- Słyszałeś sisi? Czy słyszałeś, że Hanneh, kwiat mojego serca

zezwołała? Wszystkie ludy zamieszkałe między Eufratem a Tygrysem

uznają mnie za najszcześniejszego ojca, gdyż odwaga mojego syna

dorównuje mojej i głośnić się będzie naszą chwałę we wszystkich

namiotach i wszystkich domostwach. I to mam tobie do zawdzięcze-

nia, że byłeś tak dobry, by wycofać się i nie brać udziału w walce.

-- Co prawda tego nie przyrzekłem. Powiedziałem tylko, że się

zastanowię.

-- Za późno na zastanowienie, bo Kara cię zastąpi.

-- Ale mogę być trzecim.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, gdy zbliżył się Omar Ben Sadek

i powiedział:

-- Nie uczynisz tego sisi, proszę cię. Byłaby to hańba dla całego

plemienia, gdyby żaden ze zwykłych wojowników nie mógł uczestni-

czyć w walce. Nie jestem bohaterem ani sławny mężem, ale byłem

wiernym towarzyszem twoim i Halefa w podróżach przez Saharę,

'Izrcję i Balkany. Z wami walczyłem i głodowałem i nikt nie może

powiedzieć, że kiedykolwiek zaniedbałem swe obowiązki. Czy teraz

ludzie mają mówić, że moje ramię osłabło, a moja broń zardzewiała?

zardzewiałe żelastwo? Stoi tu pięćdziesięciu wojowników. Czy oni wszyscy mają się przyglądać, jak wy trzej wszystko im odbieracie? Czy przynajmniej jeden z nich nie powinien pokazać, że również prosty wojownik może walczyć o honor swego plemienia. Skończyłem. 'Teraz ty zdecyduj.

-- Masz rację Omarze. Chodzi tu o Haddedihnów i o Beni Khali-dów, a więc o honor waszych plemion i nie wolno mi stawać na waszej drodze. Niech więc spełni się twoje życzenie. Wierzę, że będziesz reprezentował Haddedihnów w sposób, który nam pozwoli być z ciebie dumnym. Do twoich dawnych zwycięstw dołączysz nowe. W ten sposób sprawa była załatwiona. Hanneh weszła do swego tachtirewanu i pojechaliśmy w kierunku studni, skąd docierały do nas ostatnie dźwięki modłów.

Zapadł zmrok, Beduini zajęli się rozniecaniem ognisk, dlatego nie od razu spostrzegli nasze przybycie. Dotarliśmy do miejsca z północno - wschodniej strony i tam się zatrzymaliśmy. Nie chcieliśmy na razie, by mekkańczycy uj rzeli ślepcę, toteż musiał on zejść z wielbłąda, a Hanneh z nim, ponieważ powierzyliśmy go jej opiece. Nie stwarzało to pozorów, że się odłączyli, bo owo oddalone miejsce tworzyło coś w rodzaju haremu, wskutek czego mekkańczycy zmuszeni byli je omijać. Potem pojechaliśmy dalej do studni, gdzie zapłonęły ogniska.

Szejk ujrzał nas i uprzejmie wyszedł na spotkanie. Co prawda nie powitał nas słowem "Marhaba", witajcie, gdyż byliśmy jego wrogami, w ogóle nic nie powiedział, a ten niemy gest wyrażał tyle szacunku, ile

by nam okazał słowami. Jeden z mężczyzn siedzących przy ognisku, zerwał się, nie czekając, aż zejść z wielbłąda, wyciągnął do mnie obie ręce i zawołał radośnie:

-- Nareszcie cię widzę effendi. Wiedziałem, że mi pomożesz, ale czas mi się dłużył, zwłaszcza, że krew ze mnie wyciekała. ,

Był to Pers.

-- Więc liczyłeś na naszą pomoc?

-- 1'ak, na twoją pomoc, inna by nie nadeszła. Dowiedziałem się, że

131

szejk cię zawiadomił, co postanowili ze mną zrobić, więc zbędne jest opowiadanie o tym. Jedno muszę ci powiedzieć. Mekkańczycy mówili, że tu przybędziecie, ja jednak nie zdradzałem, że was spotkałem i rozmawiałem z wami. Uratowałeś mi życie. O mojej wdzięczności dowiesz się później.

-- Nie powinieneś mi dziękować, tylko Allahowi. Czy upływ krwi bardzo cię osłabił.

-- Dość, ale niedługo mi to przejdzie. Podejdz ze mną do ogniska i opowiedz, jak to wszystko się stało i co dalej będzie. Słyszałem, że ma się odbyć potrójny pojedynek. Czy to prawda?

Szejk'Thwil Ben Szahid znowu usiadł przy ognisku, a my usiedliśmy

obok, razem z Halefem i Karą. Nasi Haddedihi ulokowali się w

pewnej odległości od nas. Beni Khalidowie tworzyli rozrzucone do-

okoła grupy. Gorliwie rozprawiali, ale nie tak głośno, byśmy mogli

coś usłyszeć. Mekkańczycy siedzieli osobno przy murze studni w

pobliżu nas. Słyszeli każde nasze słowo. Nie zważając na to, odpowie-

działem na pytanie Persa:

--'1'dk, to prawda. Już wyznaczaliśmy tę trójkę. Są to: szejk Hadzi Halef Omar, jego syn i Omar Ben Sadek, jeden z naszych wojowników.

-- Jak macie walczyć i jaką bronią'?

-- To się dopiero rozstrzygnie.

-- Allah! To moja wina. Ci trzej narażają za mnie swoje życie, a ja nic na to nie mogę poradzić. Pomyśl tylko, te złodziejskie psy ukryły swój łup po drodze na pustyni. Jeśli nawet zwyciężycie i moi askarowie zostaną uwolnieni, tę daleką drogę odbyliśmy daremnie i nie odzyskamy skradzionych przedmiotów.

-- Nie wolno ci o tym mówić -- nakazał szejk Beni Khalidów. -- Ci których oskarżasz, słyszą twoje ubliżające im słowa, nie mogę na to pozwolić, bo to moi przyjaciele i goście. Jeśli będziesz dalej w ten sposób mówił, cofnę swoje słowo i karzę znów otworzyć ci żyły.

Nie wolni mi było zostawić 'Pdwiła w przekonaniu, że on tu jest

132

jedynym władcą, więc odpowiedziałem mu spokojnie i stanowczo:

-- Pozwól mi szejku, że będę innego zdania! Czy mam zrezygnować z przysługujących mi tutaj praw?

-- Nie -- odparł.

-- A więc dobrze! Jeśli mekkańczycy są twoimi przyjaciółmi, to on jest moim. Został wymieniony za ciebie, tym samym jest wolnym człowiekiem jak ty. A wolny człowiek może spokojnie mówić, a jeśli kogoś tym obraża, to niech tamten sam się broni, ale komuś innemu nie udzielimy na to zezwolenia.

-- Czy mi zezwolicie, czy nie, mało mnie to obchodzi -- odprął Tawil

z dumą. --'Iitaj, przy tej studni, ja jestem panem, a kto obraża moich gości, obraża mnie i spotka go za to kara. Powtarzam, znów karzę związać tego szytę, jeśli powtórzy podobne słowa.

-- Wobec tego ja zrobię to samo z tobą i znów cię skrępuję.

-- Maszallah! Jak chcesz to zrobić?

-- To już pozostaw mnie! Dobrze wiem, jak to zrobić. Znasz taką broń?

Wyciągnąłem zza pasa oba moje rewolwery i mu pokazałem.

-- Al ..~chu! -- zawołał. -- To pistolety o wielu szybkich wystrzałach!

Mają taxie Frankowie. Skąd masz taką broń?

-- Słyszałeś, że jestem z Maghrebu. 'Ihm posiadają taką broń także muzułmanie i umieją się z nią świetnie obchodzić. Gdybyś zechciał znów uwięzić mojego perskiego przyjaciela, rozkazałbym Haddedi-nom ująć cię, a gdyby to było konieczne, pierwsza kula jednego z tych pistoletów trafiłaby w twoją głowę.

'I' dwil nieruchomo wpatrywał się w moją twarz. Ponieważ wytrzymałem ten wzrok, rozzłościł się:

-- Prawie już żałuję, że dałem słowo.

-- Postaraj się raczej, bym ja nie żałował, że ci zaufałem.

-- Mówisz bardzo władcym tonem, effendi!

-- Mam do tego prawo. Zresztą radzę ci zbyt często nie powtarzać, że ci mekkańczycy są twoimi przyjaciółmi. Jeśli ja nazywam Basz

133

Nasira swoim przyjacielem, niczego nie ryzykuję, bo to uczciwy człowiek, ale czy nazwać przyjaciółmi ludzi, za którymi wszczęta jest pogoń przez pól pustyni z powodu kradzieży - nad tym bym się

głęboko zastanawiał.

-- Nie są złodziejami. Przeszukaliśmy ich i nic nie znaleźliśmy.

-- Khutab Aga twierdzi, że ukryli swój łup i masz tu twierdzenie przeciw twierdzeniu.

-- Więcejdźcie z powrotem i przeszukajcie pustynię! Jeśli znajdziecie skradzione przedmioty i przyniesiecie, wtedy wam uwierzę.

-- Dobrze. Poszukamy i przekonamy cię. A nawet powiem więcej, masz sam znaleźć te przedmioty.

'Pdwił już otworzył usta do ostrej odpowiedzi, ale się powstrzymał, bo w tej chwili od strony, gdzie siedzieli mekkańczycy, rozległ się potężny krzyk, który wywołała postać ślepeca. Powolnym krokiem wszedł w światło ogniska i tam się zatrzymał. Lewą rękę miał wyciągniętą tak, jakby go ktoś prowadził. Prawą uniósł w dziwnym geście.

Hanneh później nam powiedziała, że początkowo leżał jakby we śnie, a potem nagle zerwał się, zanim zdołała go powstrzymać

-- EI - Miinedzi! EI - Munedzi! Jego duch... jego duch... jego duch!

-- krzyczał El Ghani z przerażenia tak głośno, że jego towarzysze nieruchomo wpatrywali się w to istotnie upiorne zjawisko.

Także Ben Khalidowie byli ogromnie zaskoczeni. Widzieli postać opromienioną blaskiem ognia, słyszeli okrzyk "duch" a jako ludzie przesądni, byli przerażeni. Oczy wszystkich skierowane były na ' Munedziego, nasze zaś były pełne oczekiwania, co tamten teraz uczyni. Munedzi postąpił dwa kroki naprzód i zawołał donośnym głosem:

-- Przysięgam na Dzień Zmartwychwstania! Przysięgam na duszę ciągle goniącą! Czy człowiek sądzi, że my nie zbierzemy jego kości! Ależ tak! My mamy moc ponownie złożyć nawet jego palce. Lecz

człowiek pragnie nadal prowadzić życie grzeszne. Zapytuje: "Kiedy to będzie Dzień Zmartwychwstania?" Otóż kiedy wzrok będzie oślepi-
ony, kiedy księżyc będzie zaćmiony, a słońce i księżyc będą złączone.

134

'I-go dnia człowiek powie: "Gdzie jest miejsce ucieczki?" Niestety!

Nie ma żadnego schronienia!

Był to początek siedemdziesiątej piątej sury Koranu. Munedzi zatrzymał się. Mówił głuchym głosem, jego srebrna broda drżała, a szata poruszała się lekko. Ogień rzucił na przemian światło i cień na jego postać. Miał w sobie coś niezmiernego. Szczerze się przyznaje, że nawet ja, byłem poruszony, poczułem w członkach jakiś dziwny rodzaj zgrozy.

I oto ślepiec zaczął od nowa tym samym przenikliwym głosem:

-- Ludzie nie chcą już, by kierował nimi i prowadził ich Allah.

Uważają, że ich własny duch jest mądrzejszy niż duch, który kieruje niebiosami i światłami. Powiadam wam, to ubóstwianie własnej bez-
sily jest bałwochwalstwem, które Allah surowiej ukarze niż nie
zawinione błędy pogan. 'I'ak mówi Ben Nur, syn prawdziwego światła,
któremu bronicie dostępu do waszych serc i rozświecenia waszych
dusz.

Po tych słowach Munedzi stał przez jakiś czas z uniesionymi ramio-
nami, potem je opuścił i odwrócił się opuszczając znowu krąg światła,
zniknął w ciemności. Nikt nie odważył się pójść za nim, nikt nie ruszył
się z miejsca. El Ghani, najpierw znieruchomiały z przerażenia, teraz
zerwał się. i zawołał:

-- To na pewno był on! To jest kijame! Zmartwychwstał i ukazał się

nam, by przekonać nas o życiu po śmierci, tak jak mi to przyrzekł, kiedy w to nie wierzyłem.

-- Kijame? Zmartwychwstał? -- zapytał szejk T~wil Been Szahid. --

A więc duch? Do jakiego człowieka należała ta powracająca dusza?

. -- Do Munedziego, o którym ci dziś po naszym spotkaniu opowiadałem, że zmarł i że został przez nas pochowany.

-- Niech Allah broni nas i ochrania! Niech żaden z was nie idzie tam, gdzie zniknął duch, bo musiałby pójść za nim do krainy umarłych. Musimy się pospieszyć, by jak najprędzej opuścić to miejsce, gdzie przebywają duchy.

135

-- A pojedynki? Co z nimi? -- zapytałem.

-- Jutro się odbędą, za dnia. 'I~raz pojedziemy na pustynię tam, gdzie byliśmy poprzednio. Chyba pojedziecie z nami?

-- Nie.

-- Dlaczego?

-- Bo nie obawiamy się duchów i dlatego, że nasze wielbłądy są spragnione. Musimy je napoić.

-- Studnia jest pusta, wyczerpaliśmy ją i woda musi się dopiero nagromadzić. 'I~k więc przed jutrem nie będziecie mogli napoić zwierząt.

Nie czekając na moją odpowiedź, lhwil zwrócił się do El Ghaniego:

-- Wstawajcie i przygotowujcie się do drogi! Wy także nie zostaniecie w tym miejscu gdzie straszą upiory.

Mekkaficzek odparł:

-- Najpierw chcę wiedzieć, czy Haddedihi także pojedą.

' -- Dlaczego?

-- Ponieważ ukazał się duch naszego przyjaciela, musimy jeszcze jakiś czas tu pozostać, by odmówić za niego modły. Chcemy, by nam przy tym nie przeszkadzali. Jeśli odjadą z wami, będziemy mogli to uczynić, w przeciwnym razie - nie. Potem natychmiast podążymy za wami.

Oczywiście chodziło o kryjówkę. El Ghani chciał wyjąć skradzione przedmioty, a potem uciec ze swoimi ludźmi. Szejk Beni Khalidów spojrział na mnie pytająco, a ja oświadczyłem:

-- Dobrze, nie będziemy tym ludziom przeszkadzali w wykonywaniu ich pobożnych obowiązków, pojedziemy z wami. Ale musisz zadbać o to, by naprawdę za nami przyjechali, ponieważ ma odbyć się walka.

Polecilem Halefowi po cichu:

-- Uważaj na to, co ci teraz powiem i wykonaj to dokładnie. Nie mam teraz czasu, by ci to tłumaczyć. Pojedziemy za Beni Khalidami.

136

Jak tylko mekkańczycy nie będą nas już widzieli, zatrzymacie się, by otoczyć potajemnie studnię. Utworzycie koło, wewnątrz którego będą się znajdowały cztery skały i nie przepuścicie żadnego mekkańczyka!

-- A co z Hanneh...

-- Nie bój się o nią. Zostanie tam, gdzie jest. Pers i ja nie będziemy z wami. Kara, twój syn, wszystko ci wytłumaczy. Powiedz mu, że na to zezwalam.

Z miejsca, gdzie blask ogniska nie docierał, rozległ się teraz roz-

kazujący głos szejka, nawołujący żołnierzy. Potem cały~pochód ruszył, na końcu jechali Haddedihni. Kiedy już dostatecznie się oddaliliśmy, Halef pozostał z nimi w tyle.

Persa zatrzymałem przy sobie.

-- Effendi, widzę, że chcesz coś zrobić -- rzekł Khutab Aga.-- Czy mogę wiedzieć co?

-- Jeszcze nie teraz. Na razie muszę zawołać szejka 'Pdwila.

Okazało się, że to zbyteczne, ponieważ Ben Khalid zatrzymał się, by przepuścić jeźdźców i czekał, aż my dołączymy. Mimo ciemności widział, że byliśmy sami i zapytał:

-- Gdzie są Haddedihni? Dlaczego zostali w tyle?

-- Abym mógł dotrzymać słowa.

-- Jakiego słowa?

-- Powiedziałem ci, że ty sam odnajdziesz skradzione przedmioty, bez potrzeby ich szukania. Niech twoi ludzie jadą dalej sami, a ty choć z nami.

-- Dokąd?

-- Na miejsce, gdzie El Ghani ukrył swój łup. Kiedy zobaczył, jak wracacie z polowania.

-- Czy chcesz mnie zwabić w pułapkę, by znów mnie uwięzić? -- zapytał.

-- Sądziłem, że mi ufasz. Gdyby chodziło mi o ciebie ułatwiłbym sobie zadanie.

-- 'Ib prawda. Czy przedmioty, o które chodzi mają jakąś wartość?

137

-- Ogromną!

'Pdwił zastanowił się przez chwilę, potem rzekł:

-- Dobrze, uczynię to, czego chcesz.

Zawróciliśmy. Na miejscu kazaliśmy wielbłądom uklęknąć, zsiadliśmy i poleciliśmy jednemu z Haddedińców, by ich pilnował. Potem poprowadziłem obu, aż dotarliśmy do skały. Poprosiłem, by zachowywali się możliwie najciszej. Znałem ten teren, więc mimo ciemności mogłem znaleźć odpowiednie miejsce, gdzie usiedliśmy, by czekać na El Ghaniego. Szejk zachowywał się spokojnie. Pers był zbyt podniecony, by milczeć. Przeszukali mekkaficzyków i nic przy nich nie znaleźli. Było to dla Agi wielkie szczęście, że został ocalony i uwolniony. Już zrezygnował z celu niebezpiecznej wyprawy, gdy niespodziewanie usłyszał ode mnie, że skradzione przedmioty jednak są.

Ledwo usiedliśmy, kiedy szepnął mi do ucha:

-- Gdzie są te świętości?

-- 'Iiż obok, w szczelinie. Jak tylko El Ghani je wydostanie, ujmemy go. I'dk go przyłapiemy, że nie będzie mógł zaprzeczyć.

-- Więc dlatego chciał zostać przy ognisku! Mimo strachu, jaki napędził mu upiór.

-- 'Ikk, diatego. Jego chciwość jest większa od strachu.

-- A jak ty odkryłeś to miejsce?

-- Byłem z Karą Ben Halefem tutaj i poznałem po śladach, że ktoś był na górze. Zwróciło to moją uwagę... pssst, cisza! Słyszę jakieś szmery.

Nasłuchiwaaliśmy. 'Idk, ktoś nadchodził. Ognisko jeszcze się paliło, ale nie widzieliśmy go; bo szczyt skały zasłaniał nam widok.

Szmer stawał się coraz głośniejszy. Teraz skradający się szedł w

stronę szczeliny. Siedzieliśmy tak, że kiedy nas minął, musieliśmy się wysunąć do przodu, by zagrozić mu powrót. Pochylił się. Ujrzeliśmy, że usunął leżące na paczce kamienie. Potem wyciągnął paczkę i chciał ruszyć w drogę powrotną.

138

Wyprostowałem się za nim. Odwrócił się i ujrzał mnie.

-- Allah kerim -- niech Bóg się nade mną zlituje! -- zawołał.

Wyciągnąłem nóż i ofuknąłem go:

-- Jest tu jeszcze dwóch mężczyzn. Widzisz ich? Jeśli powiesz jedno głośne słowo, wbiję ci nóż w serce. Siadaj!

Uśluchał. Należał bowiem do tego rodzaju złodziei, którzy są przedsiębiorczy, ale tchórzliwi. Wyjąłem mu broń z za pasa i rzekłem do szejka i Persa:

-- Przytrzymajcie go. Zaraz wrócę.

Poszedłem w dół, bo on w żadnym razie nie był sam przy skale.

Ledwo rozpocząłem schodzenie, gdy jakiś głos zapytał:

-- Czy wszystko jeszcze było?

-- 'Pak -- odparłem równie cicho.

-- No to chodź. Przytrzymam cię.

Skoczyłem energicznie i obaliłem go.

-- Uważaj!

Więcej nie mógł powiedzieć, bo trzymałem go obiema rękami za gardło. Oniemiał z przerażenia. Był to~syn starego, równie tchórzliwy jak ojciec. Bez oporu dał się zaciągnąć te kilka kroków do Haddediha, któremu powierzyliśmy nasze wielbłądy.

-- Przyrowadź szybko, ale po cichu, pięciu wojowników -- rozka-

zalem.

Zjawili się w dwie minuty. Przekazałem dwom z nich syna Ghaniego, z resztą poszedłem do studni, gdzie ogień jeszcze nie wygasł. 'Idm ujrzałem towarzyszy "ulubieńca wielkiego szarifa" stali w oczekiwaniu przyjuż załadowanych wielbłądach, gotowych by na nie wsiąść. Ludzie ci nie mieli pojęcia, co się stało z ich przywódcą i jego synem. Zaskoczeni byli naszym niespodziewanym zjawieniem się.

-- Znowu tu jesteście? -- zapytał mnie jeden z nich. -- Czemu wróciliście?

-- By was zapytać gdzie jest wasz przywódca -- odrzekłem.

-- Poszedł sobie.

139

-- Dokąd?

-- Nie wiemy.

-- Chcieliście się modlić. Czy już jesteście po modlitwie?

-- Co ciebie to obchodzi?

Oszczędzone mi zastało udzielenie mu właściwej odpowiedzi, bo

w tej chwili nadszedł Halef i rzekł:

-- Sidi, wykonałem twoje polecenie, a potem poszedłem do Hanneh, by rozproszyć jej niepokój. Zobaczyłem was tu, więc przyszedłem zapytać, czy nie jestem ci potrzebny.

-- Przyszedłeś w samą porę. Twoi ludzie także niech się zbliżą.

Halef zawołał Haddedihnów, którzy stawili się szybko i otoczyli mekkańczyków. Dwaj wojownicy przyprowadzili syna Ghaniego, a ja z Halefem i Karą poszedłem do skały, by zabrać także starego. Po powrocie odstawiliśmy go z paczką do ogniska, do którego, by je

podsyć, dodaliśmy sporo dżalalu. Są to placki suszonego wielbłądziego łajna, które służy na pustyni jako opał.

Nie związaaliśmy mekkańczyków, Siedzieli w gromadzie, a my utworzyliśmy krąg dokoła nich. 'Pdwił Ben Szahid usiadł między mną a Halefem. Był tak zaabsorbowany odkryciem skradzionych przedmiotów, że nie myślał o "duchu", przed którym wraz ze swoimi ludźmi uciekał. Zawładnął paczką, co skrycie mnie ubawiło.

Szejk Beni Khalidów był wyraźnie zmieszany. Nazwał mekkańczyków swoimi gośćmi i przyjaciółmi i musiał się odpowiednio zachować.

Czy mógł więc zabrać to co przynieśli? Mógł nazwać ich złodziejami i to bez obawy, że ich obrazi, bo kradzież nie jest - zwłaszcza, jeśli dotyczy innowierców - w oczach Beduinów żadnym przestępstwem.

Ale jeśli im w ten sposób przyznawał prawo do obecnej własności, to przecież nie wolno mu było tych rzeczy zatrzymać dla siebie. W

dotadku wchodziło w grę o wiele bardziej słuszne roszczenie Persa.

Szyita był potraktowany jako wróg i miał nawet umrzeć, ponieważ fałszywie oskarżył mekkańczyków, a teraz okazuje się, że miał rację.

Jak się z tego wszystkiego wyplątać?

Wreszcie szejk podjął decyzję. Otworzył paczkę. Ważył w rękach jeden worek po drugim, jakby się nimi bawił i rzekł: -- Znalazłem te rzeczy, teraz należy rozstrzygnąć do kogo mają należeć.

Pers chciał szybko coś powiedzieć, ale dałem mu znak, żeby nie przerywał. Szejk mógł mówić dalej.

-- Prawdopodobnie dwie strony będą rościły sobie do tego prawo.

Dokładnie rozważę ich roszczenia i podejmę decyzję.

Przeszkodzono mu. Przyjechali dwaj Beni Khalidowie. Widać było

po nim, że to przerwanie nie było mu w smak. Niechętnie powiedział:

-- Czy jestem dzieckiem, że trzeba mnie nadzorować? Mam tu zajęcie. Jedźcie z powrotem i powiedzcie wojownikom, by się o mnie nie martwili. Przybędę, kiedy zechcę, a może to być jutro rano.

Przy tym 'I-wil znów zawinął dywan, by nie było widać worków.

Chodziło mu zapewne o to, by jego ludzie nie wiedzieli nic dokładnie na temat skarbu. Ale dla mnie ta decyzja, którą podjął wobec obu wysłanników, była bardzo pożądana, bo w ten sposób zrezygnował z ich pomocy na całą noc. Kiedy odjechali rozwinął znów dywan i rzekł do El Ghaniego:

-- Czy to ty ukryłeś te rzeczy w skale, czy też ktoś inny?

-- Ja sam to uczyniłem -- odparł El Ghani, którego zdecydowana mina zdradzała, że nie ma zamiaru zrezygnować z tych przedmiotów.

-- Czemu je ukryłeś przed nami, twoimi przyjaciółmi?

-- Nie przed wami, bo nie wiedziałem kim są wojownicy, których ujrzeliśmy z daleka.

-- Ió może cię usprawiedliwiać. Przed przyjaciółmi nie ukrywa się nic. Skąd masz te worki?

-- Posiadam je od wielu lat, od śmierci mojego ojca, po którym je odziedziczyłem.

-- Dlaczego zabierasz je ze sobą i wozisz po pustyni? 'Tdkie rzeczy przechowuje się w domu.

--Nie, bo ze mną są bezpieczniejsze niż w domu w czasie mojej nieobecności. Żądam natychmiastowego ich zwrotu.

141

-- Poczekaj chwilę. Obawiam się bowiem, że znajdą się inni właści-

ciele.

--'Pdk jest -- wtrącił Pers. -- El Ghani skłamał. Nie muszę niczego udowadniać, bo jego kłamstwa są tak niezdarne, że ktoś, kto by dał im wiarę, nie miałby chyba oleju w głowie.

--'lieierdzisz, że jesteś prawowitym właścicielem tych worków?

-- Nie tego nie twierdzę, ale twierdzę, że zawartość tego dywanu została skradziona z Kans el Adha świętego miejsca Meszhed Ali.

-- Czy możesz dowieść tego co mówisz?

Pers wyjął zza pasa torbę z notatkami, otworzył ją i oświadczył:

-- Kiedy stwierdziłem brak przedmiotów, natychmiast sporządziłem spis skradzionych rzeczy. Oto on. Sprawdź, czy zgadza się z napisami wiszącymi na workach.

Czytał, a szejk porównywał, wszystko dokładnie się zgadzało, nie było ani sylaby mniej czy więcej.

-- No i co? Mam rację? -- zapytał Aga.

-- Istotnie to się zgadza -- musiał przyznać szejk. -- Twój spis co prawda dotyczy chyba tych rzeczy, ale czy zostały skradzione one ze "skarbu członków" w Meszhed Ali, tego musisz nam dowieść.

Pers był tak zaskoczony tym nieoczekiwanym obrotem sprawy, że nie znalazł odpowiedzi. Za to El Ghani wykorzystał tę sytuację i zawołał szybko:

-- Czeka! Mogę dowieść, że nieja ukradłem, lecz mnie okradziono.

Ten spis bowiem należy do mnie. Ja go sporządziłem, a w Meszhed Ali, kiedy przebywałem w mieszkaniu tego szyckiego Basz Nasira, został mi skradziony. A teraz w bezczelny sposób chce on ten spis wykorzystać, by pozbawić mnie mojego dobra.

Halef spojrzal na mnie, a ja na niego. Łajdactwo tego starego mekkańczyka było oburzające. Szejkowi Beni Khalidów było to na rękę, uśmiechnął się, kiedy zadał Persowi pytanie:

-- I co ty na to? Z oskarżyciela stałeś się oskarżonym. Broń się!

-- Bronić się?... Ja... mnie... YaAli... Cóż to za... bezczelność!... Ani

142

słowa... Nie powiem ani słowa!

--'Ihgo należało się spodziewać. Jeśli mówisz o bezczelności, to ja się jeszcze z tobą porachuję. A sprawa kradzieży przedstawia się tak: twierdzisz, że te rzeczy zostały skradzione w Meszhed Ali, a mój gość i przyjaciel twierdzi, że ukradłeś mu spis, by zagarnąć te przedmioty.

Obaj znajdujecie się na obszarze plemienia Beni Khalidów, które zadecyduje w tej sprawie. Jak tylko zgromadzi się całe plemię, bo tutaj jest tylko mały oddział, zwołam dżemmah, która wyda wyrok. Tymczasem całą zawartość dywanu zajmuję i biorę na przechowanie.

'I-wil zwinął paczkę i zawiązał sznurkiem. Pers chciał mu przeszkodzić, ale dałem mu znak, żeby tego nie czynił.

Gdy szejk uporał się z ostatnim węzłem, chciał wstać, ale ja zatrzymałem go i zapytałem:

-- Chcesz odejść?

-- 'Idk.

-- Z tą paczką?

-- Oczywiście. 'Idk postanowione.

-- Ty tak postanowiłeś. Ale czy nie zechcesz poczekać na to, co ja postanowię? Ja bowiem pozwolę sobie być innego zdania niż ty.

-- Pod jakim względem? Przede wszystkim powiedziałeś: "Ja te rzeczy

tu znalazłem". Czy istotnie ty byłeś tym, który je znalazł?

--1ó nie ma znaczenia. 'Ib wszystko jedno, kto je właściwie znalazł.

-- Nie bo do znalazcy należą przedmioty aż do czasu, kiedy s:ę będzie o nich decydować.

-- Pak się właśnie stało.

-- Nie bo ten, który sobie wmawia, że zadecydował; nie ma najmniejszego prawa do wydawania decyzji.

-- Czy masz mnie na myśli?

-- 'Ísik. Basz Nasir twierdzi, że te rzeczy skradziono w Meszhed Ali, El Ghani twierdzi, że Basz Nasir wykradł mu spis. Obaj znajdują się tu na obszarze Haddedihnów, którzy zatem powinni o tej sprawie zadecydować. Hadzi Halef Omar, szejk tego plemienia, ma zatem obowiązek zająć wszystko, co znajduje się w dywanie, do czasu aż zapadnie wyrok.

Szejk 1'dwil obrzucił mnie długim podstępnyim spojrzeniem i wyciągnął nogę, by skoczyć w moim kierunku. Kara wstał i stanął tak, jakby chciał podejść do leżącego tuż obok wielbłąda. Miał przy tym miły młodzieńczy uśmiech na twarzy. Szejk Beni Khalidów uważał, że jest on nieszkodliwy. Więc szybko sięgnął po paczkę i zenwał się, by zniknąć w mroku nocy. Wówczas Kara jednym susem wznosił się w powietrze i skoczył na niego od tyłu w ten sposób, że 'Idwil runął twarzą w piasek. Chciał się od razu poderwaE, ale nie mógł, ponieważ Kara leżał na nim i obiema rękami trzymał go za gardło. Haddedihni rzucili się na 'Pdwila i związali mu ręce i nogi.

'Iliwarz Halefa promieniała z radości kiedy zawołał do mnie:

-- Sidi, czy dobrze się Kara spisał?

-- Wspaniale.

-- 'Idk, wspaniale! Szkoda, że Hanneh, najlepsza z matek tego nie widziała. Co zrobimy teraz z szejkiem Beni Khalidów?

-- Zrób z nim, co zechcesz.

-- Możesz być pewny, że postąpię ku twemu zadowoleniu.

-- Jeśli tak, to przekażę ci coś więcej.

-- ~?

-- Paczkę i tego mekkaficzyka.

-- Dziękuję ci, że w ten sposób umożliwiasz mi działanie. Zaraz usłyszysz jakie mądre wydam sądy.

Hadzi Halef w godnej postawie podszedł do 'Pdwila Ben Szahida i rzekł:

--'I~raz dowiedzieliśmy się, kto tu decyduje. Już raz batem dałem ci nauczkę, że Haddedihi z wielkiego plemienia Szammarów dobrze wiedzą, kim są i co potrafią. Ty jednak nie zapamiętałeś tego, pouczam cię więc po raz drugi. Wszędzie dokądkolwiek przybędziemy, jesteśmy władcami, a więc i tutaj. Zrobimy co nam się podoba. Co prawda zawarłeś z nami umowę, którą my dotąd przestrzegaliśmy. Ale czy sądzisz, że ci zaufałem? W sercu twoim na pewno tkwi chęć odwetu za mój bat i choć usiłowałeś to ukryć, nie mogłeś mnie zmylić.

-- Milcz! -- ofuknął go uwięziony. -- Dotrzymałbym umowy.

-- Złamałbyś ją choćby przez to, że chciałeś nas oszukać z paczką.

--'I~go nie było w naszej umowie.

-- Dobrze, więc przyjmę, że spełniłeś nasze warunki. Ale od chwili rozstania, jechałbyś naszym śladem, by się zemścić.

-- 'Pdk. Zrobiłbym to. Jestem zbyt dumny, by zaprzeczyć i także

teraz mówię, że nie zrezygnuję z zemsty. Od początku postępowaliście wobec nas jak oszuści, podając się za Beni Solaibów, podczas gdy jesteście Haddediwnami.

-- Tak -- roześmiał się wesoło Halef. -- Beni Soalibowie, którzy jechali po zakupy i mieli przy sobie pieniądze, na które ty miałeś ochotę. Tę też twoje czule serce ogromnie cię zabolalo, kiedy dowiedziałeś się, że tych pieniędzy albo nie ma, albo nie możesz nam ich odebrać. Kto ma taką czulą duszę jak ty, musi być ogromnie rozżalony.

-- Przestań szydzić! Żądam, by mnie uwolniono. Zgodnie z naszą umową nie masz prawa znów mnie wiązać. Uwolnilem Persa i dlatego żądam, by mnie uwolniono. Zwrócono mu nawet jego hedżina.

-- To zrozumiale samo przez się. Ale wcale nie jest zrozumiale, że mamy cię uwolnić po raz drugi. Drugi raz zostałeś uwięziony dlatego, że chciałeś uciec ze skradzionymi przedmiotami Kans el ~Adha. Teraz od naszej dobrej woli zależy, czy i kiedy za ten "skarby członków" przywrócimy ci użyteczność twoich własnych.

-- Przestrzegam was, że moi wojownicy wrócą by mnie uwolnić i krwawo się zemszczą.

-- Allah! Allah! I~nie wrócą przed jutrzejszym dniem, sam o to przecież zadbałeś. A jeśli by przybyli za wcześnie to nie sądz, że się ich boimy. Jeden Haddediwn podejmie walkę z dwudziestoma Bani Khalidami, a przy tym jesteś dla nas najlepszą przed nimi obroną. Jeśli się dowiedzą, że w razie napadu dostaniesz kulę w łeb, nie zechcą chyba

-- Niech cię Allach spali!

-- My nie palimy się tak dobrze jak wy, bo przez grzechy jesteście chudzi jak szczapy. Na razie jesteś załatwiony i musisz spokojnie czekać, aż o tobie zadecyduję. 'I~raz kolej na szacownych dostojnych panów mekkaficzyków.

-- Zwami nie muszę zadawać sobie trudu, a więc zrobię to możliwie najkrócej.

El Ghani podobny był do nasyczonego wściekłością lontu. Wybuchnął. Mowa arabska, jak żadna inna bogata jest w obelżywe słowa. El - Ghani widocznie znał je wszystkie. Wybuchnął takim potokiem słów, że Halef, którego nie łatwo było zaskoczyć, na razie ze zdziwienia milczał. Potem jednak się roześmiał i to coraz głośniej. Zawtórował mu jeden z Haddedińów i wreszcie wszyscy śmiali się chórem. 'Ib sprawiło, że mekkaficzyk umilkł. Kiedy minęło ogólne rozbawienie, Halef opanował się i zawołał do El Ghaniego:

-- Widzisz, omal nas nie zabiłeś. Jesteś człowiekiem o wiele groźniejszym, niż myślałem. Kto nie ma zbyt zdrowych płuc, zadusiłby się przy śmiechu z ciebie. Dlatego wolę nie mieć z tobą nic do czynienia. Przekazuję cię Basz Nasirowi. On cię gonił, by cię pochwycić, teraz należycie do niego. Żaden grzech nie może ujść bezkarnie, także wasz.

Pers zapytał szybko:

-- Hadzi Halefie Omarze, czy mówisz to serio?

--'Pdk.

-- Ale zastawnów się, przekazując mi tych ludzi, uznajesz, że są winni.

-- Wiem o tym i tak też chcę, żeby było.

-- Więc mogę z nimi zrobić, co zechcę i ukarać ich wedle mojego uznania?

-- Nie.

-- 'I~raz sam sobie przeczysz. Oddajesz ich w moje ręce, a nie pozwalasz postąpić z nimi wedle mojego uznania.

-- Zechciej mnie dobrze zrozumieć. Jeśli ja tu podejmuję decyzję i przekazuję ich w twoje ręce, rozstrzygam sprawę na twoją korzyść. Byłeś uwięziony, a teraz jesteś wolny, oni byli wolni, a teraz są uwięzieni. Tego nie może nic zmienić. Oni zostali ci przekazani. Ale o ich ukaraniu nie możesz decydować sam. Musimy dotrzymać zobowiązań wobec szejka Beni Khalidów, gdyż raz danego słowa nawet wobec wroga należy dotrzymać. Mówiłeś, że masz zamiar sprowadzić mekkaficzyków do Meszhed Ali, gdzie z pewnością zostaną skazani na śmierć. My natomiast uzgodniliśmy z 1'dwilem Ben Szahidem, że będziemy o nich walczyć i przyrzekliśmy, że w razie naszego zwycięstwa nie poniosą szkody na życiu ani na ciele. Aby spełnić naszą obietnicę musimy zwołać naradę, w której wezmą udział trzy osoby.

-- Kim są te trzy osoby?

-- Po pierwsze ja, bo ja...

-- Kutub, kutub! -- wpadłem Halefowi w słowo.

Musiał się przez chwilę zastanowić, co oznaczało moje wołanie, potem poprawił się, odpowiadając mi ze śmiechem:

-- Rozumiem sisi, masz rację. A więc ci trzej to: nasz sisi, któremu wyrażam szacunek i uznanie, następnie Khutab Aga jako główny nadzorca skradzionego skarbu. Wreszcie jako ostatni - słyszysz, sisi?

- jako ostatni ja, szejk Haddediwnów, na których obszarze wy wszyscy się znajdujecie. A więc my trzej naradzimy się, co należy zrobić, a co postanowimy, zostanie wykonane. Nikt nam w tym nie przeszkodzi.

El Ghani zawołał z gniewem:

-- Nie macie prawa rozstrzygać! Te rzeczy należą do mnie, jak o tym świadczy skradziony spis. Pamiętajcie, jaką władzę mam w Mekce i ...

-- Cicho bądź -- przerwał mu szejk Beni Khalidów. -- Kim i czym jesteś w Mekce, jest Haddediwnom obojętne, a twoje groźby są bezcelowe. Byłem nieostrożny, kiedy odprawiłem goficów, bo moi wojownicy będą czekali do rana. Ale gdy przybędą, to okaże się, czy jeden Haddediwn da sobie radę z dwudziestoma Beni Khalidami. Poza tym

147

mamy uwięzionych żołnierzy jako zakładników. Jeśli chociaż jednemu z nas spadnie włos z głowy, wszyscy zostaną zabici. O tym powinni pomyśleć ci trzej potężni sędziowie. Decyzja jaką podejmą nie zastraszy nas. Poza tym zostało ustalone, że walka toczyć się będzie nie tylko o tych żołnierzy, lecz także o was. Tak więc przed zakończeniem pojedynku nie wam się stać nie może i nie ulega wątpliwości, że to my Beni Khalidowie, zwyciężymy i wszyscy zostaniemy uwolnieni.

Wtedy Halef wtrącił ironicznie:

-- Wielka jest twoja przenikliwość. Sięga stąd do nieba. Ale głowa uniesiona tak wysoko w górze, nie dojrzy, że sprawa tu na dole inaczej wygląda. Na razie nikt nie powiedział, że o ciebie także będzie się toczyła walka. Zostaniesz naszym więźniem, jakkolwiek będzie wynik walki. Poza tym naszą umowę zawarliśmy wówczas, kiedy mekańczycy znajdowali się pod twoją opieką. 'i~raz sa w naszej niewoli.

A może naprawdę sądzisz, że jesteśmy takimi głupcami, by walczyć o rzeczy, które w inny sposób zdobyliśmy?

--'Ib by było tchórzostwo -- wybuchnął szejk. -- Rozgłosilibyśmy na cały świat, że się nas boicie.

-- Śmiechu warte! Chcesz rozgłaszać takie rzeczy, będąc naszym więźniem, który prawdopodobnie dostanie kulę w leb! Oto mój bat! Kto z was powie jeszcze słowo bez mego zezwolenia, temu natychmiast zamknę usta. Ib obietnica, której na pewno dotrzymam.

Ibn z jakim mały szejk to powiedział, był tak stanowczy, że tamci zamilki. Całkowicie aprobowalem jego zachowanie. Odkąd decyzja była w jego rękach, stał się jakby innym człowiekiem. Czuł się niezależny i to dodawało mu pewności siebie. Wystawił kilku Haddedihnów na warcie, zbadano studnię, zaczerpnięto wody, aby móc napić nasze konie i wielbłądy. Halef poszedł do Hanneh, by zdać jej sprawozdanie z wydarzeń. Kara Ben Halef nadzorował pracę przy studni, a ja poszedłem sprawdzić, czy posterunki odpowiednio się ustawiły.

Upiór

Kiedy wróciłem ze swego obchodu, nadszedł Halef. Chciał coś powiedzieć, co było przeznaczone tylko dla mnie.

-- Sidi -- rzekł tajemniczo -- pozwoliłeś mi co prawda samodzielnie rozkazywać, ale jest jeszcze coś, w czym musisz mi doradzić.

-- O co chodzi? -- zapytałem

-- Znasz moją Hanneh, najmądrzejszą głowę spośród wszystkich głów świata. Przecież wiesz o tym?

-- Owszem.

-- No dobrze. Gdybyś jeszcze nie wiedział, to musiałbyś to teraz

przynać. W tej mądrej głowie powstał plan, który mnie po prostu zachwylił. Mitczysz. Nie jesteś ciekaw, co mam na myśli?

-- Milczę, bo tym prędzej się dowiem, im mniej sam będę mówił.

-- Ten plan dotyczy uwięzionych żołnierzy. Uwolniliśmy się pod każdym względem od obietnicy danej szejkowi Beni Khalidów, a te nie dotyczy to tych żołnierzy, o których wyzwolenie jeszcze trzeba walczyć. Byłoby to zbędne gdyby nam się udało w nocy wyzwolić ich za pomocą jakiegoś fortelu. Co o tym sądzisz?

-- Masz rację, sam już o tym myślałem. Jest co prawda łatwy sposób, aby ich uwolnić, wymieniając na szejka 'Pdwila. Ale już raz został on

149

wymieniony i ten sposób nie wydaje mi się zbyt pomysłowy...

Wtedy Halef mi przerwał:

-- Pomysłowy, to jest właściwe słowo. Musimy być pomysłowi, a ja ci powiadam, że wcale nie musimy, bo Hanneh wpadła na pomysł zamiast nas. Dowiedziała się, że nie uwolniliśmy jeszcze żołnierzy i musimy o nich walczyć. Ona jest odważna dzielna i śmiała. Wie, że nie damy się pokonać i ani trochę się o nas nie boi, ale jako kobieta mądra jest zdania, że jeśli się ma do wyboru osiągnąć wynik przebiegłością lub gwałtem, trzeba wybrać przebiegłość. Jak się dowiesz o jej planie, będziesz zdumiony.

-- Mam nadzieję, że powiesz mi o nim jeszcze w tym stuleciu.

-- Ależ tak, drogi sisi. Pozwól tylko, że najpierw zapytam: przed kim Beni Khalidowie tak niedawno uciekali?

-- Przed Munedżim, bo sądzili, że to upiór.

-- A co będzie, jak ten upiór znów się nagle zjawi?

-- Hm, to jest ten pomysł Hanneh?

-- 'Ihk. Co o nim sądzisz?

-- Jest typowo kobiecy.

-- Prawda? Typowo kobiecy i bardzo zręczny. Powodzenie mrowane, wszyscy uciekną.

-- Naprawdę tak sądzisz?

-- Czy sądzę? Jestem przekonany. Więc się zgadzasz. 'Pdk zrobimy.

-- Powoli, drogi Halefie! Kto powiedział, że się zgadzam?

-- Nie zaprotestowałaś, więc się zgadzasz.

Już miał odejść, ale zatrzymałem go i powiedziałem:

-- Nie tak szybko, Halefie! Pozwól, że trochę ochłodzę twój zapal.

A jeśli Beni Khalidowie nie uciekną?

-- Na pewno uciekną. Hanneh tak powiedziała, więc tak będzie.

Wiem co prawda, że z ciebie trzeźwy człowiek, ale tyle wyobraźni chyba masz, by sobie przedstawić ich przerażenie, kiedy upiór znowu się przed nimi ukaże z płonącymi pochodniami w rękach.

-- Z pochodniami?

150

--'1'dk, z pochodniami z włókna palmowego i smoły. Wiesz przecież, że zabraliśmy je ze sobą, by w razie potrzeby w drodze oświetlić obozowisko.

-- Owszem, wiem. A więc Munedzi ma się zjawić z pochodniami, a oni wezmą nogi za pas? A jeśli zabiorą ze sobą żołnierzy?

-- Do głowy im to nie przyjdzie. Będą tak wystraszeni, że uciekną, nie troszcząc się o nich.

-- A potem?

-- Potem uwolnimy żołnierzy i odjedziemy z nimi, zanim wrócą

Beni Khalidowie.

-- Pomyśl, że musimy mieć broń, wielbłądy i wszystko, co potrzebne jest żołnierzom!

-- Tb nie potrwa długo, bo zabierzemy ze sobą tylu Haddedińców, ilu nam potrzeba. Pozostaną w mroku nocy za Mnedżim, aż nadejdzie właściwy moment.

-- Przecież Munedzi jest ślepy, a nie można go prowadzić, bo początkowo muszą zobaczyć tylko jego.

-- ~k go ustawimy, że pójdzie prosto przed siebie. Tb nie takie trudne.

-- Czy zechce wziąć udział w takim fortelu?

-- Czemu nie? ~owiemy mu o co chodzi.

-- 'I-go nie wolno nam robić, bo nie wiemy, jaki będzie jego stosunek do mekkańczyków, jego dotychczasowych przyjaciół. Czy on może słyszał wszystko, co opowiedziałaś Hanneh?

-- Nie on był znów w swoim stanie przypominającym sen i nie wie gdzie jesteśmy i co ma się tu zdarzyć.

-- I nic mu nie powiemy. Nie możemy dopuścić, by z powodu lojalności wobec mekkańczyków zrobił coś, co by nam przeszkodziło. W jego obecnym stanie, nie możemy go wykorzystać do zrealizowania planu Hanneh.

-- Więc poczekamy, aż się obudzi.

-- Jak chcesz doprowadzić do tego, by odegrał rolę upiora który

151

niesie pochodnie?

-- Sidi, to już sprawa Hanneh. Ona w odpowiednim czasie wpadnie na właściwy pomysł, możesz na niej polegać. A teraz powiedz, czy się zgadzasz?

-- Wydaje mi się to trochę niepoważne i nie licuję z godnością dzielnych Haddediwnów. Możemy osiągnąć nasz cel w inny, godniejszy sposób.

-- Ale ten inny sposób nie spodoba mi się, bo nie powstał w głowie mojej Hanneh. Proszę cię wstąpić w studnie jej myśli. Wymyśliła taki cudowny plan, a teraz miałby pozostać on nie zrealizowany? A więc już chociażby ze względu na nią musisz dać na to swoją zgodę. Ponieważ jego protest opierał się na tak ważnych podstawach, szybko odpowiedziałem:

-- Drogi Halefie, co prawda zostaję przy swoim zdaniu, ale nie chcę ci stać na drodze, więc spróbuj wykonać ten wspaniały plan twojej dzielnej Hanneh.

-- Dziękuję ci sidi! Zaraz omówię z nią wszystko.

-- Drogi Halefie, plan powstał w jej głowie, ale jego wykonanie pozostaw mężczyznom. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie są Beni Khalidowie i jak obozują. Idę to sprawdzić, a ty chodź ze mną.

-- Ależ sidi, o to nam właśnie chodziło, by tę sprawę załatwić bez twojej pomocy.

-- Na to nie mogę się zgodzić. Figiel, jaki chcesz splatać Beni Khalidom, jest podobny do chłopięcego psikusa, ale może mieć dla nas żalosne skutki. Jeśli mimo wszystko się na to zgadzam, to tylko pod warunkiem, że wykonanie odbędzie się pod moim nadzorem.

Jeśli ci to nie odpowiada, to rezygnujemy z tego i wymienimy żołnierzy na szejka, decyduj!

-- Sidi, zgarniesz mojej Hanneh śmietankę z mleka, ale widzę, że cię nie przekonam, więc chodźmy!

Był niezadowolony, ale nie ustąpiłem.

152

Poszliśmy w kierunku, gdzie jak sadziłem, znajdowali się Beni Khalidowie. Przypuszczałem, że wybrali okolicę, gdzie pod wieczór ich widziałem, jak się modlili. I nie pomyliłem się. Najwidoczniej mieli tam także opał, bo migotały dwa ogniska.

Miejsce było otoczone skałami. Za jedną z nich skryliśmy się w celu obserwacji. Co prawda nie było dość jasno, by rozróżnić poszczególnych Beduinów, ale ich grupy były widoczne. Po lewej stronie leżący na ziemi Beduini tworzyli grupy w kształcie półksiężyców, których czubki sierpów zwrócone były do siebie. Między nimi były wolne, podłużne, wąskie miejsca, na końcach paliły się ogniska, a w środku leżeli żołnierze. Było oczywiste, że Beduini mieli przy sobie broń, ale nie mogliśmy wykryć, gdzie znajdowali się "najemni wojownicy sultana". Na szybkie wykonanie przedsięwzięcia mieliśmy bardzo mało czasu. Kiedy powiedziałem to Halefowi, odparł:

-- Nie widzę powodu, by mimo wszystko nie zrealizować planu.

Grunt to wyzwolić żołnierzy. Szejk Beni Khalidów bazuje na tym, że są związani, a ja już się cieszę na widok jego zawiedzionej miny, kiedy się dowie o ich uwolnieniu. Ich broń i wielbłądy i co tam do nich należy, będą musieli nam później wydać, bo inaczej nie wypuścimy szejka.

Wróciliśmy do Hanneh, która w napięciu czekała na wynik.

-- Sidi się zgodził -- rzekł Halef -- bez zastrzeżeń. Był zachwycony, kiedy opowiedziałem mu o twoim cudownym pomysle. Poszliśmy, by wykryć obóz Beni Khalidów i wracamy po twoje dalsze światłe pomysły.

Podczas, gdy Halef moją pełną zastrzeżeń opinię przemienił w entuzjazm, ja skupilem uwagę na Munedzim. W panujących ciemnościach nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale wyprostowana postać i sposób, w jaki słuchał słów Halefa, świadczyły, że jest przytomny.

Gdy Halef skończył zwrócił się do niego:

-- Słyszę po twoim głosie, że jesteś Hadżim Halefem i dowiedziałem się, że jestem tu z Hanneh, twoją żoną. Ucho moje mi mówi, że ktoś

153

z tobą przybył, kto to jest?

-- Tb Hadżi Akil Szatir, effendi z Wadi Draa -- odparł Halef.

-- Bądź pozrowiony, Hadżi Akilu Szatirze effendi! Udzieliliście mi pomocy, mnie biednemu, opuszczonemu ślepcowi, więc uczynię teraz to, czego ode mnie żądacie. Nie pytając o powody waszego życzenia.

-- Jakie zadanie masz na myśli? -- zapytałem.

-- Hanneh prosiła, bym wziął w każdą rękę płonącą pochodnię i powolnym krokiem, nie mówiąc ani słowa, szedł przed siebie. Przyrzekła, że o przyczynach tego zadania dowiem się później. Na ogół nigdy nie robię niczego, nie wiedząc po co, ale w tym wypadku postąpię wbrew moim zasadom, bo jestem wam głęboko wdzięczny. Te słowa potwierdziły, że żona Halefa w swej kobiecej przezorności była tak roztropna, iż nie powiedziała mu nic o wypadkach, jakie

rozebrały się w ciągu ostatnich godzin i dobrze zrobiła.

Teraz Hanneh rzekła do mnie:

-- Słyszysz sisi, wszystko dobrze przygotowałam, a ponieważ Halef mówił, że i wy jesteście gotowi, to chyba nie będziemy dłużej zwlekać?

-- lhk, możemy od razu zrobić próbę, czy odniesiemy sukces, jakiego się spodziewasz.

-- Nie wątpię w to sisi. Czy możemy już iść?

-- My? Czy masz siebie na myśli?

-- 'Pdk. 'Ib mój plan i chcę być przy tym, kiedy moje myśli się urzeczywistnią. Czy masz coś przeciwko temu?

-- Właściwie tak, to co planujemy, to nie sprawa dla kobiet. Nie chcę cię pozbawiać przyjemności, którą się cieszysz, ale proszę, abyś przez cały czas była przy mnie.

-- Przyrzekam ci.

-- Więc niech przyniosą pochodnie. Halefie, dziesięciu Haddedih-nów zostanie tu z Kara Ben Halefem, by pilnować tych przy ognisku. Reszta ruszy z nami. Niech wezmą noże, strzelby by tylko przeszkadzały. Mój sztucer chyba wystarczy, oddali od nas ewentualny atak. Ja, Munedzi, ty i Hanneh pójdziemy przodem, reszta za nami i może

154

robić tylko to co im rozkażemy.

Wkrótce byliśmy w drodze. Szliśmy cichym krokiem. Było to dziwne przedsięwzięcie, czułem jak gdyby wstyd. 'I-go rodzaju pomysł mógł powstać tylko w głowie osoby, której nadzieja opierała się na znajomości przesądów wśród Beni Khalidów.

Doszliśmy do miejsca, skąd przedtem z Halefem obserwowaliśmy

Beduinów i ujrzelśmy, że nic się nie zmieniło. Każdy Haddedihi otrzymał wskazówkę, co ma robić. Stanęli za nami, czekając na rozkaz. Przed nimi stał Munedzi, z twarzą skierowaną, nie tam gdzie miał iść, lecz trochę na prawo. Dlaczego?

Okazało się, że było to słuszne. Ślepiec przez krótki czas trzymał właściwą postawę, a Halef i ja pozostaliśmy za skałą, by zapalić pochodnie. Gdy już zapłonęły, skoczyliśmy do Munedziego i daliśmy mu je do ręki, mówiąc, żeby szedł naprzód i trzymał je z daleka od siebie. Ruszył powolnym krokiem.

Przekazanie pochodni odbyło się tak szybko, że z obozu Beni Khalidów mogło to wyglądać jak wybuch dwóch płomieni.

Początkowo zdawało się, że ślepiec za bardzo skręca na prawo, co zaniepokoiło Halefa.

-- Sidi, on przejdzie między ludźmi i wielbłędami. Jeśli przedsięwzięcie ma się udać, to Beni Khalidowie muszą widzieć, że on idzie prosto na nich.

-- Nie bój się -- odparłem

Munedzi, skręcił w lewo i zaczął podchodzić do najbliższego ogniska Beduinów.

Co do Beni Khalidów to początkowo jakby nie spostrzegli pochodni, ale gdy Munedzi zrobił jakieś dwadzieścia kroków, nastąpiła pożądana reakcja. Usłyszeliśmy najpierw kilka głośnych okrzyków, a potem Beduini zerwali się z miejsc. Co oznaczały dwa płomienie wylaniające się nagle z ciemności! Stali wyczekująco i w milczeniu. Im bliżej był ślepiec, tym wyraźniej rysowała się jego postać. Wyprostowana, poruszająca się powolnym, uroczystym krokiem wywierała

ogromne wrażenie. Szlachetne oblicze Munedziego, jego długa, srebrzysta broda stawały się coraz wyraźniejsze. W dodatku falująca szata, która bardziej niż ubranie europejskie nadawała się na strój upióra, ruchliwe migotanie pochodni, płonące ponurą czerwienią światło... ich konsternacja rosła i przemieniała się w strach. 'Ihraz poznali jego twarz i oto nadeszła chwila decyzji. Jeśli opanują swój strach to ośmieszyliśmy się i naszą sprawę zamiast polepszyć - pogorszyliśmy.

Prawdę mówiąc, ja byłem prawie przekonany, że poniesiemy fiasko, ale Haddedihni, którzy z napięcia ledwo ważyli się oddychać, byli gotowi do szybkiego ataku.

-- Uda się, uda się wspaniale -- szepnął Halef do swej żony

-- 1'ak uda się -- przytaknęła Hanneh. -- Uważaj, jeszcze chwila i zaczną uciekać.

Ja wciąż wątpiłem, ale "najlepsza z wszystkich kobiet" miała rację, bo właśnie rozległy się od strony ognisk wołania:

-- EI - chajal, el - chajal! Upiór, upiór! Niech Allach nas broni!

Uciekaj my.

Na ten okrzyk wszyscy zerwali się i w ciągu kilku sekund nie pozostał na miejscu ani jeden Beni Khalid. Jeszcze szybsi byli Haddedihni z Halefem na czele. Hanneh, tak zachwycona powodzeniem swego planu zapomniała o ostrożności i ruszyła spieszenie, wołając do mnie:

-- Szybko sidi, szybko! Powstrzymaj Munedziego, bo jeszcze wpadnie w ognisko!

Ostrzeżenie było słuszne, dogoniłem ślepcę zaledwie dziesięć metrów od ogniska. Zabrałem Munedżiemu pochodnie, przekazałem go Hanneh i poprosiłem:

-- Zaprowadź go z powrotem tam, gdzie się zatrzymaliśmy.

Haddedihni uwalniali żołnierzy.

-- 'I~raz chcemy wziąć wasze wielbłądy - rzekł Halef do nich -- ale w ciemności nie da się szybko ich znaleźć.

156

Podoficer znajdujący się wśród nich odparł:

-- Wiemy gdzie one są. To pierwszy rząd tam przy skale. Inne rzędy należą do Beni Khalidów.

-- A wasza broń?

-- Jest razem ze wszystkim co nam zabrali w wąwozie przy studni.

Wtedy zapytałem zamiast Halefa

-- Czy mimo ciemności potraficie znaleźć to miejsce?

-- Thk.

-- Bierzcie szybko wasze wielbłądy, a potem przynieście tamte rzeczy! Widzę tu dwa worki wielbłądziego lajna na opał. Zabierzcie je. Będą nam potrzebne.

Posłuchali. Ja z Halefem pozostałem jeszcze przez chwilę, żaden Beni Khalid się nie pokazał, a potem wygasiliśmy ich ogniska. Każdy z nas wziął jedną z płonących pochodni i poszliśmy do Hanneh.

Wkrótce żołnierze ze zwierzętami dołączyli do nas. Podoficer opisał nam położenie szczeliny skalnej, która od strony studni była niewidoczna. W świetle pochodni zdążaliśmy z wielbłądami do tego celu.

Kiedy tam dotarliśmy, zobaczyłem, że glazy są rozrzucone i tworzą

głęboką rozpadlinę, w której zniknęli askarowie z pochodniami. Gdy ~ wrócili ze swymi rzeczami, poleciłem, aby rozlokowali się po północnej stronie skały i czekali, aż po nich przyjdziemy. Ze względu na 'Pdwiła Ben Szahida nie chciałem zabierać żołnierzy do studni. Potem wróciliśmy wszyscy do naszego obozu, ale przedtem rozstaliśmy się z Hanneh i Munedżim, którzy nie rozpoznani przez naszych jeńców, udali się na swoje miejsce spoczynku. Pers siedział z Karą Ben Halefem i powiedział, że w czasie naszej nieobecności El Ghani i szejk Tawil zachowywali się bardzo butnie i że należałoby ich bezczelność ukrócić.

--1'ak też zrobimy -- rzekł skwapliwie ~Ialef. -- Im prędszej zastosuje się karę, tym dłużej będzie działała.

Wówczas przyrwał mu szejk Beni Khalidów:

-- Jeśli chodzi o karę, to przy mnie można o niej mówić tylko w tym

157

sensie, że to ja ją wam wymierzę, a nie wy mnie.

-- Zapomniałeś, że nie wolno ci teraz mówić? -- zganiał go Halef.

-- Jeśli tak bardzo pragniesz uniknąć kary, to hie będziemy stawali na drodze twemu szczęściu. Nie zostaniesz ukarany, lecz nagrodzony i to taką porcją batów, że posiekamy cię na kilka części: Ajeśli jeszcze raz odezwiesz się bez pozwolenia, to postaram się o to, by ta nagroda została podwojona.

Ujął przy tym znaczącym ruchem swój bat, wobec czego szejk uznał za stosowne nie oddzywać się więcej. Usiedliśmy we trzech, by tę trudną sprawę omówić, oczywiście tak, aby ani El Ghani, ani szejk niczego nie słyszeli.

Ustaliliśmy, że szejk 1'awil nie zostanie ukarany. Ale co zrobić z mekkańczykami? Khatub Aga chciał zabrać ich do Meszhed Ali, gdzie czekała ich pewna śmierć. Nam nie wolno było do tego dopuścić ze względu na dane szejkowi słowo. Pers oświadczył, że rezygnuje z zabrania ich ze sobą, ale nie opuści tego miejsca, dopóki nie zostanie pomszczony rabunek świętości.

-- Kiedy na to właśnie nie możemy się zgodzić -- narzekał Halef. --

Żądasz surowej kary, a więc kary na ciele, albo na życiu, a to przeczy naszej obietnicy. Gdybym był jej nie dawał.

-- Uspokój się, drogi Halefie -- wtrąciłem. -- T~n błąd nie powinien narzekać na samotność~, znajduje się w dobrym towarzystwie.

-- Czy to znaczy, że popełniłem jeszcze jakieś błędy?

-- 1'dk, kiedy szejk Ben Khalidów był po raz pierwszy naszym jeńcem, zażądałeś jako wymianę tylko naszego przyjaciela Khutab Agę, mnie natomiast musiałby on wydać również żołnierzy.

-- Ale już ich mamy.

-- 1'dk, teraz mamy. Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Zostaw te zarzuty! Chodzi o surową karę, ale nie na ciele ani na życiu. Może na dobrach? On nie ma nic ze sobą. Na honorze? Nie ma honoru.

Inne rodzaje kar jakie mógłbym zaproponować wymagają dużo czasu, a tego nie mamy. Ze wstydem muszę stwierdzić, że nie wiem co robi~.

-- Allah! Allah! Mój sisi choć raz nie wie co robić! To już koniec świata!

-- Nie żartuj! Tb sprawa poważna -- zganiał go Pers. -- Jeśli wrócę bez złodziei, będę musiał przynajmniej powiedzieć, że zostali ukarania stosownie do wielkości swego przestępstwa. A wasze przyrzecze-

nia nie pozwatają mi na to.

-- Nie gniewaj się -- poprosił Halef. -- W każdej przykrej sprawie znajduje się jakieś wyjście, także i w tej. Potrzeba tylko sprytu i wiem gdzie można go znaleźć. Należy go szukać w haremie, a że mój sisi nie wie co robić pójdę po radę do mojej Hanneh.

Zerwał się i pobiegł, był bowiem przekonany, że Hanneh nam pomoże.

I miał rację! Kiedy wrócił, usiadł znów z pełnym zachwytem uśmiechem i rzekł:

-- Nie omyliłem się, bo Hanneh, najsprytniejsza ze wszystkich sprytnych od razu dała radę: bastonada. Czy to nie wspaniale?

-- Nie -- odparłem. -- Zapewniam cię, że my obaj, Khutab Aga i ja, także pomyśleliśmy o bastonadzie.

-- Ale w niewłaściwy sposób! Myśleliście tak: mekkańczyków nie wolno karać ani na ciele, ani na życiu. Bastonada trafia w ciało i jeśli będzie za dużo razy, może spowodować śmierć, toteż nie możemy jej zastosować. '1'dk myśleliście, prawda?

--'Pdk, przynajmniej ja tak myślałem.

-- Ale to błędne mniemanie. Hanneh ujmuje to inaczej. Odpowiedz mi na pytanie, które ci zadaję w jej imieniu: jeśli bastonada nie zabija, to czy jest karą na ciele?

-- Nie.

-- Dalej, w jakie miejsce trafia bastonada?

-- W podeszwy.

-- Czy wtedy karane jest ciało?

--'Pak, bo podeszwy są częścią ciała.

-- Nie, bo chodzi tu o kończyny, a nie o ciało. Nasze przyrzeczenie

159

brzmiało, że mekkańczycy nie będą karani na ciele, czy tak?

-- Ani na życiu -- odparłem poważnie, choć wewnątrz byłem ubawiony.

-- No to dobrze. Więc Hanneh ma rację mówiąc: jeśli ukarzą go bastonadą w ten sposób, że on od tego nie umrze, to nie działacie wbrew przyrzeczeniu, gdyż razy otrzyma on nie w ciało, lecz w podeszwy stóp. No więc sisi, co o tym sądzisz? Czy nie podziwiasz niewyważonej logiki kobiecych myśli?

-- Istotnie podziwiam je.

-- No to dobrze. Ale ponieważ podziw oznacza uznanie, więc w tych słowach zawarta jest zgoda, której chyba i ty mi udzielasz, Khatubie Ago?

Pers wyraził zgodę jak najchętniej:

-- Dziękuję ci, Hadzi Halefie, z całego serca! Złodzieje, którzy zbeszczęścili święte miejsce, tym bardziej zasługują na karę, że swojej zbrodni dokonali jako nasi goście i wysłannicy wielkiego szarifa, więc rozumie się samo przez się, że nie chcemy jakiejś łagodnej bastonady.

-- Mowy nie ma -- zgodził się Halef. -- 'Tyle ile tylko możliwe, to zasada, której będziemy przestrzegać, ustalając ilość razy.

-- Słuszne, tyle ile to możliwe! Większość jednak musi dostać EI Ghani, bo on był prowodyrem tej zbrodni. Ponieważ jesteśmy co do tego punktu zgodni, proszę cię, Hadzi Halefie, byś mi powiedział, jaką liczbę razy wyznaczasz dla każdego.

-- Tirudno mi to określić. Możliwie dużo, ale żaden nie powinien

umrzeć od tego. Proponuję więc na razie próbną bastonadę, w ten sposób przekonamy się, ile każdy z nich może znieść. Kiedy to będziemy wiedzieli, wówczas łatwo ustalimy liczbę razów.

-- 1b prawda -- uśmiechnął się Pers. -- Ale taka próba pozbawiłaby nas możliwości wykonania kary, bo za długo musielibyśmy czekać, aż wygoją się podeszwy, a na to nie mamy czasu.

-- Wobec tego podejmiemy próbę od razu, traktując ją jako wykonanie kary. Sidi, co na to powiesz?

-- Zgadzam się -- odparłem, bo ten wyrok pozwalał mi wkraczać, kiedy uznam za właściwe.

-- Dziękuję ci -- uśmiechnął się Halef. -- Już myślałem, że w swojej znanej powszechnie łagodności sprzeciwisz się naszej sprawiedliwej i mądrej decyzji. I~raz zastanówmy się kiedy wykonamy karę. Jestem za tym, aby od razu.

-- Ja także -- odparł Basz Nasir.

-- A ja nie -- dodałem:

-- Dlaczego? -- zapytał Halef.

-- Bo teraz nie osiągnęłaby ona właściwego skutku. Kara powinna być wykonana w biały dzień i na oczach wszystkich wojowników Beni Khalidów.

-- Masz rację -- pochwalił mnie Hadzi, nie zdając sobie sprawy, że do tej decyzji skłonił mnie ukryty powód. -- Teraz jesteś dokładnie taki, jakim zawsze pragnąłbym, abyś był. Czekamy do rana, ale chyba nie masz nic przeciwko temu, że już teraz im zapowiem, jak umilimy im jutrzejszy dzień.

-- Jeśli chcesz, nie mam nic przeciwko temu.

Więc Halef wstał i zwracając się do mekkaficzyków, rzekł głośno,

tak by Hanneh to usłyszała:

-- Macie przed sobą najwyższy sąd pustyni, na który składają się trzej dostojni sędziowie. Przejrzeliśmy nikczemność waszych serc i rozmiar waszego przestępstwa. Ponieważ każda wina powinna być odpokutowana, niżam się łaskawie do was, by zawiadomić o wyroku, który zapadł. Postanowiliśmy by kradzież Kans el - A dha pozostawiła jako pamiątkę trwałe ślad na waszych podszwach. Wyciśnięcie tego piętna odbędzie się nad ranem w obecności wszystkich wojowników Haddedińców i Bani Khalidów. Jesteśmy przekonani, że przyjmiecie tę karę z głębią uczucia i zapamiętacie na przyszłość.

Po tym przemówieniu Halef grzecznie się uklonił i usiadł.

Przez chwilę mekkańczycy milczeli. Musieli najpierw oswoić się z tym co usłyszeli. Ale szejk Beni Khalidów wybuchnął wściekłością:

6 - Most śmierci 161

-- Co wam przychodzi do głowy! Czy kradzież, która dla was jest tylko pretekstem, by się wzbogacić, została dowiedziona? A gdyby nawet tak było, wy najmniej macie prawo tu sądzić. Poza tym daliście słowo, że moi przyjaciele i goście, znajdujący się pod moją opieką, nie poniosą szkody na życiu ani na ciele, a kto nie dotrzymuje obietnicy, ten jest łotrem. O bastonadzie mowy być nie może.

Halef odparł:

-- Co prawda zabroniłem ci mówić bez pozwolenia, ale w swej łaskawości nie sięgnę po bat. My dotrzymujemy słowa dokładnie tak, jak było powiedziane. Więcej nie możesz żądać. Bastonada się odbędzie, dotyczy ona stóp i nie przyniesie żadnych śmiertelnych skutków,

więc nie ma nic wspólnego z życiem ani ciałem.

-- To kłamstwo! Stopa należy do ciała.

-- Jeśli twoje ciało ma podeszwy, to jest to wyjątek, który chętnie uwzględnimy i ciebie bastonada ominie. Mekkańczyków natomiast dokładnie zbadamy. Gdy uznamy, że są zbudowani jak zwykli ludzie i mają podeszwy nie na ciele, lecz na stopach, to nie ominie ich kara.

-- Tb są wybiegi! Ostrzegam cię, że jestem władny objąć opieką moich gości.

-- W jaki sposób?

-- Pomyśl o moich wojownikach.

-- Chętnie. Właśnie myślę o nich, że są wobec nas bezsilni, bo mamy ciebie jako zakładnika.

-- A żołnierze! Każę ich rozstrzelać, jeśli tylko jeden z gości otrzyma baty.

Wówczas Halef pochylił się do jednego z Haddedihnów i wydał mu cichy rozkaz sprowadzenia żołnierzy. Jednocześnie ukazał się jeden z wystawionych strażników. Zameldował, że przybył wojownik Beni Khalidów, by przekazać swemu szejkowi ważną wiadomość. Mówił tak cicho, że nikt niepowołany tego nie mógł usłyszeć.

Halef wydał mu także tajny rozkaz.

-- Powiedz temu Beni Khalidowi, że szejk 1'awil jest zły, iż mu

162

przeszkadzają, że życzy sobie, by do jutra rana dano mu spokój, tu wszystko jest w porządku i goniec może wracać.

Haddedihn odszedł. Tymczasem mekkańczycy odzyskali mowę.

Nie wazyli się z powodu bata Halefa, zwrócić się ze skargą do nas

bezpośrednio i skierowali swe słowa do szejka 'Pdwiła, tak abyśmy je słyszeli. Lecz nagle umilkli i zwrócili oczy na zachodni róg skały, zza którego nadchodzili żołnierze. Każdy z nich miał karabin na ramieniu i prowadził swego wielbłąda na wodzy.

Cudowny był widok naszego małego Hadżiego, na jego twarzy malowała się z trudem powstrzymywana radość z wrażenia, jakie na 'I-wilu i mekkańczykach wywarło zjawienie się askarów. W milczeniu, z szeroko otwartymi oczami śledzili żołnierzy, którzy szli na wskazane im miejsce obozowania.

-- No i co? -- zapytał wreszcie Halef szejka. -- Chciałeś ich rozstrzelać. Oto oni, zrób to!

-- Jil'an daknak - przeklęta twoja broda! Jesteś oszustem od wewnątrz i od zewnątrz. Nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia.

Kto wie, jak Halef bardzo kochał swoją skąpą brodę, ten zrozumie, jak się poczuł obrażony tym okrzykiem. Wyszarpnął swój bat, przeciął nim powietrze, aż zaświstało i odparł gniewnie:

-- Wierzę ci, że nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia i musisz zrozumieć, że przegrałeś. A co do mojej brody, to nikt jeszcze nie pozwolił sobie jej obrażać. Skończyliśmy z wami do jutra rana. Po obudzeniu odbędzie się na powitanie bastonada.

Naprawdę był już pora na spoczynek nocny. Oczywiście należało się zabezpieczyć przed Beni Khalidami, dlatego Halef wydał rozkaz, by ustawiono posterunki. Opał używany oszczędnie, wystarczył, by było trochę światła podczas pojenia wielbłądów, co wskutek przerw w czerpaniu wody trwało całą noc.

My trzej, Halef, Kara i ja zaprowadziliśmy nasze konie do tacht-

rewanu i położyliśmy się tam, by być w razie potrzeby w pobliżu

Hanneh i Munedziego. Pers przyszedł do nas, a paczkę ze "skarbem

163

członków" wziął troskliwie pod swoją opiekę.

Munedzi siedział oparty plecami o skałę i spał. O zaspokojenie jego potrzeb cielesnych zadbała Hanneh podczas wieczoru. Mało jadł, ale często pił wodę. Pomijając jego marsz z pochodniami do Beni Khali-dów, cały czas spędzał w stanie półsnu, wciąż paląc. Jak nam Hanneh nazajutrz powiedziała, było jej niewygodnie, tak często podawać mu ogień. Tytoniu i zapalek miała co prawda dość, ale ponieważ płomyki nie powinny były do nas docierać, była zmuszona zapalać fajkę za lektyką i sama robić pierwsze pociągnięcia.

Waga sprawiedliwości

Jak zwykle przed udaniem się na spoczynek pogłaskałem swego konia, otuliłem się haikiem, by zasnąć. Ale nic z tego nie wyszło, ledwo zamknąłem oczy, Munedzi zaczął się ruszać, przy czym w dziwny sposób mówił przed siebie, a cichym urywanym dźwiękom towarzyszyły wypowiedane półgłosem, bardziej powiązane słowa:

-- On tu jest...?'Pak, słucham cię... powiem mu... pójdę z nim... tylko mnie prowadź... !

Odsunął się od skały, poruszył głową, jakby się rozglądał na boki i zapytał: .

-- Czy jest tu Akil Szatir effendi?

-- Tak -- odparłem.

-- Nie pozwól teraz twojej duszy zasnąć! Spadnie promień z nieba, a ty musisz być gotowy na otwarcie przed nim swego wnętrza i musisz

przyjąć go z wdzięcznością.

Jak to brzmiało? Była to mowa wiązana. Był to głos Munedziego, a jednak wydawało mi się, że to nie jego głos. -- Wstań -- ciągnął dalej -- i pomóż mi się podnieść! Mam cię poprowadzić.

-- Dokąd? -- zapytałem wstając.

-- Nie wiem. Nie pytaj. Zobaczysz.

165

Podąłem mu rękę i podniosłem go.

-- Chodź ze mną!

Wypowiadając to żądanie, uwolnił moją rękę i opuścił miejsce mocnym pewnym krokiem. Inni też się zbudzili i wstali.

-- Sidi, czy mogę także pójść? -- szepnął Halef.

-- 'Idk.

-- I ja także? -- zapytał Pers po cichu.

-- Możesz iść. Ale Kara musi zostać z matką.

Munedzi szedł przodem - nikt go nie prowadził - prosto na pustynię. 'Ii-zymał się prosto, każdy jego krok był stanowczy, jak gdyby szedł utartą ścieżką. Wydawało się, że to nie ciemna noc, lecz jasny dzień i że on wcale nie jest ślepy. Szliśmy za nim zdumieni w kierunku północnym, prosto ku najbliższej wyspie skalnej. Munedzi jej nie omijał, lecz szedł powoli i pewnie na stromą górę, przy czym do utrzymania równowagi używał tylko jednej ręki, drugą trzymał stale tak, jak gdyby obok niego ktoś szedł, kogo my nie widzieliśmy. Kiedy się wspinał, wydawało się, że ktoś go wciąga do góry. Najbardziej zastanawiające było to, że my trzej w ciemności często się potykaliśmy, ślepiec natomiast nie.

Nie mogłem tego poją~.

Kiedy dotarliśmy na górę, zatrzymaliśmy się, by odetchną~ po wspinaczce, Munedzi nie. Modlił się po cichu, potem wskazał na małe wzniesienie skalne lśniące przed nami i rzekł:

-- Usiądź na tym kamieniu! Ja będę stał, bo tylko ciało się męczy, teraz moja dusza będzie mówiła to co usłyszysz.

Posłuchałem go, a Halef i Basz Nasir usiedli obok mnie. Munedzi przez chwilę stał bez ruchu, z głową przechyloną mocno na bok, jakby nasłuchiwał czegoś w oddali. Byliśmy niezwykle napięci. I oto Munedzi zaczął:

-- Witajcie pielgrzymi tej ziemi, witam was mową waszego świata.

Gdybym przemówił na nasz sposób, nie byście nie usłyszeli, bo wasze ucho odbiera tylko dźwięki, my natomiast nie mówimy potokiem

166

słów, naszym językiem jest czyn.

Słuchaliśmy ze zdziwieniem, nie był to bowiem głos Munedziego, lecz zupełnie inny. Słyszałem różnych naśladowców głosów, ich osiągnięcia były doskonałe, ale żaden z nich nie zdołał zmienić głosu tak całkowicie. Gdybym nie widział Munedziego przed sobą, byłbym przekonany, że mówi do nas zupełnie inna osoba.

-- Skierujcie wasze oczy na sklepienie nieba. Nad wami i za wami lśnią gwiazdy, patrzycie stąd na wszystkie strony i w miliony i miliardy nieskończoności.

Niemożliwością jest opisanie nastroju w jakim się znajdowałem.

Nad nami niebo, na którym widat było tylko gwiazdy, dookoła nas pustynia z jej tajemniczym milczeniem. Przed nami zagadkowy czło-

wiek, który tu na ziemi był ślepy, ale twierdził, że widzi zaświaty i przed nami odsłaniał nie zbadaną dotąd ciemność. Byłem ogromnie napięty, Halef i Pers nie mniej, albowiem oni jako ludzie Wschodu mają większe zrozumienie dla tego rodzaju sytuacji niż ja, zimny Europejczyk.

-- Chodź, poprowadzę cię! -- usłyszeliśmy. Munedzi mówił to obcym głosem, a własnym odpowiedział sam sobie -- idę za tobą, Ben Nurze, który jesteś aniołem Allacha i nauczycielem mojej duszy! Aby łatwiej było zrozumieć to, co nastąpiło potem, pozwólcie mi ;ř... odróżnić Ben Nura od Munedziego. Co prawda mówił tylko ślepiec, ale to co usłyszeliśmy, to rozmowa między dwiema osobami, których głosy brzmiały tak odmiennie, że przy zamkniętych oczach, moglibyśmy przysiąc, że przed nami stoją dwie postacie.

Minał jakiś czas, podczas którego ledwie ważyliśmy się oddychać. Raz usłyszeliśmy jak ślepiec swoim własnym załęcznionym głosem powiedział: --'Ii~zymaj mnie, och, trzymaj! -- Potem nastąpiła cisza. Munedzi stał wyprostowany, z jedną ręką uniesioną, jak gdyby ktoś go prowadził. Potem opuścił rękę, drugą zaś przesunął po twarzy jak ktoś, kto rozgląda się dookoła zdumiony.

--'Już doszliśmy. Teraz pozostań przy moim boku i powiedz, co

167

widzisz! Nie obawiaj się niczego, bo jestem przy tobie i nikt nie waży się do nas zbliżyć.

To rzekł ślepiec głosem Ben Nura, na co sam odparł własnym głosem:

-- Nie obawiam się, bo nieraz już pokazałeś mi okropności, które

mi nic złego nie uczyniły. Wiem, że przy tobie jestem bezpieczny.

Rozejrzał się szybkim ruchem głowy i rzekł:

-- Co za cuda! Dokąd mnie przyprowadziłeś? Widzę przedmioty i ludzi, którzy nie są jednak ludźmi i przedmiotami. To wszystko jest tak ukształtowane i porusza się jak na ziemi, a jednak jestem przekonany, że tu nie ma nic ziemskiego.

-- Powiedz co widzisz, a ja ci wytłumaczę -- nakazał inny głos.

Na to Mtinedzi podniósł ramiona i ciągnął dalej:

-- Stoję na wysokim, szerokim kamieniu tylko z tobą. Za nami ciągnie się mur, którego wysokości i końca nie dostrzegam. Ma on dwoje wąskich, niskich otworów, przez które stale ukazują się ludzie i idą w naszym kierunku, by połączyć się przed nami w szeroki pochód.

-- Tb EI Wida, mur, po którego drugiej stronie kończy się życie ziemskie, droga wiedzie do jednych z owych drzwi, przed którymi żaden śmiertelnik nie może się zatrzymać ani zawrócić, chyba, że Bóg mu na to pozwoli.

-- Przede rnną rozciąga się wielki pusty obszar -- mówił ślepiec -- ograniczony czarną przepaścią. Nad nią przerzucony jest most, którego szerokość wynosi zaledwie tyle co ostrze brzytwy.

-- 1b jest Es Ssirat, most śmierci -- objaśnił Ben Nur -- prowadzi on nad El Halak, przepaścią zagłady i upadku. Poznajesz, gdzie on się kończy?

-- l~k, widzę, ale nie tak wyraźnie, jak bym chciał. 'I~ wrota, lepiej bym widział, gdyby nie płonął na nich napis "Ku wiecznej szczęśliwości". Nie mogę także dojrzeć obu krańców, które unoszą się znad przepaści i nie mogę się wznieść w górę, jestem za ciężki.

-- Jesteś ciężki, bo należysz do ziemi, na której istnieje prawo

168

ciężenia, które dla ciebie na krótką chwilę pokonałem. Powiadam, na chwilę, bo tu, gdzie jesteśmy, istnieje jeszcze czas. Wieczność zaczyna się tam, przy moście. Ty stoisz u progu zaświatów. Ty widzisz siebie pomiędzy czasem i wiecznością. Co jeszcze widzisz?

-- Widzę gromady dusz, które dążą przez niesamowicie cichą pustynną przestrzeń śmierci do mostu. Niech mnie Allah ochrania i broni!

Zb ostatnie zdanie zawołał starzec głośno, jakby nagle znalazł się w niebezpieczeństwie. Pelen strachu rozpostarł ramiona i niespokojny opuścił je znów. Odpowiedział sam sobie głosem Ben Nura:

-- Nie obawiaj się, trzymam cię. Podalesz czas śmierci, w którym się znajdujesz, cicho i bezgłośnie. Teraz dowiadujesz się, że istnieje inny rodzaj odejścia, niż cichy i pokorny. Mów.

-- Zerwała się burza, podczas której moja skała zatrzęsała się, ciemne lawice chmur pędziły nade mną, błyskało się i grzmiało.

Słyszałem krzyki bitewne i huk wystrzałów. Teraz to minęło. Nic już nie widzę, ale słyszę głosy umierających. Matki oplakują swoje dzieci, kobiety tęsknią do swych mężów, skąpcy lamentują nad majątkiem, władcy pragną powrócić na trony, ambitni dążą do sławy. Słyszę wokół siebie wrzaski, krzyki, płacze i lamenty, które mnie samego doprowadzą do śmierci, jeśli będę musiał dłużej ich słuchać. Dzięki Allahowi! "Ojcze w twoje ręce oddaję ducha mego!", zawołał głos pełen wiary i pokory i natychmiast wszystko ucichło. Mgły ustąpiły i widzę znów gromady, które cicho i łagodnie falują. W środku drogi

widzę kładkę. Po jej obu stronach stoją aniołowie. Jest chwiejna i wąska, tak, że może wejść na nią tylko jedna osoba, ale nikt nie może jej ominąć i każdy musi na niej stanąć.

-- Ió jest El Mizan, rozstrzygająca waga sprawiedliwości. Waży ona każdy uczynek, każde słowo i każdą myśl. Połóż na niej najkrótsze ze swoich uczuć, a powie ci, jaką wagę ma ono wobec wszechwiedzącego badacza twego wnętrza. Widzisz, co czynią aniołowie przy tej kładce, przy tej wadze?

169

-- Właśnie jeden z nich wychodzi z szeregu i bierze za rękę duszę, która przeszła przez wagę, by doprowadzić ją do mostu.

-- Nie tylko do mostu, lecz przez most. 'Pd dusza została zważona i uznana za wartą miłości Bożej, dlatego przejdzie szczęśliwie przez most Es Ssirat, prowadzona przez swego przewodnika. Ale ci nierozważni, którzy na ziemi, z dumą chwalili się swoimi zasługami lub hołdując lenistwu polegali jedynie na swojej mniemanej bezgrzeszności i dlatego nie wykonali, żadnej prawdziwej pracy, ci nie znajdą obrońców, lecz zostaną pozostawieni swemu zadufaniu. El Halak, odmęty zniszczenia stoją przed nimi otworem, bo tutaj w godzinie śmierci, nie dopiero w zaświatach, lecz jeszcze przed ich bramami działa wielkie prawo odwiecznej sprawiedliwości, według którego człowiek ukarany zostaje dokładnie tym samym, czym zgrzeszył na ziemi. Śmierć nie następuje wraz z ostatnim słowem, które wypowiada umierający i nie z ostatnim ruchem, który widać i żaden człowiek na ziemi nie zdoła odgadnąć, jakie okropne męki trzeba znieść pomiędzy tym słowem a prawdziwym krokiem na tamtą stronę. A teraz

skieruj wzrok na przyciągające tu gromady! Widzisz jak się zbierają i porządkują, by w odpowiednio zestawionych grupach odbyć drogę decydującą. Powiedz mi, cowiedzisz? To czego niewiesz, to ci objaśnię.

Munedzi odpowiedział:

-- Właśnie zgromadziła się rzesza ludzi, którzy pobożnie unoszą dłonie i pochylają głowy. Ich usta poruszają się w modlitwie. Przed nimi płynie chorągiew, na której widnieje słowo "Dijanet"- pobożność. Są to dobrzy ludzie, którzy na pewno szczęśliwie przejdą przez most Es Ssirat.

-- Mylisz się. Malujący się na ich twarzach wyraz pobożności zmylił cię tak samo jak ich ziemskich współobywateli, których oszukiwali. Chodzili do świątyń, nie opuszczali żadnego nabożeństwa. Zerkali jednak przy tym ukradkiem, na prawo i na lewo, czy też wszyscy na nich patrzą. Potem z wysoko uniesioną głową wracali do domu, bo spełnili swój obowiązek. Żądali od Boga, żeby miejsce, które tylko rzadko opuszczali, wpisane było do księgi życia, ponieważ tylko oni, a nikt inny, mają prawo zająć takie samo miejsce rozkoszy w niebie. W tym niebie jednak nie ma dla nich miejsca i wszyscy spadną z mostu do przepaści. Dalej!

-- Widzę przyjaznych ludzi zgromadzonych wokół chorągwi z napisem "Kerem"- dobro. Na ich obliczach jaśniejje łagodny uśmiech, ściskają sobie ręce i wydają się cieszyć, że się tu zebrali. Tych z pewnością anioł poprowadzi przez most.

-- Nie! To są tak zwani "dobrzy ludzie", łagodni, mili, zawsze pokojowo usposobieni, uczynni, litościwi, wielce wychwalani za swoją ludzką życzliwość. Nazywasz ich uśmiech łagodnym i życzliwym, ale

waga określa to jako samozadowolenie. Ci szlachetni ludzie byli życzliwi tylko po to, by ich chwalono. Ich miłość bliźniego, ich dobroć miała w sobie ukryte żądło skorpiona. Sprawiało im rozkosz; kiedy z miłym wyrazem twarzy i podczas najserdeczniejszej rozmowy wsączali głęboko raniące słowo w duszę swego bliźniego i w ten sposób zatruli mu życie. Wiedzieli, że blask ich dobrodziejstwa spadnie na nich, a więc nie robili nic dla innych. Ich nieustanna, pełna delikatności uprzejmość była tylko wyrachowaniem, była wampirem, który z omamionych złudą potrafił wyssać możliwie najwięcej. Widzisz, jak ich gromada coraz bardziej się powiększa? Nie dziw się, bo do nich należą wszyscy ci dobrzy przyjaciele, których błyskotliwe przywiązanie, było tylko samolubstwem. Wykorzystywali ciebie i twoje wpływy, z chciwością doszukiwali się w tobie słabości, by się tym posłużyć. Cieszyli się głośniejsz niż ty sam, kiedy miałeś powód do radości, a potajemnie pękali z zazdrości. Twoim smutkiem przejmowali się głęboko, ale w sercu byli z tego powodu szczęśliwi. Pełni współczucia udzielali ci złych rad, a gdy posłuchawszy ich poniosłeś szkodę, potrafili zrzucić winę na ciebie i wewnętrznie cię wydrażali. Spójrz teraz na nich! Ściskają sobie ręce z czułością, ich twarze wyrażają przyjaźń, ale przy tym każdy z nich myśli tylko, by samemu przejść przez most, a drugiemu aby się nie udało. Przed nimi niebo jest zamknięte.

Mów dalej!

-- Zbliży się olbrzymi tłum, który niesie sztandar ze słowem

"Hakk"- prawo. W tym tłumie wydają się być wszystkie stany, bo widzę wśród nich ludzi stanu wysokiego i niskiego, bogatych i biednych, uczonych i prostaczków, książąt i urzędników, wojowników, kupców,

chłopów, rzemieślników a nawet żebraków. Zbliżają się spokojnie i ufnie, mocnym, pewnym krokiem i ze szczerym spojrzeniem. Widać po wszystkich, że są pewni, iż przejdą przez most w energicznym marszu.

-- Poczekaj, aż dotrą do wagi, zobaczysz wówczas, jak inaczej będą patrzyli i bojaźliwie szli dalej -- odezwał się głos Ben Nura. -- Idą pod sztandarem ich mniemanego prawa, ale nie mają na myśli praw człowieka, które dał im Bóg, lecz te, które sami ustanowili. Nie są tymi, za których się uważają, lecz rebeliantami i buntownikami. Ludzie oduczili się słuchania, wszyscy chcą nakazywać. Ktoś żąda płaskimi słowy posłuszeństwa wobec trwających przez stulecia instytucji, a inny równie wymownie domaga się, by słuchano wymagań współczesności. Ustanawia się nowe prawa i nowe obowiązki, którym nadaje się ładnie brzmiące nazwy. 'Iir mówi się o prawie równości w różnych stosunkach, o prawie do wolnego myślenia, do pracy, zapłaty, więzów i braterstwa. Każdy staje gotów do walki, by bronić praw, które uważa za słuszne i nie widzi przy tym, że w tej obronie tkwi już atak na inne prawa. 'Pak działa jeden przeciwko drugiemu, a właściwa, prawdziwa prawda jest taka, że wszyscy nie mają racji. Bo zgodnie z prawem Bożym człowiek posiada jedno jedyne prawo i jeden jedyny obowiązek, mianowicie prawo i obowiązek miłości. A jak sprawa wygląda na ziemi? Czy istnieje choć jeden człowiek; który rezygnuje z prawa miłości? Nie! Jakże nieliczni są ci, którzy, jak Bóg nakazuje poświęcili całe swę życie miłości? Spójrz na tych, którzy przechodzą. Wszyscy wołali o sprawiedliwość, ale jej nie czynili. Mówili i pisali, sprzeczekali się o swoje sprzeczne ze sobą prawa, które odbierali innym.

Nawet tu przychodzą z tym samym żądaniem. Zobacz domagają się

172

zbawienia jako swego prawa, niosą przed sobą wielkie wołanie o sprawiedliwości Bożą i nie wiedzą, że tam na wadze będą ważeni wedle ich własnej sprawiedliwości. Już przeszli, kto teraz nadchodzi?

-- Widzę piękny napis "Muhabbe" - miłość. Ludzie idą za nim, bo na pewno dostaną się do nieba, sami bowiem dopiero co domagali się miłości. Odróżniam...

-- Nie mów o nich -- powiedział mu Ben Nur surowo. -- Ci, którzy teraz cię mijają, to albo idole, albo bałwochwalczy, nic poza tym. Są to ojcowie i matki, którzy znali tylko jeden obiekt swej miłości: syna albo córkę. Są to mężczyźni, którzy ubóstwiali swoje żony i kobiety ze wzajemnością. Miłość skierowana, tylko na jedną osobę, to żadna miłość. Spójrz na matki, które niczym niewolnice klęczą u stóp córek i na mężów, którzy pozwalają, by ukochane, uwielbiane żony nimi pomiatały! Pracują i troszczą się, ofiarują i poświęcają, aż wszystkie cechy ich duszy zacierają się i rozplywają. Ale dla tego, komu zawdzięczają wszystko i do którego należą po wieczne czasy nie zrobią nic. I kiedy on w swym świętym gniewie, by przerwać to bałwochwalstwo, obiektom tej błazenady odbiera życie, jakie jęki i lamety się rozlegają, jaka rozpacz, która pragnie własnego unicestwienia. A teraz spójrz na tych, tak gorąco uwielbianych idoli! Tak długo ich wielbiono i obsługiwano, aż wydało im się to naturalne. W ten sposób doprowadzono ich do zarozumiałości i poczucia wyższości. Ponieważ nie mieli nic innego do roboty tylko pozwalać się ubóstwiać, stali się duchowo i cieleśnie leniwi. Ich siły zanikały coraz bardziej, aż wreszcie pozostał

tylko cień ich samych, który jednak wciąż pragnął być ubóstwiany i teraz kroczy w dumnym przeświadczeniu, że ma zapewnione pierwsze miejsce w niebie. Ale wykorzystał już swoje szczęście na ziemi, a zaświaty nie wpuszczają do siebie idoli.. Dalej!

Ślepiec ciągnął:

-- Nadchodzi wspaniały orszak, nad którym widnieje z daleka napis

"Ha'inha"- oto my! Ludzie ci idą dumnie, godnym krokiem i ze zwycięską miną. Na ich obliczach nadal maluje się wyraz gotowości

173

i wzniosłości. Wydają się należeć do różnych stanów i choć kroczą powoli, widzę jednak, że każdy z nich stara się wyprzedzić innych. Są to chyba wielcy panowie, którzy pewnie nie sądzą, że będą uznani za mało wartościowych.

--'Pak, byli oni władcami na ziemi, władcami w rozmaitych dziedzinach, ale musieli się spotkać w drodze do wagi sprawiedliwości. Są tu książęta, którzy panowali nad krajami, ale nie potrafili zapanować nad sobą. Są tu rozmaici dostojnicy, którzy nie byli godni nadanych im godności. Są tu wielcy uczeni, którzy uważali się za potomków sprawiedliwości i mądrości i bronili się przed zrozumieniem, że cała ziemską wiedza i mądrość jest niedoskonała i że tylko wiara prowadzi do prawdy i doskonałości. Są tu panowie i sultani mamony, którzy ze swych pysznych tronów ciemniżyli biednych. Są tu geniusze, którzy swych wspaniałych duchowych zdolności używali tylko po to, by walczyć przeciwko temu, który im te zdolności dał. Są artyści, którzy ostrzeżenie, że prawdziwa sztuka ma dążyć ku niebiosom, przyjmowali z szyderstwem. Są bohaterowie frazesów, trybuni ludowi, posło-

wie do parlamentów, którzy swe słowa, niby wybuchające bomby ciskali na zgromadzonych, nie troszcząc się, że trafi ich kiedyś za to miażdżące słowo sędziego. Ci wszyscy, o których ci teraz mówię, ustanowili własną, odziedziczoną lub zdobytą władzę zamiast miłości i teraz, ku swemu przerażeniu, dowiedzą się przy wadze, że ta przez nich pogwałcona sprawiedliwość nie przechyli szali nawet o tysięczną część włoska na ich korzyść. Mów dalej!

-- Ci, którzy teraz nadchodzą, idą ze sztandarem "Shatare"- mądrość.

-- Są to ziemscy mędrcy, którzy nie występowali otwarcie ze swoją wiarą, bo byłoby to dla nich niekorzystne. Są tu także wstydlivi, obawiający się ośmieszenia. Jedni ukrywali się przed Bogiem, inni nie byli za nim ani przeciw niemu, więc teraz niech sobie próbują przejść przez most. Dalej!

-- 'Il;raz nadchodzą odziane w nieposzlakowaną biel postacie, na

174

czele ich widnieje napis "Nadafe"- czystość. Ich krok jest ostrożny, aby stopa nie dotknęła niczego nieczystego, a ręce ich nieustannie starają się usunąć najmniejszą drobinę kurzu, która spada na ich szary.

--'Pdk, to są ci czyści, nieposzlakowani, których jedynym dążeniem było, .by nie zostawić na sobie najmniejszych nieczystości. .'Pak im nakazywał ich moralny tryb życia, szli na palcach, by nie zabrudzić stóp. Tizymali się stale osobno, nigdy nie weszli w kolizję z żadnym paragrafem, wystrzegali się wszelkiego grzechu. Już sama myśl, że coś może być złe zżozomiało, wpsawiała ich w pszeiażenie, bo dobra opinia była dla nich na~W)'ZSZą waLtośGią. Tdki niePoszlakowany czto-

wiek nigdy nie oszukał nikogo, ale pozbawił żonę szczęścia w życiu, a dzieci radosnego blasku młodości. Rabunek i szantaż uważał za najbardziej haniebne czyny, ale swych robotników zmuszał do morderczej pracy, ponieważ byli od niego zależni. Falszowania pieniędzy czy wagi nigdy by się nie dopuścił, ale swym klientom sprzedawał mleko rozcieńczone wodą i mięso z padłego bydła. 'Pdey więc byli ci wszyscy ludzie, na zewnątrz czyści, a wewnątrz pełni brudu.' I raz waga waży ich wnętrze. Czy i teraz jeszcze sadzisz, że ci ludzie przejdą szczęśliwie przez most?

Miinedzi odparł:

-- Serce mi się kraje z bólu. Tyle dotąd widziałem, a tylko jednego jedyne go spośród tych ludzi uznałeś za godnego miłosierdzia Allacha.

Czy przepaś~ ma pochłonać całą resztę?

-- Nie byli oni godni miłosierdzia, ponieważ nie chcieli go zaznać.

Kto powołuje się na swoje mniemane zasługi, a nie prosi miłosierdzia, ten go nie zazna. Powiedz, co teraz widzisz?

-- Nadchodzą dwie kobiety, całkiem same. Jedna jest bardzo piękna, druga bardzo skromnie ubrana. Za nimi w niedużej odległości ciągnie gromada mężczyzn i kobiet, nie niosą przed sobą żadnej chorągwi, są z nimi dzieci. Widzę, że aniołowie spoglądają z radosnym spojrzeniem na ten pochód. Czy składa się on ze szczęśliwców, którym dany jest wstęp do nieba?

175

-- '1'dk, oni tego dostąpią. Godzina śmierci tych, którzy teraz przybywają, jest szczęśliwa, pełna obietnic. Ci, którzy nieśli ze sobą sztandary, stawiali Bogu żądania, domagali się zapłaty niebios za ich

mniemane ziemskie zasługi i cnoty. Ale ci, którzy teraz przybywają, pozbawieni są takiej pychy. Przekonani są o swej niedoskonałości, zbliżają się pełni pokory do wagi sprawiedliwości

-- Kim są te dwie kobiety? -- zapytał ślepiec.

-- To bohaterki zadanych im cierpień. Jedna to księżniczka, druga robotnica. Pierwsza stała na najwyższym szczeblu życia ziemskiego, druga na najniższym. Były od siebie tak oddalone, że jedna nie знаła drugiej. Ale choć ich drogi życiowe są odmienne, wszystkie prowadzą do wielkiego rozstrzygnięcia w godzinie śmierci. Księżniczka była miłym, pogodnym dzieckiem, radośnie patrzącym w przyszłość, wszelkie przesłanki ziemskiego szczęścia zdawały się być pewne. Nagle polityka żelazną pięścią wtargnęła w jej los. Oderwano ją od kochających rodziców, rodzeństwa i wywieziono do dalekiego kraju. Oddano władcy, do którego jej serce nigdy nie mogło należeć. Złote dni młodości minęły. Obowiązki kładły się ogromnym ciężarem na jej sercu, przygniatając delikatną duszę, która pragnęła zrozumienia i miłości, jakie nie dane jej było doznać. W swym zranionym uczuciu wołała do Boga. Z wysokości niebios spłynęła na nią siła, aby mogła żyć i podolać obowiązkom ziemskim. Złożyła swą tęsknotę za szczęściem w ręce wiecznej miłości. Choć sama nie była kochana, rozdawała miłość na wszystkie strony. Zrezygnowała z blasku ziemskich dóbr. Ziaktowana wrogo jako księżna i zepchnięta w mroźną samotność, stała się w ukryciu matką potrzebujących, przynoszącą błogosławieństwo i wspomóżenie. 'I~k mijaly lata, a teraz, kiedy odchodzi z tej ziemi, żaden książęcy przepych nie oświetla jej samotnego, śmiertelnego łoża. Tylko jedna, jedyna wierna służąca klęczy i modli się

głośno. Ona była zaufanym świadkiem jej cierpień, milczącą posłanką jej dobrych uczynków, ona wie kim była księżna dla swego narodu.

Ale nie tylko ona. Jest jeszcze ktoś, kto wszystko widzi i wie. W jego

176

księdze zapisane są na wieki wszystkie niezliczone gorycze, jakie księżna musiała zwalczyć, wszystkie napaści jakie musiała ścierpieć, ale także cała pełnia miłości, jakiej użytyła biednym i umęczonym.

Teraz w chwili umierania znika czas upokorzeń i cierpienia. Znowu zjawia się piękne dni młodości i widzi ona uśmiechające się anioły, które tam, przy wadze sprawiedliwości, do niej kiwają. Powiadam ci, ziemski tron był dla niej tronem tortur. Ale czym są te wszystkie męki wobec cudowności czekającymi za owymi wrotami. Wszechwiedzący ojciec niebios nie zapomni żadnej sekundy cierpienia i skrzętnie ukrywanych łez swoich dzieci.

I oto Munedzi zawołał radośnie:

-- Masz rację! 'I~raz widzę, że aniołowie ją przywołują, wyciąga do nich ramiona i przyspiesza kroku. I'a druga niewiasta idzie za nią także.

-- Była córką nędzy -- objaśniał Ben Nur. -- Jej dzieciństwo to głód, pogarda i praca. Nigdy nie zaznała kochającego wzroku matki, a surowy ojciec karciał ją nielitościwą ręką. Rzucona między obcych służyła wiernie i uczciwie, a kiedy znalazła kogoś, komu mogła zawie- rzyć, okazał się brutalnym, pozbawionym uczuć człowiekiem. Był graczem i pijakiem, nie był mu obcy żaden występki, nienawidził pracy i wszelkich obowiązków. Dziewczyna musiała pracować, dbać o niego i o liczne potomstwo, a czyniła to w milczeniu i pokorze. Nigdy

nie widziała owoców swej pracy, ale wierzyła, że dzieci to błogosławieństwo niebios, którego musi się okazać godna przez macierzyńską troskliwość. Gdy mąż jej umarł pochowała go, płakała nad jego grobem, nie czyniąc mu żadnych wyrzutów. Potem siły jej jakby się podwoiły w trosce o dzieci. Posłała je do szkoły, nauczyła zawodu i ani jedno słowo skargi nie wydobyło się z jej ust. Synowie pożenili się, córki powychodziły za mąż, matka pracowała dalej, bo przyszły na świat wnuki, którymi należało się opiekować. Ale nikt jej za to nie okazywał wdzięczności. Żadne z dzieci nie znalazło miejsca, aby wziąć do siebie matkę. Zapomniano o niej, nikt jej nie odwiedzał, a wnuki gniewały się, gdy przychodziła i w drżących rękach przynosiła już nie tak wiele jak dawniej. 'Il;raz leży na łożu śmierci i żywej duszy nie ma przy niej, aby zamknąć jej dobre oczy. Życie ziemskie pozbawiło ją zapłaty za pracę, zaświaty wynagrodzą jej to tysiąckrotnie.

-- A jej mąż? Czy się z nim spotka? -- zapytał ślepiec.

-- Nie pytaj o niego! Należy on do mówców, którzy na zebraniach z płonąca żarliwością gromadzą bojowników o prawa człowieka, w domu zaś nie spełniają swych obowiązków. Nie przeszedł przez Es Ssirat. Popatrz lepiej na gęsty tłum, który teraz przechodzi.

-- 'Pak, to spokojni ludzie, po których widać, że żadne ziemskie zachcianki ich się nie imają, choć widzę wśród nich bardzo wybredne osoby. A blask zaświatów staje się coraz jaśniejszy. Czy to on niby aureola otacza ich głowy i unosi do góry?

-- Nie. To co widzisz to błyszcząca wieczna miłość, której jeden promień każdy człowiek otrzymuje przy narodzinach. Jeśli pielęgnuje ten niebiański ogień, pozostaje u niego, przyświeca mu przez całe

życie i wraz z nim w godzinie śmierci unosi się ku zaświatom. Należysz jeszcze do padolu ziemskiego, tu natomiast przechodzi się do zaświatów i gdybyś tu zbyt długo pozostawał, ogarnąłby cię rozkład, a temu muszę zapobiec. Jako twój anioł stróż muszę dbać o to, by twój pobyt na ziemi nie został skrócony ani o chwilę, bo jest on przygotowaniem do El Mizan, wagi sprawiedliwości, na którą i ty musisz wejść. Ale niektórych ludzi chcę ci pokazać. Widzę wśród nich wielu, którzy zgrzeszyli przeciw prawom państwa i zostali za to ukarani. Są wśród nich upadli różnego rodzaju, którym litościwa miłość dała siły, by znów się podnieśli. Są tu książęta i wodzowie, oskarżeni o masowe mordy w bitwach, czemu oni sami nie byli winni. Widzę tu siynnych uczonych, którzy mimo swej uczoneści nie porzucili wiary i miłości. Widzę bogaczy, którzy karmili głodnych, poili spragnionych i odziewali nagich. Widzę kapłanów, którzy nie tylko głosili słowa, lecz byli prawdziwymi kaznodziejami miłości. Widzę potężnych ludzi tej ziemi, którzy byli dobrotliwymi ojcami, mądrymi a także życzliwymi

178

dobroczyńcami dla swych ludów. Widzę milionera, który swój majątek poświęcił dobroczynności, żebraka, który podzielił się ostatnim kęsem chleba z psem na ulicy i małego chłopca, który dał wody spragnionemu ptakowi. Widzę szlachetne kobiety, które niewstydzily się odwiedzać chaty biedaków, wdów i sierot, by tym pogardzanym pokazać, że są także braćmi i siostrami wielkiej rodziny Ojca wszechrzeczy. Widzę dusze, których sama obecność działa tak, jakby wraz z nimi wszedł kojący promień słońca. Jest to szczęście niebieskie, że istnieją tacy ludzie i w zaświatach będą oni jeszcze promienniejsi

świecić niż podczas swego pielgrzymowania po ziemi. Widzę ojców, którzy nie mylili słabości z miłością, lecz wykonywali swe ojcowskie obowiązki z dobrze wymierzoną sprawiedliwością, chociaż nie przychodziło im to łatwo. I widzę matki, dla których dzieci nie były wystrojonymi obiektami próżnej dumy, lecz tym, czym dzieci dla każdej matki być powinny, duchowymi kwiatami, które Bóg powierzył domowi rodzinnemu po to, by ojciec je podlewał, matka opromieniała i aby rosły ku chwale niebios.

Po tych słowach nastąpiła nowa pauza, podczas której Munedzi mamrotał niezrozumiałe słowa.

Następnie usłyszeliśmy głos Ben Nura, który powiedział:

-- Nie powinieś tu dłużej przebywać, czas się skończył. Chodź za mną.

Uważnie obserwowałem ślepcę. Prawą rękę wyciągnął, jakby ujmował czyjąś dłoń, a lewą naśladował unoszenie się i rzekł:

-- To znowu jest ziemia, czuję to. Zaprowadź mnie na miejsce skąd mnie zabrałeś.

Nie troszcząc się o nas, zaczął schodzić ze skały. Działo się to w niewytłumaczalny sposób, taki jakby go ktoś prowadził. Niczego się nie trzymał, a jednak nie potykając się zszedł na dół.

Szliśmy w milczeniu za nim. Kroczył z powrotem tą samą drogą, jaką przybyliśmy, ani razu się nie zawahał. A kiedy doszliśmy do obozu, usiadł na tym samym miejscu, gdzie siedział przedtem.

179

-- Dziękuję ci Ben Nurze, wierny towarzysz mojej duszy -- rzekł półgłosem. Potem oparł się o skałę i wkrótce usłyszeliśmy jego cichy,

miarowy oddech.

Kara Ben Halef nie ważył się zapytać, gdzie byliśmy. Zachowywa-
liśmy się równie cicho jak on, ponieważ to, cośmy ujrzeli i usłyszeli,
całkowicie pochłonęło nasze myśli. Zastanawiałem się nad całym
moim dotychczasowym życiem, by znaleźć jakiś znak dla wyjaśnienia
tej dziwnej nocnej sceny, ale na próżno.

Wiem, że narody pierwotne mają skłonność do mistycyzmu, które-
mu nie odpowiada wyraz "zabobon". Proste, często skąpe pożywienie,
tak sprzyjające bogatej wyobraźni pustynie i sawanny lub magiczny
mrok niezbadanych dziewiczych lasów, to powody, które w połącze-
niu z odziedziczonymi skłonnościami psychicznymi niewątpliwie po-
trafią uwrażliwić człowieka na to, co znane powiedzenie określa jako
"znajdujące się między niebem a ziemią". Stąd bogaty skarbiec bajek
Wschodu i uczulenie ludzi pustyni na zjawiska nadprzyrodzone. 'Iwd-
no uwierzyć` jaką bogatą wyobraźnię posiadają Beduini. Im mniej
spotykają żywych istot na obszarze swej ojczyzny, tym bardziej twórcza
staje się ich wyobraźnia. Nadmiar nierealnych mieszkańców za-
stępuje im tych prawdziwych, których im brak i wreszcie sami nie
wiedzą, gdzie się kończy prawda a zaczyna fantazja.

Zastanawiałem się jakie stanowisko powinienem zająć wobec tego,
co widziałem i słyszałem. Wszystko dotyczyło godziny śmierci. Wąt-
pliwości budziły we mnie nie słowa, lecz sam Ben Nur. Jeśli mieliśmy
do czynienia z nerwowo chorym albo lunatykiem, była to sprawa
czysto medyczna. Co prawda wrażenie, jakie zrobiło na mnie przeby-
wanie na skale, było niezwykle. To, co się stało przedtem, miejsce,
osoba ślepcy, jego wstrząsający sposób mówienia, to wszystko wywie-

rało wrażenie głębokie i trwale. Wiele bym dał za to, abym mógł przypuszczać, że ten Ben Nur nie był uludą.

Byłem zatopiony w myślach i musiałem się opanować; kiedy po dłuższej chwili Halef zapytał:

1S0

-- Sidi, czy i z tobą jest tak jak ze mną? Pragnę zasnąć a nie mogę.

'Ib co usłyszałem staje się prawdą, słowa zamieniają się w postacie.

Stoję przed furtką zaświetów, pośrodku godziny śmierci i widzę gromady potępionych. Doprawdy, powiadam ci, że ten Ben Nur zrobił ze mnie innego człowieka!

I'aki sam entuzjazm okazał Basz Nasir.

-- 'Pdk effendi, zgadzam się z szejkiem Hadżim Halefem. Jakim

byłem dotąd grzesznym, bezużytecznym człowiekiem! Wiele słów Ben Nura brzmiało tak, jakby skierowane były tylko do mnie. Posłuchaj co ci powiem.

-- Mów -- odparłem.

-- Urzekła mnie miłość, głęboko poruszyła dobro~, współczucie, pojednanie. Przeraziłem się. Obawiam się tej okropnej wagi sprawiedliwości. Skazaliśmy mekkańczyków na bastonadę, ale jeśli o mnie chodzi, nie otrzymają ani jednego uderzenia. Broń mnie Allachu! Nie chcę, by mi to zostało policzone w zaświatach. Ty chyba się zgodzisz, ale co powie na to Hadzi Halef Omar?

Byłem bardzo ciekaw odpowiedzi mojego przyjaciela. On, tak kochający swój bat i nie przepuszczający okazji, by zrobić z niego użytek, rzekł:

-- Zgadzam się. Nie należy ich bić. Niech jadą dalej do Mekki, a

potem na most sprawiedliwości. 'Pam dowiedzą się na co zasłużyli. Ja ich nie będę sądził. Czy mam rację, sidi?

-- 'I-k, a zarazem nie. Nie powołany nie powinien sprawować sądów. Ale sędzia jest przedstawicielem prawa i powinien wedle tego prawa ferować wyroki. Owa surowa waga sprawiedliwości nie wymaga, by przestępca pozostał nie ukarany, ale skoro odzyskaliśmy skradzione rzeczy i ja jestem zdania, żeby darować złodziejom zasłużoną karę.

-- Co ja słyszę! A więc znów przemówiło twoje miłosierdzie!

-- Tym razem była to raczej mądrość. Zapewne spotkarny ich w Mekce, tak że lepiej nie rozpalać ich chęci zemsty do najwyższego

181

stopnia. Cieszy mnie, że obaj zrezygnowaliście z ukrania ich. Jeśli mają w sobie iskierkę przyzwoitości, to ta dobroć wpłynie na ich poprawę, a jeśli nie, to postąpiliście wedle woli wiecznej miłości.

-- Ib prawda! Sidi, mam prośbę i spodziewam się, że ją spełnisz.

-- Jaką?

-- Wiesz przecież, że umówiliśmy się na słowo "kutub"?

-- Oczywiście, że wiem.

-- Chciałbym, aby doszło do tego jeszcze słowo El Mizan, waga.

-- Dlaczego?

-- Kutub dotyczy tylko mbwienia, ale ja chcę także, by dotyczyło to tego, co czynię. Bo uważam, że czyn ma większą wagę niż słowo i dlatego to drugie ostrzeżenie jest bardziej potrzebne niż pierwsze.

Wiesz, że nie znam strachu, ale dziś poznałem coś więcej niż strach - poznałem przerażenie. Dlatego proszę cię, kiedy ogarnie mnie pycha

i duma i kiedy będę chciał zrobić coś, co byłoby przeciwne miłości, wtedy zawołaj szybko "El Mizan", a zobaczysz, że natychmiast ukarzę bastonadą mój gniew. Zrobisz to?

-- Bardzo chętnie.

-- Chciałbym zawsze mieć takiego ostrzegającego przyjaciela u boku -- rzekł Pers. -- Dotąd kochałem tylko siebie, od dziś będzie inaczej. Powiedz effendi, czy twoja wiara też głosi miłość?

-- Głosi tylko miłość.

-- Tylko? Naprawdę? Ale u chrześcijan, których dotąd spotkałem nie znalazłem miłości.

-- Więc przytoczę ci surę naszej świętej księgi. Posłuchaj:

Wyrecytowałem mu trzynasty rozdział listu świętego Pawła do Koryntian. Słuchał, a kiedy skończyłem zawołał:

-- 'Ib zupełnie tak wygląda, jakby Ben Nur znalazł tę surę na pamięć.

Co za cud! On mówił zgodnie z tymi słowami, a przecież Koran nie zawiera takiej sury. Stąd ta nienawiść~ i wielkie klótnie u nas. Stąd wzajemny wstręt pomiędzy szyitami i sunnitami. Niech Allah ich poprawi. Ale, effendi...

182

Aga urwał, zastanowił się, czy ma mówić dalej, potem jednak rzekł:

-- Czy macie jedno, zgodne zjednoczone chrześcijaństwo? - -

Niestety nie.

-- 'I-k, wiem o tym, ale chciałem się dowiedzieć, czy szczerze to przyznasz. Macie wiele odłamów, których nazw nie znam. Nie chcę cię martwić, ale w islamie niezgoda to nic dziwnego, bo Koran nie zna sury miłości. Wy natomiast macie ją w waszej księdze, a mimo to

walczyć ze sobą. Czy ta sura jest w waszych sercach, czy tylko pozostaje wpisana do waszej księgi? Czy nie jesteście bardziej winni niż my?

Bylbym w wielkim kłopotcie, co mam odpowiedzieć na tak słuszne zarzuty, gdyby nie przyszedł mi z pomocą mój dzielny Halef.

-- Co ci przychodzi do głowy, by tak obrażać naszego sidiego? Czy to jego wina, że ta sura nie zamieszkała u wszystkich chrześcijan, tam, gdzie powinna zamieszkać? Powiadam ci, on pisze książki, które się drukuje i które czyta wiele tysięcy ludzi. Wystarczy mu jeden, jedyny raz upomnieć ich, by dążyli do zgody.

Halef urwał, by obserwować wrażenie, jakie wywarło jego oświadczenie. A ja co myślałem? Milczałem!

Pers nie odpowiadał. Zrozumiał, że jego zarzut dotknął mnie osobiście, choć nie było to jego zamiarem, toteż Hadzi ciągnął dalej łagodnie:

-- Co ty w ogóle rozumiesz z chrześcijaństwa? Czy znasz Biblię?

-- Nie -- przyznał Pers z wahaniem.

-- Toteż nie możesz mówić o chrześcijanach. Znasz Koran, a więc wolno ci mówić o wzajemnej wrogości jego wyznawców, a jest ona wielka.

Wówczas rozległ się głos zza zasłony tachtirewanu.

-- El Mizan, waga sprawiedliwości!

Hanneh jeszcze nie spała. Słyszała wszystko i zawołała teraz do swego "władcy" owo ostrzeżenie.

-- Co z El Mizan? -- zapytał.

-- Czy nie prosileś sidiego, by cię tym słowem ostrzegł kiedy wpad-

niesz w złość?

-- Owszem, prosilem.

-- Dlatego zawołałam, by ostrzec cię, bo byłeś niemiły wobec Khu-
taba Agi.

Halef odpowiedział w swój najmiłszy sposób:

-- O Hanneh, ty najbardziej urocza z uroczych, przyjmij moje
podziękowanie. Ale proszę cię, byś pozwoliła sobie powiedzieć, że nie
jesteś sidim. Tylko on ma prawo mnie ostrzegać. Kiedy dwie osoby
będą wstrząsać moim gniewem, to stanie się on większy niż mniejszy.
Poza tym nie był to gniew, lecz miłość i przyjaźń, które mi nakazują
zatroszczyć się o tego, do którego, obok ciebie i naszego syna, należy
całe moje serce. A teraz spróbuj zasnąć, ukochana mojej duszy. Jest
to dla ciebie i dla mnie zawsze najlepsze co możesz zrobić, jeśli
uważasz mnie za rozgniewanego. Niech będzie błogosławiona twoja
noc.

Hanneh odpowiedziała tylko krótkim wesołym śmiechem, który

Halef tak lubił. Potem rzekł do nas po cichu:

-- Słyszeliście? Ona się śmieje! Jak pięknie brzmi, kiedy dzielna
kobieta jest wesola. Są kobiety, które zawsze mają skwaszone miny.
'Pakie jak wygląd zewnętrzny jest też ich wnętrze, zmieniają one dzień
swego życia dla siebie i innych w noc. Usposobienie pogodnej kobiety
natomiast jest źródłem ciepłych promieni słonecznych dla jej męża i
dla dzieci, a także dla wszystkich, którzy się z nią stykają.'I~kie źródło
radości i szczęścia mam w moim haremie. Niech Allach błogosławi
Hanneh! 'I~raz będzie spała. Może i my to zrobimy, sidi? Noc jest
krótka, a kto wie, jakie trudy przyniesie nam jutrzejszy dzień.

Miał rację, chociaż ani on, ani my nie mogliśmy przewidzieć, że ten dzień przyniesie nam o wiele więcej emocji, niż myśleliśmy. Usiłowaliśmy przytłumić wizję, jakie obudził w nas Ben Nur, gdy się nam to udało, zasnęliśmy.

Pertraktacje

Zbudziłem się, kiedy Halef, Hanneh, Kara, Munedzi i Pers jeszcze spali. Nie budziłem ich, wstałem i oddaliłem się po cichu, by skontrolować łańcuch posterunków. Dowiedziałem się, że noc przeszła spokojnie, nie pokazał się żaden Ben Khalid. Poszedłem na plac za studnię i ku memu zadowoleniu, nasze wielbłądy i konie były już napojone. Woda nie była zła, Bir Hilu to znaczy "słodka studnia". Teraz zwierzęta będą mogły przebyć kawał drogi. Szejk Beni Khalidów i mekkańczycy nie zasnęli, co było zrozumiałe. Zachowywali się spokojnie, ale widać było wyraźnie, jak wściekali się na swoje położenie. Z oczu El Ghaniego biła ku mnie taka nienawiść, że mógłby mnie zabić, 'I-wil Ben Szahid nie mógł znieść milczenia. Ledwo zobaczył, że się zbliżam, ofuknął mnie:

-- Rozwiąż mnie! Spodziewam się, że tej nocy zrozumiałeś, iż wasze zachowanie będzie miało dla was jak najgorsze następstwa.

-- Nic nie rozumiałem.

-- No to Allach pokarał cię ślepotą. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że moi wojownicy zaraz nadejdą?

-- Jeśli im na to pozwolimy.

185

-- Jeśli im nie pozwolisz, wymuszają to. Wtedy mnie uwolnią i napadną na was.

-- Doprawdy? Wydaje się, że nie mnie, lecz ciebie Allah oślepił.

Gdyby choć jeden z twoich wojowników odważył się zachować wobec nas wrogo, stanie się twoim mordercą, bo wtedy wpakuję ci kulę w łeb.

-- 'I-go na pewno nie ważysz się zrobić, bo moja śmierć przyspieszyłaby waszą zagładę.

-- Poczekajmy spokojnie. Na razie twoi wojownicy widocznie jeszcze śpią. Gdyby okazali choć ślad sprytu, dawno musieliby sobie powiedzieć, że coś tu jest nie w porządku. Niech przybędą, my się ich nie boimy.

I'awil w swym gniewie mówił tak głośno, że zbudził Halefa. 'I-n, gdy ujrzał mnie obok więźniów wstał i podszedł. Oczy wszystkich skierowały się na niego i miejsce, gdzie spędziliśmy noc, a że tymczasem zrobiło się dostatecznie jasno, ujrzeli ślepeca, który w pozycji siedzącej, oparty o skałę jeszcze spał. Byłem ciekaw, jak się teraz zachowają.

"Ulubieniec wielkiego szarifa" szeroko rozwarł oczy i zawołał z największym zdumieniem:

-- Kto... kto... tam leży pod skałą?

Syn jego był równie zaskoczony, aż krzyknął:

-- Maszallah! Co za cud się stał! Przecież to Munedzi, który umarł.

-- Nie tylko umarł, ale został pochowany -- dodał jego ojciec. -- Te psy zbeszczyły jego grób i ośmieliły się go odkopać.

Tymczasem Halef zbliżył się do mnie.

Kiedy usłyszał słowo "psy", odwrócił się szybko i chciał odejść~.

-- Dokąd to, Halefie? -- zapytałem.

-- Z powrotem -- raruknął. -- Zostawiłem tam mój bat. 'I-n lajdak

nazwał nas psami.

-- El Mizan, El Mizan Halefie! Pomyśl o wadze sprawiedliwości!

Wtedy Halef odwrócił się i rzekł spokojnie:

-- Masz rację, sisi! Nie pomyślałem o tym.

Po czym zwrócił się do El Ghaniego i rzekł ironicznie:

--'Pak, wykopaliśmy go i jego zwłoki wlecziemy ze sobą. On wczoraj wieczorem przybył stamtąd i do was przemówił. Jesteście nadzwyczaj mądrymi ludźmi.

Wtedy mekkańczyk pojął swoją głupotę i zawołał, co prawda z nie mniejszym zdziwieniem:

-- Więc wcale nie był martwy! Allach! Allach!

-- Nie, ale wyście tak orzekli i pochowaliście go żywego. Nad żywym odmawialiście modlitwy za zmarłych.

-- Nie mogliśmy zrobić inaczej. Był sztywny, byliśmy przekonani, że umarł.

-- A dlaczego my nie popełniliśmy tego błędu? Od razu spostrze- gliśmy, że on żyje.

-- Bo prawdopodobnie on w tej chwili, kiedy do niego podeszliście, znów się zbudził. Skończ z tymi zarzutami!

-- Zabraniasz mi mówić co zechcę? Nie ośmieszaj się! Wiedziałeś, że jego dt~sza czasami go opuszcza i powinieneś był czekać na jej powrót. Myśmy o tym nie wiedzieli, a jednak wyciągnęliśmy go z grobu. Musicie się uważać za jego morderców, choć myśmy go ocalili.

El Ghani skierował wzrok na Halefa i zapytał:

-- Czy on mówił o mnie? Co powiedział?

-- Bardzo dużo, ale powiedział to nam i zatrzymamy to dla siebie.

-- Ale ja muszę wiedzieć.

-- A my będziemy milczeć. Zresztą nikt nie może o tobie powiedzieć nic dobrego, a więc on także.

-- Wobec tego was okłamał. Należy do nas. Przyrowadź go tu.

-- Jeszcze zobaczymy. Jest panem swoich czynów, zrobi co zechce.

-- Więc obudźcie go i powiedzcie, że chcę go mieć przy sobie.

-- Człowieku, nie możesz rozkazywać, my nie będziemy cię słuchać.

Munedzi zawdzięcza nam życie, więc należy do nas.

Niepokój mekkańczyka wyraźnie wzrastał, wychodził już z siebie i krzyknął wściekły:

-- Należy do mnie! Wyświadczyłem mu tyle dobrodziejstw, za które winien mi wdzięczność. Nie ścierpiałbym, żeby miał zostać u obcych ludzi. Musi tu przyjść.

-- A więc tak! Chyba się nas bardzo boisz?

-- Boję się? Dlaczego?

-- Bo to co od niego usłyszeliśmy, może być dla ciebie niebezpieczne.

-- Niebezpieczne? -- roześmiał się El Ghani szyderczo, ale ten śmiech był wymuszony.

-- 'Ihk jest, niebezpieczne -- potwierdził Halef. -- Sumienie twoje nie jest czyste.

-- Martw się o czystość własnego sumienia! Przyślij go tu? -- Nie!

-- No to zaraz zobaczysz, że gdy go obudzę to zaraz tu przyjdzie.

El Ghani z całej siły zawołał imię ślepeca.

Munedzi zbudził się i nasłuchiwał.

-- Milcz! Ani słowa więcej! -- nakazał Halef, wyciągając nóż i ,

kierując go w stronę El Ghaniego. -- Jeśli zawołasz jeszcze raz, usta twoje zamilkną na zawsze.

Groźba brzmiała stanowczo i osiągnęła swój cel. Mekkańczyk milczał. Halef wydał rozkaz, który Ghani usłyszał, miano go zabić jeśli zacznie znów wołać. Potem zwrócił się do mnie:

-- Hanneh się zbudziła. Przyszła pora na kawę. Chodź!

Ja także ujrzałem, że "najpiękniejsza właścicielka kobiecych namiotów" opuściła lektykę i zajęła się przyrządzaniem kawy. Idąc do niej Halef zapytał:

-- Czy dobrze zrobiłem sisi?

-- Hm -- mruknąłem. -- Chyba nie uważasz za możliwe, by Munedzi zechciał wrócić do El Ghaniego. 'I'dk sądzę z twojego zachowania.

-- Z mojego zachowania? Co masz na myśli?

-- Daleś El Ghanimu do zrozumienia, że Munedzi powiedział nam coś, czego nie powinien był mówić.

-- Cóż to szkodzi? Chciałem go rozzłościć i to mi się udało.

-- Jest to sukces, którym nie możesz się chwalić.

-- Dlaczego nie?

-- Ponieważ nie przysłużyłeś się naszemu podopiecznemu. Nieufność jaką zasiałeś pomiędzy nim a El Ghanim, może przynieść biednemu ślepcowi przykrości, jeśli zechce przyłączyć się do swego dawnego towarzysza. Sądzę, że nie powinieneś był tego robić.

-- Hm... Rzeczywiście byłem nieostrożny. 'I~raz rozumiem, że powinienem nad sobą bardziej panować. Wiesz sisi, człowiek to jednak bardzo słaba istota, a ja, twój stary, nieostrożny Halef, należę chyba do najsłabszych tego gatunku. Prawda?

-- 'Ib zbędne pytanie i nie potrzebujesz na nie odpowiedzi.

Chodźmy do Hanneh, woła nas.

Halef pobiegł przodem, a ja poszedłem do Persa, który się zbudził i siedział w pobliżu Munedziego.

Kiedy zacząłem rozmawiać z Basz Nasirem, ślepiec mnie poznał po głosie i zapytał:

-- Czy się nie mylę, że effendi z Wadi Draa jest obok?

-- Nie, nie mylisz się -- odparłem. -- To ja.

-- Kto tu jest jeszcze?

-- Przyjaciel twój i mój. Należy do naszej gromady.

-- Jaka jest teraz pora dnia? Wydaje się, że jest jasno.

-- 1'ak, jest wczesny ranek. Wkrótce wzejdzie słońce.

-- Kiedy mnie znaleźliście?

-- Wczoraj.

-- Nie dawniej? A więc to co chcę powiedzieć dotyczy naszej wczorajszej rozmowy. Może powinienem to przemilczeć, ale coś mnie pcha abym mówił. Ió jest dla mnie zawsze dowód, że chce tego Ben Nur. To imię jest ci chyba znane

-- 'Idk.

-- I wiesz, że on prowadzi moją duszę w miejsca, które nie znajdują się tu, na ziemi?

-- Wiem o tym.

189

-- Więc chcę ci powiedzieć, że poprzedniej nocy był znów u mnie i że opuściłem z nim ziemię.

-- Gdzie z nim byłeś?

-- W godzinie śmierci.

-- To jest czas, nie miejsce.

-- Ja również dotąd tak myślałem, ale teraz wiem, że jest inaczej.

Tej nocy było to dla mnie miejsce, gdzie wraz z Ben Nurem stałem na wysokim gładzie i patrzyłem, jak przeciągają przed nami dusze umierających. Widzę to tak wyraźnie, że mogę opisać.

Zaczął opowiadać. Opisywał poszczególne orszaki dusz, a kiedy skończył zapytałem:

-- Jesteś przekonany, że to była prawdziwa wizja, a nie sen?

-- Żaden sen. Co prawda miewam czasem sny, ale potrafię tak dokładnie odróżnić sen od wizji, że omyłka jest niemożliwa.---- Czy granica lub różnica między snem a wizją jest tak dokładna, że nie mógłbyś się pomylić?

-- Nie. Mogę nawet odróżnić sen od snu. Bywają sny, które są po prostu dalszym ciągiem ostatnich myśli, jakie zajmują nas przed zaśnięciem, te nie mają żadnego znaczenia. Ale są inne sny, które są nam specjalnie dane. Jeśli Ben Nur chce mi coś powiedzieć, o czym nie może dać znać w inny sposób, mówi mi to we śnie. Po obudzeniu, wiem, że nie odszedłem z nim, lecz tylko śniłem i że ten sen to było jego dzieło. I tak samo nie mylę się nigdy, kiedy wiem, że moja dusza opuściła ciało. Początkowo, kiedy jeszcze nie byłem do tego przyzwyczajony i nie miałem wprawy w odróżnianiu, zdarzały mi się pomyłki, ale teraz nie.

-- Więc wierzysz we wszystko, co widzisz podczas takich wypraw`?

-- 'Pak.

-- I wierzysz w to, co dziś w nocy powiedział ci Ben Nur'?

-- 'Pdk, wierzę i w to. Jednak nigdy nie było mi tak ciężko uwierzyć mu, jak dziś w nocy.

-- Dlaczego?

j -- Bo tak dużo było tych, którzy znajdują się w przepaści.

-- Dlaczego, tak się przejmujesz tym, że będzie ich wielu?

-- Bo ja sam w swoim długim życiu spotkałem tylko jednego człowieka, co do którego jestem przekonany, że przed nim otworzą się bramy wiecznej szczęśliwości. Co za obfitość miłości, dobroci i litości musi promieniować z tych ludzi w życiu, by ich Ben Nur uznał za godnych niebios. Ja zaś, nigdy w życiu nie zaznałem miłości, z wyjątkiem tego jednego, jedyne go razu.

-- Ale przecież miałeś rodziców, rodzeństwo?

-- Nienawidzili mnie.

-- A przyjaciół?

-- 'Pdk, nazywali tak siebie, ale nimi nie byli.

-- A żona?

-- Była obłudnicą.

-- Dzieci?

-- Nie miałem dzieci i dzięki za to Allachowi! Bo gdybym miał dzieci i był przez nie tak samo oszukiwany jak przez innych, to dawno bym już nie żył, a z powodu mojej zemsty spadłbym z mostu śmierci w przepaść zguby. Czy sądzisz, że po tym wszystkim, co przeżyłem, mogę jeszcze być zdolny do miłości?

-- Tdk.

-- Niech Allach błogosławi twoją dobrą wiarę, bo wierząc we mnie, wierzysz w ludzkość. Ja zachowuję jeszcze miłość w sercu z powodu

tego jednego człowieka, u którego znalazłem miłość. W swej bezinteresownej litości zajął się mną i ocalił mnie. Jego miłość przywróciła mi utraczone do ludzi i wiary zaufanie. Odkąd pamiętam, daremnie szukałem miłości. Szukałem jej u Boga, u ludzi, w życiu, w kościele...

-- W kościele? -- zdziwiłem się.

-- 1'ak, w kościele. Nie chcę przed tobą ukrywać, że byłem chrześcijaninem. Tobie jako muzułmaninowi jest obojętne, czy od dzieciństwa należałem do islamu, czy należę dopiero od niedawna.

-- Co skłoniło cię do wystąpienia z kościoła?

191

-- Właśnie to moje daremne poszukiwanie miłości. Poznaj chrześcijan. Jak się podzielili w wierze, jak się nienawidzą i nawzajem prześladują. Do tego doszedł smutek mego własnego losu. Nie chcę już mieć nic wspólnego z wiarą, która naucza miłości, podczas kiedy jej wyznawcy, których spotkałem, są najgorszymi ludźmi na kuli ziemskiej. Biblia chrześcijan powiada, że ludzi poznaje się po czynach, ja natomiast mówię pełen gniewu, że wiarę można poznać także po jej owocach, a te owoce to nienawiść, zazdrość, samolubstwo - tak więc nie przyszło mi z trudem szukać w meczecie tego, czego nie znalazłem w kościele.

-- I znalazłeś? -- zapytałem.

Jakże chętnie zapytałbym zupełnie inaczej, ale musiałem się ograniczyć jedynie do tego krótkiego pytania. Munedzi był odszczepieńcem, a wiadomo, że nietolerancja i fanatyzm są najniebezpieczniejsze u tego rodzaju ludzi.

Munedzi odparł dopiero po chwili:

-- Nie rozpocząłem z tobą tej rozmowy, by porównywać islam z chrześcijaństwem. Słyszałeś już, że spotkałem tylko jednego człowieka, który darował mi miłość. 'Il;mu człowiekowi zawdzięczam, że w ogóle jeszcze żyję, on od nowa mnie stworzył, tak więc oddałem mu się całkowicie, całym moim życiem.

-- A kto to jest ten człowiek?

-- Abadilah.

-- Szech el Hare z Mekki, którego zwa El Ghanim?

-- 'Pdk. Chcę cię o coś zapytać. Pozwolisz?

-- Pytaj.

-- Przedtem usłyszałem głos mego dobroczyńcy, mojego jedyne-
go przyjaciela -- ciągnął dalej Munedzi. -- Powiedz mi, czy on jest tutaj?

-- 'Ikk --potwierdziłem.

-- Dlaczego nie przychodzi do mnie?

-- On i jego towarzysze uznali cię za zmarłego, pogrzebali cię i
przyjechali tutaj. Przerazili się, kiedy cię ujrzeli, myśleli, że to upiór.

192

Jakże nieskończenie było mi żal tego starego, ślepego człowieka!

Zastanawiałem się, w jaki sposób powiedzieć mu jak najogłędniej całą
prawdę. Pers tymczasem kręcił się, nie myślał o obowiązku wobec
ślepeca, lecz tylko o kradzieży: Prosiłem go wzrokiem, by się opanował,
ale nie usłuchał mnie.

-- Nie jestem duchem ani upiorem -- rzekł ślepiec. -- Chcę go mieć
przy sobie, jego i jego syna, a także innych. Zawołajcie ich!

Wtedy Pers wybuchnął:

--'Iix do nas? Mowy nie ma.

-- Nie! Dlaczego? -- zapytał Munedzi.

-- Uczciwi ludzie nie siedzą razem z łotrami.

-- Z łotrami? Kogo masz na myśli?

-- Ghaniego i jego złodziejską bandę.

-- Złodziejską ... bandę? Czy dobrze usłyszałem?

-- Dobrze usłyszałeś.

-- On miałby być lajdakiem? Złodziejem? Albo to okrutny żart,

albo jesteś w największym błędzie.

I -- Nie żartuję i nie jestem w błędzie. Mówię poważnie i to co mówię, jest największą prawdą, bo mamy na to dowody. -- Jakie dowody?

-- Przedmioty, które ukradł i które mu na powrót odebrano.

-- Ghani... co... co miałby ukraść?

-- Obrabował Kans el Adha w Meszhed Ali. Ja, strażnik tego

skarbu, jechałem za wami z moimi żołnierzami, ująłem złodziei i odebrałem łupy.

Ślepiec milczał. Palce jego poruszały się kurczowo, jak gdyby trzymał w nich coś, co należy porwać i rozszarpać na najmniejsze kawałki.

Dopiero po dłuższej chwili zwrócił do mnie twarz, otworzył błękitne oczy i rzekł:

-- Effendi, jesteś tu jeszcze?

-- 'ak.

-- Chcę z tobą pomówić, ale tylko z tobą, z tym drugim nie chcę

7 - Most śmierci 193

zamienić ani słowa więcej. Błagam cię na Allacha, na kalifa, na Koran, na wszystko co jest święte. Powiesz mi prawdę?

-- 'Iak.

-- A więc mów! Czy naprawdę moi towarzysze znajdują się u was ujęci jako złodzieje?

-- Niestety tak.

-- Opowiedz mi, jak to się stało.

Uczyłem zadość jego życzeniu, starając się przy tym, by moja relacja wypadła jak najoględniej. Słuchał nie przerywając ani słowem, a kiedy skoficzyłem, siedział przez chwilę w milczeniu. Wiedziałem, że cały drży, był ogromnie zdenerwowany. Wreszcie rzekł:

-- Effendi, czy zrobisz to, o co cię teraz poproszę?

-- 'I-go nie mogę wiedzieć.

-- Nie poproszę cię o nic, czego byś nie mógł spełnić. Tb nawet dla was bardzo łatwe.

-- Powiedz co?

-- Czy Ghani to wasz jeńiec?

-- 'Idk.

-- Pozwól, że do niego pójde i także będę jeńcem.

Nie spodziewałem się po nim niczego innego. Czy wolno mi było spełnić jego życzenie? Ponieważ się wahałem ciągnął dalej:

-- Przysięgam, że uczynię to, chociaż jestem ślepy i nie mogę zobaczyć Ghaniego. Przed odejściem możecie mnie powstrzymać tylko związaniem. A jeśli nie, pójde do niego. Nie musicie mi nic pokazywać. Zawołam, a gdy mi odpowie, jego głos mnie zaprowadzi.

Powiedz teraz, co postanowiłeś.

Podszedł Halef i odparł zamiast mnie:

-- Ja, Hadzi Halef, powiem ci co się stanie. Tiwoi towarzysze zostali ujęci i są więźniami, bo popełnili kradzież. Ty jesteś człowiekiem

uczciwym, a więc wolnym. Nie możemy ci przeszkodzić, byś zrobił, co zechcesz. A więc, czy pragniesz pójść do Ghaniego?

-- 'Idk, pragnę tego.

194

- Wstań więc i podaj mi rękę! Obyś nie żałował tego, co teraz czynisz. Zaprowadzę cię tam.

Ja poszedłem do Hanneh, która rozłożyła dywan w celu spożycia kawy. Pers także został zaproszony.

Kiedy Halef wrócił, usiadł u mego boku i zapytał:

-- Czy słusznie uczynilem, sidi?

-- 'Pdk.

-- Cieszę się, że uznałeś to za słuszne. Ale nie cieszę się z samej sprawy. Nie mogliśmy postąpić inaczej, bo ślepiec jest panem swych poczynań. Co byśmy zrobili, gdyby zmuszony był z nami pozostać?

-- Zabralibyśmy go ze sobą do Mekki.

-- A tam?

-- Nie wątpię, że tam by nam się udało umieścić go lepiej niż dotychczas.

-- Ja też tak sądzę. A gdybyśmy nie znaleźli odpowiedniego miejsca, to wśród namiotów Haddedihnów jest dość miejsca dla ślepego człowieka, którego obecność nie jest uciążliwa. 'I~n Munedzi niedługo pożyje, jest bliżej zaświatów niż ziemi. Jego dusza była już prawie na moście. Ile też moglibyśmy się jeszcze od niego dowiedzieć?

-- Stałeś się ciekawy?

-- Nie ciekawy, lecz żądny wiedzy.

-- I sądzisz, że ta wiedza przyniosłaby pożytek tobie i twojemu

plemieniu?

-- 'Pdk. Jeżeli życie na ziemi oznacza przygotowanie do życia w niebie, to obowiązkiem jest starać się o każdą okazję, by dowiedzieć się czegoś o zaświatach.

-- Masz na myśli: czegoś prawdziwego.

-- Czy sądzisz, że to cośmy słyszeli jest złudzeniem?

-- Nie mogę sobie pozwolić na osąd. Gdyby ślepiec został z nami, a nie wrócił do swego domniemanego dobroczyńcy, mielibyśmy może więcej materiału do jakiegoś osądu. A tak nie można tego czynić bez zastrzeżeń. Na razie zajmijmy się naszym ziemskim padolem.

195

--'Pak. Co mamy teraz robić?

-- Ponieważ nie chcemy ukarać złodziei, trzeba ich uwolnić, oczywiście także szejka Beni Khalidów. Ale nie można tego uczynić ot tak sobie, po prostu. Musimy być pewni, że nic przeciwko nam nie przedsięwzma, póki się tutaj znajdujemy.

-- Więc proponuję, żeby uwolnić szejka tylko wtedy, jeśli przysięgnie, że zaniecha wszelkich wrogich planów wobec nas.

-- Tak to należy zrobić.

-- Powiedz sidi, czy nie ma lepszej gwarancji, niż jego przysięga?

-- Nie, przynajmniej ja nie znam żadnej innej. Może ty?

-- Nie.

-- Tb może Khutab Aga?

-- Ja także nie znam nic innego -- rzekł Pers. -- Uznaliście mnie za przyjaciela i póki żyję, będę wam wdzięczny. Tbę też nie może mi być obojętne, czy grożą wam dalsze niebezpieczeństwa ze strony Beni

Khalidów. Poza tym, moje sprawy tutaj są skończone. Skradzione skarby odzyskałem, moi askarowie są wolni. Możemy skoczyć na wielbłądy i wracać do domu.

-- Kiedy chcesz wyruszać?

-- Jak tylko wy odjedziecie. Nie wcześniej.

-- No a my, sidi -- wtrącił Halef. -- Kiedy my ruszymy?

-- Jak odjadą Beni Khalidowie -- odparłem.

-- Dlaczego nie wcześniej?

-- Czyżbyś mnie nie znał Halefie?

-- Co? Ja? O, sidi, po co te żarty? Wiesz dobrze, że cię znam lepiej niż siebie samego.

-- Po twoim ostatnim pytaniu śmiem w to wątpić, zapomniałeś o zwyczaju, który ze mną jest tak związany jak rękojeść z szablą.

-- Jaki zwyczaj?

-- Aby mieć możliwie zabezpieczone tyły. 'I~mu zwyczajowi zawdzięczamy, tyle powodzenia, drogi Halefie, że ani myślę tu, na tej niebezpiecznej pu,~tyni, go zaniechać.

-- Zabezpieczone tyły? Chodzi o Beni Khalidów?

-- 'Pdk. Jeśli wyruszymy wcześniej niż oni, będziemy ich mieli za sobą i nie będziemy wiedzieli, co zrobią. A jeżeli będziemy ich mieć przed sobą, możemy, póki to konieczne, mieć ich na oku. Chyba to rozumiesz?

-- Oczywiście! Tylko nie wiem, czy Beni Khalidowie zgodzą się na to. Jak chcesz ich do tego zmusić?

-- W ten sposób, że nie dopuścimy ich do studni. Jeśli się przekonają, że nie otrzymają wody dla swych wielbłądów, będą musieli się

pospieszyć, by dotrzeć do innej studni.

-- A tam zabiorą nam wodę.

-- To najmniejsze zmartwienie. Po pierwsze, nie wiadomo dokąd oni się skierują, a dokąd my. Okolica przed nami jest dość bogata w wodę i nie musimy jechać drogą, jaką obiorą Beni Khalidowie. Po drugie, popatrz na Bir Hilu. Beni Khalidowie byli tu przed nami, a mimo to nie tylko dostaliśmy wodę, ale jesteśmy teraz panami studni i nasi wrogowie bez naszego zezwolenia nie mają do niej dostępu. Czy jesteś usatysfakcjonowany?

-- 'I-k, całkowicie, sisi! Ale popatrz w stronę mekkańczyków, spójrz jak Ghani o czymś przekonuje ślepcę. Opowiada mu na pewno, że wszystko odbyło się całkiem inaczej. Munedzi ujrzy nas teraz w zupełnie innym świetle, wcale nie najlepszym. Popatrz, idzie do nas strażnik z jakimś Beni Khalidem! Zaczyna się początek końca.

Haddedihn, który przyprowadził do nas posłańca, powiedział, że nadciąga cała gromada Beni Khalidow, by udać się do studni. Trzeba było ich przekonywać, by się zatrzymali i czekali na odpowiedź swego szejka.

-- Jaki powód podaliście, dla którego nie wolno im tutaj przyjść?

-- zapytał Halef.

-- Wola ich szejka -- brzmiała odpowiedź. -- Więc posłali tu tylko tego człowieka, który ma z nim pomówić.

-- Dobrze zrobiliście. Zaraz, pójdziemy do szejka ~wila.

197

Pytanie skierowane było do mnie, wstałem więc. Pers wstał także i poszliśmy do studni. Za nami szedł Ben Khalid. Ujrzał szejka, który

leżał związany.

'Pdwił zawołał gniewnie do posłańca, zanim się zbliżyliśmy:

-- Nareszcie ktoś przychodzi! Nie mogliście się wcześniej mną zainteresować?

Beni Khalid był wyraźnie zaskoczony, rozejrzał się niepewnie i odparł:

-- Przecież taka była twoja wola.

-- To nie był rozkaz, tylko wiadomość ode mnie. Powinieneś dostrzec różnicę. Gdzie obozowaliście w nocy?

-- Na placu fantazji.

Nie mieliśmy powodu przeszkadzać szejkowi w jego rozmowie, słuchaliśmy z przyjemnością.

-- Z żołnierzami? -- zapytał szejk.

--'Pdk.

-- Gdzie ich macie?

Oczy 'Iawila błyszczały przy tam pytaniu.

-- Poszli.

-- Dokąd?

-- Nie wiedzieliśmy, ale teraz widzę, że są tutaj.

-- Pewnie, że są tutaj, jeśli pozwoliliście im uciec. Kiedy ujrzałem ich w nocy, myślałem, że to duch zmarłych askarow, bo że to ci nasi, tego w ogóle nie uważałem za możliwe. Widocznie szatan poraził wasz wzrok i słuch, bo w jaki inny sposób mogło się zdarzyć, że dwudziestu jeńców uciekło wielokrotnie przeważającej gromadzie strażników

Związaliście ich?

-- Tak.

-- Ale źle ich strześliście?

-- Nawet bardzo dobrze. Leżeli pośrodku nas. Byliśmy bardzo czujni.

-- To nieprawda! Gdybyście byli czujni, nie uciekliby. Zbadam tę
198

sprawę i pošlę winnych do starych bab, z którymi będą robić kapcie.

Wtedy Beni Khalid przerwał innym tonem:

-- Nie jesteśmy starymi babami. Jestem Beni Khalidem, wolnym Beduinem i podlegam tylko temu, którego chcę słuchać. Za ucieczkę askarów nie ponosi winy żaden z nas, tylko dżiny, których nadciągnęły
i
wielkie masy.

i -- Co to były za dżiny?

-- Ciemne postacie, wyglądały jak cienie. A na przedzie szedł wczorajszy upiór.

-- Jaki upiór?

-- Upiór, który tu przyszedł i przemówił.

-- Allachu! -- zawołał szejk. -- Ten upiór?

j -- 'Idk.

-- I przed nim uciekliście?

-- Nie. Ale on trzymał dwa płonące błędne ognie w rękach, z

! których wylaniały się głowy wcielonych diablów. Jesteśmy pobożnymi

! wyznawcami Koranu i nikt nie może nas zmusić do walki z duchami

i diablami.

-- Wkrótce się dowiesz, co to były za płonące ognie. Czy paliło się

!, u was ognisko?

; -- Nawet dwa. Dopiero, kiedy upiór zbliżył się do pierwszego, odeszliśmy.

' -- I pozostawiliście askarów?

-- No tak. A co mieliśmy robić? Potem z oddali widzieliśmy wiele postaci, śmigających jak cienie po placu, a kiedy odeszły i wróciliśmy, askarów i ich wielbłądów już nie było. Uprowadziły ich upiory.

-- Pokażę ci tego największego upiora. Spójrz tam, kto siedzi obok Abadilaha, naszego gościa?

Posłaniec, gdy ujrział Munedżiego zawołał:

-- Niech Allach broni mnie przed tym ukamienowanym diabłem.

Tb on tam siedzi, to on!

-- Przypatrz mu się! Czy to diabeł, upiór, czy też człowiek?

-- Czy ... czy... czy to.. to.. ?

Mężczyzna był przerażony i zaskoczony. Szejk go ofuknął: -- Jeśli teraz w biały dzień jeszcze nie wiesz, to nic dziwnego, że w nocy ze strachu postradaliście rozum. Abadilahu, mój przyjacielu, proszę cię, zapytaj go.

Ghani spełnił jego prośbę, pytając siedzącego obok ślepcy:

-- Słyszałeś, o czym teraz mówiono?

-- 'Pók, słyszałem każde słowo -- odparł starzec całkiem obudzony.

-- Czy wiesz, że przebywałeś wczoraj wieczorem w innym miejscu?

-- 'Pak.

-- Gdzie?

-- Nie znam tego miejsca. Prowadzono mnie i dano do rąk dwie płonące pochodnie.

-- Kto ci je dał?

-- Szejk Haddedińów i effendi z Wadi Draa. Zgodziłem się, bo kobieta powiedziała, że to dla mojego dobra.

-- Wiedziałeś o co tu chodzi?

-- Nie. Nie powiedziano mi. 'I~n złodziej, który ukradł ci twój spis i jego kamraci oszukali mnie bezwstydnie i podstępnie. Gdyby mi uczciwie powiedzieli, nie uczyniłbym tego za nic. Allah ich za to ukarze.

-- Czy wiesz, co to były za cienie, które szły z tobą?

-- Prawdopodobnie sprzymierzeńcy tych oszustów, wojownicy Haddedińów, bo podczas drogi, którą musiałem przebyć, słyszałem obok siebie i za sobą kroki wielu ludzi. A w drodze powrotnej moje ucho powiedziało mi, że idą ze mną wielbłądy. Wykorzystany zostałem do popełnienia niecnego czynu, o którym nie miałem pojęcia. Lecz Allah jest sprawiedliwy, nie pozostawi żadnego czynu bez zapłaty czy kary, a ci złodzieje i oszuści nie przejdą przez most śmierci Es Ssirat, lecz spadną w przepaść.

-- A więc wszystko jest jasne -- gniewał się szejk. -- Światło pochodni rozpalilo waszą wyobraźnię i ujrzeliście głowy diabłów, których

200

wcale nie było. Uważaliście Haddedińów za upiory i uciekliście przed nimi. W ten sposób umożliwiliście oswobodzenie jeficów. Porachuję się z wami. 'I~go starego, ślepego, zdziecinniałego człowieka będziemy musieli unieszkodliwić, abyśmy nie mieli przez niego dalszych kłopotów. Najbardziej nawet niedoświadczony chłopiec zrozumie mój gniew. Ale przysięgam na Allacha i Proroka, że nadrobię

wszystko, czego zaniedbano!

Ta groźba to poważny błąd, bo gdybyśmy nawet nie mieli zamiaru się zabezpieczać, te słowa kazały mieć się nam na baczności. Ale bardziej interesował mnie sposób, w jaki Ghaniemu udało się przekonać ślepcę o swojej niewinności i o naszej podłości.

Halef słuchał ostatnich słów szejka z uśmiechem zadowolenia.

'I~raz rzekł do niego:

-- Cieszę się, że się przekonałeś i tak szczerze przyznajesz się do swojej niemocy. Możemy wykorzystać to w taki sposób, że popamiętasz nas do kofica życia, ale w naszej słynnej dobroci postanowiliśmy potraktować was tak łagodnie, jak nakazuje miłość, którą obdarzamy wszystkich ludzi, nawet naszych wrogów.

-- Nie potrzeba mi waszej miłości -- warknął 'Pdwil Ben Szahid.

-- Będziesz musiał ją przyjąć, obojętne, czy chcesz czy nie.

-- Nic o tym nie wiem, żebym się przyznawał do niemocy. Mam jeszcze wojowników, którzy mają nad wami przewagę.

-- Nie boimy się ich. Na razie przewaga jest_ po naszej stronie i zadbamy o to, aby tak pozostało:

-- Żądam uwolnienia mnie. Jeśli odmówicie, pošlę tego Ben Khalida z rozkazem do wojowników, by zbrojnie na was napadli.

-- Spróbuj! Gdyby ważył się bez naszego zezwolenia opuścić to miejsce, nasz kula na zawsze by go tu zatrzymała.

-- Niech Allah cię zmiażdży! -- ryknął szejk, który wiedział, że Halef ma rację.

'I~n nie zważając na przekleństwo, mówił dalej:

-- Nasz przyjaciel, Khutab Aga, ścigał włamywaczy, bo zrabowali

Kans el Eldha w Meszhed Ali. Chciał ich ująć i doprowadzić do świętego miasta szytów, gdzie czekałaby ich niechybna śmierć. Postanowił z tego zrezygnować. Wypuści ich jak paskudne robactwo, którym nie chce sobie brukać rąk. My postanowiliśmy ukarać ich bastonadą, ale tego zaniechamy, bo również nie chcemy się stykać z tym odrażającym brudem.

-- Mów tylko tak dalej! -- warknął na niego szejk. -- Potem, kiedy skończysz, powiem ci, co mam do powiedzenia.

-- Dobrze. Słucham cię, potężny władco obozowiska! A więc ze złodziejami skończyliśmy. Teraz kolej na ciebie. Ciebie także puścimy wolno. Zgadzasz się?

-- Mów dalej!

-- To ci nie wystarczy?

-- Tb aż za dużo tej przebiegłości i chytryści, które od początku was cechowały. Jakże wzruszająco mówisz o waszej dobroci. Ale ja znam przepaść nikczemności ziejącą z tej mniemanej łagodności. Nie będziecie karali złodziei, bo dobrze wiecie, że są niewinni. Najpierw ukradliście im spis, a teraz udało się wam zabrać przedmioty. 'I-ka jest prawda lajdaki!

Tym słowom towarzyszył szyderczy śmiech, zawierający tyle bezczelności, że mój przyjaciel Halef szybko się do mnie zwrócił i zapytał z oczami palającymi gniewem:

-- Sidi, teraz to nie będzie grzechem, jeśli mu odpowiem przekonująco moim batem

-- My nie bijemy, Halefie -- odparłem.

-- Dobrze, więc powściągnę swój gniew.

-- Nie mów o gniewie,-- zaśmiał się szejk Beni Khalidow. -- Tb, co nazywasz gniewem, to złość, że was przejrzałem. W dodatku tchórzostwo, godny pogardy strach przed naszą odwagą.

-- 'I~hórzostwo? -- zapytał Halef z największym zdumieniem.

-- Nie zaprzeczaj! Wiesz, aż nazbyt dobrze, mieliśmy walczyć o mekkańczyków. Teraz wypuszczacie ich bez walki. Tb tchórzostwo!

202

Hadzi z trudem opanował swój gniew. Z ogromnym wysiłkiem odpowiedział spokojnie:

-- 'Ib przekręcanie faktów, które wymyśliłeś, by się wywyżżyć.

-- Powiedziałem prawdę!

-- Nie, skłamałeś! Nie zostało ustalone, że będziemy walczyć o uwolnienie złodziei, lecz ceną walki było zdobycie ich. Znajdowali się u was, a my chcieliśmy ich mieć u siebie. Ustalono, że będą należeli do zwycięzców. Ale teraz nie chodzi o ujęcie ich, bo już ich mamy, lecz o ich oswobodzenie. Jeśli puszczamy ich wolno nie karząc, czynimy to z litości.

-- Gorączkujesz się daremnie. Jest tak, jak powiedziałem, ze strachu przede mną chcecie ich uwolnić, ale zatrzymać własność Ghaniego.

'Pak jak znałem Hadziego, dla którego tchórzostwo było czymś najnędniejszym na ziemi, należało się teraz obawiać, że popelni coś nieobliczalnego. Toteż chciałem się szybko wtrącić, ale on nie pozwolił.

-- 'I~raz proszę cię, milcz sisi. 'Ihkiego zarzutu nie ścierpi żaden

Haddedihn.

Za nami rozległ się głos :

-- Ani żadna kobieta Haddedihnów.

Odwróciłem się. Stała tam Hanneh z błyszczącymi oczyma i rozpaloną twarzą. Rozprawę prowadzono tak głośno, że usłyszała to po drugiej stronie placu. 'I~raz zbliżyła się, by ze swej strony odeprzeć haniebne oskarżenie. Było to coś tak niezwykłego, że zapadła natychmiast cisza. tylko 'Pdwil Ben Szahid zawołał ironicznie:

-- Kobieta! To dowód, że powiedziałem prawdę, bo właśnie usłyszeliśmy, że u Haddedihnów kobiety są odważniejsze od mężczyzn. Hanneh chwyciła mocno Hadżiego za ramię, przyciągnęła do siebie, mówiąc:

-- Jestem Hanneh, córika Ateibehów, żona szejka Haddedihnów ze szczepu Szammarów. Rzucono nam w twarz zarzut tchórzostwa,

203

choć tego wyszczekanego szejka Beni Khalidów mój mały syn rzucił na ziemię i pokonał. Ukarzemy tę nikczemność, domagam się, żeby oprócz Omara Ben Sadeka również mój małżonek i mój syn wzięli na siebie to zadanie. Nie chcemy niczego od tych ludzi. Rezygnujemy z wszystkiego, cośmy dotąd zdobyli, nawet ze skradzionego i odzyskanego "skarbu członków". Będziemy o niego walczyć, ale kto po naszym zwycięstwie nazwie nas jeszcze złodziejami, tego rzucimy hienom na pożarcie. Ja, kobieta to mówię, a teraz kolej na mężczyzn, niech działają!

Cofnęła się. Efekt jej niespodziewanego wystąpienia był porażający. Nawet ja byłem pod wrażeniem. W gruncie rzeczy nie zgadzałem

się z tym, by walczyć o to cośmy zyskali, ale my mężczyźni, nie mogliśmy przeciwstawić się tej odważnej, zdecydowanej kobiecie. Znałem w końcu te trzy osoby, które miały walczyć z naszej strony. Halef był odważny jak mało kto. Omar Ben Sadek często dawał się poznać z jak najlepszej strony, dlaczego więc w tym wypadku miałyby być inaczej? A Kara Ben Halef? No coż, był co prawda jeszcze młody i nie mógł mieć wielkiego doświadczenia, ale miał w ojcu najlepszego mistrza, jakiego można sobie wyobrazić. Ode mnie nauczył się dużo chwytów, sztuczek i przebiegłości, które dozwolone są także w uczciwej walce i dają przewagę nad równorzędnym przeciwnikiem. Propozycję Hanneh, szejk powitał z największą radością. Miał nadzieję, że uda mu się znów wejść w posiadanie skarbu. Nie czekał, aż głos zabierze Halef, uprzedził go.

-- A więc; jednak walka! Kobieta dodaje mężczyznom odwagi. I chodzi nie tylko o mekkańczyków, lecz także o skarb!

Wydawało się, jakby Halef się nagle przeobraził. Jego gniewne podniecenie teraz, kiedy decyzja należała do niego, ustąpiło zimnemu spokojowi, który przynosi zwycięstwo.

Z uśmiechem wyższości na ustach odparł niemal obojętnie:

-- T~k, będziemy walczyć także o skarb z Meszhed Ali, a teraz dowiesz się jakie stawiamy warunki, od których w żaden sposób nie

204

odstąpimy. Jeśli się na nie zgodzisz, to w waszych rękach leży i od waszej odwagi zależy możliwość odebranie nam tego, co posiadamy. Jeśli ich nie przyjmiesz, wszystko pozostanie tak, jak jest.

-- No to mów!

-- Przede wszystkim żądam, niezależnie od tego, jaka będzie wasza decyzja, by skończyło się to obraźliwe gadanie. Nie jesteśmy chłopcami, którzy zamiast czynów popisują się słowami.

-- Zgadzam się.

-- Poza tym walka odbędzie się tam, na piaszczystej równinie, gdzie żadne skały nie będą zasłaniały widoku naszym wojownikom. Oba plemiona będą stały naprzeciw siebie, walka toczyć się będzie pośrodku. Pojedyunki nastąpią jeden po drugim, pomiędzy trzema Beni Khalidami i trzema Haddedihami. Zwycięży to plemię, po którego stronie będzie więcej zwycięstw. Jemu przypadnie skarb, który tymczasem przechowywany jest u nas. Pokonani muszą natychmiast opuścić studnię i ruszać dalej w drogę. Czy się zgadzasz?

-- 'Ifik, ale teraz muszę zostać uwolniony.

-- Nie obawiaj się o swoje ukochane ciało. Nie jest nam potrzebne, zwrócimy ci je. Ale przedtem musisz przysięgą na twój Hamail przypieczętować tę ugodę.

-- Jestem gotów.

-- 'Pa przysięga zawiera także przyrzeczenie, że w dniu dzisiejszym zrezygnujemy z wszelkich niecznych myśli.

-- Ale później już nie? -- zapytał szejk szybko.

-- Nie.

-- Więc zgoda. Spodziewam się, że ta walka nie będzie zabawą, lecz toczyć się będzie na śmierć i życie.

-- Oczywiście, możesz traktować ją z całą powagą, nam jest obojętne, czy będzie to zabawa, czy nie.

-- Jaką bronią będziemy walczyć?

Wówczas mój nieoceniony w takich chwilach Halef odparł lekceważącym tonem:

-- Jest nam to całkowicie obojętne. Wam pozostawiamy wybór.

Wybierz trzech najdzielniejszych Beni Khalidów i każdy z nich niech wybierze rodzaj walki, w jakiej jest najlepszy. My nie zwracamy sobie głowy takimi drobiazgami.

-- Nie bądź taki pewny siebie. Szakala, który najgłośniej szczeka, najprędzej rozszarpie sęp. Jestem gotów do przysięgi.

Teraz go rozwiązano. Halef usiadł naprzeciwko niego. Położono między nimi Koran i trzymając na nim ręce, przysięgli, każdy za siebie i za swoich, uczciwe i wierne trzymanie się warunków. Potem szejk zawiesił sobie swój Hamail z powrotem na szyi i wstał, by się oddalić.

Ale zanim to uczynił odwrócił się i rzekł:

-- Nigdy jeszcze nie złamałem słowa i dziś także go dotrzymam, ale biada wam, jeśli wy nie dotrzymacie swego. Wkrótce wyślę do was gońca, by was zawiadomić, jaką wybieramy broń. Możecie być pewni, że będziecie mieli do czynienia z moimi najdzielniejszymi wojownikami. Dlatego radzę wam już teraz wykopać trzy groby, w których spoczną nasi przeciwnicy.

Po tych słowach odszedł ze swym posłańcem.

Wszystkich Haddedińców ogarnął nastrój oczekiwania. Walka na śmierć i życie i to potrójna, co za wydarzenie dla każdego Beduina.

Pers był niezadowolony z tego rozstrzygnięcia i nie można mu było brać tego za złe. Już był u celu i oto nagle został zmuszony zgodzić się, by o sukcesie zadecydowała broń. Rozumiałem jego opory, ale udało mi się na tyle go uspokoić, że przestał sprzeciwiać się walce o zawar-

tośE dywanu do modlitwy.

Poj edynki

Wyznaczonym na pojedynki miejscem była rozległa piaszczysta przestrzeń, przez którą wczoraj wieczorem prowadził nas i Munedżiego Ben Nur. Poszliśmy tam, by na piaszczystym gruncie zakreślić stanowisko nasze i przeciwnika. Halef chciał wyznaczyć kierunek północ- południe, ja zaproponowałem inny i wyjaśniłem, że zapaśnik ma przewagę, kiedy ma słońce za plecami, a przeciwnikowi słońce świeci prosto w twarz i oślepia go. Postanowiliśmy zająć wschodnią część zakreślonego koła.

Była to jedna ze wspanialszych "sztuczek", które nie są uznawane za nieuczciwe, chociaż ich celem jest przechytrzenie przeciwnika.

Jak się okazało nie musieliśmy mieć z tego powodu wyrzutów sumienia, bo kiedy nadszedł wysłannik Beni Khalidów, zrozumieliśmy, że przeciwnik wykazał się równą nam przebiegłością. Halef jako nasz szejik, kazał go do siebie przyprowadzić i zapytał, co ma do przekazania.

Odpowiedź brzmiała:

-- 'Pawil Ben Szahid, szejik dzielnych Beni Khalidów, kazał ci powiedzieć, że mamy strzelać, walczyć wręcz i rzucać oszczepem.

207

-- Mamy? 'Ib brzmi jak rozkaz, jak gdybyśmy musieli się zgadzać na wszystko, co on sobie życzy.

-- Bo tak też jest -- potwierdził wysłannik.

-- Ach tak?

--'Pdk. Szejik powiada, że tylko on decyduje o wyborze broni, a wam

nie wolno się sprzeciwiać.

-- 1'dk. Wprawdzie pozostawiłem mu rozstrzygnięcie, ale mógł swoją decyzję przekazać w sposób bardziej uprzejmy. A więc mamy strzelać?

--'I-k, to pierwsza runda.

-- A czym?

-- Strzelbami. Przecież to zrozumiałe, to czemu pytasz?

-- Człowieku, nie zapominaj, że stoisz przed szejkiem Haddedih-nów. Jeśli nie wiesz jakim tonem masz do mnie przemawiać, nic nie wskórasz, a my zatrzymamy to, co mamy. Przyrzekliśmy sobie z ~awilem Ben Szahidem, że nie padną obraźliwe słowa. Tb dotyczy także sposobu wypowiedania się. Zapamiętaj to sobie. Swoim niestosownym pytaniem, sam się ośmieszyleś, bo widocznie nie wiesz, że poza strzelbami istnieje jeszcze inna brofi palna. Czy twój szejk ustalił odległość?

-- Sześćdziesiąt kroków i każdy oddaje po trzy strzały.

-- 'Pdk daleko? Któż potrafi wtedy celnie trafić?

'Iivarz Halefa wyrażała zdumienie, ale w głębi duszy był ogromnie zadowolony, ponieważ karabiny jego i Kary były o wiele lepsze od strzelb Beduinów - przywiozłem im je w prezencie.

-- Czy mamy strzelać śrutem, czy kulami? -- pytał Halef ostrożnie.

-- Oczywiście, że kulami.

-- Zgoda. Ale powiedz swemu szejkowi, że kule przed załadowaniem trzeba pokazać, by przez omyłkę nie włożono śrutu. A potem odbędą się zapasy?

-- 'Pak, z obnażoną górną częścią ciała i nożem za pasem.

-- Po co nóż? Do zapasów nie jest potrzebny.

208

-- Bo to mają być zapasy na śmierć i życie. Jak tylko jeden drugiego położy na łopatki, ma prawo go zakłuć.

-- Widać macie wśród was jakiegoś znanego zapaśnika?

-- 1'ak -- uśmiechnął się Ben Khalid bezczelnie. -- Naszego Abu'1 Kuwwe, ojca siły, nikt nie pokona. Słysząc to w imieniu, jakie mu z tego powodu nadaliśmy.

-- Czy ustalono czas tnwania zapasów?

-- Oczywiście, aż pierwszy zostanie zakłuty.

-- Znów "oczywiście". Wedle ciebie wszystko jest oczywiste! Zapewne jest dla ciebie oczywiste, że nasi trzej wojownicy zostaną zarżnięci przez waszych bez najmniejszego trudu. Ma odbyć się również rzucanie oszczepem? Masz na myśli te długie dzidy czy krótkie dzeridy?

-- Oczywiście dzeridy.

-- I znów "oczywiście"! Jesteś doprawdy samą oczywistością. 'Iii też chyba są jakieś warunki?

-- Oczy... -- wysłannik urwał w pół słowa i poprawił się. -- 'Pdk, mam ci je podać. Odległość dwadzieścia pięć kroków, każdy otrzyma trzy oszczepy.

-- 'Idk? Chyba macie także bardzo zręcznego oszczepnika pośród was?

-- 'Ii~afia zawsze -- potwierdził Ben Khalid.

-- No to jestem bardzo ciekaw. Czy to wszystko co masz mi do powiedzenia?

-- Mam podkreślić, że nie będzie żadnego oszczędzania, walka ma się toczyć, aż do śmierci. Musi co najmniej popłynąć krew, inaczej runda się nie liczy. Kto zostanie trafiony tak, że nie będzie mógł wstać, uznany zostanie za pokonanego, a zwycięzca ma prawo go zabić. 'I~raz już skończyłem.

-- AJe ja nie. Kiedy przybędziecie?

-- W pół godziny po moim powrocie.

-- 'Ib jedźcie drogą na zachód od skały. My zostaniemy tutaj, gdzie jesteśmy. Jaką brofi wybrał wasz szejk?

-- Szejk? -- zapytał Ben Khalid, zdziwiony. -- Czy sądzisz, że on będzie uczestniczył w walce?

-- Naturalnie!

-- O nie, on nie będzie walczył. Sama myśl, że miałby brać w tym udział, jest dla niego obrazą. Szejk nie jest zwykłym wojownikiem, on oczywiście walczy tylko z szejkami.

-- Znowu to oczywiście! Gdybyśmy nie uzgodnili, że nie będziemy używali obraźliwych słów, to ja z kolei nazwałbym go tchórzem. Ja także jestem szejkiem, ale walczę z każdym wojownikiem, który godny jest mojej odwagi. 'Pdkże w tej walce wezmę udział. Nie wiem jeszcze co prawda, jaką wybiorę broń, bo muszę najpierw obejrzeć przeciwników, ale jeśli...

-- 'I~go ci nie wolno -- przetwał wysłannik szejka 'Pdwila.

-- Co! Nie wolno mi wybierać!

-- Nie.

-- Kto może mi tego zabronić?

-- Nasz szejk. On wyznacza brofi, a także warunki.

-- O warunkach nie było mowy, ale mów dalej. Posłucham co powiesz.

-- Nasz szejik żąda, aby wasi trzej wojownicy losowali. Każdy z nich ma brać udział w walce, jaką mu wyznaczy los. -- Wy z pewnością wybraliście najlepszego zapaśnika, najlepszego oszczepnika i prawdopodobnie najlepszego strzelca?

-- Oczywiście.

-- Posłuchaj człowieku. Jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust słowo "oczywiście", to uczynię coś, co wyda ci się wcale nie takie oczywiste! Wasza chytrość byłaby godna pochwały, gdyby nie wyglądała jak głupota. Wybieracie do każdej walki, najlepszego człowieka~a my mamy godzić się z tym, co nam los zechce wyznaczyć. Tb nie jest mądrość z waszej strony, lecz coś całkiem przeciwnego, czego przez uprzejmość nie chciałbym bliżej określać.

210

Halef przerwał na chwilę, oczy jego powędrowały od Kary do Omar Ben Sadeka, a potem skierowały się na mnie. Wiedziałem co myśli.

Jego syn także to odgadł:

-- Ojcie, zgódź się -- poprosił.

-- Co? -- zapytał Halef z uśmiechem

-- Przecież nie obawiamy się losowania, a jeśli się nie zgodzisz, oni pomyślą, że z nami jest tak jak z nimi.

-- To znaczy jak, mój synu?

-- Każdy z nich prawdopodobnie potrafi walczyć tylko jedną bronią. My natomiast pokażemy im, że wojownicy Haddediwnów nauczyli się siedzieć mocno w każdym siodle.

Na twarzy Halefa ukazał się wyraz dumy ojcowskiej i zwrócił się do wysłannika:

-- Słyszałeś słowa Kara Ben Halefa, mojego syna i wiesz teraz z jakiego powodu zgadzam się na żądanie twego szejka, jest nam obojętne jaką broń weźmiemy do ręki. Czy już skończyłeś?

-- 'Pdk.

-- Tb możesz odejść.

Ten jednak zapytał jeszcze:

-- Powiedziałeś szejku, że sam też będziesz walczył. Kim są dwaj inni?

-- Czemu o to pytasz?

-- Bo chciałbym ich zobaczyć.

-- Wszyscy ich przecież zobaczycie.

-- Ale ja chciałbym ujrzeć ich teraz.

Hadzi zaśmiał się krótko.

-- Chciałbyś? Na Allacha! To bardzo łaskawie z twojej strony, że chciałbyś. Czy pozwolisz mi może choć raz, że i ja czegoś zechcę?

-- Czego?

-- Nie pokazać ci ich! A więc możesz odejść.

Dotarliśmy do studni. Beni Khalid, który siedł obok nas, ponowił żądanie:

211

-- Chciałbym ich zobaczyć, bo ja sam będę miał z jednym z nich do czynienia.

Na jego twarzy malowało się wyzwanie, nakazujące podziw dla niego. Halef rzucił badawcze spojrzenie na żyłastą postać Beduina.

-- Czy ty może jesteś tym człowiekiem z trzema oszczepami, które zawsze trafiają?

Wtedy zapytany uniósł prawe ramię, tak że opadł mu szeroki rękaw i ujrzeliśmy mocno rozwinięte mięśnie i zawołał buficzucznie:

-- 1'ak, to ja. Obejrzelicie sobie to ramię i te mięśnie! Żaden oszczep nie jest dla mnie za ciężki i żadna odległość zbyt wielka.

Odejdź czterdzieści kroków, unieś dłoń i powiedz mi, w jaki paznokcie mam trafić ... a trafię!

Chępliwość ta, napędziła Halefowi krwi do głowy. Oczy skierowały się w stronę wiadra stojącego na cembrowinie i zapytał:

-- Jesteś więc przekonany, że zwyciężysz?

-- Oczywiście!

-- No to trochę ostudzę twoją płonącą wyobraźnię.

Halef podniósł wiadro i z rozmachem wylał całą zawartość na głowę

Ben Khalida tak zręcznie, że woda popłynęła po Beduinie, na ten widok Haddedihni wybuchnęli śmiechem. Dla dumy Beduina, poza śmiertelną obrazą, nie ma nic gorszego niż wystawienie go na pośmiewisko. Ben Khalid stał kilka chwil bez ruchu, potem błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż zza pasa, by przebić serce Halefa. Przy tak szybkim ataku Hadzi zostałby niechybnie trafiony, ale ja miałem się na baczności. Zareagowałem natychmiast, tak że nóż trafił tylko w odzież Halefa i przeciął ją na całej długości. Ująłem napastnika za oba ramiona, przycisnąłem je do ciała, tak że nie mógł się ruszać i ofuknąłem go:

-- Zaatakowałeś! Jako wysłannik waszego plemienia użyłeś broni przeciwko jednemu z nas. Wiesz, jaką karę prawo pustyni przewiduje

za taki czyn?

Otoczyli nas Haddedihi, wyciągnęli noże i grozili napastnikowi.

212

Daremnie usiłował się uwolnić z moich rąk, jękając się, mamrotał słowa przeprosin:

-- Bo on ... mnie obraził ... oblał mnie .. wodą ... oblał ...

-- Szejk Hadzi Halef nie uczynił nic poza tym, co ci przedtem przyrzekł, kiedy cię ostrzegał, byś nas nie obrażał. Wysłannik ma spełniać polecenia, a przy tym wystrzegać się każdego słowa, które do tego polecenia nie należy. Ty cały czas się chępiłeś, teraz wiesz, co o tym myśleć. Sięgnąłeś po broń, mamy więc prawo bez narady zastrzeżić cię, ale ponieważ ciekawi jesteśmy twoich niezrównanych umiejętności rzucania oszczepem, puścimy cię wolno. Nóż zatrzymamy jako dowód, w razie gdyby twój szejk wpadł na pomysł pociągnięcia nas do odpowiedzialności, za to, że zaatakowałem jego wysłannika. Wynos się jak najszybciej, zanim inni nie pożałują, że cię puściłem wolno! Uwolniłem go. Nie podniósł noża, który wskutek mojej interwencji wypadł mu na ziemię i oddalił się szybko.

W pewnym oddaleniu zatrzymał się, uniósł groźnie ramię i zawołał do nas:

-- Jeszcze za to odpokutujesz! Za wodę żądam krwi!

-- Oczywiście, oczywiście! -- szydził Halef

Gdy na to znów rozległ się śmiech Haddedihi, wysłannik szejka Beni Khalidów wołał zamilczeć i ulotnił się. Hanneh podeszła zatro-skana i serdecznie się ucieszyła, kiedy ujrzała, że cięcie nożem nie spowodowało rany i da się naprawić za pomocą igły i nitki.

Wiedzieliśmy teraz, jaki rodzaj walki nas czeka, ale nie wiedzieliśmy najważniejszego, jaka broń przypadnie każdemu z nich. Halef odezwał się skromnie:

-- Byłoby co prawda lepiej, gdybyśmy pod tym względem mieli jasność. Moglibyśmy się z tobą naradzić sisi. Wiem, że kiedy mowa o walce, zawsze możemy się od ciebie czegoś nauczyć.

-- Obawiam się, że wszystko wam już przekazałem drogi Halefie.

-- O, bynajmniej! Wiesz, sisi, z tobą bowiem jest tak, kiedy mówisz o zastosowaniu tej lub innej broni, przypominają ci się przeżycia,

213

podczas których posługiwałeś się tą bronią. Każdy przypadek był inny, każde użycie broni i każde zwycięstwo inne. Wówczas ożywają noże, strzelby i pistolety, wówczas one myślą i obliczają, po prostu przemawiają.

-- Jak twój bicz -- wtrąciłem żartobliwie.

-- Nie śmieję się z niego i nie mówmy teraz o nim. Czy nic nie przychodzi ci do głowy? Żadna pożyteczna rada, sposób zachowania, których moglibyśmy się trzymać?

-- Na jedno pragnę zwrócić waszą uwagę, kierujcie wzrok, tylko na przeciwnika. Patrzenie gdzie indziej jest niebezpieczne, bo rozprasza uwagę. Niech wśród widzów dzieje się co chce, was to nic nie obchodzi. Często mocne, uważne spojrzenie to połowa zwycięstwa. Co do strzelby nie mam żadnych uwag, co do oszczepu - owszem. 'Ilii dałbym pierwszeństwo przeciwnikowi, bo wtedy musiałbym zwrócić uwagę tylko na niego, a nie na siebie. Przy tej niepodzielnej uwadze, łatwo jest uniknąć jego trafienia. Kiedy przeciwnik nie ma już więcej rzu-

tów, a mnie nie trafił, wiem, że jest bezbronny i że ja góruję nad nim.

To sprawia, że on czuje się niepewnie.

-- A jeśli on zrobi potem tak jak ty? Wystarczy, że będzie tylko uważał na ciebie, a łatwo uniknie oszczepu.

-- Wtedy udaję jakiś czas, że rzucam oszczep, ale go nie rzucam. To wydaje mu się śmieszne i mniej wówczas uważa, Kiedy widzę, że stoi spokojnie i nawet nie drgnie, wtedy rzucam naprawdę i to wszystkie trzy oszczepy jeden po drugim.

-- Maszallah! Wszystkie trzy? Dlaczego?

-- Przeciwnik pomyśli, że rzucam tylko jeden i całą uwagę skupi na rzucie, a nie na mnie. Podczas, gdy będzie śledził lot oszczepu, spoglądając w górę, prawdopodobnie nie spostrzeże, że znów rzucasz. The drugi oszczep trafi go, a jeśli nie to na pewno trzeci: Konieczne jest przy tym być dobrym oszczepnikiem i mieć wyćwiczone oko, żeby wyczuło, w którą stronę przeciwnik chce się cofnąć, bo tam należy skierować drugi oszczep.

214

-- Dziękuję ci sisi! To nauka, którą zapamiętam. Chciałbym wylosować oszczep, zrobiłbym dokładnie; tak jak nam powiedziałeś. Ajak zachowałbyś się w walce wręcz?

-- To zależałoby od przeciwnika i od sposobu walki, a że nie znam ani jednego ani drugiego, nie mogę ułożyć planu. Są różne rodzaje zapasów. Tu chodzi o pokonanie przeciwnika, nie stosując się do żadnych reguł, byle tylko pokonany całym ciałem dotknął ziemi.

-- Chciałbym, żeby to mnie przypadło -- powiedział Omar Ben Sade'k. -- Ze mną najsilniejszy Ben Khalid niedługo stałby wyprosto-

wany.

Kiedy się patrzyło na Omara, nie wyglądał tak, by mógł budzić w przeciwniku wielki niepokój, nie był zbyt wysoki, ani zbyt mocno zbudowany. Ale my wiedzieliśmy, że potrafi więcej niż na to wygląda. Podczas walki, mięśnie jego wydawały się jak z żelaza, a żyły jak ze stali. Kiedy stał z szeroko rozstawionymi nogami, kilku mężczyzn musiało mocno wyęźać siły, by ruszyć go z miejsca. Nogi jego podobne były do słupów, których nie da się poruszyć. I taką siłę posiadał każdy członek jego ciała.

-- 'Pdk, o ciebie bym się nie niepokoił -- przyznał Halef. -- Ciebie nikt nie pokona. A twego chwytu polegającego na powolnym kładzeniu na łopatki przeciwnika, nie potrafi żaden z naszych Beduinów.

-- Tb nie jest "mój" chwyt. Nauczył mnie tego nasz effendi. Jest bardzo lekki, ale palce, kiedy się raz wpiły, nie mogą ani na chwilę się rozluźnić, w tym cała sztuka. Jeśli los mi przeznaczy tę walkę, możecie być spokojni o nasz honor. Ale, effendi, co sądzisz o tym, że walka ma się toczyć na śmierć i życie? Beni Khalidowie oczywiście nie będą nas oszczędzać. Czy myślisz, że i my mamy w stosunku do nich równie ostro postępować?

-- Właściwie to zbyteczne pytanie -- odpowiedziałem -- ponieważ moje poglądy pod tym względem są wam znane. Jeśli mogę unieszkodliwić wroga, nie pozbawiając go życia, to czynię to. Co prawda nie możemy się posuwać zbyt daleko w tej mierze, by nie zaszkodziło to

215

zwycięstwu. Ustalono, że przynajmniej popłynie krew, tego nie możemy zmienić, ale nie jest konieczne, by ugodzić śmiertelnie. Jeśli ci

trzej Beni Khalidowie, zostaną tylko trafieni, będą dla was równie nieszkodliwi, jak gdyby nie żyli.

-- Ale ustalono, że pokonany ma leżeć na wznak na ziemi -- wtrącił Halef.

-- 'Ib nie sprawi szczególnych trudności, bo jeśli ktoś został trafiony kulą, tak, że pada na kolana, to wystarczy zadać mu cios ręką, by upadł całkowicie. 'Pdk więc, celowałbym w jego nogę, a nie w głowę lub w serce.

-- 'Ihk też zamierzałem, walka na strzelby byłaby właściwa dla mnie -- rzekł Kara. -- Hadzi Halef, mój ojciec, potwierdzi ci sisi, że rzadko zdarza mi się chybić celu. Ale popatrzcie! Czego chce ślepiec?

Munedzi siedział przy mekkaficzykach. 'I~raz szybki ruchem wstał i pewnym krokiem, jak gdyby widział, podszedł do miejsca, 'gdzie staliśmy.

-- Effendi! Chodź ze mną! Ty sam! -- wezwał mnie, przechodząc wśród nas i nie zatrzymując się.

To było bardzo dziwne. Skąd wiedział; gdzie stoimy i że ja też jestem? Czy powiedzieli mu mekkańczycy? Ale i w tym wypadku okazana przez niego pewność siebie była nie do wytłumaczenia. I mówił głosem nie swoim, ale Ben Nura. Twarz miał nieruchomą jak zmarły, a kiedy mówił, ledwo poruszał wargami. Szedł w stronę skały Ben Nura, a ja szedłem za nim. Nie ulegało wątpliwości, że znów był nieobecny, teraz w biały dzień! Czyżby to był lunatyzm?

Zanim doszedł do skały, zatrzymał się, obrócił do mnie i rz~ł obcym głosem:

-- Effendi, kocham cię. Kocham wszystkie istoty boskie, ale kiedy

widzę serce otwarte dla miłości, pochylam się nad nim ze szczególnym uczuciem. Usłyszałem słowa dobroci, które wypowiedziałeś. Pragniesz oszczędzić życie waszych wrogów i uwzględniasz dany im czas na przygotowania, to zostanie zapisane na twoje dobro w zaświatach,

216

a już tu zostanie ci nagrodzone, bo zwyciężycie. Ale ostrzegam cię przed tobą samym i przed smokiem, który chce zniszczyć ludzi, a także pragnie twojej zguby. Przed tobą samym, bo ty zagrażasz sobie, jako własny wróg.

Ujął moją dłoń w lewą rękę, pogłaskał ją prawą i ciągnął dalej:

-- Nigdy nie chęłp się swoją miłością. Niebiosą ci jej użyczyły, jest ich własnością, którą będziesz musiał zwrócić wraz z odsetkami. Jest ona najwyższym dobrem w życiu, dlatego ten, kto ją otrzymał, będzie z niej rozliczany o wiele surowiej niż owe dusze, którym mniej powierzono. Nie my~l, że jesteś lepszym człowiekiem niż oni! Od krzewu stepowego wymaga się jedynie skąpej zieleni, od drzewa nad wodą wymaga się owoców. Tiewoim obowiązkiem jest dać owoce i nie wolno ci myśleć, że należy ci się szczególne wynagrodzenie.

Potem Munedzi puścił moją dłoń i mówił dalej:

-- A przed aszdarem także się miej na baczności. Walczyłeś z nim, jak długo żyjesz, ale zawsze odzyskiwałeś siły, podniesiony własną wolą i podtrzymywany niewidzialną dłonią, która cię strzeże. Dłoń ta pozbawiona twojej woli jest słaba, połączona z nią ma siłę olbrzyma. 'Pdk więc nie rezygnuj z woli walki, pod osłoną niebios doprowadzi cię ona do doskonałości. Aszdar to wróg niezmordowany. Ciebie też jeszcze nie uwolnił i czeka cierpliwie, a gdy nadejdzie chwila, kiedy

okażesz słabość, od nowa rozpocznie się walka z jego potęgą. Widzę, że znów czatuje na twojej drodze, wkrótce dojdzie do zderzenia, dlatego bądź czujny!

Kiedy starzec przerwał swą mowę, na ustach moich zawisło pewne pytanie. Jak gdyby czytając w moich myślach, rzekł:

-- Chciałbyś się dowiedzieć, kim on jest?

-- 'hak -- odparłem.

-- To odejście od Boga. Aszdar to odejście z kraju, którego jesteś teraz obywatelem, do oschłości. Uważaj, byś uniknął pierwszego kroku, po nim następuje drugi. Zanim się spostrzeżesz, że zszedłeś ze ścieżki, znajdziesz się od niej daleko. Proszono, bym ci przekazał, że

217

idziesz prosto na spotkanie smoka. Walki z nim nie da się uniknąć, dlatego mam ci dać znak, kiedy on wyciągnie szpony, by cię schwycić. W chwili niebezpieczeństwa rozlegnie się zawołanie "aszdar". Kiedy je usłyszysz cofnij szybko swoją decyzję, którą chcesz podjąć, bo doprowadzi cię ona do niechybnej zguby.

Munedzi powiedział to tak dobitnie, jakby naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo. Teraz ciągnął trochę ciszej:

-- Słabe ciało, które stoi przed tobą, stało się wskutek oszustwa, jakiego się wobec niego dopuszczono, twoim wrogiem. Proszę cię, mimo to nie odmawiaj mu swej miłości, której mu potrzeba. Prowadziłem go razem z tobą, by go uzdrowić i umożliwić mu piękne doświadczenie. Wybacz mu, to co robi, bo jest wprowadzoony w błąd i pozostań jego przyjacielem, mimo jego oporu. Znam w Mekce dom, w którym leżą trzy dywany modlitewne, dwa są czerwone, a tło trze-

ciego jest granatowe. Wyhaftowane są na nim złote sentencje Koranu, to jest ten właściwy, tam znajduje się cel twych obecnych myśli, które przyniosą ci pokój. 'ham też znajdziesz klucz do czynu, który przyniesie wam ocalenie i to nie tylko wam. Powiedziałem ci co trzeba. Idź, gdzie cię oczekują! 'I~rzymaj się tego, co ci jest dane i pozostań dobrym człowiekiem. Bądź zdrow!

Po tych słowach Munedzi opuścił miejsce, do którego mnie przyprowadził. Minął mnie i wracał prosto w kierunku studni. Kiedy się odwróciłem zobaczyłem nadciągających od zachodu Beni Khalidów. Moja obecność była tam potrzebna. Czy to ślepiec miał na myśli, mówiąc, że mam iść tam, gdzie na mnie czekają? Dziwne? Poszedłem, nie miałem czasu zastanawiać się nad tym, co mi powiedział. Pragnąłem jednak, dokładnie zapamiętać sobie to, co usłyszałem o domu w Mekce. Było to jakby proroctwo. Myśli moje już teraz skierowane były na ten cel. Byłem przekonany, że EI Ghani, który potrafił wykorzystać ślepcę, ponosi także winę za wielką stratę, na którą skarżył się Munedzi. Czyżby czekało nas niebezpieczeństwo? Było to możliwe, zwłaszcza po spotkaniu z EI Ghanim i jego ludźmi. A kim był ten

218

inny? Może Munedzi? Kto to był aszdar, smok? Czyha już na mnie i zderzenie z nim jest nieuniknione.

Musiałem zaniechać swych dociekań, ponieważ wzywała mnie rzeczywistość.

Przybyli Beni Khalidowie wraz ze swymi wielbłędami i całym bagażem. Stąd należało wnioskować, że byli pewni swego zwycięstwa i od razu chcieli zająć miejsce przy studni.

Tymczasem zostawili zwierzęta po tamtej stronie skały i nadeszli, by się tak ustawić, jak im powiedział wysłannik . Wyglądało na to, że uda nam się mieć słońce za sobą. Szejk 'Pdwil w dumnej rezerwie pozostał na razie przy wielbłądach. Nasi Haddedihi ustawili się po naszej stronie. Rozpostarli dywan, na którym usiadła Hanneh. Przy studni nie było nikogo, bo mekkańczycy podeszli do Beni Khalidów. Mieli ze sobą swoje zwierzęta, skarb znajdował się u nas.

Wyjąłem mój dwudziestopięciopalcowy karabin. Gdy Halef zobaczył, że z nim podchodzę, rzekł:

-- Świetnie sisi! Szejk co prawda szczyli się opinią, że nigdy nie łamię słowa, ale nie można im wierzyć. Jeśli nie zwyciężą, to wściekłość może doprowadzić Beni Khalidów do gwałtów, którym sam szejk nie zdoła przeszkodzić. Wtedy twój karabin najskuteczniej ich powstrzyma. Twoje miejsce jest tu, przy Hanneh. Khutab Aga usiądzie przy jej drugim boku.

Wśród nas panował spokój, u Beni Khalidów natomiast ruch i podniecenie. Wreszcie usiedli w dużym półkolu, w którym ze względu na przelatujące kule i oszczepy była luka, aby nikt z ludzi nie biorących udziału w walkach nie został trafiony. Tylko trzech Beni Khalidów nie usiadło. Chodzili dumnym krokiem z wyzywającymi ruchami. Byli to nasi przeciwnicy. "Wodnik" znajdował się wśród nich.

'I~raz wreszcie nadszedł 'Pawil Ben Szahid. Wkroczył do koła i z godnością zajął miejsce w środku. 'I~zech jego bohaterów weszło za nim. Spodziewał się, że my do nich przyjdziemy, co też uczyniliśmy. Na jego twarzy, obrzmiałej od wczorajszych razów malowała się

nienawiść~, chociaż na zewnątrz okazywał spokój.

-- Zabronione jest używanie obraźliwych słów -- zaczął. -- I bteż
wolimy pokazać wam nasze czyny.

Wydawał się czekać na odpowiedź, kiedy nie nadeszła, zapytał:

i -- Czy znacie warunki?

!'

,

-- 'Iiik -- odparł Halef krótko.

-- Nie będzie żadnych względów. Chcemy ujrzeć wasze trupy albo
was ciężko rannych, tak, byście nie mogli unieść się z ziemi.

-- Mówisz tylko o tym, co wy zrobicie. Ja natomiast powiadam, że
was oszczędzimy. Nie jesteśmy żądni mordy ani krwi.

-- Musisz tak mówić~, bo nie dojdzie do tego, byście mogli nas
oszczędzić. Zaczynajmy! Gdzie są wasi zawodnicy?

-- 'Ib my trzej.

-- Ten chłopiec także?

-- '~k.

-- Jesteście skończeni! Allach tak wam rozum zaćmił, że wybrali-
ście trzy najslabsze osoby. Mam tutaj losy, są to te trzy patyczki,
najdłuższy oznacza strzelbę, najkrótszywalkę wręcz, trzeci to oszczep.

'Pawil podsunął rękę, z której sterczały końce losów. Kiedy wyciąg-
nęli je zobaczyłem, że Halef wesolo się do mnie uśmiecha. Nasze
życzenia się spełniły, jemu przypadł oszczep, Karze strzelba, a Oma-
rowi walka wręcz:z.

Szejk spostrzegł ten uśmiech i powiedział:

-- Nie ciesz się, raczej płacz, bo wyciągnęliście nieuniknioną śmierć

w tych losach. Sam będę pilnował tych pojedynków. Najpierw odbędzie się strzelanie, potem rzucanie oszczepem, a na końcu zapasy.

Zaczynamy od razu, za kwadrans znajdziecie się na moście śmierci.

'I~raz odmierzę sześćdziesiąt kroków.

-- I pokażesz kule -- przypomniał Halef.

-- 'I~go nie zrobię. Daję wam moje słowo, że strzelać będziemy tylko kulami i to musi wam wystarczyć. Nie chcemy ranić lecz zabić, toteż nie myślimy strzelać śrutem.

220

Brzmiało to wiarygodnie, dlatego się zgodziliśmy.

Wymierzono odległość i obie strony się ustawiły. Ben Khalid, który miał strzelać, wymachiwał swoją strzelbą i jak to w zwyczaju u Beduinów, rzucał do przeciwnika wyzwania, chępiąc się swoim kunsztem w strzelaniu. Kara milczał.

Hanneh wyglądała spokojnie i rażno, powiedziała:

-- Sidi, słyszę zawsze głos, który mnie ostrzega, gdy memu synowi grozi niebezpieczeństwo. Mam wówczas jakąś niejasną obawę, która zabiera mi spokój tak długo, aż niebezpieczeństwo nie minie.'I~raz go nie słyszę i jestem przekonana, że Kara jest bezpieczny.

'I~wil Ben Szahid dał znak, by zaczęto strzelać. Kiedy i w jakiej kolejności ma to nastąpić tego nie uzgodniono. Każdy z przeciwników mógł zachować się jak zechce.

Ben Khalid stanął w wyzywającej pozycji, jakby czekał, że najpierw strzeli przeciwnik. Ale tak się nie stało. Wówczas się zniescierpliwiał, przyłożył strzelbę do oka i wycelował. Skierowałem wzrok na Karę, aby sprawdzić, gdyby został trafiony. Rozległ się strzał. Kara stał

spokojnie i dopiero po krótkim czasie, zwracając się ku nam, uczynił lekceważący gest w stronę przeciwnika i uspokajający w naszą. Halef, który z Omar Ben Sadekiem stał obok nas, rzekł z ojcowską dumą: -- Widzicie jak stoi? Jak mur! Nawet powieka mu nie drgnęła. Jeśli to jest najlepszy strzelec Beni Khalidow, to powinien zapaść się pod ziemię ze wstydu.

-- Czy nasz syn odpowie strzałem? -- zapytała Hanneh z napięciem.

-- Nie sędzę, bo ustawił strzelbę przy nodze i się nie rusza. Jak dumnie spogląda! Pokazuje, że należy do plemienia, którego wojownicy nie obawiają się kul. Popatrzcie natomiast na tamtego!

Dobrze zrozumiałem uczucia Halefa i Hanneh. Przecież to po raz pierwszy ich ukochany syn miał się wykazać w otwartym pojedynku!

Jeśli się weźmie pod uwagę żywe usposobienie Beduinów, to zimny spokój okazywany przez młodzieńca ogromnie mu się chwalił. Inny na jego miejscu wykazywałby hałaśliwie swoją radość z chybionego

221

strzału przeciwnika.

Po naszej stronie panowała cisza. Natomiast u Beni Khalidów wybuchł gwałtowny wrzask rozczarowania. To musiało spowodować, że strzelec stracił opatowanie. Szejk obrzucił go głośno zarzutami, na które ten odpowiedział gniewnie, ładując ponownie strzelbę.

Kiedy był znowu gotów nastąpiła cisza. Ben Khalid wezwał Karę, by pokazał mu kulę, ten nie odpowiedział, pozostał nieporuszony, jakby przyrosł do miejsca. 'Idk minął jakiś czas. Wtedy shejk zawołał do obrońcy honoru swego szczepu:

-- Ten chłopiec Haddedińów nie ma odwagi strzelać, bo tego nie

potrafi! Szkoda czasu. Strzelaj ty! Ale celniej niż przedtem, inaczej zostaniesz odesłany do domu!

'Iawil nie zrozumiał, że takimi groźbami powoduje zdenerwowanie strzelca. Odpowiedział mu niechętnym okrzykiem i podniósł strzelbę. Tym razem celował dłużej niż przedtem, następnie padł strzał. I tym razem nie trafił Kary. Wśród Beni Khalidów rozległy się jeszcze głośniejsze okrzyki, wówczas nieszczęsny strzelec odwrócił się i zawołał do swoich:

-- Zamilczcie! Czy mogę spokojnie strzelać, skoro od waszego wrzasku drżą mi ręce? Przysięgam na Allacha, że za trzecim razem nie chybię. 'Iirraz musi się rozstrzygnąć i dlatego kula trafi.

Ben Khalid załadował starannie broń i celował teraz o wiele dłużej niż przedtem, tak długo, aż jego ludzie zaczęli się niepokoić.

-- On i teraz nie trafi -- rzekła Hanneh.

-- To żaden strzelec -- uśmiechnął się Halef. -- Powinien był opuścić ramię, by wypoczęło. Ale nie .. o ... o .. !

Padł strzał i także trzecia kula chybiła celu.

-- Hamclulillah! -- zawołał Halef. -- Hanneh, ty najcudniejszy odblasku mojej duszy, spójrz, jak on stoi, nasze serce, nasz syn! Nie-
tknięty i spokojny, jakby miał przed sobą tylko powietrze, a nie
najlepszego strzelca plemienia Beni Khalidów. Dumny jestem z nie-
go, bardzo dumny!

222

Po stronie przeciwnika padały całkiem inne słowa. Panował tam harmider, który nie miał kofica. I~ara rozstawił nogi i oparł się o strzelbę, by poczekać, aż Ben Khalid znów się uspokoi.

-- Sidi -- zapytał mnie Halef -- czy ty nie czujesz, że on pierwszą kulą trafi tam, gdzie zechce?

-- Kara nie chybi -- przytaknąłem.

Po tamtej stronie nareszcie się uspokoiło. Beni Khalid stanął na swoim miejscu i widać było, że czuje się bardzo nieswojo. Zrobił wyzywający ruch ręką i zawołał:

-- No to strzelaj! Chyba cały drżysz ze strachu przed wybuchem prochu. Nic się nie bój mój chłopcze! 'Ivvoja kula nie tobie jest przeznaczona, lecz mnie, a w powietrzu dookoła jest dla niej dość miejsca.

Wtedy Kara wypowiedział swoje pierwsze słowa:

-- W powietrzu jest miejsce nie dla kuli, bo ja strzelę wprost w ciebie. Wy czyhacie na nasze życie, ja natomiast daruję ci twoje.

-- Nie przechwalaj się, tylko strzelaj!

-- Dowiodę ci, że mógłbym ci odebrać życie, gdybym chciał. Z góry cię uprzedzam, że trafię cię w nogę. Równie dobrze mógłbym trafić w głowę albo w serce.

-- Strzelaj, powiadam ci. Czekam z niecierpliwością, by móc się z ciebie ponaśmiewać.

Było to tylko takie gadanie. Widać było, że się boi trafienia, ustawił się bowiem tak, by odsłonić przed przeciwnikiem jak najmniejszą powierzchnię ciała. Stanął mianowicie bokiem.

-- Dlaczego ustawiasz się inaczej niż ja? -- zapytał Kara przeciwnka.

-- Bo tak mi się podoba.

-- Boisz się?

-- Nie ośmieszaj się niedoświadczony chłopcze! Sam nawet będę

liczył! No więc: raz... dwa ...

Gdy Beni Khalid powiedział "raz" Kara podniósł strzelbę, na "dwa" wycelował, na "trzy" padł strzał zgodnie z wołaniem. Prawie w tej
223

samej chwili Ben Khalid uniósł oba ramiona, zatoczył się i padł na ziemię, z której nie mógł się podnieść. Kara trafił go w obie nogi i był to strzał mistrzowski. Zapanowała taka cisza, że usłyszeliśmy dumne słowa zwycięzcy.

-- Krew płynie, a więc ta walka dobiegła końca. Zwycięstwo należy do mnie, ale daruję mu drugą i trzecią kulę, a wraz z nimi życie. Kara Ben Halef jest wojownikiem, ale nie mordercą. -- Kara odwrócił się i z promienną twarzą podszedł do nas.

Wszyscy Beni Khalidowie zerwali się i podbiegli do ranego. Te setki głosów spowodowały iście piekielny hałas. Halef przycisnął syna do serca, a kiedy Kara pochylił się do matki, ta położyła mu dłoń na głowie i szepnęła z czułością:

-- Wiedziałem, że zwyciężysz, spełniłeś nasze nadzieje. 'Iwoi rodzice i całe plemię Haddedińów są z ciebie dumni. Ja w milczeniu uściśnałem mu dłoń i skinąłem głową z uznaniem. Spojrzał m~ z powagą w oczy i rzekł:

-- Nie obawiałem się o siebie, ale wiedziałem, że to nie ja sam tam stałem, ale całe plemię Haddedińów. A kiedy trzykrotnie nie zostałem trafiony, byłem mocno przekonany, że z moich trzech kul, dwie będą zbyteczne.

-- 'Tak, ta godzina dzięki tobie stała się moją wielką dumą. Będę o niej opowiadał wówczas jeszcze, kiedy język starości utrudni mi inne

opowieści -- potwierdził mały Hadzi. -- Za chwilę zacznie się walka na oszczepy. Powiadam wam, że i tak bym wygrał, ale świadomość, że będę drugi po moim zwycięskim synu sprawi, że tym bardziej pozostanę niepokonany.

'Pa radosna pewność siebie miała ogromne znaczenie dla Persa, który zwrócił się do mnie:

-- Nie masz pojęcia, jak się niepokoiłem! Przecież tu idzie o własność świątyni, która była już w moich rękach i znów została narażona na ryzyko. I~raz ponownie się uspokoiłem. Co prawda dopiero zwyciężyliśmy w jednej walce, ale kiedy słyszę słowa Halefa,

224

wydaje mi się, że przeciwnik, już został rozłożony na piasku.

I'awilowi udało się zaprowadzić spokój. Kazał usunąć ранego poza linię i teraz odmierzał odległość, która miała dzielić oszczepników. "Sama oczywistość" stał już gotowy do walki.

Każdy Haddedihi ma zawsze oszczep przy sobie. Nosi broń, przeważnie w celach myśliwskich. Na przykład gazelę najczęściej trafia się oszczepem. Grot każdego oszczepu stanowi zaostrzone żelazo, trzon - drewno palmowe. Halef wybrał sobie trzy oszczepy najporęczniejsze i najodpowiedniejsze do obecnego celu. Nie miał na sobie haika, zrzucił także kurtkę, a kiedy ukazały się jego nagie ramiona Pers szepnął mi do ucha:

-- To istotnie bardzo mnie uspokaja. Nie sądziłem, że ten mały mężczyzna ma takie mięśnie.

Przeciwnik Halefa skakał, wykonywał próbne ruchy. Hadzi rzucił na niego krótkie spojrzenie, po czym opinia jego brzmiała:

-- On nie ma pojęcia o nadaniu oszczepowi szybkości, udaje tylko, żeby mnie zastraszyć, a pokazując swoją zręczność, chce przygotować ramię do rozstrzygającego rzutu. Mnie to niepotrzebne. Posłucham twojej rady i tak jak Kara odczekam, aż zabraknie mu oszczepów.

-- A potem będziesz rzucał swoje raz za razem?

-- 1'ak.

-- To uważaj na jego nogi. Z ich pozycji i nachylenia ciała wywnioskujesz, w jaką stronę chce się odchylić i tam rzucisz dwa następne oszczepy!

Rozległ się głos szejka 1'awila i Halef udał się na swoje miejsce.

Mimo woli spojrzałem na Hanneh, uśmiechnęła się i skinęła mi głową.

'Pawil Ben Szahid przyjął naszego szejka słowami:

-- Szatan sprawił, że pierwsza runda wypadła na waszą korzyść.

Odebrał naszemu najlepszemu strzelcowi spokój ramienia i pewność oka. Ale nie wyobrażajcie sobie, że wygracie. Już widzę trzy oszczepy w twoim ciele.

-- Co ty tu masz do gadania? -- zapytał Halef. -- Wylączyłeś się z

8 - Most śmierci 225

walki, chociaż jako szejk powinieneś przede wszystkim stanąć. Ty nie masz z tym nic wspólnego

Zganiony szejk rzucił gniewne przekleństwo, ale się wycofał, nie mówiąc więcej ani słowa.

Obaj przeciwnicy stali w odległości dwudziestu pięciu kroków od siebie. Beni Khalid wetknął przed sobą w piasek dwa oszczepy, trzeci trzymał w ręku, wołając:

-- Popatrz! Masz przed sobą najsłynniejszego oszczepnika, przed

którego siłą i zręcznością powinieneś się schronić do lisiej nory.

-- Oczywiście! -- zawołał Halef ze śmiechem.

-- Mój oszczep przekłuje twoje ciało.

-- Oczywiście.

'I-raz pyszałek zrozumiał szydercze znaczenie tego słowa. Rozłościł się i napadł na Hadziego.

-- Kpisz sobie ze mnie? Moja odpowiedź będzie oznaczała twoją natychmiastową śmierć.

-- Oczywiście! -- zaśmiał się Halef po raz trzeci.

--'Ib ... To będzie twój ostatni śmiech! Uważaj, rzucam...

Mówiąc to, zamachnął się i rzucił oszczepem. Brofi przeszła blisko Halefa i upadła za nim w piasek. Ten człowiek był przeciwnikiem, którego nie należało lekceważyć. Wyglądało na to, że oszczep trafi Halefa. Był dobrze wymierzony, toteż żaden z Beni Khalidów nie wyrzekł ani słowa nagany, raczej rozległy się zachęcające okrzyki.

-- Tb było dobre! Szybko rzucaj, zanim on to uczyni!

Beni Khalid posłuchał. Wyciągnął oszczep z piasku i ważył go przed rzuceniem o wiele dłużej niż za pierwszym razem. Oszczep przeleciał o dwie dłonie nad głową Halęfa i zarył się w piasku.

Nie był to gorszy rzut od pierwszego, ale teraz tamci się zirytowali, bo szansa trafienia zmalała. Dawano mu tyle dobrych rad i tak silne moralne kuksańce, że Beni Khalid odwrócił się ze złością i zawołał:

-- Nie potrzeba mi waszych dobrych rad. Jeśli potraficie rzucać lepiej ode mnie, dlaczego się nie zgłosiliście? Chodźcie tu i zróbcie

Słowa jego przerwał ostry gwizd Halefa, do którego Ben Khalid

znow się odwrócił.

-- Co ty wyprawiasz, po co się odwracasz -- zganiał go Hadzi. --

Gdybym to wykorzystał i rzucił, byłbyś teraz trupem.

-- Więc czemu tego nie zrobiłeś? -- szydził tamten.

**-- Bo szejk Haddedińów nie atakuje wroga podstępnie. Moja
uczciwość ocaliła ci życie.**

**-- Tylko sobie za wiele nie wyobrażaj! Któż to wie gdzie trafilby
twój oszczep. Na pewno nie tak blisko ciebie jak mój.**

-- Oczywiście!

**-- Skończ z tymi kpinami! Dotąd tylko próbowałem, ale teraz cię
przekluję.**

-- Oczywiście!

**Było jasne, że Halef powtarzając słowa wroga, chce go zirytować i
w ten sposób spowodować jego trzeci rzut. Osiągnął swój cel, bo Beni
Khalid zawołał z wściekłością:**

--'Pdk, oczywiście! Dowiodę ci, że tak się stanie!

**By mieć możliwość większego rozmachu, Ben Khalid cofnął się o
kilka kroków i znowu skacząc do przodu, cisnął oszczepem z taką siłą,
że usłyszeliśmy jego świst.**

**Potem stał nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach, śledząc
pustym wzrokiem lot oszczepu. Musiał trafi~, był to bowiem ostani
rzut.**

**Halef miał dwa oszczepy w lewej i jeden w prawej ręce. Widział, że
broń jest dobrze wycelowana i może trafić dokładnie w niego. Wyda-
wało się, że ocaleje, jedynie uskakując w bok. Ale Hadzi był zbyt**

ambitny, by cofną~ się choćby o szerokość palca. 'Yzymając w pogotowiu prawą pięść, patrzył na nadlatujący oszczep, ryzykowna zasłona udała mu się, usłyszeliśmy zderzenie oszczepów ... oszczep nieprzyjaciela, trafiony, przeleciał bokiem.

Wtedy z wielu setek gardel rozległ się okrzyk. Rzut był znakomity

227

i byłby niechybnie skuteczny, gdyby nie refleks małego szejka. Można sobie wyobrazić rozczarowanie Beni Khalidów tą klęską. Wszyscy tak hałasowali, że wreszcie szejka nakazał im spokój.

-- Bądźcie cicho! -- ~awołał. -- Runda jeszcze nie skoficzona. Jeśli

Halef nie trafi, to jeszcze nic nie jest stracone. Niech pokaże co umie, a raczej, czego nie umie.

Zapanował spokój, chwila obecna była języczkiem uwagi. Jeśli

Halef będzie miał pecha i trzecią rundę wygra przeciwnik, nie będzie rozstrzygnięcia i wszystko zacznie się od początku. Dlatego też napięcie Beni Khalidów doszło do zenitu.

Halef wiedział, że wszystkie oczy skierowane są na niego. Stał

chwilę nieruchomo, jakby wołania go nie dotyczyły. Potem błyskawicznie uniósł ramię, w którym trzymał oszczep, nastąpił długo oczekiwany rzut i oszczep wysokim łukiem poszybował tak precyzyjnie do celu, że Beni Khalid byłby zgubiony, gdyby pozostał na miejscu.

Wszystkie oczy, poza naszymi, skierowane były na mknącą brofi i nikt nie zważał w tej chwili na Halefa. Ten ujrzał, że wróg podniósł nogę, by ratować się skokiem w prawo, toteż szybko, jeden po drugim cisnął pozostałe oszczepy, kierując je w tamtą stronę. Kiedy nadleciał pierwszy oszczep, Ben Khalid wykonał przewidywany ruch cofnięcia

się, ale ledwo to uczynił, trafił go drugi oszczep w górną część piersi,
a trzeci przygwoździł go do piasku.

Łudno opisać rozgardiasz, jaki powstał wśród Beni Khalidów.

Halef, nie zważając na hałaśliwe skutki swego zwycięstwa, spokojnie
wrócił do nas i zadał pytanie:

-- Czy mogłem zrobić to lepiej, sisi?

-- Nie -- odpowiedziałem. -- Spełniłeś wszelkie oczekiwania.

Hanneh spojrzała na niego z uśmiechem i powiedziała:

-- Wiedziałam!

'1'akże Basz Nasir zwrócił się do niego:

-- Hadzi Halefie Omarze, uratowałeś dla mnie skarb; bo po tej
porażce Khalidowie nie mają już do niego prawa. Prawdopodobnie

228

zrezygnują z trzeciej rundy.

Wówczas odpowiedział mu Omar Ben Sadek, który już się przygo-
towywał i odsłonił górną część ciała.

-- Nie powinieneś tak myśleć. Widzisz, że jestem już gotów do
walki. '~Pd runda w żadnym razie nie zwróci im skarbu, ale oni nie
zrezygnują.

Pers spojrzał na odsłonięty tors Omara. Pokręcił głową i rzekł:

-- Wasze umiejętno~ci wojownicze odkrywa się dopiero wtedy,
kiedy się was widzi bez odzieży. Chyba jesteś dwa razy szerszy ode
mnie.

-- Jeszcze tego nie spostrzegłeś? -- roześmiał się Omar.

-- Nie.

-- No to uważaj potem, kiedy podniosą Beni Khalida! Nasz effendi

nauczył mnie cudownego chwytu pod obojczyk. Jednocześnie uderzam pod drugą pachę, z boku i chwytam przeciwnika za tors, jeśli zrobię to szybko i z całą siłą, najsilniejszego powalę na piasek.

-- Czy to także nauka effendiego?

-- Nie -- wtrąciłem. -- Pokazałem mu tylko chwyt pod obojczyk.

Wszystko inne Omar Ben Sadek wypróbował dodatkowo i dopiero niedawno przed naszą podróżą mi pokazał. Jest więc pod pewnym względem moim nauczycielem i jestem ciekaw, czy potrafię go naśladować. Dziś po raz pierwszy zobaczę to wykonanie na serio.

Ale już rozległ się głos szejka 'Pawila:

-- Zapaśnicy, jazda na miejsca!

Wstałem i podszedłem do niego. Izaki sposób wzywania nas wymagał nagany.

-- Masz wszelkie powody, by zachować się uprzejmie i skromnie -- rzekłem -- bo dotąd nie tylko zwyciężyliśmy, ale dalej też zwyciężymy.

Kans el Adha i tak już należy do nas, więc dalszy ciąg walki uważam za zbędny.

-- Boicie się?

-- Pytanie twoje jest śmieszne i nie wymaga odpowiedzi. Chcę ci

229

tylko powiedzieć, że jeśli zgadzamy się na trzecią rundę, to tylko dobrowolnie. Chyba pomieszało ci się w głowie?

'I~ uwaga tak go rozwcieczyła, że chwycił mnie za ramię i ryknął prosto w twarz:

-- Przepróż mnie natychmiast, bo cię zmiążdżę pięściami.

-- Nie mam cię za co przepraszać -- odparłem spokojnie. -- Uzgod-

niliśmy, że będziemy unikali wszelkich obelg, ale ty wrzasnąłeś na nas, jakbyśmy byli parszywymi psami. 'Il;raz także mnie obrażasz, ważysz się nawet mnie dotknąć. Złamałeś więc pokój! Uważaj co ci powiem, jeśli natychmiast mnie nie posłuchasz pokażę ci, który z nas obu potrafi zmiażdżyć! A więc zdejmuj łapy z mojego ramienia!

-- Ty psi synu -- odparł szejik, chwytając mnie za drugie ramię. --

Kpiliście ze mnie, że nie biorę udziału w walkach, teraz ci pokażę, czy...

Dalej nie mógł mówić, bo to co teraz zaszło odjęło mu mowę. Kiedy głośno wykrzykiwał słowa, starał się rzucić mnie na ziemię, ale dostał cios pod obojczyk, co go zmusiło do puszczenia mnie, ale drugą ręką chciał mnie uderzyć. Odsłonił w ten sposób pachę, w której natychmiast od dołu wylądował mój cios, odrzucając go na bok. 'I~raz chwyciłem go tak mocno, że już nie mógł krzyczeć. Podniosłem go więc i cisnąłem na ziemię.

Stało się to tak szybko, że jego ludzie ujrzeli gdy leżał już na ziemi i nie wiedzieli co właściwie zaszło. 'I~dwil chciał się zerwać, ale nie mógł. Jęcząc z bólu, zdołał się powoli podnieść. Kiedy stał przede mną pochylony, rzekłem spokojnie:

-- No i jak z tym zmiażdżeniem? Wybaczam ci, żeś mnie nazwał psim synem. Ale, że podniosłeś na mnie rękę, to okryło hańbą ciebie i twoje plemię. Odtąd wszyscy będą wiedzieli, że 'Iawil Ben Szahid, szejik Beni Khalidów, który tak się szczyli niezłomnością swojego słowa, złamał przysięgę, złożoną na Koran.

Po tych słowach zostawiłem go i poszedłem na swoje miejsce.

Stamtąd widziałem, jak szejik, kulejąc, powoli się oddalał.

-- Dobrze zrobileś -- rzekł Halef. -- 'Ihraz jest pokorny. Jakże będzie przeklinał, że dał się ponieść złości, która doprowadziła go do popełnienia, takiego błędu.

-- Ja za to miałem sposobność wypróbować cios, którego nauczyłem się od Omara. Jest znakomity, zapiera przeciwnikowi dech i odbiera siłę walki.

-- Popatrzcie -- rzekł Halef -- 'Pawil Ben Szahid idzie pochylony jak starzec, który musi podierać się laską. 'I~raz jestem ciekaw, co będzie dalej. Może napuści swoich wojowników do otwartego ataku na nas.

-- Tego się nie obawiam -- rzekłem.-- Sądzę, że jego duma z niezłomności słowa jest prawdziwa. Ciężko przeżyje klęskę i raczej ją przemilczy wobec swoich ludzi. Jeśli się nie mylę, zaraz nastąpi coś nieoczekiwanego.

-- Co?

--'Prudno to przewidzieć, prawdopodobnie wycofanie się bez waki.

-- To byłoby dla mnie bardzo niemiłe -- rzekł Omar Ben Sadek. --

Chciałbym również mieć przeciwnika.

-- Nie martw się z tego powodu. Nasze porozumienie dotyczy tylko dzisiejszego dnia, od jutra ich wrogość będzie podwójnie nieprzejednana. Jestem przekonany, że po naszym odejściu stąd musimy się spodziewać nowego, o wiele bardziej niebezpiecznego ataku. Będą żądni zřmsty, a szejk szczególnie będzie chciał zamknąć usta tym, co mogliby rozgłaszać, że złamał przysięgę.

Moje przypuszczenie się sprawdziło. Ujrzećiśmy, że szejk zgromadził koło siebie swych najdzielniejszych wojowników i naradzał się z

nimi. Trwało to dość długo, potem ruszył w naszym kierunku. Podszedłem do niego razem z Halefem. Gdy się zbliżyliśmy, szejk usiłował nadać twarzy wyraz powagi, ale nie mógł pohamować wulkanu nienawiści i zemsty, który w nim wrzał.

-- Hadzi Halefie Omarze i Akilu Szatirze effendi - zaczął -- chcę wam z własnej woli przyznać, że jesteście sławnymi wojownikami i popełniłem błąd, którego należało unikać. Proszę was, o to byście

231

zapomnieli i nikomu nic o tym nie opowiadali. Za spełnienie tego życzenia, proponuję wam rekompensatę.

-- Jaką? -- zapytałem.

-- Zrezygnujemy na razie z dalszego ciągu zapasów.

-- 'Ib znaczy, że mamy zrezygnować z kolejnego zwycięstwa nad wami? -- zapytałem. -- Ale mów dalej!

-- Natychmiast stąd odjedziemy.

-- I tak byście wyruszyli, bo pokonany byłby do tego zmuszony.

Dalej!

-- Pozostawimy wam Kans el Adhai

-- 'I-go nie możecie nam odebrać, przyznany jest zwycięzcy, a my zwyciężyliśmy. Co jeszcze?

-- Nie będziecie żądali wydania mekkańczyków.

-- Możesz ich sobie zatrzymać w imię Allacha, jesteśmy bardzo zadowoleni, że się ich pozbędziemy.

-- Więc się zgadzacie?

-- Tego nie powiedziałem. Żądasz od nas daru milczenia, dając za to rzeczy, które są naszą własnością. To dla ciebie korzystna wymiana,

przy której wszystko otrzymujesz, a nic nie dajesz. Ponieważ nie jesteśmy ludźmi naiwnymi, zanim damy słowo, chcemy najpierw sprawę rozpatrzyć. Dokąd się stąd udajecie?

-- Do Ain Barid.

-- Jeśli się nie mylę te zimne źródła położone są o pełny dzień drogi na południowy zachód stąd.

-- 'Idk.

-- I tam chcecie jechać? Dotąd sądziłem, że ścieżka wojenna, na której się znajdujecie, prowadzi na zachód i północny zachód. Ale to nas nie obchodzi. Chcemy jednak, aby nasze drogi znowu się nie zeszły. Zostało uzgodnione, że po skończeniu pojedynku w dniu dzisiejszym będzie panował między nami pokój.

-- 'Tak będzie.

-- A potem?

232

-- Znowu walka.

-- I my mamy przyrzec milczenie, za które ofiarujesz jedynie dalszą wrogość? Powinieneś na tę propozycję otrzymać męską odpowiedź, a ta brzmi: opuście natychmiast Bir Hilu i zachowacie na dzisiaj bezwarunkowy pokój. Jeśli się zgadzasz, przyrzekamy milczenie tak długo, póki z waszej strony nic nas nie spotka. To wasza decyzja, do której nic nie dodajemy i nic jej nie ujmiemy.

-- Dobrze, zgadzam się.

-- Dajesz słowo?

-- Daję!

-- Podaj rękę Hadziemui Halefowi Omarowi, szejkowi Haddedih-

nów i będzie koniec.

'Idwil podał rękę Halefowi, spojrział mu stanowczo w oczy i powtórzył wyraźnie, podkreślając każde słowo:

-- Będziecie milczeć tak długo, dopóki nic z naszej strony was nie spotka. Odjeżdżamy.

Po czym odwrócił się i poszedł do swoich ludzi:

Halef spojrział na mnie pytająco i pokręcił głową:

-- Czemu powtórzył to zdanie i podkreślił w taki sposób, sisi?

-- Bo jest człowiekiem nieostrożnym i nie ma pojęcia, że zdradził w ten sposób swoje zamiary.

-- Jak to?

-- Chyba nie masz wątpliwości, że Beni Khalidowie aż się palą, by się na nas zemścić?

-- 'Ib pewne.

-- Jako, że szej k nie wierzy w nasze milczenie, więc będzie się starał, aby ten czas trwał dzisiaj jak najkrócej. Rozumiesz?

-- Bardzo dobrze. Czy sądzisz, że wkrótce znów będziemy mieli z nimi do czynienia?

--'Pak. Co prawda nie dziś, bo dotrzyma słowa, ale prawdopodobnie już jutro. Musimy mieć się na baczności. Zdradził nam to niechcący.

Pragał nam możliwie najdobitniej uprzytomnić nasze zobowiązania,

233

ale nie pomyślał przy tym, że z tego można wyczytać jego ukryte myśli.

Ujrzeliśmy z zadowoleniem, że Beni Khalidowie szykowali się do

szybkiego wymarszu. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że wcale

nie zamierzali udać się do Ain Barid. Zatem my, musieliśmy się tam

udać. Było to następne miejsce na naszym szlaku, gdzie zaopatrywano się w wodę. W każdym razie mogliśmy być zadowoleni z naszego sukcesu. Odzyskaliśmy nasze przedmioty, wyzwoliliśmy Persa i żołnierzy, utrzymaliśmy nawet miejsce postoju, podczas, gdy pokonani zmuszeni byli je opuścić.

Kiedy Beni Khalidowie skończyli swoje przygotowania, ujrzeliśmy, że I'awil znów do nas idzie. Za nim szedł Ghani i prowadził Munedziego. Możliwe, że szejik jeszcze coś sobie przypomniał i chciał nam powiedzieć, ale czego tamci dwaj od nas chcieli?

Na razie przybysze przebywali w pewnej odległości. 'Ihwil Ben Szahid zawołał do nas:

-- Przychodzę w nie mojej sprawie, lecz w związku z tymi dwoma.

Chcą od was coś odebrać i obawiają się, że potraktujecie ich wrogo.

Ponieważ to moi goście i przyjaciele, muszę dbać o to, by tak się nie stało, dlatego im towarzyszę. Czy mogą do was podejść?

-- Tak -- odparł Halef.

-- No więc spełniłem swój obowiązek i tu na nich zaczekam. Idźcie!

To wezwanie skierowane było do Ghaniego, który teraz podszedł do nas ze ślepcem. Wskazał na paczkę leżącą obok Persa i rzekł:

-- Skradliście mi moją własność, którą określacie jako Kans el ?idha, by wasza kradzież ...

-- Milcz -- przerwałem mu. -- Pozwoliliśmy wam z nami rozmawiać i daliśmy słowo, że nic się wam nie stanie. Jeśli jednak odważysz się rzucać nam w twarz takie oszczerstwa, to nie odpowiadamy za siebie. Mów krótko, czego chcesz, ale unikaj każdego zbędnego słowa.

EI Ghani widocznie się nie przestraszył gdyż ciągnął dalej swoje

oszczerstwa:

--'I~ przedmioty są owinięte w mój dywan modlitewny. Muszę je

234

wam zostawić, bo tak przyrzekł wam szejk Beni Khalidów, ale żądam zwrotu dywanu.

-- Mylisz się, nikt nam nie przyznał tych przedmiotów, bo to sąd pustynny Haddedihnów uznał, że są własnością Kans el Adhai w Meszhed Ali, skąd zostały skradzione. 'I~go, że zostaną owinięte w dywan do modlitwy, można by się spodziewać po jakimś niewiernym, ale nie po "ulubieńcu wielkiego szarifa". Zrobiliście coś niewiarygodnego. Uważam w prawdzie za wykluczone, że ten zbeszczeszczony dywan znów zostanie użyty do pobożnych celów, ale u was wszystko jest możliwe.

-- Łajdaku! Łotrze! -- zawołał ślepiec głośno, unosząc ręce w geście największej pogardy.

Nie wiedziałem do kogo te słowa były skierowane i ciągnąłem dalej:

-- Nie mamy zamiaru wzbogacać się na tym dywanie, zostanie ci zwrócony.

-- 'Pak, natychmiast -- przyznał Basz Nasir. -- Jestem nawet zadowolony, że nie będę musiał dotykać własności złodziei. Khutab Aga rozwinął dywan, położył worek obok siebie, następnie rzucił El Ghanemu razem ze sznurem. Ten podniósł dywan.

-- Czy to wszystko? -- zapytałem.

-- Nie jest tu także Munedzi -- odparł "ulubieniec".

-- Czego chce?

Wtedy ślepiec, który musiał słyszeć mój głos, podszedł do mnie i

rzekl:

-- Abym się nie mylił, chcę wiedzieć, czy to ty jesteś tym effendim z Wadi Draa? Masz jego głos, ale mimo to mógłbym się pomylić. To, co chcę ci powiedzieć, nie jest przeznaczone dla nikogo innego. A więc to ty?

-- 'Ihk.

-- Nachyl swoją twarz ku mnie! Wiesz, że mogę cię rozpoznać bo świeci słońce.

Nie miałem powodu odmawiać jego prośbie i zbliżyłem do niego

235

twarz. Uniósł ręce, ujął moją głowę, przytrzymał i ... splunął mi w twarz. Nie byłem przygotowany na atak, a że schwycił mnie z całą siłą, nie od razu udało mi się uwolnić, by uniknąć skutków tego niecnego czynu.

Z pięćdziesięciu gardel Haddedihnów rozległ się krzyk. Halef z całej siły chwycił ślepcę za brodę.

-- Szaleńcze! -- krzyknął. -- Coś zrobił! Jesteś starcem, w dodatku niewidomym, ale to nie powstrzyma mnie, by stłuc cię na miazgę.

Już niemal go obalił, więc nie ocierając twarzy, wynwałem

Munedziego z jego rąk i zawołałem:

-- Niech nikt nie waży się tknąć tego ślepcę! 'Pa zniewaga nie dotyczy nikogo innego, prócz mnie.

-- Ależ sisi, on celowo cię obraził! -- rzekł Halef. -- Jest całkiem przytomny i przy zdrowych zmysłach. Jest to najbezczelniejsze znieważenie twojej osoby, a wielkość kary jest niewyobrażalna.

-- Tb nie zmienia stanu rzeczy, że tylko ja mogę na nią odpowie-

dzieć. On chce przemówić, bądźcie cicho!

Hanneh podbiegła do mnie, otarła mi twarz i pogładziła znieważone policzki. Tymczasem Munedzi zaczął mówić:

-- To chciałem ci powiedzieć, bo splunięcie jest wyraźniejsze od mowy. Jesteś najnędzniejszym człowiekiem, z jakim się zetknąłem. Słowami miłości skradłeś moje serce, podczas, gdy w twoim panuje tylko nienawiść. Ukazałeś mi się jako człowiek o czystej duszy i wzniosłym umyśle, a w rzeczywistości tarzałeś się w najgorszym brudzie. Otuliłeś się szatą miłosierdzia, a szczuleś ludzi, jak szczuje się psy. Mamileś prawdą, uczciwością, a jesteś przepelniony fałszem, obłudą, zakłamaniem. 'Ihk, twoja uczoność jest wielka, ale ty rzuciłeś ją w bagno moralnego zepsucia. Udajesz, że leży ci na sercu szczęśliwość ludzi, a nakłaniasz do zbrodni i ponosisz winę za wszelkie zło, jakie tu się wydarzyło. Obrabowałeś mnie i oszukałeś moją duszę, spowodowałeś wewnętrzne straty, których nie da się niczym wyrównać. Musiałem ci to powiedzieć. Tylko po to kazałem się do ciebie

236

zaprowadzić, by oskarżyć cię o mord na duszy i splunąć ci w twarz, abyś się dowiedział co o tobie myśli ten, którego serce otworzyłeś tylko po to, by uczynić je uboższym i nędzniejszym, niż było dotąd. Przekazuję cię Allachowi, by ci wymierzył karę i żądam dla ciebie wiecznego potępienia.

Siła oskarżeń wzmogła się wskutek osobowości Munedziego i sposobu, w jaki je z siebie wyrzucał. Były to istne uderzenia maczugą, ale zadane w powietrzu. Haddedihni spoglądali ze zdumieniem. Halef patrzył na mnie czekając co powiem. Już otworzyłem usta, by odpo-

wiedzieć, ale zbliżył się do mnie Ghani i cisnął mi w twarz:

-- Mój podopieczny, który żyje dzięki mojemu miłosierdziu, wie, że jestem bez winy, przemawiał jakby w moim imieniu. Potwierdzam wszystko, co on powiedział i okazuję ci moją pogardę w taki sam sposób jak on, spluwając ...!

Doprawdy ten człowiek był tak bezczelny i zuchwały, że chciał to zrobić. Może moje opanowanie wobec Mnedziego tak go rozzuchwiliło? Nie zdążył skończyć, gdyż uderzyłem go w twarz, tak że poleciał w stronę Hadeddihnów. Od razu na niego napadli, by przeze mnie rozpoczęte dzieło dalej poprowadzić, a jego krzyk rozległ się na całym placu. Wówczas doskoczył szejk I'dwil, chcąc uwolnić Ghaniego, krzyczał:

-- Precz od niego, precz! Jest pod moją ochroną! Napadając na niego, zerwaliście zawartą na dzień dzisiejszy pokojową umowę. Teraz Halef odparł groźnie.

-- Idź precz! Kto pierwszy ją złamał, my czy wy? Miękkie serce naszego przyjaciela oszczędziło Munedziego, ponieważ ten stary człowiek jest niewidomy i niezrównoważony. Ale Ghaniemu, temu ucieleśnieniu wszelkiej bezczelności, trzeba pokazać, że wiemy, jak go należy potraktować. Na twoim miejscu wstydzilibym się mówić tu o ochronie. Wasza bezczelność jest oburzająca.

Halef zajął się Ghanim, uwalniając go z rąk Hadeddihnów, ale niezbyt pośpiesznie. 'I~n przed odejściem wrzasnął do nas groźnie:

237

-- Poczekajcie do Mekki! A może nawet prędzej, wy psie syny!

Szejk'Ihwil oddalił się szybkim krokiem, jego podopieczny mocno

zginał kark, ciągnąc za sobą ślepcę.

-- Przeżyłem nie jedno -- rzekł Halef -- i poznałem niejednego opuszczonego przez Boga i ludzi człowieka, ale nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może się zdarzyć. Ghani dostał na razie zapłatę i prawdopodobnie jeszcze lepiej nas pozna. Ach, sidi, dlaczego milczałeś? Dlaczego, nie wyrzekłeś ani słowa na swoją obronę? Teraz ten nikczemnik jest przekonany, że ma rację.

-- Po pierwsze, wszystko potoczyło się tak szybko, że nie miałem czasu mówić. Po drugie wystarczyło, że milczałem. Nawet godzinne przemówienie pozostałoby bez skutku. Przebaczyłem mu i sądzę, że teraz nic więcej nie należy robić. Potraktujmy ten atak, jakby nigdy nic.

-- Dobrze! Może tak będzie najlepiej -- rzekł Halef. -- Musimy teraz myśleć o ważniejszych sprawach. Co robimy? Kiedy ruszymy w drogę?

-- Jutro rano.

-- Dopiero? Dlaczego nie dziś?

-- Bo dopiero przy Ain Barid znajdziemy wodę, a dziś tam nie dotrzemy, ponieważ Beni Khalidowie są pomiędzy studnią a nami. Odnoszę wrażenie, że wcale nie dotrzemy do tej studni. Zatrzyma nas zemsta 'Pdwiła Ben Szahida. Dlatego musimy przede wszystkim zaopatrzyć się w wodę i dzisiejszy dzień wykorzystać do napełnienia naszych bukłaków, ale nie prędzej, niż to uczyni Khatub Aga.

-- Dlaczego ja? -- zapytał Pers.

-- Bo odjedziesz stąd możliwie jak najprędzej.

-- Nie, effendi! Powiedziałem, że nie opuścimy tego miejsca wcześniej niż wy i nikt mnie nie odwiedzie od tej decyzji. Czy Dżafar, nasz

wspólny przyjaciel, kiedy go spotkam, ma mi czynić wyrzuty, że byłem z Karą Ben Nemzim i nie wykorzystałem tego zaszczytu do ostatniej chwili?

-- Moim obowiązkiem jest cię ostrzec. Szejk Beni Khalidów ma bez

238

wątpienia zamiar odebrać ci skarb Kans el Adha. I~raz, jeśli możliwie szybko się stąd oddalisz, będzie musiał z tego zrezygnować, ale jeśli zostaniesz tu do jutra, dasz mu czas, by w jakiś sposób zamiar swój wykonał. Zastanów się nad tym.

-- Mimo to zostaję, na moje wczorajsze spotkanie z nim nie byłem przygotowany, ale teraz gdy wiem co i jak, na pewno nie pojmie mnie po raz drugi. A więc zostaję!

Powiedział to tak stanowczo, że uznałem dalsze moje wywody za daremne.

Wkrótce ujrzeliśmy, że Beni Khalidowie odjechali wraz ze swymi "przyjaciółmi i gośćmi" i w jakiś czas potem posłaliśmy za nimi dwóch Haddedihnow. Była to ostrożność, której należy przestrzegać.

U włos od śmierci

I~raz byliśmy sami i przez dzisiejszy dzień prawdopodobnie bezpiecznie. Nasi ludzie rozlokowali się wygodnie. Zbadano dokładnie okolicę i omówiono sytuację. Przedpołudnie minęło bez żadnych niepokojów, tak samo jak większa część popołudnia. Potem jednak przy naszej studni zjawili się goście. Jechali na szybkich wielbłądach od strony zachodniej, a kiedy zobaczyli, że wokół studni są ludzie, zatrzymali się w pewnej odległości. Obserwowali nas jakiś czas, potem się zbliżyli.

-- Hidźdzadź! -- powiedział jeden z nich.

Wyraz ten oznacza mniej więcej- tyle: "Jesteśmy pielgrzymami w drodze do Mekki". Istnieje bowiem przepis, wedle którego, należy uszanować każdego pielgrzymą, który zdąża do Mekki, nawet jeśli należy do wrogiego plemienia. Nie uwierzyliśmy, że obcy są pielgrzymami, Halef odpowiedział im:

-- Witajcie, zsiądźcie spokojnie. Jest tu dość miejsca i wody dla was.

-- Kim jesteście?

-- Ja jestem Hadzi Halef, szejk Haddedińów z plemienia Szamarów.

-- A ci askarowie?

240

-- Byli w tej okolicy, by pojmać złodzieja, teraz wracają do Meszhed Ali. A do jakiego plemienia wy należycie?

-- Jesteśmy Szeraratami i nie zamierzamy długo tu pozostać. Pozwólcie nam tylko napić nasze wielbłądy, a zaraz ruszymy dalej. Dziwne. Gdyby byli spokojnymi pielgrzymami, pozostałoby tutaj, bo następna studnia oddalona była o dzień drogi, pielgrzym zaś nie podróżuje nocą po nieznanym odcinku pustyni. Po cichu poleciłem więc Halefowi, by rozkazał swym ludziom i żołnierzom nie odpowiadać na pytania.

Pielgrzymi w szczególny sposób spoglądali na nasze konie i na nakrapianego hedżina Persa. Patrzyli ukradkiem na zwierzęta, wymieniając przy tym spojrzenia, co zwróciło uwagę moją i Halefa.

-- Sidi; może to są złodzieje koni? -- szepnął mi Halef.

-- Z plemienia Beni Lamów -- uzupełniłem.

-- Maszallah! 'Ib całkiem możliwe!

-- Nie mam co prawda dowodów na to, ale śmiem twierdzić, że się nie mylę. Gdyby naprawdę należeli do Szeraratów, ich droga do Mekki prowadziłaby szlakiem karawan 'I~buk, Medain Salih i Medyna, a nie tak daleko od wschodniej pustyni Nefud. Szejk'Ikwil mówił nam, że jego wyprawa jest związana z Beni Lamami i jestem niemal pewien, że ci dwaj Beduini, są zwiadowcami tego plemienia i szukają Beni Khalidów.

Wkrótce potem mieliśmy dowód, że miałem rację, gdyż po napojeniu wielbłądów jeden z przybyszów zapytał:

-- Dokąd prowadzi wasza droga?

-- Do Air Barid -- odparłem.

-- My teraz tam jedziemy i tam będziemy odpocz~wać. A więc spotkamy się jutro wieczorem.

Jaki sprytny. Pragnął się dowiedzieć, kiedy wyruszamy. Tę też wprowadziłem go w błąd.

-- Niestety nie będziemy mieli przyjemności spotkać się z wami, bo tacy jesteście zdrożeni, że odjedziemy stąd dopiero pojutrze.

241

Wówczas jeden ze szpiegów zapytał niebacznie:

-- Więc jutro, przez całą noc będziecie tutaj?

-- 1'ak.

-- Czy może spotkaliście tu kogoś? Ostrzegano nas przed Beni Khalidami, którzy wyprawili się na Beni Lamów i podobno gdzieś się tu znajdują.

Mieliśmy najlepszą sposobność zemszczenia się na Beni Khali-

dach, napuszczając na nich Beni Lamów. Szybki ruch Halefa zdradził,

że chce odpowiedzieć im coś w tym sensie, więc uprzedziłem go:

-- Jesteśmy pielgrzymami, tak samo jak wy i nie interesują nas spory obcych ludzi.

-- Ale możecie nam powiedzieć, czy widzieliście jakieś ślady Beni Khalidów.

-- Nie możemy, bo jesteście Beni Lamami, a nie Szeraratami. My Haddedihni, nie damy się zmylić i ani myślimy brać na siebie winy za krew innych.

Beduin chciał wybuchnąć, ale zamilkł. Wkrótce dosiedli wielbłądów, skinęli nam i odjechali w kierunku zachodnim, podczas gdy droga do Ain Barid prowadzi na południe. Uznali więc za zbędne sprostować nasze przypuszczenia.

-- Czemu nie powiedziałeś mu prawdy o Beni Khalidach? -- zapytał mnie Halef, kiedy tamci odjechali.

-- A czy ich okłamałem?

-- Nie. Tylko przemilczałeś. Moglibyśmy się zemścić na 1'awilu Ben Szahidzie, gdybyśmy posłali za nim Beni Lamów, bo teraz jestem przekonany, że znajdują się oni gdzieś na zachód od nas.

-- Spowodowalibyśmy krwawą walkę między nimi.

-- Która bez nas, także się odbędzie.

-- Ale my nie będziemy ponosili za to winy.

Wieczorem tego dnia siedzieliśmy z Basz Nasirem po raz ostatni, jak wszyscy sądziliśmy. Rozmawialiśmy o tym, co wspólnie przeżyliśmy. Później kiedy nadszedł czas spoczynku, Basz Nasir zapytał:

-- Effendi, mam do ciebie prośbę. Czy ją spełnisz?

-- Bardzo chętnie, jeśli to będzie w mojej mocy -- odparłem.

-- Pragnąłbym zamienić jednego z moich wielbłądów na jednego z waszych.

-- Dlaczego?

-- By mieć pamiątkę.

-- Nie mam wielbłąda, ale nie wątpię, że Halef spełni twoją prośbę.

-- Na pewno, ale chciałbym wiedzieć, czy ty byłbyś skłonny przyjąć ode mnie to zwierzę.

-- Dlaczego ja?

-- Bo to ma być pamiątka ode mnie. Dam ci moją wielbłądzicę, a że będę miał o jednego wielbłąda za mało, przeto proszę cię za to o innego.

Spojrzałem na niego i na razie nic nie odpowiedziałem. Chciał mi podarować to wspaniałe zwierzę! Chodziło tu po prostu o królewską szczodroliwość, tak, że nie wiedziałem jak mam się do tego ustosunkować. Zgodzić się, to było przeciwne mojej naturze, a odmowa mogła go głęboko urazić. On zaś ciągnął dalej:

-- Byłaby dla mnie wielka radość i duma, gdybym wiedział, że Kara Ben Nemzi effendi dosiada mojego hedżina. Nie bierz pod uwagę wartości zwierzęcia, bo nie zapłaciłem za niego, mogę sobie wyprosić takiego samego u Tszarbagha. W dodatku ocaliłeś mi życie i odkryłeś skarb Kans el Adha. Bez ciebie nigdy bym go nie odzyskał. Darowany ci wielbłąd jest niczym wobec tego, co tobie zawdzięczam. Nie chcę teraz nalegać, masz całą noc, by to przemyśleć.

Nic nie powiedziałem, lecz Halef, który przy tym był szepnął z

naciskiem:

-- Sidi, powinieneś przyjąć, a nawet musisz! Nie wolno obrażać przyjaciela, odmawiając przyjęcia daru.

-- Ale takiego? -- odparłem.

-- Jest istotnie ogromnie cenny, ale weź pod uwagę, że co prawda otrzymujesz go teraz dla siebie, ale potem także dla nas.

243

-- Ach! Podchodzisz mnie od tej strony?

'I-k. W twojej ojczyźnie wielbłąd nie jest ci potrzebny i uczynisz zapewne to samo co wtedy z twoim wspaniałym Rihem, pozostawisz go nam. A teraz wyobraź sobie naszą radość, jeśli otrzymamy dla naszej hodowli, pięcioletnią, tak znakomitą wielbłądzicę. Jeśli ją przyjmiesz, wyświadczysz naszemu plemieniu ogromną przysługę i zapewnisz sobie wdzięczność. Mam nadzieję, że weźmiesz to pod uwagę.

-- Owszem, byłby to dla was wspaniały nabytek.

-- Pięknie sidi. Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ale to problem uboczny, spodziewam się, że teraz nastąpi sprawa główna.

-- Jaka?

-- Że przyjmiesz ten dar. Czy zrobisz to?

-- Hm!

Wówczas Halef zwrócił się do Persa:

-- Mój przyjacielu, Khutabie Ago. Bardzo mi leży na sercu, by mój sidi, spełnił twoje życzenie. 'Teraz właśnie go urabiam i jestem zadowolony, bo powiedział "hm". Ponieważ dobrze go znam, więc wiem, że od tego niezdecydowanego "hm" do ostatecznego "dobrze" jest

niedaleko. Masz więc szczęście, że Kismet jest przychylny tobie i twojej wielbłądźcy. Zostaniecie oboje od siebie uwolnieni.

Mały spryciarz! Choć tak trudno mu było wczuć się w warunki i poglądy mojej ojczyzny, które przenosi prawie zawsze na Wschód, teraz, gdy chodziło o pozyskanie hedżina, od razu sobie przypomniał, że w mojej ojczyźnie nie będę miał z wielbłąda żadnego pożytku. A potem szybkie i dziwaczne wykorzystanie mojego "hm". Coś takiego potrafi tylko mój Hadzi Halef.

Nazajutrz rano Halef przyznał, że z powodu hedżina całą noc nie mógł zasnąć i że koniecznie muszę ten dar przyjąć, jeśli nie chcę pozbawić go snu na resztę życia. Potem przyprowadził Basz Nasira i tak mnie obaj "urabiali", że w koficu chcąc nie chcąc wyraziłem zgodę.

Radość wybuchła wśród Haddedihnów. Ib samo mogę powiedzieć o

244

Persie, szczerze się ucieszył, a ta jego radość była mi równie miła jak przedmiot jego szczodropliwości. Podczas, gdy inni otoczyli wielbłądzicę i wychwalali jej zalety, Basz Nasir wziął mnie na bok i rzekł: -- Effendi, muszę ci coś wyznać, czego nikt prócz ciebie nie powinien wiedzieć. Chyba wiesz dobrze, że nie można wielbłądom, tak jak rasowym koniom przekazać "zaklęcia", bo są na to zbyt głupie. Z tym hedzienem jednak mi się udało. Posiada on dar zrozumienia, jest on tak wierny i posłuszny jak koń. Ponieważ jest teraz twoją własnością, pragnę ci powierzyć jego tajemnicę. Nazywa się Maszhura. By zwrócić uwagę zwierzęcia musisz to imię powtórzyć dwukrotnie, po czym trzykrotnie "babunadź" - "rumianek". Kiedy to powiesz, zwierzę rozwinię taką szybkością, że spokojne powietrze wyda ci się wiatrem i nie

ustanie aż powiesz trzykrotnie "jawasz" - "powoli". Ponieważ wielbłąd pod względem wytrzymałości przewyższa konia, dlatego Maszhura wytrzyma tę prędkość o wiele dłużej niż koń, co może ocalić cię od niebezpieczeństwa. Nikt nie zdoła cię dogonić. Czy dobrze sobie zapamiętałeś?

-- 'Pak i dziękuję. Ale powiedz dlaczego wybrałeś właśnie słowo "babunadz"?

-- Ponieważ ten hedżin ma dziwne zamiłowanie do rumianku.

Dlatego też gdy kiedykolwiek go dosiadam, mam w kieszeni kilka tych roślin. Rozcieram je w dłoni, tak że pachnie rumiankiem, głaszczę Maszhurę po pysku i po nosie. Jeśli to będziesz robił, szybko zdobędziesz jej przyjaźń. I~raz także mam ze sobą koszyczki rumianku, dam ci je. Wyszły co prawda, ale jeszcze mają swą moc.

Wielbłąd i "zakłęcie"! Nigdy bym nie uważał tego za możliwe.

Gdyby się to sprawdziło, zwierzę byłoby doprawdy nieocenione. Khatab Aga dał mi rośliny, które wsadziłem do torby u siodła, a potem wydał rozkaz swoim askarom, by gotowali się do wyruszenia. Pożegnał się z nami serdecznie, widać było, że nas polubił.

Polecilem mu największą ostrożność i polecilem, by przynajmniej dziś omijał drogę, którą odbyłjadąc tutaj. Odwrócił się na pożegnanie

245

i skinął mi głową z uśmiechem.

Było oczywiste, że Halef dał mu jednego z naszych najlepszych hedżinów, co prawda nie był tyle wart co Maszhura, ale jednak niezawodny. Wielbłądzica, długo spoglądała w ślad za swoim panem z takim przywiązaniem, jakiego nie zaobserwowałem dotąd u żadne-

go wielbłąda. Poglaskalem ją po nosie, ręką pachnącą rumiankiem; wciągnęła zapach z widoczną rozkoszą, wyduła wargi mocno i wciągnęła moją rękę do pyska. Z lekka tylko dotykając zębami, zaczęła ssać ją tak, jak dzieci ssą cukierki. Wiedziałem, że dość łatwo przyjdzie mi zdobyć jej przywiązanie. Kazałem założyć~ moje siodło, gdyż odtąd zamierzałem jeździć na niej.

'I~raz mogliśmy opuścić Bir Hilu, którego już chyba nie zobaczymy, gdyż na powrót z Mekki postanowiliśmy obrać inną drogę. Nasze bukłaki były napelnione wodą na wiele dni.

Kiedy opuszczaliśmy plac za studnią, ślady Beni Khalidów były tak wyraźne, że bez trudu mogliśmy nimi jechać. Musieliśmy wiedzieć jakie mają zamiary. Po mniej więcej godzinie wyjechaliśmy spośród rozrzuconych grup skalnych na otwartą piaszczystą równinę. 'Iirop prowadziłw kierunku "zimnego źródła". Po następnej godzinie skręcił na zachód. Była to okoliczność, która nas zastanowiła, nie trzymaliśmy się naszego dotychczasowego kierunku, lecz pozostaliśmy na ich tropie. Jechaliśmy może dwie godziny po zachodzie słońca, gdy ujrzeliśmy na widnokręgu, wynurzającą się ciemną linię, co do której nasz przewodnik Ben Harb przypuszczał, że to wydłużone pasmo wzgórz. Słyszał coś o nim, ale nie znał nazwy. Jeśli się nie myli, pustynia znowu stanie się kamienista.

'I'dk było, piasek stawał się coraz bardziej żwirowaty. Potem pojawiły się nagie skały, na których tylko z trudem mogliśmy odkryć ślady.

-- Dlaczego Beni Khalidowie zboczyli z drogi i pojechali tędy? --

zapytał Halef. -- Może to ma jakiś związek z nami, sidi?

-- Przede wszystkim z Persem, a następnie z nami -- odparłem. --

Obawiam się o niego i z całego serca pragnę, by moje obawy się nie

246

potwierdziły. Beni Khalidowie prawdopodobnie tkwią w jakimś ukrytym miejscu tu, na wzgórzu, by na nas napaść. Ale może też być inaczej. Jestem przekonany, że 'I-wil Ben Szahid nie chce zrezygnować ze "skarbu członków". Jeśli taki jest jego zamiar, nie ma go tutaj

,
lecz dalekim łukiem okrążył Bir Hilu i wrócił by po drugiej stronie przeciąć drogę Basz Nasirowi. Mamy do czynienia z dwiema możliwościami. Albo Beni Khalidowie są tutaj, by napaść na nas, albo są teraz na północ od Bir Hilu.

-- Z jakiego powodu przyjechali tutaj?

-- Z powodu kamienistego gruntu, na którym trudno odczytać ślady. Sądzą, że nasze oczy nie są lepsze od ich i dlatego są przekonani, że tu stracimy ich trop. Zarazem pomyśleli o przewadze, jaką zdobędą nad nami, jeśli najpietw dopędzą Persa. W ten sposób napadną nas od tyłu, podczas, gdy my będziemy myśleli, że są przed nami. Istnieje jeszcze trzecia możliwość, mianowicie ta, że szejik podzielił swoich ludzi. Jeśli tak, to czekałby tu na nas jeden oddział, a on z drugim szuka Khutab Agi. Zaraz się rozejrzę. Zatrzymamy się i zobaczymy, czy nie ma gdzieś śladów prowadzących z powrotem na północ.

-- Na tych twardych skałach to długo potrwa.

-- Nie, ponieważ pojedę do granicy piasku i wzdłuż niej. 'Ib nie potrwa długo, bo wiem, w którą stronę lhwil się skierował, ale muszę objechać całe wzgórze.

-- Czy mogę jechać z tobą?

-- Tak, ale pojedziemy na koniach. Wielbłądy nie nadają się do szukania, są zbyt wysokie. Chodźmy!

Halef dosiadł swojego Barkha, ja mojego Assila Ben Riha. Pojechaliśmy w bok, aż dotarliśmy do piasku i skręciliśmy w lewo. Pochylając się z konia możliwie najniżej, ponagliłem swego wierzchowca i wkrótce z satysfakcją go zatrzymałem. Natrafiłem na wyraźne tropy, które ze wzgórza prowadziły tutaj, a potem w kierunku północnym. Zsiadliśmy, by się im przyjrzeć. Beni Khalidowie jechali tak blisko siebie, że nie można było rozróżnić pojedynczych śladów. Nie udało

247

się nam policzyć, ale sądziłem, że będę bliski prawdy, szacując je na ponad trzydziestu, najwyżej czterdziestu jeźdźców. Liczba ta była wystarczająca, by pokonać Persa z jego dwudziestoma żołnierzami.

'Il;raz Halefa ogarnął niepokój.

-- Sidi, twoje obawy się sprawdziły -- rzekł. -- Co teraz zrobimy, mów szybko.

-- Wszystko zależy od tego, czy Pers posłuchał mojego ostrzeżenia, by ominąć drogę, którą jechał poprzednio, bo wtedy może ujść Beni Khalidom.

-- Obawiam się, że cię nie posłuchał. Czy sądzisz że jeszcze będzie można go uratować?

-- Może. Wsiadajmy czym prędzej na konie. Wszyscy musimy zawrócić.

Podczas, gdy galopowaliśmy do naszych ludzi, przekazałem mu swoją decyzję:

-- Pojedziemy możliwie najprędzej z powrotem do Bir Hilu. Stam-

ład będziemy się trzymać śladów Persa i wkrótce się dowiemy, jak sprawa z nim wygląda. Ponieważ obawiam się najgorszego, pojedę przodem, a jeśli się okaże konieczne, to utrzymam w szachu za pomocą swego karabinu całą grupę Beni Khalidów. Wy pojedziecie moim śladem.

-- Czemu za tobą, a nie razem z tobą?

-- Bo wasze zwierzęta nie są dość szybkie, pojedę na wielbłądźicy Persa. Ona jest wytrzymalsza od każdego konia. Strzeżcie się tylko nagłego zetknięcia z Beni Khalidami, bo oni na pewno obrali drogę powrotną przez Bir Hil, więc jest możliwe, że się na nich natkniecie, podczas, gdy ja będę pędził za Persem.

Dotarliśmy do naszych ludzi. Przeskoczyłem z konia na siodło wielbłąda i odjechałem, pozostawiając Halefowi wyjaśnienie przyczyny mojego pośpiechu.

Pozwoliłem, by Maszhura jechała na razie wolno, potem popędziłem ją, posłuchała, przecież kierowałem się do studni. Byłem jakieś

248

dwie godziny w lini prostej od Bir Hilu, gdy skręciłem pod kątem prostym i jechałem ponad dwie godziny, razem jakieś cztery i pół. Droga tworzyła dwa boki prostokąta, po którego przekątnej teraz wracałem. Maszhura tak szybko pędziła, że dotarłem do Bir Hilu już po trzech kwadransach.

Beni Khalidowie mogli co prawda już tu być, ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Jeśli znajdowali się przy studni, to najlepszą ochroną dla mnie będzie szybkość, ale miejsce było puste.

Maszhura miała cudownie tekki, zgrabny chód. Siedziałem na niej

jak na sztywnym krześle. Miała ogromnie cenną zaletę, którą Beduin określa mianem "pożeracza przestrzeni", a przy tym nie okazywała ani śladu zmęczenia.

Kiedy zostawiłem za sobą studnię, byłem ciekaw, czy Basz Nasir obrał inną drogę, czy też nie. Jeśli tak, to można by się spodziewać, że Beni Khalidowie się z nim minęli, jeśli nie, należało przypuszczać, że osiągnęli swój cel.

Jak wiadomo podczas naszej drogi do studni zboczyliśmy na wschód.

Dopiero po ścięciu tego łuku mogłem trafić na naszą starą ścieżkę.

Wkrótce zrozumiałem, że Pers mnie nie posłuchał, wracał poprzednią drogą.

Istniała tylko jedna, choć nikła nadzieja. Jeśli Pers jechał powoli, a zasadzka Beni Khalidów była dostatecznie daleko od studni to możliwe, że do nich jeszcze nie dotarł. Co prawda od jego wyruszenia minęło już pięć godzin, które musiałem nadrobić i to przy pomocy wielbłądzicy Basz Nasira.

Dalem zwierzęciu znak, dwukrotnie wymówiłem jej imię, a potem trzykrotnie słowo "babunadz". Skutek był taki, że zastrzygła uszami, ale nie przyspieszyła biegu. Poczekałem chwilę i powtórzyłem to z takim samym skutkiem.

Ogarniał mnie coraz większy strach o Persa. Jak go ocalę, jeśli wielbłąd mnie nie posłucha? Powtórzyłem prośbę, ale daremnie.

249

Wtedy pomyślałem, że zwierzę prawie mnie nie zna, zatrzymałam ją, zsiadłem, natarłem sobie rękę rumiankiem i przysunąłem do niej.

Maszhura wzięła ją chciwie do pyska i przytrzymała. Kiedy znów jej dosiadłem ponowilem próbę:

-- Maszhura, Maszhura ... ! Babunadź, babunadź, babunadź... !

Nagle szarpnięcie omal nie wysadziło mnie z siodła, ruszyliśmy.

Było tak jak powiedział Pers, nieruchome powietrze, które przecinaliśmy, hulało jak wiatr. Byłem kiedyś zmuszony zastosować "zakłęcie" wobec mego wierzchowca Riha i muszę przyznać, że wówczas Rih był jeszcze szybszy niż hedziń teraz, ale chodziło o to, że wielbłąd jest bardziej wytrzymały.

Teraz to już nie była jazda, ani gonitwa, to był lot. Grupy skalne śmigły obok nas. Wjechaliśmy na kamienistą pustynię, gdzie musiałem bardzo uważać, by nie stracić śladu. Maszhura słuchała, mimo niesamowitej szybkości. W dziesięć minut przebyła odległość, na którą poprzednio zużyliśmy godzinę. Nie ustawiała także wtedy, kiedy mieliśmy już za sobą kamienie i jechaliśmy po piasku, po którym jazdę można by nazwać "mieleniem", Maszhura zaczęła się pocić.

Potem wystrzeliły z piasku opisywane już szeregi diun. Chciałem się zatrzymać, by dać wytchnąć zwierzęciu, ale zaniechałem tego.

Wysilek był ogromny. Z jednej strony dzielna wielbłądzica wspinała się na strome góry wielkimi susami, z drugiej płynnymi ruchami spadała w dół, by w taki sam sposób pokonać następny łańcuch diun.

Była coraz bardziej spocona, już tworzyła się jej na wargach biała piana i ... usłyszałem pierwsze, głośne, pospieszne dyszenie.

-- Jawasz, jawasz, jawasz! -- zawolałem.

Maszhura od razu przeszła na powolniejszy krok i dla ostrożności pozwoliłem jej na to przez jakiś czas. Gdy zaczęła spokojnie oddychać

**i piana znikła, zatrzymałem ją, zsiadłem i pogłaskałem, zrobiła bo-
wiem więcej, niż nakazywał obowiązek. W sposób jaki Maszhura na
mnie patrzyła wzruszył mnie. 'Pdkich oczu nigdy jeszcze u wielbłąda
nie widziałem. Wydawało się, że chce mnie zapytać, czy jestem z niej**

250

**zadowolony. Doprawdy, człowiek powinien pamiętać o tym, że zwie-
rzę także obdarzone jest uczuciem. Zaobserwowałem na przykład, że
pies jest lepszym znawcą ludzi, niż człowiek.**

**Dałem wielbłądzicy jeszcze kilka rumianków i zaraz znów jej do-
siadłem, bo nie wolno było traci~ ani minuty. Zaczęliśmy jechać
powoli, a gdy wypowiedziałem zakłęcie, Maszhura usłuchała natych-
miast.**

**Przykro mi było, że po raz drugi muszę ją poganiać, ale chodziło o
życie wielu ludzi. 'Izak więc śmigaliśmy w górę i w dół. Jakże często
piasek usuwał jej się spod nóg, jakże często była bliska runięcia, ale
ani razu nie upadła. Było to zwierzę niebywale wytrzymałe. Potem
nadeszła chwila, kiedy trzeba było pokonać niezwykle wysoką, ale
niezbyt stromą diunę. Maszhura wleciała na górę dzikim pędem.**

**Gdybym jadąc w stronę studni, wiedział, że tu w ogóle jeszcze wrócę,
byłbym chyba dość przezorny, by dobrze zapamiętać niebezpieczne
miejsca. Była tam stroma wyrwa w piasku, którą, by dostać się na górę
- musieliśmy okrążyć~. Po tamtej stronie było niemal płasko. A co to
za góra, którą mieliśmy przed sobą! Boże wielki!**

-- Jawasz, jawasz, jawasz! -- krzyczałem, a właściwie ryczałem.

**Lecz Maszhura była już na górze i nie mogła tak szybko opanować
pędu. Konia, którego się trzyma w cuglach, łatwiej jest skierować na**

bok. Ale ja siedziałem na wysokim siodle i nie miałem cugli, czyli żadnej możliwości powstrzymania zwierzęcia przed niebezpiecznym kierunkiem. Moje wołanie spowodowało co prawda zmniejszenie pędu, ale za późno. To co się teraz stało trwało jedynie krótką chwilę. Kiedy dotarliśmy do krawędzi na górze, spostrzegłem ziejącą przed nami przepaść i nic poza nią. Przerzuciłem lewą nogę na prawą stronę i spadłem z wielbłąda w dół. 'Ib było jedyne, co mogłem zrobić, by się ocalić, podczas, gdy zwierzę w całym pędzie skoczyło w powietrze. Tylko miękki piasek, na który runąłem, mógł mnie uratować.

251

Spadałem... coraz niżej i niżej. Przymknąłem oczy i czułem jedynie ostry ucisk w stawach rąk i nóg. Czy to grzęźnięcie nigdy się nie skończy? W jakiej głębi się pogrążałem? Otworzyłem oczy by się zastanowić i ...

'Idk, to co ujrzałem przekonało mnie, że uczucie nieprzerwanego pogrążania się jest złudzeniem, że byłem oszołomiony. Jedno tylko mnie nie zmyliło, mianowicie b61 rąk i nóg. Były związane. Przedemną siedział szejk'Pdwil Ben Szahid, po jego prawej ręce Ghani, a po lewej jego syn. Obok ojca ujrzałem Munedżiego, który był przytomny. 'Ii~zej inni mekkańscy siedzieli z boku,

Kiedy się rozejrzałem, spostrzegłem wyrwę w piasku, gdzie chciałem się rzucić. Lecz rozpęd był zbyt wielki, tak więc spadłem poza nią i potoczyłem się stromym zboczem w dolinę. Leżeli tam żołnierze, wszyscy byli martwi, każdy w kałuży krwi. Napad Beni Khalidów się udał, a ja podjąłem jazdę na ratunek nie tylko nadaremnie, ale w dodatku na własną zgubę. Wielbłądy żołnierzy stały niedaleko nas, a

trochę na uboczu leżała ... moja wielbłądzica. Przeżyła upadek tak jak ja, tylko dzięki miękkiemu, głębokiemu piaskowi, który się w tym miejscu nagromadził.

Odwróciłem głowę, by rozejrzeć się za Basz Nasirem i ujrzałem go, a raczej tylko ... jego nogi, wystające zza niskiego kopca piasku.

Przypuszczałem, że jeszcze żyje, bo nogi miał związane tak jak ja.

Siedziało przy nim pięciu Beni Khalidów, prawdopodobnie, by go

pilnować. Za nim leżało może tuzin wielbłądów należących do Beni

Khalidów. Ale gdzie byli inni ludzie i zwierzęta? Zbadany przez nas

trop wskazywał na co najmniej trzydzieści osób. Później zrozumia-

łem, że szejik ich odesłał, aby mieć możliwie najmniej świadków tego,

co zamierzał zrobić. Chciał także skarb Kans el Adha dzielić możliwie

z jak najmniejszą liczbą osób. Ale dlaczego zabrał ze sobą mekkańczy-

ków, którzy przecież pierwsi zażądają łupu?

W każdy razie cały oddział Beni Khalidów był tu zebrany, by czyhać

na Persa. U góry prawdopodobnie stały posterunki. Przyjęto ich

salwą, a kto pozostał żywy, tego Beni Khalidowie dobili. Jadący na

czele swych żołnierzy Pers też nie pomyślał o tym niebezpiecznym

252

miejscu i runął, wpadając w ręce Beni Khalidów.

Można sobie wyobrazić, co czułem, widok dwudziestu zabitych

askarów ogarniał mnie zgrozą. Jedyłą zaletą szejka Beni Khalidów

było to, że dotrzymywał danego słowa. Nic poza tym.

Kiedy zauważył, że otworzyłem oczy i się poruszyłem, na twarzy

jego pojawił się szyderczy, okrutny uśmiech. Wskazał na mnie ręką i

rzekł do El Ghaniego:

-- Popatrz! On żyje, a więc nie skręcił sobie karku. Allah zachował go dla mnie. Jeśli się nie przyzna zmusimy go do tego. Usłyszałeś moje słowa? Gadaj psi synu!

Było to skierowane do mnie. Odparłem, nie zwracając uwagi na "psiego syna":

-- Nie ma powodu milczeć. Pomyślałem, że zechcecie napaść na Basz Nasira, by odebrać mu skarb, wobec tego pojechałem za nim, by go ostrzec.

-- Gdzie są Haddedihni?

-- W drodze, która stąd prowadzi do Ain Barid.

-- Już cię nie zobaczą. Widzę, że dostałeś wielbłądzicę od Persa, to ładnie z twojej strony, że ją przyprowadziłeś. Zatrzymam ją, a także wasze konie przejdą w posiadanie mojego plemienia, wy natomiast dostaniecie się w szpony diabła. Już ja się o to postaram.

W jego oczach nie było śladu litości. Munedzi nasłuchiwał uważnie każdego słowa, teraz, kiedy szejek umilkł, ślepiec zwrócił się do niego:

-- Czy to effendi z Wadi Draa leży przed nami związany`?

-- 'Pdk -- odparł Tawil.

-- Co z nim zrobicie?

-- Zaraz go zastrzelimy. Czy masz coś przeciwko temu?

-- Nie. Byłoby to największym grzechem, jaki byście popełnili, oszczędzając go. Niech idzie do piekła!

Wtedy odezwał się El Ghani:

-- Tb tak, jakbym ja sam to powiedział. Daję również moje przyzwolenie.

-- Zgadza się? -- zapytał szejka ironicznie i lekceważąco, z czego wywnioskowałem, że stosunek jego do "przyjaciół i gości" się zmienił.

-- Ty zarozumiałe i śmieszne, że dajecie mi swoje przyzwolenie. Tutaj robię, to co chcę, wiecie jak wygląda sytuacja z wami. Nie wyobrażajcie sobie, że stosuję się do waszych życzeń.

-- Niczego sobie nie życzę, tylko domagam się swoich praw. Przede wszystkim żądam wydania mi Persa, tego przeklętego przez Allacha szyitę. Żadna kula prócz rnojej nie może go trafić.

-- Nie mam nic przeciwko temu -- zaśmiał się szejka. -- Jeśli sprawi ci przyjemność posłać go własnoręcznie do piekła. Możesz to zrobić od razu, bo nie mamy czasu.

I'awil wstał, Ghani także. Czyżby mówił poważnie? Podniosłem głos, by sprzeciwić się temu morderstwu, ale jako odpowiedź usłyszałem jedynie szyderczy śmiech. Potem rozległ się głos Basz Nasira:

-- Proszę cię effendi, nie trudź się. Zrozumiałem, że każde słowo jest daremne. Moja śmierć jest postanowiona. Sam jestem temu winien, bo zlekceważyłem twoje słowa. Rozwiążcie mi nogi! Chcę kulę przyjąć na stojąco. Przynajmniej to uwzględnijcie. Nie ucieknę, nie cofnę się ani o krok z miejsca, w którym mam przekroczyć wrota śmierci.

Szejka roześmiał się ponownie:

-- Ty życzenie chętnie spełnię, bo jestem litościwym człowiekiem, a będzie to twoje ostatnie życzenie.

Podszedł do niego i rozwiązał mu nogi. Pers wstał, podszedł do mnie i spojrzał mi w twarz. Chyba wyczytał co się w niej działo, bo pokręcił głową i rzekł:

-- Nie zastanawiaj się jakby mi pomóc. Nic innego nie możemy zrobić, jak tylko umrzeć z godnością. Jestem winien nie tylko mojej, ale i twojej śmierci. Nie proszę o przebaczenie, bo uszy morderców nie są godne, by słyszeć takie słowa. W kilka minut po mnie i ty przejdziesz wieki mur, jaki pokazał nam Ben Nur. 'ham będę na ciebie czekał, by prosić cię o przebaczenie, za swoją lekkomyślność. Jak cię

254

znam, nie będę prosił na próżno.

-- Już teraz ci wybaczam -- odparłem. -- Życie człowieka leży w rękach wyższej istoty, która jeszcze w ostatniej chwili może nas ocalić. Ufajmy jej.

-- Róbcie na co macie ochotę -- zaśmiał się szejk. -- Ponieważ wierzycie, że tam na górze w tak cudowny sposób się odnajdziecie, zatroszczę się o to, byście już teraz pozostali razem. Wykopiemy dół, do którego obu was wrzucimy. Ciała askarów niech pożrą sępy, ale was mają pożreć czerwie. To jedyna różnica, jaką robię między dwoma gatunkami lotrów. W piekle wszyscy się spotkacie.

Beni Khalidowie zabrali się na jego rozkaz do kopania grobu, niedaleko od nas, tak byśmy to oglądali. Każda minuta była cenna, a nie ulegało wątpliwości, że Haddedihi będą się spieszyć. Nie wiedziałem co prawda, jak długo byłem nieprzytomny, ale przypuszczałem, że dość długo. 'Pak więc nadzieja, że Haddedihi w porę nadjadą, by mnie uratować nie była płonna.

Chętnie bym to zdradził Persowi, ale szejk i Ghani bacznie nas obserwowali, więc nie mogłem nic powiedzieć. Basz Nasirowi zaś, nie bronili mówić głośno:

-- Effendi, ponieważ nasz los w ten sposób się odmienił, pragnę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Dotąd milczałem, bo sądziłem, że byś się rozgniewał na Dżafara Mirzę. -- Dlaczego?

-- Bo ofiarował mi prezent, który przedtem otrzymał od ciebie.

-- Prezent należał do niego, więc mógł z nim zrobić co zechce. O jakim prezencie mówisz? Myśmy się nawzajem często obdarowywali.

-- O małej książeczce w języku perskim Arba'bes szajir, cztery Ewangelie. Byłem z nim bardzo zaprzyjaźniony. Wiem, że życie jego pełne było tragedii i dlatego nic ci nie mówiłem. Przeczytał tę książkę, a każda linijka wyryła mu się w sercu. Potem mi ją podarował, abym i ja doznał olśnienia. Czytałem ją codziennie, dziś rano również.

Otworzyłem ją w miejscu, które brzmi: "Ale ja wam powiadam, kochajcie waszych wrogów, czyście dobro wszystkim, którzy was

255

nienawidz~". Żyje we mnie każde słowo, które usłyszeliśmy od Ben Nura, kiedy treścią jego całej mowy była miłość. Myślałem o naszym zachowaniu wobec wrogów, którym za nienawiść ofiarowaliśmy miłość. Wydawało mi się, że zbyt dużo było tego dobrego i dlatego otworzyłem książkę na tym miejscu, by dodać sił mojej słabości. 'I~raz jednak wydaje mi się, że lepiej byśmy postąpili, pozostając słabymi, bo nasze posłuszeństwo wobec miłości przyplacimy życiem.

-- Nie, ja tak nie sądzę -- odparłem. -- Życie jest równie wieczne jak miłość. My nie umrzemy, może nawet cieleśnie nie. Pomoc może okazać się bliższa, niż ci się zdaje.

-- Więc pospieszmy się, by zapobiec tej pomocy -- szydził szejk. --

Dól jest gotów.

-- 'Ihk, dól jest gotów i moje kule także -- dodał El Ghani stanowczo. -- Nie ma co zwlekać.

-- Ustaw się teraz!

Kierując do Persa rozkaz, szejk wskazał miejsce obok dołu, Khutab Aga posłuchał i zawołał do mnie:

-- Effendi, nie mówię ci "żegnaj", bo rozstajemy się tylko na parę chwil. Odmów modlitwę za mnie, aby przy wadze sprawiedliwości wolno mi było ująć rękę anioła, który mnie przeprowadzi.

Podczas gdy on mówił urosła we mnie jakaś nieznana dotąd siła, która nie bacząc na opór, popędzała do czynu. Przede mną stał przyjaciel wśród morderców, w czerwonej kałuży przelanej żołnierskiej krwi. Czy to musiało się stać? Czy wolno było do tego dopuścić? Czy nic nie mogę pomóc?

-- Nie ujmuj jeszcze tej ręki! -- krzyknąłem. -- Uwolnię cię, już idę!

Nie stój spokojnie, broń się! Masz przecież wolne nogi! Uderz, stratu-
j ich!

Szarpałem więzy, chociaż czułem, że wbijają mi się w ciało, podrywałem się, i znów padałem, mimo to sznur pętający mi nogi pękl.

-- Skaczcie na niego! 'I~n pies rzeczywiście gotów się uwolnić! --
zawołał szejk.

256

Beni Khalidowie i trzej mekkańczycy rzucili się na mnie. Bilem ich jeszcze spętanymi rękami i kopąłem uwolnionymi nogami, podrywa-
łam się .. na próżno. Walka była zbyt nierówna i wtedy ... padł strzał
Ghaniego. Ujrzałem, że Pers runął na ziemię z rozpostartymi ramio-
nami. Już się nie opierałem, zrezygnowany pozwoliłem by ponownie

związano mi nogi.

Nie zważałem na szyderstwa, którymi mnie obrzucano. Zresztą Ghani wkrótce odwrócił uwagę ode mnie. Klęknął bowiem przy Basz Nasirze i zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

-- Stój! Co ci przyszło do głowy'? -- przerwał mu szejk.

-- Czy to co ma przy sobie należy zakopać razem z nim? -- odparł Ghani.

-- Nie, ale to nie należy do ciebie.

-- Ten szyita jest mój. A więc jego własność należy tylko do mnie.

Wiedziałem, że wybuchnie kłótnia, która może mi przynieść ocalenie. 'I~ myśl tak dobroczynnie na mnie podziałała, że odzyskałem wewnętrzny spokój.

-- Czy mam cię wyśmiać tak samo, jak tego psa? -- zapytał Pdwil. --

Kto przeprowadził ten atak, kto pokonał żołnierzy, ty czy ja'? Kto więc jest właścicielem tego wszystkiego, co tu się znajduje'?

Szejk stał groźnie przed Ghanim, a jego Beni Khalidowie zbliżyli się do mekkańczyków w dość wyraźnych zamiarach. Wyglądało na to, że nastąpi coś, co szejk przedtem potajemnie uzgodnił ze swoimi ludźmi. Ich oczy skierowane były na niego, jakby czekali jedynie na uzgodniony znak.

-- Może ty'? -- zawołał "ulubieniec wielkiego szarifa". -- Czemu położyłeś Kans el Adha tam, obok swego wielbłąda? Chcesz go skraść'? Już wczoraj przez cały dzień obserwowałem, jak coś przeciw nam knujesz. Jeśli to oszustwo, zdrada, to nie myśl sobie, że ci na to pozwolę. Moja władza sięga dalej niż twoja.

Oczy jego rzucały błyskawice. Szejk odpowiedział chłodno:

-- Jak daleko sięga twoja władza, zaraz się przekonasz ... Teraz!

9 - Most śmierci 257

Słowo to zawierające oczekiwany rozkaz, skierowane było do jego ludzi. Jakby podniesione tą samą ręką wzniosły się w górę kolby ich strzelb i spadły na głowy mekkańczyków, którzy nie byli przygotowani na ten nagły napad. Potwierdziło się moje przypuszczenie. Mekkańczycy oszołomieni byli tylko przez kilka minut, teraz wyrywali się, krzyczeli, wyli. Szejk stał w milczeniu, czekał aż minie ich pierwsza wściekłość, ale że trwało to za długo, wyciągnął pistolet i przysiągł, że każdego kto się natychmiast nie uspokoi, zastrzeli jak psa. Poskutkowało.

Ogarnęto mnie napięcie. Przewijały mi się przez myśl wydarzenia ostatniego dnia i zdałem sobie sprawę, że szejk z góry postanowił uśmiercić mekkańczyków. Chciał zdobyć skarb z Meszhed Ali i musiał pozbyć się wszystkich świadków tego zdarzenia.. Ale jego ludzie? Jak to wyglądało z nimi? Czy mogli o wszystkim wiedzieć?

Okazało się, że Tawil wcześniej rozważył ten problem i wydał rozkaz:

-- Teraz możecie odjechać, ja potem do was dołączę. Pragnę tym wczorajszym przyjaciółom, a obecnym wrogom dać kilka dobrych rad, zanim ich uwolnię. Effendiego osobiście zastrzelę.

Beni Khalidowie usłuchali, choć z wyraźnymi oporami. Prawdopodobnie przejrżeli szejka, ale uznali, że lepiej na razie wszystko pozostawić jemu, a później wystąpić ze swymi żądaniami. Podeszli do wielbłądów, wsiedli i odjechali, ale nie drogą, którą ja przybyłem. Była to okoliczność dogodna, bo nie istniała obawa, że zetkną się z Hale-

fem.

Szejk tymczasem nie zwracał na mnie uwagi, z czego byłem zadowolony: 'I~raz, kiedy jego ludzie odjechali, moja sytuacja nagle się poprawiła. Miałem do czynienia tylko z nim i uznałem, że może uda mi się go pokonać, zanim przybędzie Halef. Najważniejsze, żeby się znalazł w zasięgu moich rąk.

Szejk stał oparty o strzelbę, aż Beni Khalidowie zniknęli. Potem zwrócił się do El Ghaniego.:

258

-- Jesteście nieopisanie głupi, a przy tym bezczelni. Jak możecie sądzić, że uważam was za niewinnych. Allach wie i ja także, że szyita miał rację. Powiadam wam to w obecności tego effendiego, którego nie poślę w ślad za Persem, zanim go nie przekonam, że was przejrzałem. Zrobię tak, ponieważ dotąd musiałem się przed nim wstydzić, myślał pewnie, że mam w głowie spalone pestki daktyli zamiast mózgu.

-- Jesteśmy ... -- chciał zacząć Ghani.

-- Milcz! -- przerwał mu szejk. -- Dam ci znak, kiedy będziesz mógł mówić.

-- Ale ja muszę...

Zaraz przerwał, bo szejk skierował na niego strzelbę.

-- Widzę, że chcesz koniecznie coś powiedzieć. Dobrze, ale tylko jedno słowo! -- Pawil podszedł do niego, przyłożył brofi do jego piersi i ciągnął dalej: -- Jeśli odpowiesz kłamstwem, lub więcej niż jednym słowem, a także, jeśli by ci przyszło do głowy w ogóle nie odpowiadać, w każdym z tych trzech wypadków trafi cię kula i to tak niezawodnie,

jak twoja trafiła tamtego niewinnego. A więc, ukradłeś Kans el Adha?

'I~k czy nie`'?

-- ~'ak -- wykrztusił Ghani.

-- Nie wątpiłem w to ani przez sekundę. Znałem cię Ghani, już wcześniej. Przybyliście do nas do studni, więc byliście moimi gośćmi i zrobiliśmy dla was więcej, niż wymagał tego obowiązek gospodarzy. Nawet wielokrotnie narażaliśmy nasze życie, ostatni raz w zapasach, do których wyzwaliśmy przeciwników z waszego powodu. Kiedy mieliśmy opuścić studnię oświadczyłem, że musimy się z wami rozstać. Odmówiliście, nie chcieliście odejść. Powiedziałem wam, że już nie będę was uważał za gości. Mimo to pozostaliście z nami. Kiedy tu jechaliśmy, kazałem wam zostać. Nie usłuchaliście. Musieliśmy was znosić, bo inaczej pojechalibyście do wrogów, by zdradzić, że czyhamy na Persa. A więc nie jechaliście z nami jako przyjaciele, lecz jako natrętne robactwo, którego się pozbywamy, kiedy staje się uciążliwe.

259

I teraz to zrobię. Co się tyczy "skarbu członków", to sprawę rozstrzygnięty pojedyński. Nie należy do was, boście go ukradli. Jeśli chcieliście go odzyskać, trzeba było go ukraść go po raz drugi, nie miałbym nic przeciwko temu. Była to wyłącznie wasza sprawa i należało się od nas odłączyć. 'Pdk samo ja miałem prawo go zdobyć. Podjąłem próbę i udało mi się, a wy nie macie prawa się sprzeciwić. Jest to dla nas dobrze zasłużone wynagrodzenie. A wy w swej nikczemności jesteście tak bezczelni, że rościecie sobie do niego prawo. Płacicie za moją dobroć wrogością, za moją gościnność niewdzięcznością, a więc obowiązkiem moim dla zachowania własnej godności jest zabezpieczyć

się przed wami. Wysyłając was do ziemi, uwolnię ludzkość od gromady lotrów, zdolnych do najgorszych przestępstw.

Był to dość dziwny wniosek wynikający z długiej przemowy. Nie rozległo się ani jedno słowo sprzeciwu. 'Pdkże Munedzi, który jako jedyny nie został nawet tknięty przez Beduinów, nie odzywał się. Jego oczy były szeroko otwarte, twarz skamieniała. Słyszał jak Ghani przyznał się do winy, słyszał co mówił szejk i wiedział teraz jak wygląda sprawa z Kens el Adha.

Skierowałem na niego wzrok i ujrzałem, że twarz jego nabiera życia. Wstał bardzo powoli, jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu.

-- Czy wolno mi mówić? -- zapytał.

-- Tbbie'1 'I~k. -- odparł szejk.

-- Słyszałem wszystko, co powiedziałeś. Proszę cię na Allacha, na wszystko co dla ciebie święte, powiedz mi prawdę. Czy moi towarzysze naprawdę skradli Kans el ~Adha w Meszhed Ali?

-- Tak.

-- Czy zastrzelony Pers miał rację?

-- Całkowitą.

-- Swoimi słowami sprawiasz mi największy ból, jaki może odczuwać mieszkaniec tej ziemi. A więc Ghani, jest nie tylko złodziejem, ale i mordercą?

-- Oczywiście, jednym i drugim. W ogóle, jeśli uważałeś go za

260

twojego "obrońcę", za człowieka dobrego, to usprawiedliwić tę omyłkę może tylko twoja ślepotą. Do niego, nie do effendiego powinieneś skierować słowa, jakie mu wówczas rzuciłeś w twarz.

-- **Więc ten effendi z Wadi Draa nie skłamał?**

-- **Nie. Wobec was zachował się nie do pojęcia dobrotliwie. Inny na jego miejscu zabiłby was bez litości.**

-- **O Allachu! Uratował mnie z grobu! Okazał mi miłość i współczucie! A ja, ja ... ja plunąłem mu w twarz! Co za grzech, co za niewdzięczność!**

Munedzi załamał ręce i wyglądał tak, jakby chciał ze wstydu zapaść się pod ziemię. 'Pdwil Ben Szahid odparł:

-- **Gdybym to ja był na jego miejscu, rozszarpałbym cię wtedy, kiedy splunąłeś mu w twarz.**

-- **Czy on tu jest`?**

--**'Idk. Leży o pięć kroków od ciebie.**

-- **Czy on widział wszystko, co się tutaj działo'? Czy słyszy, co teraz mówię`?**

-- **'Pdk! Skierował na ciebie wzrok.**

-- **Więc niech Allach ma litość nade mną! Co ja uczyniłem! Co ja uczyniłem!**

Po tym okrzyku starzec padł na ziemię, złożył ręce i ukrył twarz w dłoniach. Mogłem się cieszyć, że wtedy go oszczędziłem. Otrzymał właściwą odpowiedź na atak na mnie.

Szejk ciągnął dalej swoją przemowę do Ghaniego, ale ja nie słuchałem, moja uwaga skierowana była na szczyt diuny. Ujrzałem tam dwóch jeźdźców, potem trzeciego... Halefa, Karę i Omara Ben Sadeka. Na nasz widok szarpnęli do tyłu konie, wskutek czego ominęli niebezpieczne miejsc;e. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieli, w jakiej jestem sytuacji, potem zniknęli. Byłem pewien, że oc;aleję.

Sytuacja stawała się groźna dla szejka.

Ci trzej wyprzedzili I-Iaddedihnów i teraz zapewne naradzali się, czy czekać na pozostałych wojowników, czy nie. Niecierpliwy Halef, 261

na pewno był przeciwko czekaniu i po chwili ujrzałem ich znów.

Nadjechali, by Beni Khalidowi nie dać czasu do namysłu. Mimo stromizny pędzili tak, że obawiałem się o nich i o konie.

-- Allah! Allah! -- zawołał Ghani, który pierwszy ich zobaczył

,

chcąc zwrócić uwagę szejka. Ten szybko się odwrócił i ujrzał nadjeżdżających.

-- Haddedihi! -- krzyknął. -- Diabeł ich tu przywiódł. Ale się rozczarują!

'I-wil miał pistolet w prawej ręce, a strzelbę w lewej. Skierował na mnie pistolet i wystrzelił. Szarpnąłem się do góry, kula mnie ominęła.

'Iawil nie spostrzegł tego w swym wzburzeniu, wycelował w Halefa, który jechał przodem i wystrzelił. 'Pdkże i ta kula nie trafiła. Szejk podbiegł do strzelb mekkaficzików, leżących w moim pobliżu. Przy- puszczałem, że są naładowane, a między nim a moimi wybawcami była taka przestrzeź, że zanim by do niego dotarli, miał dość czasu, by oddać liczne strzały, działał bowiem błyskawicznie.

Szejk odwrócił się do mnie tyłem. Natężylem ręce i nogi i kilku mocnymi pchnięciami dotarłem do niego. Kiedy 'Idwil znów się wyprostował i składał do strzału, mimo więzów zdołałem chwycić go za nogę, szarpnąłem i runął na ziemię. Usiłując się podnieść, ujrzał, kto go przewrócił i tu popełnił błąd, gdyż przeoczył moment, który mógł

przeciwno mnie wykorzystać. Szarpnął mnie, chwycił lewą ręką za pierś, a drugą sięgnął po nóż.

-- Żyjesz ty psi synu! -- wrzasnął. -- A więc najpierw ciebie.

Pchnąłem go łokciem, tak że jego ramię się zgięło i opadł na mnie górną częścią ciała. Od razu chwyciłem go za gardło i tak ścisnąłem, że odjęło mu wszelką siłę. Głowa mu opadła, a ręce i nogi poruszały się kurczowo jak w agonii.

-- 'IYzymaj go sisi! Już jestem! -- zawołał Halef.

Podjechał do mnie, zeskoczył z konia i chwycił Pdwila.

-- Zwiążcie go -- powiedziałem.

-- Z rozkoszą! -- roześmiał się Halef.

262

'I~raz dołączyli Kara i Omar. Rozwiązali krępujące mnie sznury i związali nimi szejka. Dopiero kiedy mogłem się wyprostować i wyciągnąć ramiona, poczułem jak bolą mnie poranione przeguby rąk.

-- Na miłość Allacha! -- jęknął Halef, rozglądając się. -- Wszyscy żołnierze zabici!

-- A także Basz Nasir! -- powiedziałem wskazując na leżącego.

Leżał twarzą do ziemi. Halef podszedł do niego, wyciągnął na suche miejsce, obrócił go i zbadał.

-- Ciarki mnie przechodzą, sisi -- jęknął Hadzi. -- Czemu Khutab Aga cię nie posłuchał? Biedak, przesiąknięty jest krwią. Widzę dziurę w jego odzieży. Kula trafiła prosto w serce. Nie mogę na to patrzeć. Hadzi się odwrócił.

-- I to zastrzelony nie w walce, ale jako jeniec zamordowany przez Ghaniego -- wyjaśniłem.

Halef popatrzył na mnie w milczeniu, potem podszedł do mekkańczyka i powiedział:

-- Ty bestio! Tyk odwdzieczyłeś się jemu i nam za to, że okazaliśmy wam względy. Ty kulaż zabiłeś nie tylko jego, ale i samego siebie. Wkrótce będziesz takim samym trupem jak on.

Halef odwrócił się od niego z obrzydzeniem, spojrział na leżące dokoła trupy, pokręcił głową ze smutkiem i ciągnął dalej:

-- Po prostu trudno mi w to uwierzyć. Jak do tego doszło? Dwudziestu askarów nie żyje, a jest tu tylko szejk i mekkaficzycy, którzy w dodatku są związani. Nie rozumiem tego, jak wpadłem w szpony tego diabła, szejka Beni Khalidów. Opowiedz sidi.

-- Kiedy nadejdą nasi wojownicy? -- zapytałem.

-- Zaraz. Niewiele ich wyprzedziliśmy.

-- Więc poczekam z moim opowiadaniem, aż się tu zjawią. Niech Kara wejdzie na górę i zwróci ich uwagę na to osypujące się miejsce, bo inaczej przynajmniej pierwszym z nich przydarzy się to co mnie. Runąłem bowiem w dół razem z wielbłądem.

-- Ach! I dlatego mogli cię złapać.

263

-- 'Thk. Nie zdołałem pędzącej wielbłądzicy zatrzymać nad przepaścią.

-- A te lotry akurat tutaj były!

-- Prawdopodobnie postanowili się tu zasadzić właśnie ze względu na tę pułapkę.

-- Oni też runą i to z mostu śmierci do El Halak, przepaści zguby.

Bo chyba to zrozumiałe, że odtąd będziemy postępować z największą

surowością. Krew za krew, życie za życie! 'Idk jak tu leżą, zostaną zastrzeleni, a potem poszukamy Beni Khalidów. Co prawda jest nas tylko pięćdziesięciu, ale nawet gdyby ich było tysiąc, nie spocznę, dopóki za każdego zabitego żołnierza nie pozostaną na ziemi co najmniej dwa albo trzy trupy.

Nadjechali Haddedihni, wygląd ich wielbłądów świadczył, że zmuszono je do ogromnego pośpiechu. Najwięcej pocily się te, które niosły tachtirewan. Jazda ta była również bardzo uciążliwa dla Hanneh.

Na niej, na kobiecie, widok trupów wywarł zupełnie inne wrażenie niż na surowych mężczyznach, a jednak i wśród nich nie było chyba nikogo, kto by nie odczuwał potrzeby odwetu.

Gdy zsiadli z wielbłądów, ustawili się otaczając dokoła jeńców, by posłuchać mojej relacji. Nie wazyli się poruszyć ani odezwać słowem. 'Ihkze Munedzi milczał. Siedział wyprostowany z zamkniętymi oczami, jak nieżywy. Po ogromnym wzburzeniu, jakie przeżył, zapadł znów w stan otępienia.

Zanim rozpocząłem opowieść, posłałem jednego Haddedihna na wartę. Co prawda nie było powodu sądzić, że grozi nam niebezpieczeństwo, ale należało przypuszczać, że główny oddział Beni Khalidów znajduje się na zachodnim grzbiecie górskim, w pobliżu ktc5rego zawróciliśmy. Możliwe, że nas obserwowali. Ich szejk z małą gromadą podążył na północ, a że i my cofnęliśmy się w tym kierunku, sobie pomyśleć, że mamy zamiar iść ich śladem i że im zagrażamy. Byłoby z ich strony lekkomyślnością, gdyby nie wysłali za nami oddziału.

Moja opowieść wywoła liczne okrzyki podziwu i odrazy. Coraz bardziej rosło oburzenie na morderców, a kiedy skończyłem, z trudem można było powstrzymać dzielnych Haddedińców od natychmiastowego odwetu.

Podczas, gdy krzyżowały się głosy wzburzonych ludzi, zaszło coś, co było tak nadzwyczajne i niespodziewane, że jeszcze dziś, po latach, widzę wszystko bardzo wyraźnie przed oczami, jakby stało się to wczoraj.

Gwar głosów przerwał głośny, przeraźliwy krzyk. To krzyknęła Hanneh. Siedziała trupioblada, z szeroko otwartymi oczami i wskazywała w stronę, gdzie i my spojrzeliśmy. Rozległy się okrzyki przerażenia, potem nastąpiła cisza.

Godzina śmierci

1b co ujrzeliśmy, było dla nas przerażające. Khutab Aga, którego uważaliśmy za trupa, powolnym, chwiejnym krokiem szedł w naszą stronę. Wszyscy siedzieliśmy jak sparaliżowani, tak wielkie wrażenie wywarł na nas ten powrót zastrzelonego do życia.

Krok za krokiem, powoli, Khutab Aga zbliżał się z trupioblada twarzą, czasem unosząc głowę, otwierając usta i chwytając się ręką za serce, jak gdyby trudno mu było oddychać. Chwiał się przy każdym kroku. Zerwałem się by go wesprzeć, ale on uniósł ręce, powstrzymał mnie gestem i rzekł:

-- Zostaw! ... Ja ... idę... do... ciebie... ! Chcę.. usiąść..obok .. ciebie!

Brzmiało to głucho. Zatrzymałem się, aż stanął przy mnie i pochylił się, by usiąść. Stracił przy tym równowagę i byłby runął do przodu, gdybym go nie podtrzymał. Pomogłem mu usiąść. Nikt nie odezwał.

się słowem. Miałem na końcu języka tyle pytafi, ale się powstrzyma-
łem, bo czułem, że Pers nie życzy sobie, aby do niego przemawiano.

Miał w sobie coś obcego, upiornego, co nakazywało milczenie.

Kiedy mówił, poruszały mu się tylko wargi a wyraz oczu budził
przeżenie.

Szukałem miejsca, gdzie trafiła go kula. Znajdowało się dokładnie
w okolicy serca. Przecież musiał być martwy. A mimo to, choć odzież
była zakrwawiona, wydawało się, że nie wypływa z niego ani jedna

266

kropla krwi. 'I~raz zwrócił twarz do mnie i rzekł bezgłośnie:

-- Effendi, byłem tam!

-- Gdzie? -- zapytałem, ogarnięty przeżeniem.

-- 'Pam! 'Pdm, gdzie był Munedzi z Ben Nurem.

-- W wyobraźni?

-- Nie, naprawdę. Dopiero co stamtąd powróciłem. Zbudziłem się
i zobaczyłem, że leżę w kałuży krwi. Przypomniałem sobie, że mnie
zastrzelono i zastanawiałem się czy zmarłem, czy też jeszcze żyję.

Doszedłem do przekonania, że nie jestem już martwy, bo znowu
jestem tylko ja, ale nie sam, tylko z moim ciałem.

-- Nie rozumiem cię.

-- Może potrafisz mnie zrozumieć, kiedy umrzesz. Nie wiem, jak
mam to powiedzieć wyraźniej. Moje umieranie odbyło się tak...

Położył obie ręce na sercu, westchnął i powoli, z trudem mówił
dalej:

-- Widziałem, jak walczyłeś z Beni Khalidami, widziałem, jak Ghani
skierował na mnie swój pistolet i wystrzelił, słyszałem wystrzał i

poczułem, jak kula trafia~mnie w serce. Nie byłem już w ciele,,stałem obok jako dusza i widziałem was wszystkich, tę dolinę, oba wzniesienia, mekkańczyków, Beni Khalidów, a także ciebie, jak uw~olnileś sobie nogi i jak na powrót cię związano.

-- Widziałeś to wszystko? -- zapytałem zaskoczony.

-- Wszystko.

Co miałem o tym sądzi~? Strzał, który go powalił padł dużo wcześniej, zanim mnie związano. Jak więc mógł to wiedzieć? Czy można myśleć mając kulę w sercu?

-- 'Idk -- ciągnął dalej Aga -- stałem wśród was, widziałem moje martwe ciało. Umarłem jako człowiek, ale dusza pozostała żywa.

Przedtem nie obawiałem się śmierci, byłem odważny, spokojnie wystawilem pierś na strzał Ghaniego. Zaledwie jednak ciało moje stało się martwe, myśl, że umarłem nappełniła mnie zgrozą. Pomyślałem o murze z wieloma furtkami śmierci... Atlach, Allach, ledwie o nich

267

pomyślałem, już się tam znalazłem. Podczas, gdy na ziemi człowiek powoli zaczyna pojmować, ja od razu sobie uświadomiłem, że myśl i czyn, życzenie i rzeczywistość w tamtym życiu stanowią jedno. Ledwo

pomyślałem o miejscu sądu, już się tam znalazłem. A kiedy przypomniałem sobie El Mizan, wagę sprawiedliwości, już przed nią stałem.

1b, co Ben Nur pokazał Munedziem, było chyba widzeniem, bo w rzeczywistości wszystko dokonuje się z szybkością myśli. Tylko czas przed wagą wydaje się wieczny. Jeszcze w tej chwili ogarnia mnie przed nią zgroza.

Zatrząsł się na całym ciele, przy czym bladość jego twarzy stała się

przerażająca. Cóż miałem sądzić o nim i o tym, co powiedział? Poprosiłem go tylko:

-- Bardzo krwawiłeś, chyba jeszcze krwawisz. Pozwól mi obejrzeć ranę.

-- Poczekaj chwilę -- odparł. -- Krwawienie ustało. Nic mnie nie boli. Nie czuję niczego poza uciskiem, który mi utrudnia oddychanie. Powiedziano mi, że mam żyć dalej. 'Pak czy owak, chcę przede wszystkim uwolnić się od ciężaru, który z miazdzącą siłą położono na wadze sprawiedliwości.

Khutab Aga poprosił o wodę, wypił łyk i mówił dalej:

-- Chyba Munedzi widział prawdziwą wagę. Czy j uż słyszałeś kiedyś effendi, że w godzinie śmierci całe życie umierającego przesuwają się przed oczami'?

-- 'Pak. Często się tak twierdzi.

-- Tb jest potwornie prawdziwe! Kiedy pomyślałem o wadze sprawiedliwości, już przed nią stanąłem. Moja dusza zajęta była tylko sobą. Jej myśli, uczucia i czyny złączyły się w jedno. Nie istniało nic poza minionym życiem, które było tylko nią samą. Ona była sumą wszystkiego, co czyniła, myślała i czuła. '1'd świadomość~ nie dochodziła do mnie za pomocą oka, ucha, a jednak wiedziałem wszystko, ponieważ tym wszystkim byłem ja sam. Nie umiem wam tego powiedzieć ani opisać, brak mi słów. Przy wadze panowała jasność, dla której

268

słowo "przerażenie" to za mało. Wiedziałem, o każdym słowie, które w życiu powiedziałem, czy było pożyteczne, szkodliwe, czy obojętne. Ale określenie "obojętne" jest określeniem ziemskim, wobec wagi

sprawiedliwości nie istnieje nic obojętnego, bo żadna sylaba nie pozostaje bez skutku. Wiedziałem wszystko co uczynilem, bo niczego nie zapomniano. To co nazywamy zapomnieniem jest jedynie tymczasowym zniknięcie szczegółu z całości, który powraca, gdy całość się objawia. Istnieje mowa, w której mógłbym wam wytłumaczyć wszystko, co się ze mną stało pomiędzy wystrzałem a moim zbudzeniem się. Dlatego przedtem nie powinno się nic dziać, a ty, effendi, nie powinienes oglądać mojej rany, za nim nie opowiem wam o tym, tak jak potrafię najlepiej.

Aga kilkakrotnie odpoczywał. Milczeliśmy, bo każdy z nas miał uczucie, że głośne słowa zakłóca bieg jego myśli. Kiedy się skupił zaczął mówić dalej.

-- 'fi;go co nastąpiło nie potrafię opowiedzieć w odpowiedni sposób. Nie było właściwej wagi, bo tą wagą byłem ja sam. Ważony, waga i ważący to wszystko było połączone we mnie. Stałem przed sądem, a jednocześnie byłem oskarżycielem i sędzią. Każda myśl we mnie stała się głośna. Z nielicznych mogłem się cieszyć, niezliczone natomiast wprawiały mnie w drżenie. Okazało się, że każdy dźwięk, który wyszedł z moich ust, jest wieczny. Czego też ja nie powiedziałem! Ożyły też wszystkie moje czyny. Żaden nie znikł, bo one także tworzyły mój duchowy szkielet. Mogłem więc każdy z nich odezuć wedle ich wartości. Okazałem się tak trędowaty i pokryty wrzodami, że choć zostałem stworzony na obraz i podobieństwo Boże, musiałem w ogromnym strachu sobie uświadomić, że byłoby lepiej, gdybym się nie urodził.

~Pak mówiła waga. Moje istnienie dotyczyło tylko mnie, nie było we mnie miłości, a więc nie żyłem. To, co określałem jako życie, było

uscheregowaniem myśli, słów i czynów, które teraz musiały mnie po-
ciągnąć ku przepaści zniszczenia. Załamalem się ze strachu i jęcza-
łem: "Ach, gdybym miał w sobie więcej miłości! Gdybym mógł jeszcze
269

raz wrócić, jakże bym kochał i żył, jakże bym żył i kochał!" Zaledwie
to powiedziałem stało się dokoła mnie jasno, jasna postać znalazła się
przy mnie, ujęła mnie za rękę i udzieliła pociechy: "'I~voja modlitwa
została wysłuchana, ponieważ ostatnie dni twego życia były miłością,
nawet wobec wrogów. Żyj dalej, aby - kiedy tu się znów znajdziesz -
waga inaczej przemówiła niż teraz". Uszczęśliwiony tym miłosier-
dziem zapytałem: Czy ty może jesteś Ben Nurem, który był u nas w
ostatnim dniu mojego życia.?" Postać uśmiechnęła się dobrotliwie i
rzekła: "'Iii istnieje tylko miłość, która jest bezimienna. Jeśli jeden z
jej promieni nadał sobie imię, uczynił to tylko dla was". Podczas, gdy
postać mówiła jakaś nieznana siła przerzuciła nas przez most rozłąki.
Znalazłem się, trzymany przez nią za rękę, znów po tej stronie godziny
śmierci.

Ponieważ Aga urwał, zapytałem:

-- 'Ib chyba była chwila, kiedy się zbudziłeś?

-- Nie jeszcze nie wróciłem do mego ciała, lecz wraz z ową postacią
unosilem się w ogromnej przestrzeni, gdzie nie ma granic. Widziałem
światy, słońca, gwiazdy, ale widziałem je inaczej niż widać je z ziemi,
gdyż moje oczy były oczyma duszy. Widziałem, że wszystkie te światy
były zamieszkane, tak jak ziemia nosi na sobie rodzaj ludzki. Widzia-
łem, że wszystkie te dzieci światła były cudownie ukształtowane, a
jednak nie miały kształtu, lecz były... same sobą. Człowiek natomiast

nie jest sobą ani chwili, nigdy nie jest prawdziwy. Jak to się działo, że widziałem to tak wyraźnie, że tak łatwo to pojmowałem, tego nie umiem powiedzieć, ponieważ znów wróciłem do swego ciała. Oczy mojej duszy stały się mętne a wraz z nimi myśli. Postać anielska u mego boku rzekła: "Poznałeś okropność "wagi", nie zapomnij tego. Niech wszystkie darowane ci dni będą takie, jak twój ostatni, któremu zawdzięczaś powrót do życia. Zrozum, obroniła cię miłość~, bądź jej za to wdzięczny, uznając ją za jedyną władczynię twojego dalszego życia!" Nie wiem, czy widziałem jak znika, czy też to ja się oddaliłem od niej, nic nie widziałem, nic nie słyszałem, czułem tylko gniotący ból

270

serca. Potem, kiedy bojaźliwie nasłuchiwałem, usłyszałem wasze głosy i otworzyłem oczy. Leżałem w kałuży krwi i przypomniałem sobie to wszystko, o czym już nie myślałem. Usiłowałem wstać i udało mi się, mimo ucisku na piersi. 'I~raz ucisk trochę zelżał, czuję się lepiej. A ponieważ wszystko już wam powiedziałem, proszę cię, effendi, obejrzyj moją ranę.

Słuchałem go, z tak napiętą uwagą, że musiałem najpierw oprzytomnieć, by się nim zająć. Na moją prośbę położył się, rozpiąłem mu pas i koszule i ... nie mogłem powstrzymać głośnego okrzyku zdumienia. Nie było rany, pierś jego była nietknięta. Ujrzałem jedynie ciemną, nieregularną plamę, która wskazywała na ucisk lub uderzenie.. Co za cud! Jedynym możliwym wytłumaczeniem było to, że na piersi znajdował się przedmiot, który powstrzymał kulę. Sięgnąłem do odpiętego pasa i wymacałem w kieszeni czworokątny przedmiot. Wyjąłem go.

-- Czego tam szukasz? -- zapytał Basz Nasir zdziwiony. -- 'Ib jest moja Ara'bes szajir, którą mam zawsze przy sobie w torbie u siodła.

Dziś, kiedy czytałem to miejsce o miłości do wroga, włożyłem ją do kieszeni na piersi. Dlaczego tak uczynilem, nie wiem.

-- Ale ja wiem. Książka ta uratowała ci życie.

-- Co, uratowała życie`?

-- 'Pak, wstań i popatrz! Nie musisz leżeć bo nie jesteś ranny. Ból, który odczuwasz w piersi, to wszystko co pozostawił strzał.

Zapanowało ogólne zdumienie. Dżafar Mirza kazał podarawaną mu przeze mnie książkę oprawić w metal i dorobić srebną zakładkę. Książka leżała tak w kieszeni Basz Nasira, że strony początkowe były bliżej ciała i strzał trafił w spód okładki. Ponieważ okładka była cienka i nie stawiała zbytniego oporu, kula przeszła ją i tak daleko przebiła strony, aż powstrzymała ją zakładka. 'Ili;raz tam tkwiła, trochę splaszczona. Strzał nie miał wielkiej siły, strzelano z pistoletu starej konstrukcji. 'Pdk więc dzięki książce trafienie było nie dość silne. Bolesna była kontuzja, której Pers doznał dawniej.

271

Książka przechodziła z rąk do rąk, gdyż każdy chciał ją zobaczyć. Gdy dotarła do mnie zajrzałem na stronę, gdzie tkwiła zakładka. Co za zrzędzenie losu! Kula przebiła prawie całą książkę, podałem ją Persowi i poprosiłem, aby przeczytał w miejscu, gdzie powstało wcięcie od kuli.

-- To jest to samo miejsce, które dziś rano czytałem o miłości do nieprzyjaciół.

-- A czy widzisz, obok tych myśli małą dziurkę?

-- Prawdopodobnie od zagiętej zakładki.

-- Tak, ale dla mnie to coś więcej i dla ciebie powinno być czymś

więcej. Powiedziałeś mi, że przyszła ci dziś rano do głowy myśl, iż

byliśmy zbyt dobroduszni wobec naszych wrogów. A tu jest nakaz :

"Miłujcie nieprzyjacioly wasze!" Powiedziałeś też, że anioł życzył so-

bie, aby całe twoje dalsze życie, było takie jak ten ostani dzień.

--'1'dk, to były jego pożegnalne słowa.

-- A więc nakaz miłości wobec wroga dał ci tę książkę do ręki.

Posłuszny temu nakazowi, otworzyłeś książkę w tym właśnie miejscu

i włożyłeś zakładkę. Dokładnie dotąd trafiła kula. Tu na słowie "mi-

łość" straciła swoją moc. Czy to przypadek?

-- Allah! Allah! Nie, na pewno nie.

Wszyscy milczeli, nawet mój wymowny Halef. W ogólnym nastroju

było coś uroczystego, coś co zdarza się ogromnie rzadko. Człowiek

Wschodu jest bardzo wrażliwy na sprawy ponadmysłowe. Nie jestem

człowiekiem Wschodu i życie nauczyło mnie podchodzić do wszy-

stkiego, co wydaje mi się niewytłumaczalne, początkowo chłodno i

sceptycznie. Ale to c:osmy usłyszeli najpierw od Ben Nura, a teraz od

Persa, nie wydawało mi się urojeniem.

Co do naszych więźniów, oni także wszystko widzieli i słyszeli.

Zbudzenie się Persa, na pewno i w nich wywołało zdumienie, ale

żaden z nich się nie odezwał.

Munedzi siedział prry nich z zamkniętymi oczami, nie poruszał się,

a jeżeli zrobił jakiś gest, to tylko ruch palacza, chociaż nie miał w ręku

272

fajki. Co się z nim stanie zależało od jego mekkabskich towarz yszy.

W naszym obecnym położeniu Persowi mogłem doradzić tylko zimne okłady, które mu od czasu do czasu zmieniano. Był to w ogóle poważny człowiek, ale teraz jego powaga, jakby się podwoiła, a podczas naszego dalszego, wspólnego przebywania rzadko już ukazywał się uśmiech na jego twarzy.

W naradzie nad karą jaka miała spotkać winnych, brali oprócz mnie udział Halef, Kara, Pers, Omar Ben Sadek. Chodziło przede wszystkim o stwierdzenie, kto uczestniczył w walce przeciwko żołnierzom. Khutab Aga twierdził, że widział nie tylko Beni Khalidów, lecz że strzelali także mekkańczycy. By mieć pewność co do tego, Halef podszedł do nich i spytał Ghaniego:

-- Strzelałeś do żołnierzy?

-- Nie -- odparł zapytany.

-- A któryś z twoich towarzyszy?

-- Także nie. Po co mieliśmy brać udział w walce, było do~ć Beni Khalidów.

-- Nie wierzcie mu! -- zawołał szejka. -- Strzelał wielokrotnie.

-- Aha -- rzekł Halef. -- Jego syn także'I

--'Pak. Wszyscy oni strzelali. Ale teraz zaprzeczają, bo to tchórze.

-- To ty tak mówisz, by nie być jedynym, który zostanie ukarany.

Chcesz nas za sobą wciągnąć w nieszczęście! -- zawołał Ghani.

Szejka odpowiedział mu i tak wywiązała się sprzeczka, którą przerwałem, nakazując:

-- Zamilczcie! Zaraz się przekonam, kto mówi prawdę. Sprawdziłem ich strzelby. Wszystkie były naładowane, ale również niedawno ze wszystkich strzelano. By się upewnić skierowałem pytanie do

Ghaniego:

-- Wasze strzelby są jeszcze naładowane, to przemawia na waszą korzyść, bo walka była bardzo krótka, a gdybyście brali w niej udział, lufy byłyby puste. Czy tak jest?

--'Pdk, to prawda. Masz rację, effendi -- odparł Ghani.

273

-- Chyba ostatnio nie mieliście powodu do strzelania. Myślę, że nie.

Ghani dał się nabrać na mój ugodowy ton i potwierdził:

-- Nie mieliśmy, effendi! Nie polowaliśmy i w ogóle nie było okazji do strzelania.

--'Pakże podczas waszej wczorajszej drogi?

-- Nie. Widzisz więc, że jesteśmy niewinni.

-- Widzę raczej, że jesteście winni. Ze wszystkich waszych strzelb niedawno oddano strzały.

'I~raz szejk roześmiał się szyderczo i zawołał do niego:

-- Głupcze! Effendi chciał cię przyłapać na kłamstwie. To chytry diabeł, nie dorastasz mu do pięt, nawet gdybyś miał mózg stu takich samych lajdaków jak ty. Przyłapał cię i wyszło na moje. Powtarzam, że zastrzeliliście czterech albo pięciu żołnierzy. Daję słowo, że to prawda.

Ghani milczał. Usiedliśmy. Haddedihni słuchali, by nie uronić ani słówka. 'Ihkże Hanneh usiadła w pobliżu. Jej oczy promieniały dumą, jej syn po raz pierwszy zasiadałw dżemmie, "zgromadzeniu starszych". Ojciec był również bardzo dumny z tego. Sam Kara był poważny i pełen godności.

Pierwszy głos zabrał Halef. Obecność żony zawsze była dla niego

wielką podniętą, by wygłosić jedno ze swych słynnych przemówień.

Ominę początek i podam tylko zakończenie.

-- Wiecie jak chętnie przemawiam swoim batem, ale po tym co usłyszeliśmy od Khutab Agi, pragnę mniej niż dotąd robić z niego użytek, a tutaj, gdzie chodzi o śmierć wielu ludzi, a poza tym o wielką liczbę grzechów i przestępstw, tu w ogóle nie może być o tym mowy.

Dochodzenie jest zbędne, przestępstwo mamy przed oczami. W grę wchodzi tylko kara śmierci. Zasłużyli na to jak najbardziej. Przegląsujmy więc szybko. To co prawda tylko formalność, ale musi być dopełniona. 'Iwój wyrok sisi?

-- Chcę być ostatni -- odparłem.

-- Więc po kolei. Khutab Ago, siedzisz obok mnie. Powiedz; kara

274

śmierci, prawda?

Pers patrzył w dal, jakby stamtąd spodziewał się rady. Potem odparł:

-- Nie!

-- Co?... Nie kara śmierci? -- zawołał Halef zaskoczony.

-- Ułaskawiam ich. Niech sobie idą! Wiem, że nie powinni ujść~ karze, ale ja nie chcę być tym, który rozedrze nad nimi chustę.

Poznałem "wagę" i pragnę najpierw sam stać się lepszy, zanim będę osądzałinnych.

-- Nie mogę cię zmusić, pragnę tylko, byś tego nie pożałował. 'Il;raz ty, Omarze Ben Sadeku!

-- Głosuję za karą śmierci.

--'Il;raz ty, Kara Ben Halefie, mój synu -- ciągnął dalej Halef.

Kara zwrócił swój młodzieńczy szczerzy wzrok ku mnie, jakby szukając pomocy. Już jako chłopiec Kara twierdził, że postara się być taki jak ja. Byłem ciekaw jakie słowa padną z jego ust.

-- Ułaskawiam ich -- zabrzmiało łagodnie, ale stanowczo. -- Allachu! Ty także mój synu? -- zapytał Halef. -- Czy na pewno zastanowiłeś się nad tym poważnie?

-- Zastanowiłem się. Allach żąda miłości i dopóki żyję, będę ją dawał.

Uścisnąłem mu dłoń, a z miejsca gdzie siedziała jego matka, rozległ się głos aprobaty:

-- Kara, mój synu, jestem z ciebie dumna!

-- 'I~raz kolej na mnie -- oświadczył Halef. -- Głosuję za śmiercią i dodaję, że wyrok należy wykonać od razu, bo nie mamy czasu na długie bezowocne rozważania. 'II;raz jeszcze ty, effendi, jako ostatni. Są dwa głosy "za" i dwa głosy "przeciw". Od ciebie zależy rozstrzygnięcie. Czy mogę przedtem coś powiedzieć?

-- 'I'dk, ale krótko.

-- Rozumiem, że niebezpieczne jest pozostawienie bez kary czynów wołających o pomstę do nieba. Tego nawet Ben Nur nie powiedział

275

i także tego nie pragnął. Mówił o sędziach, którzy nawet w największych zbrodniarzach szukają człowieka, by udzielić mu łaski, ale żeby dwudziestokrotne morderstwo pozostawić bezkarne, żeby puścić wolno tych ludzi, wiedząc o ich niecznych zamiarach, które wobec nas mieli, tego nawet EI Mizan nie chce. Co się stanie, jeśli nie dostaną zasłuż.. nych kul? O~ljadą i znów będą na nas czyhać. A jeśli nie będą

mogli r~ic nam zrobić, będą żyli dalej na swój sposób i za wszystkie złe czyny jakie popełnią, my będziemy odpowiedzialni, kiedy w swoim czasie przejdziemy przez bramę śmierci. Staram się być dobrym człowiekiem, nie chcę jednak wskutek złych czynów innych ludzi zostać porwanym do przepaści zniszczenia. Zważ to sidi. Zważ to dobrze, zanim decydujące słowo padnie z twoich ust.

Hadzi w swoim życiu mówił dużo zbędnych słów, teraz jednak były to słowa słuszne. Przyznaję, że ja także miałem zamiar głosować za ulaskawieniem tych sześciu osób. Popelnili zbrodnię, ale mieli dla siebie usprawiedliwienie, bo należeli do narodu, który rabunek uznaje za rzemiosło rycerskie. Jednak poważne, bardzo uzasadnione zastrzeżenia Halefa należało wziąć pod uwagę. Zastanawiałem się. Niestety kara mogła być tylko jedna, kara śmierci. Gdyby nie ten warunek, to chyba znalazłaby się jakaś droga, by pokuta została odbyta bez przelewu krwi. Główni winowajcy to szejik i Ghani, jeśli oni... tak, właśnie o to chodzi. Właśnie w ten sposób mogłem tu zastosować karę, a tam łaskę. Ci dwaj mieli zostać ukarani, a pozostali ulaskawieni. Halef, który uznał, że za długo się zastanawiam, nalegał:

-- No jak, sidi?

Postanowiłem więc przemówić. Spostrzegłem, że stary Munedzi wstał i skierował w naszą stronę twarz z zamkniętymi oczami.

-- Moja decyzja jest taka -- rzekłem -- szejik Beni Khalidów i Abadillah el Waraka, zwany El Ghanim, mają ...

-- Aszdar...! Aszdar...! Aszdar...! -- krzyknął przerywając mi el Munedzi.

Mimo upału przeszły mnie ciarki. Nikt nie patrzył na mnie, oczy

wszystkich skierowane były na ślepcę, który stał z uniesionymi rękami, jakby chciał przestrzec nas przed wielkim niebezpieczeństwem.

-- Aszdar! Smok! -- rzekł Halef, spoglądając na mnie zaskoczony.

-- Powiedział to trzykrotnie. Czy wiesz, co to znaczy?

-- 'Idk, wiem -- odparłem.

-- Jeśli zagraża ci smok, Ben Nur trzykrotnie wykrzykuje słowo

"Aszdar". Ale jakie może być teraz niebezpieczeństwo? Nie widzę żadnego.

-- Ale ja widzę.

-- Gdzie?

-- Tu, w naszej dżemmie. Właśnie miałem podjąć decyzję, ale wydaje mi się, że musimy się wystrzegav przelewu krwi.

-- Posłuchaj sisi, nie wahaj się! Co nam może zaszkodzić, jeśli postąpimy sprawiedliwie?

-- Może to by~ niebezpieczeństwo dotyczące nas osobiście, może nie, to mało ważne. Rzeczą zasadniczą jest to, że zostałem ostrzeżony przed smokiem, którym jest brak miłości.

-- A może to ostrzeżenie wcale nie dotyczy wyroku, który mamy wydać?

-- Wedle mnie, dotyczy.

Ślepiec znów zaczął mówić. Niemożliwe, aby dotarło do niego 0

czym rozmawialiśmy, gdyż mówiliśmy półgłosem. Mimo to Munedzi zawołał do nas:

-- Tak, to dotyczy wyroku, nie sprzecajcie się. Istnieje wielkie prawo sprawiedliwości, które obok stawia także łaskę. Jeśli przemó-

wi laska, oznacza, że dokonała się sprawiedliwość. Zasedliście, by sądzić za przelaną krew. Który spośród was ma do tego prawo? Tylko jeden, a ten zdecydował się na słowo "laska". Jakim prawem, wy pozostali, chcecie mu uniemożliwić podjęcie decyzji zgodnej z wolą nieba? Nie ważcie się wtrącać do działania wyższej sprawiedliwości! Już podniosła ona pięść do wymierzonego dobrze uderzenia. Jeśli jej przeszkodzicie uderzenie trafi w was, więc cofnijcie się, jeszcze jest

277

czas! Usta, które mają do tego prawo, wypowiedziały słowo "laska", niech więc tak się stanie. 'I-go żądam od was!

Był to głos Ben Nura. Ślepiec usiadł i był tak obojętny jak dotąd, był jak narzędzie, które nie widzi skutków swego działania.

Halef odetchnął głęboko i spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

-- Sidi, słyszałeś?

Skinąłem głową.

-- I zrozumiałeś?

-- Myślę, że tak! Powiedz, Halefie, kogo ślepiec miał na myśli, mówiąc o tym, który jedynie ma prawo wydawać wyrok?

-- Khutab Agę.

-- 'Pak. 'Ib prawda. Czy żołnierze powinni nas obchodzić? Czy byliśmy ich wodzami, oficerami?

-- No nie.

-- Należeli do Khutab Agi, nie do nas.

-- Ale przybyli z nami, byli naszymi towarzyszami, a więc musimy ich pomścić. 'Pak brzmi prawo pustyni, wedle którego musimy tu sprawować sąd, sidi.

--'Pak, byli naszymi towarzyszami. Lecz Khutab Aga był ich władcą, dlatego jego decyzja jest ważniejsza od naszej. 'I~raz wiem już, co mam powoiedzieć.

-- No więc co?

-- Głosuję za ulaskawieniem.

Hadzi spuścił głowę, inni milczeli. Potem, kiedy Halef podniósł ją z powrotem, nie było widać na jego twarzy śladu rozczarowania, powiedział:

^ -- Prawdopodobnie postąpiłbym tak samo jak ty. Byłem za największą surowością, bo sądziłem, że jestem do tego zobowiązany. Ponieważ tak nie jest, niech się dzieje wola Khutab Agi. Ogłaszam dżemnę za zakoficzoną. Mordercy zostali ulaskawieni, ponieważ to nie my mamy pomścić śmierć żołnierzy. A grzechy tych łotrów popełnione wobec nas skreślimy z księgi zemsty.

278

Usłyszeli to Haddedihi. Nie było wśród nich ani jednego, który by choć najmniejszym gestem okazał, że nie zgadza się z tym nieoczekiwanym zakoficzeniem narady. Po pierwsze zabraniał im tego szacunek, jaki do nas żywili, po drugie, byli pod wrażeniem przemówienia Munedziego. Uważali go za jasnowidza, jak wskazywało jego imię, a groźba uniesionej pięści wywarła na nich szczególne wrażenie.

Przestępcy nie słyszeli naszej decyzji. Kiedy zobaczyli, że wstaliśmy, wzrok ich spoczął na nas w trwożnym oczekiwaniu. Halef sam chciał im oznajmić naszą decyzję.

Stanął przed Ghanim, przybrał najzyczliwszą minę i zapytał:

-- Mój drogi towarzyszu broni, jak myślisz, co postanowiliśrny z

tobą zrobić, ulubiecu wielkiego szarifa?

Zagadnięty spojrział badawczo. Nie wiedział co myśleć o promiennej życzliwości. Prawdopodobnie oznaczało ona szyderstwo, więc wolał nic nie odpowiadać. Halef ciągnął dalej:

-- Dlaczego nie chcesz mnie uszczęśliwić dźwiękiem twego głosu?

'Ihk mi do niego tęskno. A więc bądź tak dobry i przemów!

-- Nie kpij sobie ze mnie! -- wydusił mekkaficzek.

-- Kpić? Z ciebie? Co ty sobie wyobrażasz? Znam wszystkie reguły grzeczności i zawsze gorliwie staram się ich przestrzegać. Jesteś Szech el Hare, słynny władca całej dzielnicy Mekki, wiem zatem co ci jestem winien. 'Iliwoje stopy kroczą każdego dnia po największej świątyni proroka Mahometa, a spojrzenia tysięcy pobożnych pielgrzymów spoczywają na twojej dostojnej postaci. Jestem przepelniony czcią i podziwem dla ciebie, który jesteś niedościgłym wzorem dla wszystkich mających szczęście poruszać się w promieniach twoich niezliczonych cnót. Sądysz, że kpię z ciebie? Przeciwnie, napelnia mnie błogość, kiedy mogę ci oświadczyć, iż wolno ci się cieszyć z wyników naszej narady. Tiwarz mekkańczyka nabierała coraz bardziej głupiego wyrazu.

-- Cieszyć się?... Jak to?

-- Zebraliśmy wszystko, co przemawiało za tobą i przeciw tobie,

279

porównaliśmy i doszliśmy do wniosku, że jesteś niewinny.

-- Hadzi Halefie, postępujesz szkaradnie, twoje słowa są szyderstwem.

-- Mój przyjacielu, jak źle mnie znasz! Jakże boli mnie serce, bo

źle o mnie sądzisz!

-- Ale ... niewinny?

--'Ihk niewinny, jak nie jest winna żaba temu, że moknie w wodzie.

Jesteś nieskończenie czysty, wolny od wszelkich przywar.

Ghani wykrztusił:

-- Ale przecież strzelałem do Persa.

--'Pak. Ale powiedz, jaki był twój zamiar?

-- Chciałem go zabić.

-- Zgadza się. A czy on jest zabity?

-- Nie, żyje.

-- Czy to twoja wina, że on żyje?

-- Nie.

**-- Więc sprawa jest jasna. Bądź jeszcze tak uprzejmy i powiedz, czy
jesteś winien jego śmierci?**

-- Nie. Przecież nie jest martwy.

**-- No więc zastanów się? Nie jesteś winien jego śmierci i nie jesteś
winien, że on żyje, więc jesteś podwójnie niewinny.**

**Konsternacja Ghaniego osiągnęła szczyt. Nie wiedział, co ma po-
wiedzieć. By się nie ośmieszyć, wołał milczeć.**

Twarz Halefa promieniała. Ciągnął życzliwie dalej:

**-- A więc dowiedzione jest, że w ogóle nie zawiniłeś, toteż nie mamy
prawa zatrzymywać cię dłużej i proszę cię o laskawą zgodę, abym mógł
cię uwolnić.**

-- Allah! Allah!

**Ghani nie zdołał wydusić z siebie nic więcej;ej prócz tych słów. Halef
pochylił się i rozwiązał go. Stary grzesznik zenał się i zawołał uszczę-**

śliwiony:

-- Jestem wolny! Naprawdę wolny!

280

-- 'Idk, nie karzemy niewinnych.

-- A mój syn?

-- Też będzie wolny.

-- A inni moi towarzysze?

-- Również. Jeśli chcesz mi zrobić łaskę, sam ich uwolnij z więzów.

W ten sposób zdobędziesz ich wdzięczność.

Ghani nie czekał dłużej. Ukląkł i drżącymi rękami zabrał się do pracy. Kiedy jego ludzie mogli się poruszać, zapytał: -- Czy możemy odjechać?

-- 'Ihk -- powiedział Halef.

-- Ze wszystkim co do nas należy?

--'Pak, nie jesteśmy zbójcami.

-- A co z Kans el Adha?

Wówczas twarz Halefa nagte się zmieniła. Porwał zza pasa bat i zawołał groźnie:

-- Łotrze! Jeszcze jedno pytanie, a poszarpię cię na takie strzępy, że polecą aż do Mekki! Je~li nie wybijesz sobie z głowy Kans el Adha, to mimo całej naszej łaskawości doprowadzi cię to do zguby.

-- Wyrzekam się, wyrzekam się! Ale naszą broń możemy zabrać`?

-- 'Pak. Lecz nasze karabiny będą skierowane na was, dopóki nie znikniecie nam z oczu. I ostrzegam was, zrezygnujcie z dalszych niecnych planów! Od tej chwili najmniejsze kiwnięcie palcem przeciwko nam oznacza dla was śmierć. Więcej nie mam wam nic do

powiedzenia.

Już dawno zabraliśmy Kans el Adha i przekonaliśmy się, że nic tam nie brakuje. Mekkańczycy podnieśli ślepcę i poszli z nim do wielbłądów, on jakby duchowo nieobecny, pozwolił się prowadzić, nie wiedząc co się dzieje. Spieszyli się, aby czym prędzej dosiąść zwierząt, nie ufali nam bowiem. Ich przywódca zanim wsiadł, coś jeszcze sobie przypomniał. Podszedł szybko do Halefa i zapytał:

-- A jak wygląda sprawa z szejkiem Beni Khalidów?

-- Czemu o to pytasz?

281

-- Bo chciałbym wiedzieć co postanowiliście w jego sprawie.

-- Czy to ciebie obchodzi?

-- Nawet bardzo. Zasłużył na karę śmierci. Wicie równie dobrze jak ja, co przedsięwziął przeciwko nam i wam. Już z tego powodu należy go zgładzić. Poza tym, chciał nas tu wymordować, by wejść w posiadanie skarbu. Dlatego żądam, abyście bez litości go zabili. To największy łotr na świecie. Oszukał nas, swoich przyjaciół i nawet chciał nas zamordować. Musicie go zastrzelić.

Halef zawołał z gniewem:

-- Więc ty ośmielasz się sądzić, że zostaniemy katami, by wykonać twój rozkaz? Ty sam jesteś największym łotrem, jaki kiedykolwiek istniał. Jesteś nawet czymś więcej, bestią w ludzkim ciele! Okazaliśmy ci łaskę i miłosierdzie, inny podziękowałby za to Allachowi przysięgł w sercu, że zostanie odtąd lepszym człowiekiem. 'Ij~ natomiast za całą tę dobroć odpowiadasz nienawiścią i żądasz, by ukarać twego niedawnego pomocnika. Właściwie powinniśmy cofnąć nasze ulaskiewienie.

Przejmujesz mnie grozą, tak że mamy tylko jedno życzenie, żeby cię już nigdy nie ogląda~. Wynoś się, ale szybko!

Ghani słuchał Halefa z napięciem, wysysał, że tak powiem, każde słowo z jego ust. 'li;raz, gdy dowiedział się tego czego chciał, dał upust swej wściekłości.

-- Wydaje się, że chcecie go ulaskawić. 'I~n psi syn, ten zdrajca, ten morderca swoich gości ma ujść cało? A to dlaczego? Wiem dlaczego i powiem wam, z głupoty!

Roześmiał się szyderczo, pełnym pogardy ruchem uniósł ramiona i ciągnął dalej:

-- Muszę mówić, nawet gdyby kosztowało mnie to życie! Siedziałem przy was i musiałem słuchać waszych bredni. Z tą waszą miłością wyobrażacie sobie, że jesteście czymś wyższym i lepszym niż inni ludzie. Z powodu miłości mają się zmienić nagle mieszkaficy tego kraju, ich zwyczaje, myśli i czyny. Sądzicie, że za pomocą miłości uczynicie cuda, a kiedy bliżej się przyjrzeć tym cudom, to są to tylko

282

głupie chłopięce mrzonki, z których można się tylko śmiać. W tej waszej miłości zdajecie się sądzić, że będziemy wam wdzięczni za waszą dobroć. W imię Allacha żądam, abyście poniechali myśli, że w ten sposób mnie zmienicie. Pozostanę na zawsze taki jaki jestem!

Wzbudziliście we mnie tylko wstręt, nic poza tym. Popatrzcie na mnie, czy jestem inny niż wy wszyscy? Oto stoję przed wami! Nie obawiając się was, wyznałem wszystko co miałem na sercu. Teraz możecie mnie zastrzelić! Bo chyba macie jeszcze w sobie tyle siły, by nie chować się za tymi frazesami o miłości.

Wściekłość z jaką rozpoczął swoją mowę, rosła od słowa do słowa.

Twarz mu się wykrzywiła, usta pluły pogardą. Pobudzająca siła z jaką zaczął swoje wystąpienie, nie pochodziła z pewności siebie, ani z męskiej odwagi lecz z niepohamowanej wściekłości, że nie chcemy zemścić się na szejku. 'Ia wściekłość, której nie potrafił poskromić, świadczyła o jego słabości. Ten, kto uważnie obserwuje zachowania ludzkie, przekonał się, że ci, którzy w ten sposób wybuchają, są ludźmi słabymi i tchórzami. Prawdziwą odwagę cechuje spokój i opanowanie w każdej okoliczności.

Widok, tego wyprowadzonego z równowagi człowieka wzbudził we mnie niesmak. Haddedihi, groźnie tłoczyli się dookoła niego. Pers pozostał spokojny, ale patrzył ponuro przed siebie. Widziałem, że z trudem się hamuje. 'Ibteż zbliżyłem się do rozwścieczonego Ghaniego i rzekłem:

-- Czy naprawdę chcesz, byśmy cię zastrzelili'?

-- 'I-k! -- zawołał grzmiącym głosem.

-- Nie udawaj, znamy cię dobrze. Jesteś tchórzem, jakiego dotąd nie spotkałem. To, co okazujesz, to nie odwaga, lecz naczynie, w którym gotujesz zemstę na szejku. Przewróciło się teraz i kipi, dymi i śmierdzi. To co myślisz, o naszym postępowaniu, jest nam obojętne. Nie może nas to dotknąć. Zachwujesz się gorzej niż chłopiec, niż niedoświadczony młodzieniec. Pozwalamy ci odejść, a na drogę dajemy nasze współczucie. Idź stąd!

283

Ogień jego wściekłości jeszcze się nie wypalił, jego postawa nie miała już w sobie tyle arogancji co przedtem, ale usłyszawszy słowo

"współczucie", znów się rozzłościł.

-- Zatrzymajcie swoje współczucie dla siebie! A, że potrzebujecie go wiele, zostawiam wam również moje własne. Wasza "miłość" tak mnie ogromnie bawi, że kiedykolwiek o niej pomyślę, będę płakał ze śmiechu!

-- Śmieję się! Ale dam ci na drogę dobrą radę! Uważaj, by te łzy śmiechu nie przemieniły się w łzy rozpacz. Miłość, która cię teraz tak bawi, nie zawsze się uśmiecha. Zamieszkuje ona w każdym człowieku, także w tobie. Trzymaj się mocno i nie śmieję się z niej, bo może się od ciebie odwrócić, a wtedy koniec ze śmiechem!

Ghani wyciągnął do mnie rękę wewnętrzną stroną dłoni do góry, potem szybko ją przekręcił. Wśród Beduinów oznacza to pogardę.

Potem szybko zawołał szyderczo:

-- Nie chcę nic o niej wiedzieć! Nienawidzę jej! Niechaj się ode mnie odwróci! Ja mocno trzymam się zemsty. Ponieważ Beni Khali-dowie już mi nie pomogą, jestem teraz za słaby wobec was, ale biada wam, kiedy pr~będziecie do Mekki! Jak tylko przekroczycie bramy świętego miasta, uczynicie pierwszy krok ku waszej zgubie. Przy sięgam wam to na Allacha i na Proroka!

Podniósł rękę do przysięgi, odwrócił się i odszedł.

Ujrzeliśmy, że Munedziego przywiązano do siodła, środek ostrożności niezbędny przy jego dziwnym stanie. Wydawało się, że tego nie zauważył, lecz kiedy jego wielbłąd ruszył, zwrócił do nas twarz, oczy miał zamknięte i zawołał głosem Ben Nura:

-- Żegnajcie na krótko. Aszdar daremnie na was czyhał. Teraz pożre własne dzieci. Uśmiech miłości znikł, teraz będzie surowa i ...

Nic więcej nie usłyszeliśmy, Ghani uderzył ślepeca, który zamilkł.

Halef powiedział, że nasze strzelby będą skierowane na odjeżdżających, ponieważ było możliwe, że któremuś z nich mogłoby przyjść do głowy strzelić do nas. Byli jednak rozsądni i że nie próbowali. Nie

284

interesowało nas dokąd pojechali, lecz jeśli słowa Ben Nura, miały się spełnić, jak to było dotychczas, to na pewno znowu się z nimi spotkamy. Halef zwrócił się teraz do szejka 'Pdwiła Ben Szahida. 'Ieiarz jego znowu przybrała wyraz życzliwy, a głos jego brzmiał, jak głos przyjaciela, kiedy powiedział:

-- Może sądziłeś, że o tobie zapomniałem. Wybacz. Czulem się zobowiązany opromienić mojego drogiego, starego Ghaniego swoją przyjaźnią. Chyba słyszałeś, co mu powiedziałem? Proszę odpowiedz. Szejk starał się, by na jego twarzy nie malowały się ani nadzieja ani obawa. Odpowiedział możliwie obojętnie.

-- Wszystko słyszałem.

-- Czego to sobie ten ulubieniec wielkiego szarifa nie wyobraża.

Mamy zamiast niego zostać twoimi katami. I co ty na to?

-- Mielście rację, że się nie zgodziliście.

-- No tak. To prawda, że zostaniesz rozstrzelany, ale Ghani nie musi tego wiedzieć. Robimy to dla siebie samych.

-- Rozstrzelacie`I Mnie?

--'Ihk, ciebie. Kogóż by innego`1

-- Myślałem... myślałem...

-- Proszę cię, odzwyczaj się od tego zbędnego myślenia.

-- Ale to ty chcesz ze mną rozmawiać!

-- No owszem.

-- Więc muszę odpowiadać.

-- Nawet bardzo sobie tego życzę.

-- Ale nie dajesz mi dojść do słowa.

-- Nie'? Pociesz się! Bo jeśli nie teraz od razu, będziesz to mógł zrobić w ciągu dzisiejszego dnia, najpóźniej jutro.

-- No więc mów wreszcie, co chcecie ze mną zrobić'1

-- Zabierzemy cię do Mekki, by przekazać paszy.

Szejk wyraźnie przeraził się, milezał przez chwilę, potem rzekł:

-- 'Ib byłby szatafiski pomysł! Zostałbym powieszony, a następnie podjęto by jako zemstę wyprawę przeciwko mojemu plemieniu.

285

-- Owszem pasza tak by postąpił. Pomyśl tylko, jakie to byłoby dobre dla Beni Khalidów! Mogliby dowieść jacy są odważni! Bo, mówiąc między nami, dotąd tego nie zauważyliśmy.

-- Hadzi Halefie, igrasz ze mną!

-- Jak lew z myszą. Lew jest jednak wielkoduszny i zdradzę ci, że nie zabierzemy cię do Mekki.

-- No więc powiedz wreszcie co ze mną zrobicie!

-- Rozstrzelamy cię.

-- Nie jestem bardziej winny niż mekkańscy, a ich puściliście wolno. Czy macie podwójne miary?

-- Nie. Ale jeśli przyłożymy miarę, zrobimy to, co uważamy za słuszne. Powiedz szczerze, zasłużyłeś na śmierć?

--Według prawa pustyni, tak.

-- Popatrz, popatrz, ładnie, że to przyznajesz.

-- Ale pomyśl o moich Beni Khalidach. Jeśli mnie rozstrzelacie zemszczą się na was.

-- Dość często nam tym grozisz, jak dotąd bez skutku. Zresztą skąd nam wiedzieć, że tam są? Przecież, pomijając tych, z którymi tu przybyłeś, pozostali są o cztery godziny drogi od studni, na wzniesieniu.

-- By tam na was czekać. Ponieważ, jak teraz słyszę, byliście tam i znów wróciliście, więc pojechali za wami. Ale nie miałem na myśli tego dużego oddziału, tylko mały, który posłałem stąd do studni.

-- 'Pdk, bo nie chciałeś się dzielić skarbem ze zbyt wieloma. --

Ponieważ moja główna grupa wróciła, spotkała mniejszą przy studni i połączyły się. Zwracam ci uwagę na to niebezpieczeństwo.

--'Ib bardzo miło z twojej strony, dziękuję ci przyjacielu.

-- Nie kpij sobie.

-- Jeśli sądzisz, że kpię, to musisz też wiedzieć, że się nie boimy. Co powiesz na pomysł, który mi przyszedł do głowy, rozstrzelamy cię i nie pojedziemy do studni, gdzie znajdują się twoi ludzie. Wcale nie jest konieczne, byśmy się im naprzykrzali naszą obecnością.

286

'I~raz szejk nie mógł opanować swego gniewu. Krzyknął z wściekłością do Halefa:

-- Łotry! Zapewne już zapomnieliście, co stary Munedzi powiedział o łasce.

-- Więc prosisz o łaskę?

-- Prosić? Nie! Żądam jej!

Halef szybko przybrał surowy wyraz twarzy i ostrzegł:

-- Szejku 'Idwila Ben Szahidzie, ton, jakim przemawiasz, nie podoba mi się. Posłuchaj co ci powiem!

Przywołał jednego z Haddedihnów i rozkazał mu:

-- Wycelujesz teraz w serce tego mordercy, który sądzi, że należy mu się łaska. Kiedy podniosę rękę, strzelisz!

Po czym zwrócił się znów do 'Idwila:

-- Widzisz skutki swego zachowania. Daję ci dwie minuty. Jeśli do tego czasu nie przemówisz, podniosę rękę.

Zapanowała głęboka cisza oczekiwania. Połowa czasu upłynęła, potem groźba poskutkowała.

-- Zabierzcie strzelbę -- poprosił szejk.

-- Chcesz łaski?

-- Tak.

-- Chcenie to jeszcze nie prośba.

-- Oby was Allach zniszczył! A więc niech będzie, proszę o łaskę.

Halef się teraz roześmiał.

-- No dobrze szejku Beni Khalidów! Ale mimo to powiem ci, że nie dałbym znaku. Postanowiliśmy bowiem, że i ciebie puścimy wolno.

Chciałem tylko usłyszeć, jak to brzmi, kiedy szejk prosi o łaskę.

'Idwil nic nie odpowiedział. Kiedy go uwolniono z więzów, wstał, podszedł do miejsca, gdzie leżała jego strzelba, podniósł ją. Podszedł do swego wielbłąda, usiadł w siodle, dał znak, żeby zwierzę się podniosło i odjechał. W milczeniu spoglądaliśmy w ślad za nim. Kiedy dojechał do podnóża diuny i miał zakręcić, by zniknąć nam z oczu, zawrócił nagle i szybko pocwałował z powrotem. Zatrzymał się przed

nami, zmierzył nas dumnym, okrutnym wzrokiem i rzekł:

-- Pomiedzy mną a wami istnieje tylko zemsta. Przysięgam na

Allacha i na świętą Kaabę. Pustynia, która rozciąga się dokoła nas,

będzie naszym sędzią. Albo wy na niej pozostaniecie, albo ja. Was jest

pięćdziesięciu, ja jestem sam, ale w oczach zemsty jestem taki sam jak

wy. Wyzywam pustynię, aby otwarła się albo przed wami, albo przede

mną. Od tej chwili ziele między nami grób. Ten, na którego przysię-

gałem, zdecyduje, kogo z nas ów grób pochłonie.

Wyrzuciwszy to z siebie zawrócił gwałtownie wielbłąda i odjechał,

już się nie oglądając.

Równie mileząco jak przedtem patrzyliśmy w ślad za nim. Taka

przysięga to dziwna rzecz. Nie potrafiłbym przerwać milczenia, które

teraz nastąpiło, jakimś banalnym słowem. Działo się tak nie tylko ze

mną. Kilku Haddedihnów zatroszczyło się o ranne wielbłądy żołnie-

rzy, reszta robiła to co należało, przy zabitych wojownikach. Wszystko

to działo się w ciszy, nie słyhać było głośnego słowa. Milczenie miało

swój ważki powód. 'Pam, gdzie pojawia się śmierć, wraz z nią narasta

owa pobożna nieśmiałość, owo przerażenie, którego przyczyny tak

nie wielu ludzi sobie uświadamia. A przecież to jest takie proste!

Człowiekowi, póki żyje, wydaje się, że jest panem samego siebie.

Może robić co chce, na co ma ochotę, może wierzyć lub wątpić, może

być dobry, albo zły, jak sam zdecyduje. I oto nagle wyciąga się do niego

ręka śmierci i wszystko milknie. Jakiś respekt tłumi twój krok i twój

głos. Tak samo zachowujesz się w pokoju, gdzie leży umarły. Czy o

tym wiesz, czy nie, wkroczyłeś na miejsce wiecznego sądu, który

zaczyna się z chwilą śmierci. Działa tu niewidoczny sędzia, nie widzisz

go, a jednak zachowujesz się jak najciszej. To respekt, jaki odczuwa nie c:alkiem zepsuty człowiek w pobliżu zmarłego i nie może się przed tym obronić.

Mieliśmy tu dwadzieścia trupów. Przygotowano dla nich wspólną, głęboką mogiłę. 'l~m ich złożyliśmy, jednego obok drugiego. Kiedy odmówiliśmy nad nimi modlitwę, położyliśmy im na twarze dywany

288

modlitewne i zasypaliśmy grób. Podczas tego pochówku Khutab Aga cicho płakał. Wówczas niejeden z nas zadawał sobie pytanie, czy nie postąpiliśmy zbyt łagodnie z mordercami i postanowił być surowym, jeśli znów się z nimi kiedyś zetkniemy. A że to nastąpi, sam szejk Beni Khalidów nam obiecał.

Gdy mogliśmy już opuścić to miejsce, było późne popołudnie. Ale dokąd teraz? Daleko dziś nie zajedziemy. Na szczęście byliśmy zaopatrzeni w wodę, więc postanowiliśmy odbyć długą drogę wzdłuż diun, którą przebyliśmy już po raz trzeci, a następnie przenocować w dolinie między ostatnią a przedostatnią diuną. Poza tym doliny najłatwiej było strzec za pomocą nielicznych posterunków i zapewnić jej najlepszą ochronę. Jutro rano zastanowimy się co robić dalej.

Drogę przebyliśmy powoli i dotarliśmy do miejsca postoju, kiedy właśnie zapadał zmrok. Doliny znakomicie nadawała się na obozowisko. Wzniesienia, między którymi była położona, łączyły się z jednej strony, a po drugiej stronie przebiegały tak blisko siebie, że wystarczył jeden posterunek, by pilnować dojścia.

Haddedihni musieli się także opiekować wielbłędami żołnierzy, a więc mieli, aż nadto roboty. Co do Persa, nie mógł myśleć o powrocie

do Meszhed Ali sam jeden. Musiał zosta~ z nami, dopóki nie natrafi-
my na jeden z głównych szlaków karawan, gdzie mógłby się do kogoś
przyłączyć. Był niezwykle milczący i nie brał udziału w naszych roz-
mowach. Jeśli zwrócono się do niego z pytaniem, odpowiadał możli-
wie najzwięźlejš, często jednym słowem. Zapytałem go o powód tego
milczenia.

-- Moi askarowie -- westchnął. -- Wciąż o nich myślę.

-- Ja także, ale czy możesz coś zmienić, w tym co się stało'? -- Nie.

Ale ciebie nie powinno to dręczyć.

-- Dlaczego tak sądzisz?

-- Bo to ja jestem winien ich śmierci. Dwadzieścia dusz, które
nieprzygotowane staną przed wagą sprawiedliwości. Id myśl ogrom-
nie mnie gnębi.

10 - Most śmierci 289

-- Dlaczego to twoja wina?

-- Bo nie zwróciłem uwagi na twoje ostrzeżenie i twoją radę.

Powiedziałeś, że bym natychmiast wracał, a ja mimo to zostałem.

Gdybyśmy odjechali zaraz po walce, Beni Khalidowie nie mieliby
czasu zrobić zasadzki. A więc ja jestem temu winien. Ostrzegaleś mnie
kilkakrotnie, a ja nie zwracałem uwagi na to. Jakże ciężkim brzemie-
niem spadnie to kiedyś na mnie, kiedy nadejdzie czas obrachunku.

Wyrzuty, jakie Pers sobie robił, nie były bezpodstawne, ale powie-
działem mu, co tylko mogłem, by ulżyć jego sercu. Niewiele jednak
wskórałem.

Umieściliśmy wielbłądy w tyle, gdzie oba wzniesienia się łączyły.

'Ihm nie był potrzebny specjalny wartownik. Dla naszego bezpieczeń-

stwa wystawiliśmy trzy posterunki, dwa na położonych przed nami i za nami wzniesieniach, a trzeci na prawo od wspomnianej przełęczy. Wydawało się więc, że żadne zaskoczenie nie jest możliwe i z tym uczuciem wcześniej ułożyliśmy się do snu. Chcieliśmy dobrze wypocząć, ponieważ po groźbie szejka 'Ihwila, należało się liczyć z tym, że jutrzejszy dzień, może być uciążliwy i niebezpieczny. 'I~n człowiek zrobi wszystko, by jak najprędzej dotrzymać przysięgi.

Mieliśmy nad sobą cudowne, rozgwieżdżone niebo, było bardzo jasno, tak więc nasze posterunki musiałyby być ślepe, albo niedbale, gdyby umożliwiły Beni Khalidom napad. W ogóle miejsce, w którym się znajdowaliśmy, prawdopodobnie nie było im wcale znane.

Pustynia nas rozsądzi

Spałem mocno, dopóki nie zbudziło mnie wołanie. Nie zdążyłem otworzyć oczu, kiedy z ust Haddediń wydobył się z wielokrotnionym okrzykiem. Chciałem się zerwać, ale nie mogłem, bo rzuciły się na mnie cztery postacie i ze wszystkich sił starały się mnie unieruchomić. Sen od razu mnie opuścił. Dokoła roilo się od Beduinów. Było ich tak wielu, że wszelki opór byłby po prostu szaleństwem i zaprowadziłby nas do zguby. Tę też zawołałem na cały głos:

-- Poddajcie się Haddedi! Ja, Akil Szatir effendi wam to mówię.

Ja się poddam.

-- I ja -- rozległ się na to głos Halefa. -- Nie brońcie się. Nakazuję wam.

Po tych słowach pozwoliłem się związać. Jeszcze jakiś czas dokoła panował tumult, potem wszystko ucichło. Leżeliśmy wszyscy razem, a nasi zwycięzcy usiedli tak, że mieli nas w środku. Teraz, kiedy bez

przeszkód mogłem się rozejrzeć, zobaczyłem, że przy tachtirewanie, który znajdował się trochę na uboczu, stało trzech Beduinów, którzy go chronili. Był to gest, jakiego nie spodziewałem się po Beni Khali-dach, a zwłaszcza po ich szejku.

Podszedł do nas jakiś człowiek:

-- Który z was jest szejkiem Haddedińców?

291

-- Ja nim jestem -- odparł Halef.

-- A który z was jest obcym effendim?

-- Ja -- rzekłem.

Głos jego brzmiał inaczej, niż głos Ihwila Ben Szahida. Ciągnął dalej:

-- Który z was jest Basz Nasirem z Meshed Ali?

-- Th leżę 1 -- zawołał Pers.

-- Posłuchajcie, jeśli wy trzej dacie mi słowo honoru, że bez mojego zezwolenia, nic nie uczynicie, każę was rozwiązać. Odpowiedzcie!

Dziwne, to nie był głos Tawila i nie była to jego postać. Kim więc jest ten człowiek? Kiedy zadawałem sobie to pytanie, przypomniał mi się zwiadowca, który nie dawno był u studni.

-- Mów ty pierwszy, sisi -- odezwał się Halef.

-- Daję ci moje słowo honoru -- odparłem -- ale tylko na tak długo, dopóki będziemy na tym miejscu. Na dłużej nie możemy się zobowiązać, ponieważ nie wiemy kim są ludzie, którzy napadli na nas i jakie mają zamiary.

-- Dobrze. Ja także daję słowo honoru, ale na czas, jaki podał effendi -- oświadczył Halef.

Pers poszedł za naszym przykładem.

-- Ja także.

-- Tb mi wystarczy -- rzekł przywódca. -- Rozwiążcie tych trzech mężczyzn.

Jego rozkaz wykonano, a on stał przed nami nieruchomo. Kiedy mogliśmy się już usiąść, usiadł naprzeciwko nas i oświadczył:

-- Jestem Abd el Darak, szejk Beni Lamów.

Przerwał na chwilę, by jego słowa zrobiły na nas odpowiednie wrażenie i nie zawiódł się. A zatem nie mieliśmy do czynienia z Beni Khalidami. Tylko czy nie wpadliśmy z deszczu pod rynnę? Beni Khalidów znaliśmy, Beni Lamów, jeszcze nie. Ale fakt, że właśnie nam, przywódcom, zdjęto więzy, pozwalał sądzić, że nasze położenie, nie może być takie złe. Tych Beni Lamów było tutaj tak dużo, że będąc u

292

nich, byliśmy całkowicie bezpieczni przed ich wrogami, Beni Khalidami. Zresztą Abd el Darak miał zamiar teraz z nami rozmawiać, a więc okaże się, jaki miał cel, urządzając na nas napad.

-- Nie mieliście pojęcia, że w pobliżu studni Hilu znajduje się taka gromada Beni Lamów -- zaczął Abd el Darak.

-- O tak -- odparłem.

-- A więc jest tak, jak myślałem. Czy ten Tawil Ben Szahid powiedział wam, że chce na nas napaść?

--'Pdk.

-- Posłałem do studni dwóch zwiadowców, którzy z wami rozmawiali. Myśleliście, że to kto?

-- Że to twoi zwiadowcy.

-- Czemu nie powiedzieliście im nic o Beni Khalidach, na których moglibyście się w ten sposób nie tylko zemścić, ale także od nich uwolnić?

-- Jesteśmy uczciwymi wojownikami, postępujemy wedle zasady, że Allah pragnie pokoju, a nie wojny między swymi dziećmi. I~raz znajdujemy się jako pielgrzymi w drodze do Mekki, świętego miasta i jako tacy jesteśmy zobowiązani kierować się przyjaźnią.

-- 'Pdk -- rzekł Abd el Darak w zadumie -- ty w ogóle jesteś Adb el Musalaha.

-- Dlaczego nazywasz mnie sługą pojednania? I czy wolno zapytaE
,
co przekazali ci twoi ludzie?

-- Przede wszystkim moi zwiadowcy... Bardzo mi się spodobało, że nie zdradziliście swoich wrogów. Powiadam wam, gdybyście to uczynili, spotkałby was taki sam los jak ich, bo zdrajca to śmierdzący wilk, którego należy zniszczyć.

Halef potracił mnie łokciem. Wiedziałem, co miał na myśli. Robił mi wyrzuty, a teraz rozumiał jak słuszne było moje milczenie.

Abd el Darak ciągnął dalej:

-- Szejk Beni Khalidów sądził, że zaatakuje nas zniemacka, lecz Allah chroni dobrych ludzi, a złym zaciemnia wzrok. On to sprawił,

293

że zawczasu dowiedziałem się o zamiarach wroga. Uzbroilem moich wojowników na spotkanie Beni Khalidów, by rozstrzygnąć spór między nami a nimi na pustyni, nie niszcząc przy tym domostw spokojnych ludzi. Moi zwiadowcy stali z daleka i nasłuchiwali. Dowiedzia-

lem się, że ruszyli na południe i pojechalem za nimi. Oni stamtąd wrócili, ale zostawili na miejscu w charakterze obserwatora jednego człowieka, którego ujęliśmy. Musiał nam wszystko powiedzieć, co wydarzyło się przy studni. 'Ihk więc dowiedzieliśmy się o was, o Kans el Adha, o złodziejach skarbu i o walce o ten skarb. Skarb ma wielką wartość, postanowiłem go zdobyć i napaść na was. Dlatego kazalem was obserwować tak, że nie mieliście o tym pojęcia. 'Pdkże Beni Khalidowie nic nie spostrzegli.

-- Na miłość boską! -- zawołał Pers -- więc znowu mam óddać Kans el Adha!

-- Nie, nie musisz -- zaśmiał się szejka, ale był to śmiech przyjazny.

-- Już go mamy.

-- Rzeczywiście paczka zniknęła.

-- Leży teraz przy tachtirewanie i wraz z haremem szejka Hadde-dihnów jest dobrze strzeżony.

-- Zatrzymacie go?

Szejka udawał, że nie dosłyszał pytania i mówił dalej:

-- Abadilah el Waraka, którego nazywacie El Ghanim, wyruszył przed kilkoma miesiącami w drogę z Mekki do Meszhed Ali. Podczas tej podróży przybył do Oneiseh, dużego miasta. Był z nim jego syn, trzech inni towarzysze i stary człowiek, którego nazywają El Munedzim, ponieważ ma dar jasnowidzenia. 'I~n Munedzi obcuje z aniołem, zwanym Ben Nurem, który odkrywa przed nim wszystkie tajemnice życia. Dlatego też wszystko co mówi Munedzi, jest prawdą. Musi on być bardzo bogaty, bo przybywają do niego tysiące pielgrzymów i nie odchodzą, nie pozostawiając mu darów wdzięczności. W tym samym

czasie był w Oneiseh młody wojownik z naszego plemienia, w celu zakupienie ołowiu i prochu. Nazywał się Ibn Kurban, co znaczy Syn

294

Ońary i był jedynym synem Abu Kurbana, Ojca Ofiary, najbogatszego człowieka z naszego plemienia. Miał on na palcach diamentowe pierścienie, a jego brofi wysadzana była drogimi kamieniami. Kiedy opuścił miasto wraz z trzema towarzyszami, przyłączył się do nich Ghani, ponieważ przez jakiś czas mieli wspólną drogę. Ale oni nie powrócili. Abu Kurban pojechał do Oneiseh, by się czegoś dowiedzieć. Usłyszał, że wędrowcy przybyli razem z Ghanim. Ich droga prowadziła do El Kasab. Pojechał tam i dowiedział się, że ani jego syn, ani Ghani tam nie byli, ale był jakiś młody człowiek z trzema starymi ludźmi, którzy sprzedali trzy wielbłądy pod siodło, cztery juczne, dużo prochu a także broni, na której zostały ślady po drogich kamieniach. Broń tę oraz dwa wielbłądy handlarz jeszcze posiadał i Abu Kurban przekonał się, że należały do jego syna. Kim byli ci czterej obcy nie wiadano. Młodszy mężczyzna musiałco prawda podać swoje imię, ale przypuszczalnie podał fałszywe. Handlarz zapamiętał tylko, że ten człowiek, miał jedną brew wąską, a jedną krzaczastą. Nic więcej nie umiał powiedzieć. Stwierdzono, że tych czterech Beni Lamów zamordowano. Kim byli mordercy, można było tylko przypuszczać, ale nie można było tego dowieść, dopóki nie pokaże się ich osobom z El Kasab.

-- O nie -- rzekł Halef. -- Nie musicie tak długo czekać. Ja już teraz wiem, kim oni byli.

-- Kim? -- zapytał szejk.

-- Syn Ghaniego ma takie brwi. Różnią się one od siebie tak bardzo, że od razu zwróciłem na to uwagę. 'I~ lotry skradły Kans el Adha, więc prawdopodobnie dokonali i morderstwa rabunkowego. Sami pojechali do El Kasab, Ghani z Munedżim tymczasem czekali, bo gdyby ci dwaj się również tam udali, ułatwiłoby to bardzo wykrycie zbrodni. Ci mekkańczycy odjechali od nas wczoraj po południu. Nie mogą być zbyt daleko, jeśli się pospieszysz, na pewno ich jeszcze dogonisz. Szejk zawołał coś do jednego ze swoich ludzi, na co ten oddalił się w prawo, gdzie w wąskim przejściu stał nasz wartownik. Kiedy 6w Ben

295

Lama odszedł, szejk rzekł:

-- Coś wam pokażę, ale musicie trochę poczekać. 'Tymczasem odpowiem wam na wasze pytanie, które na pewno macie na ustach, mianowicie, jak to było możliwe, żeśmy was zaskoczyli, chociaż wystawiliście trzech wartowników. - - 'Pak -- przyznał Halef -- prosimy cię, powiedz.

-- Mamy w naszym plemienu kilku doskonałych biegaczy, których używamy jako zwiadowców. Biegają równie szybko jak wielbłądy, ale nie są z daleka tak widoczni jak one. Podążyli za szejkiem '1' dwilem, gdy ten wraz ze swymi czterdziestoma ludźmi pojechał na północ, by zacząć się na was. Wspięli się na północne wzniesienie doliny i tak zakopali się w piasku, że nie można ich było dostrzec, słyszeli o czym tam mówiono. Początkowo Beni Khalidowie byli tam sami, mówili,

,

że czekają na Persa i jego żołnierzy, by odebrać im Kans el ~Adha. Ale że i ja chciałem zdobyć ten skarb, więc jeden z biegaczy wyruszył od

razu, by mnie o tym zawiadomić. Droga do mnie była daleka i nie mogłem w porę przybyć. Drugi biegacz pobiegł za wami, a trzeci czekał na mnie. Opowiedział mi wszystko, podał czas i miejsce, w którym ten drugi miał do nas dołączyć, by mi powiedzieć, gdzie znaję was w ciągu nocy. 'Pdm też pojechaliśmy i trafiliśmy na ślady sześciu wielbłądów, które zdążyły w naszym kierunku.

-- Maszallah -- zawołał Halef. -- Zapewne ślady Ghaniego!

--'Pak. Ale o tym później. Kiedy się ściemniło, dotarł do nas drugi biegacz i opisał wasze obecne obozowisko. Byliście bardzo ostrożni, ale on także. Wspinał się na wzniesienie, kiedy wy znajdowaliście się w następnej dolinie.

--'Ib było roztropne -- pochwalił Halef. -- Ten wojownik wart jest, by być Haddedihnem.

-- Mnie także jest bardzo przydatny -- zaśmiał się szejk. -- Zaprowadził nas w pobliże waszego obozowiska, a ja rozkazałem zwiadowcom, by sobie ten obóz obejrżeli.

-- A nasze posterunki?

2%

-- Chodzi tylko o ten, który minęli nie zauważeni.

-- Który to był? Ukarzę go tak, że ..:

-- Cicho bądź -- przernwał mu szejk. -- Właśnie dlatego, że chcesz go ukarać, nie powiem ci, który to był. Ty sam także byś nie zauważył.

-- Ja? -- oburzył się Halef.

-- 'Pdk, ty. Kiedy nocą idziesz na zwiad, zważaj na odcień piasku.

Połóż na piasku możliwie dużo rozpostartych haików i weź ten, który najbardziej zlewa się z jego odcieniem. Jeśli będziesz się bardzo cicho

czołgał i rozpostrzesz przy tym możliwie najszerzej haik, pozostaniesz niemal niezauważalny. Dowiedziałem się więc, że za stromizną, wznoszącą się za tachtirewanem, gdzie dwie ściany doliny się łączą, nie ma posterunku i postanowiłem z tego miejsca zejść.

-- Ale przecież tam jest bardzo stromo.

-- Jeśli nie można zejść, to trzeba się ześlizgnąć, piasek nadaje się do tego znakomicie, a idzie to tak szybko, że bylimy na dole, zanim szum spadającego piasku was obudził.

-- Pozwól, że ci najuprzejmiej oświadczę, iż byłoby mi nieskończenie miło, gdybyście sobie przy tym poskręcali karki -- rzekł Halef.

Ja natomiast poprosilem szejka:

-- Podaj mi rękę! Muszę ją uścisnąć! Ta odwaga wzbudza mój szacunek.

Miałem go naprawdę dla tego człowieka. Przeniósłwałkę na pustynię, by uchronić mieszkańców zabudowanej okolicy, nie- zdradził wartownika, który nie upilnował posterunku, zjednał mnie tym.

-- Dziękuję ci effendi -- odparł. -- Usłyszysz dalej, że niejestem taki zły, jak się wam wydaje. Ale cicho! Nadchodzą! Popatrz, bo to jest coś dla was!

Oto z przełęczy zbliżał się mały pochód. Z przodu szli dwaj Beni Lamowie, za nimi następni dwaj. Między nimi ujrzeliśmy dwa wielbłądy. Na pierwszym siedział jeden człowiek, na drugim zdawało się siedzieć dwóch. Nie widać było dokładnie, bo jeszcze się nie zbliżyli. Pierwszy jeździec siedział skulony w siodle. Nagle wyprostował się,

-- Bądźcie pozdrowieni, wy, posłuszni nakazom miłości! Przywożę wam człowieka, którego miłość oszczędziła, a on z niej szydził. Wybraliście dla siebie lepszą część, on zaś dla siebie karę.

Co za niespodzianka! Tb on, stary Munedzi, który znów przemówił głosem Ben Nura. Wielbłądy uklęknęły, ślepcę odwiązano i posadzono na rozpostartym kocu. Drugi jeździec, a właściwie drugi i trzeci, bo istotnie było ich dwóch na wielbłądzie, także byli związani. 'I~raz ich odwiązano i zobaczyliśmy, że tylko jeden z nich się poruszał, drugi wisiał bezwładnie na plecach.

-- Kim są ci dwaj? -- zapytał Halef.

-- ~dź i popatrz -- odparł szejk.

Halef posłuchał.

Ledwo tam doszedł, zawołał:

-- Ghani! A ten drugi to jego syn! Ocieka krwią. O, sidi, sidi, on jest martwy.

Okropność. Czulem się tak, jakby mnie ktoś przejechał po grzbiecie ręką zamoczoną w lodowatej wodzie.

"Ulubieniec wielkiego szarifa" musiał usiąść między dwoma Beni l.

Lamami, którzy go pilnowali. Siedział tak z przywiązanymi do swego ciała zwłokami syna. Był to potworny widok, odwróciłem się. On się nie odzywał. Nie widziałem w ciemności jego twarzy, Halef podszedł i rzekł poruszony:

-- Nie umiem tego wyrazić, sidi, tak się przejąłem. Mam uczucie, jakbym stał przy wadze sprawiedliwości i sam miał być ważony. Pragnąłbym, by cała ludzkość tu się znalazła i ujrzała ten druzgocący

dowód, że Allah nie pozwoli z siebie kpić. Słuchaj! Co to było?

Od strony tachtirewanu dobiegło szlochanie. Słysząc było, że

chciano je powstrzymać, ale bezskutecznie.

-- Tb Henneh, najłagodniejsza z wszystkich kobiet. Jest głęboko poruszona. O sidi, dawniej często się z nią spierałem, ponieważ jako muzułmanin twierdziłem, że kobiety nie mają duszy. A teraz jej dusza

298

jest mi droższa od wszystkich bogactw świata. Kiedy przypominam sobie tego tam człowieka, jak stał przed nami ujadając, łącząc naszą miłość, jak bluźnierczo wyzywał ją, by się ukazała, a teraz widzę go złamanego pod okropnym ciężarem swego martwego syna, mam uczucie, jakby mi wszystkie moje nerwy wyszarpywano z ciała. Pragnąłbym wykrzyknąć ponad wszystkie lądy i morza, że poza wiarą nie ma dla duszy innego powietrza do oddychania, że miłość jest jedynym światłem na niebie i na ziemi.

Szejk Abd el Darak siedział obok nas. Słyszał słowa Halefa, uczynił znak ręką, by zwrócić na siebie uwagę i rzekł:

-- I mnie się zdarzały godziny samotności, kiedy to zanurzałem się w głębię mojego wnętrza, by zobaczyć, co się na dnie znajduje, perły czy ohydne gady. Przeważnie były to gady. A bywały też godziny, kiedy spoglądałem na fale życia, na żaglowce, które opuszczają rodzinny port, bo gna je w obce strony. Widziałem dobra, jakie zabierały, ten wobec Allacha bezwartościowy balast i nie dziwiłem się, że potem podczas burzy tonęły lub rozbijały się o skały. Jestem mieszkańcem pustyni, a ona jest przepelniona myślami. Żyło we mnie pragnienie, krzycząca głośno tęsknota, która nie znajdowała posłuchu w całym

moim życiu. Nie wiedziałem, co to było, byłem zgnębiony, przybity. I

oto słyszę dzisiaj po raz pierwszy cudowne słowo "miłość". Miłość

,
która łączy niebo z ziemią, a z ludzi czyni braci. 'I-go przecież poszu-

kiwałem, nie wiedząc o tym. Muszę to mieć, dlatego tu przybyłem, bo

wy to posiadacie. Wy macie tę miłość, wy postępujecie zgodnie z jej

nakazem i tylko od was mogę ją uzyskać. Nie Kans el Adha teraz

pragnę, pragnę tylko miłości. Powiedzcie, jak mogę ją otrzymać?

Słowa jego tak nas wzruszyły, że nikt nie potrafił odpowiedzieć, a

szejk powtórzył swoje pytanie:

-- Powiedzcie, możecie mi ją dać? Czy chcecie mi ją dać?

-- Chętnie, z całego serca -- odparłem.

Wtedy El Darak odwrócił się i rozkazał swoim ludziom:

-- Uwolnijcie ich, rozwiążcie ich wszystkich!

299

To na pewno nie było przedtem uzgodnione, Beni Lamowie po-

spieszyli, by spełnić rozkaz szejka. W mgnieniu oka wszyscy Hadde-

dihni pozbyli się więzów.

Wtedy szejk zawołał:

-- Ci dzielni Haddedihni, są odtąd gośćmi naszego plemienia. Ich

przyjaciele, są naszymi przyjaciółmi, ich wrogowie naszymi wrogami.

'I'ak mówię ja, Abd el Darak, szejk Beni Lamów.

Podał nam rękę, którą mocno uścisnęliśmy. Ludzie szejka zrobili

to samo. Kiedy wreszcie się uspokoiło, nasz nowy przyjaciel zabrał

głos:

-- Tylko połowicznie możecie zrozumieć powody mojego zachowa-

nia, pragnę jednak wyjaśnić wszystko. Wiecie, że odnaleźliśmy trop Ghaniego i poszliśmy za nim. Siedzi tam teraz i słyszy co mówię, niech to będzie jego kara i niech Allach sprawi, aby jego skamieniałe serce wreszcie zaczęło mięknać. Spójrzcie na tego "ulubieńca wielkiego sznryfa". Stary człowiek, który siedzi tam obok, to Abu Kurban, ojciec zamordowanego, a ten wojownik u jego boku to wuj trzech braci, którzy także zostali zamordowani. Jest ciemno, dlatego nie widzicie, jaki żal z powodu utraty jedyne dziecko wrył się głęboko w twarz Abu Kurbanda i jak bardzo dręczy go myśl, że zbrodnia jeszcze nie została skreślona w księdze zemsty. Lecz obaj usłyszeli kogo mamy przed sobą i przysięgli, że krwią zapłacą za krew, gdy tamci będą winni. Dotrzymali przysięgi, bo musieli. Ghani rozbił swój obóz pomiędzy dwoma odnogami pustyni diunowej. Napadliśmy na nich, zanim zdolali sobie uświadomić obecność tak wielkiej gromady. Ujrzelśmy syna Ghaniego. Miał te dwie niejednakowe brwi, było więc pewne że to on i trzech inni są mordercami. Nie zważałem się im cisnąć w twarz oskarżenia o zbrodnię. Pobledli ze strachu, ale zaprzeczyli. Wtedy ujrzelśmy pierścień na palcu syna. Abu Kurban spojrział na niego i przysięgł, że to była własność Ibn Kurbanda. Przeszukaliśmy morderców i znaleźliśmy dalsze pierścienie i kamienie. Jeden z trzech morderców sądził, że ocali się zdradzając innych. Opowiedział jak doszło

300

do morderstw. Czterej mordercy działali najpierw bez wiedzy El Ghaniego, ale po dokonaniu zbrodni wszystko mu opowiedzieli. 'Ib on im doradził, by udali się do El Kasab, gdzie w pobliżu miał czekać na nich z Munedżim. Na co zashxżyli mordercy? Powiedz mi, szejku

Hadzi Halefie Omarze?

-- Na śmierć -- odparł Halef.

-- Czy byś ich ulaskawił?

-- Nie.

-- Mimo miłości, której dziećmi jesteście?

-- Nie tylko mimo, lecz właśnie wskutek tej miłości. Nie wotno ci myśleć, że miłość jest obrońcą grzechu. Jeśli nie może działać dobrocią, chwyta się surowości. Jest łagodna i litościwa, póki może wierzyć, że to prowadzi do celu, ale jeśli zmusza się ją do czegoś przeciwnego, staje się jak matka, która karze swoje dzieci, ponieważ je kocha.

Hadzi powiedział to znakomicie, a ja dodałem:

-- A jeśli ma dziecko, które surowości nie usłucha, oddziela je od innych, aby ich nie zepsuło. Kara śmierci wydaje się surowa, ale wypływa z konieczności.

-- A więc i ty głosowałbyś za karą śmierci dla tych morderców?

-- 'Pak.

-- Ale dzisiaj ich ulaskawiliście.

-- Nie byli nam tak bliscy, aby surowość była naszym obowiązkiem.

I co ważniejsze, dostaliśmy nakaz, by zastosować łaskę.

-- Tak wiem to od moich zwiadowców, Ben Nur przemówił do was.

On i do mnie przemówił.

-- Przed wyrokiem?

-- Nie po jego wykonaniu. Dotąd Munedzi był milczący, zatopiony w sobie, tak jak teraz. Ghani natomiast przysięgał na wszystkie świętości nieba i ziemi, zaklinał Allacha, by potwierdził jego kłamstwo, a kiedy zobaczył, że te bluźnierswta nie przyniosły skutku, zaczął szaleć

z wściekłości. 'Il; n zagubiony człowiek kochał tylko siebie i syna. Nigdy nikogo innego. Dowiedzieliśmy się tego z jego rozpaczliwych słów.

301

lizymał go w objęciach, a kiedy oderwali~my ich od siebie, ryczał jak zwierzę, zlorzeczył sam sobie, przeklinał i przysięgał, że jeśli syn jest winny, to chce na siebie wziąć jego winę i nosić po wsze czasy. Było to tak przerażające, że opanowała nas święta złość~. W tej złości skazałem go, nakazując, aby tej nocy nosił syna, by zrozumiał, co to znaczy nosić jego i jego winę przez nie kończącą się noc ciemności. Mordercy zostali zastrzeleni, szybko bez dręczenia. Trzech z nich pochowaliśmy, czwartego widzicie tam, jak powiedziałem. Stary popelniał wszystkie grzechy tylko dla syna, a teraz syn leży na nim. Tego wymaga sprawiedliwość. Może bym mu tego nie zrobił, bo w moim sercu nie ma okrucieństwa, ale moi zwiadowcy, którzy są świadkami jego ostatniego czynu, widzieli jak strzelał do askarów, a potem słyszeli, jak szalał, grożąc wam i szydząc z waszej dobroci.1ó sprawiło, że byłem wobec niego nieubłagalny. W ogóle ten dzień był dniem obrachunku, dniem, w którym sprawowaliśmy sąd.

-- Czy zetknąłeś się może z Beni Khalidami? -- zapytał Halef.

-- 'Pak.

-- Walczyliście z nimi?

-- Bardzo krótko. W kilka minut było po wszystkim -- zabrzmiało to pogardliwie.

-- Allach! Allach! Zwyciężyliście?

-- Przyjacielu, czy siedzielibyśmy tutaj, gdybyśmy nie zwyciężyli`?

Niedługo nastanie dzień, wtedy zobaczycie ślady walki i miejsce zwy-

ciężstwa.

-- Gdzie ono jest?

-- 'Iam gdzie obozowaliście, przy Bir Hilu. Ci Beni Khalidowie, odkąd 'Pdwil Ben Szahid został ich władcą, nigdy nie zachowywali się spokojnie. Moje plemię ucierpiało wiele wskutek ich napadów rabunkowych, tak że groziło nam ubóstwo. Postanowiłem więc, że raz na zawsze musi dojść między nami do rozstrzygnięcia. Przygotowałem się i czekałem na atak z ich strony. I oto niedawno dowiedziałem się, że znów szykują się do napadu. Podano mi liczbę ich wojowników. By

302
się szybko z nimi rozprawić, ruszyłem przeciwko nim ze znacznie większą gromadą, którą musiałem podzielić ze względu na wodę.

Obsadziliśmy trzy studnie na zachód od Bir Hilu. Posłałem na przeciw wrogom moich biegaczy. Kiedy zameldowali mi zbliżanie się Beni Khalidow, zgromadziłem wszystkie trzy grupy. Potem biegacze czyhali w pobliżu studni, głęboko zagrzebani w piasku i obserwowali was. Dwóch zwiadowców wysłałem do was, nie po to, by dowiedzieć się, czy jeszcze jesteście przy studni, chciałem się dowiedzieć, jak mam was potraktować. Mieli~my wam odebrać "skarby członków", zastanawiałem się, czy was przy tym oszczędzić, czy nie. Wtedy usłyszałem, że nie zdradziliście swych wrogów. Nie wierzyłem własnym uszom, bo nie spotkałem się jeszcze nigdy z taką wielkodusznością. Kiedy potem udaliście się na południe, czekali tam na was Beni Khalidowie. Chciałem to wykorzystać i ująć jednocześnie ich i was. Ich chciałem pokonać, was puścić wolno po odebraniu skarbu. Nie wiedziałem, że żołnierze mieli z nim jechać na północ. Gdy szejk wrócił z małym

oddziałem, posłałem za nim moich biegaczy i w ten sposób umknęło mi, że Pers się od was odłączył. Wy także pojechaliście na południe, ale znowu zawróciliście, a Beni Khalidowie jechali za wami. Co się stało dalej wiecie częściowo, reszty dowiecie się na miejscu. Jak tylko będzie widno, wyruszymy stąd.

-- Dokąd? -- zapytał Halef.

-- Do Bir Hilu.

-- Weźmiemy ze sobą Ghaniego`?

-- 'hak.

-- A co potem z nim się stanie`?

-- Wypędzimy go.

-- O Allachu! Więc nie zastrzelicie go`?

-- Nie. On nie brał udziału w morderstwie, które mieliśmy pomścić.

Dopiero później stał się paserem, a więc nie przelewał kswi Lamów i nam też nie wolno przelać jego. Ib, co uczynił wam i askarom, to wasza sprawa. Poza tym samotna starość bez syna jest dla niego

303

większą karą niż szybka śmierć.

-- 'Ib prawda. Odepchnął od siebie miłość, ona odeszła od niego, teraz musi, potykając się iść do grobu bez miłości. 'I~k chciał.

-- Tym mocniej my będziemy się jej trzymać, zwłaszcza ja -- rzekł Abd el Darak poważnie. -- Obserwowałem wasze zachowanie przy Bir Hilu. Zdziwiło mnie ono. Było was niewielu, a nie obawialiście się przewagi wrogów, których nawet oszczędziliście. Potem morderców żołnierzy ulaskawiliście, zamiast się zemścić. Opowiadano mi jak chowaliście żołnierzy i o tych oddanych strzałach nad ich mogiłą. 'I~go

nie czyni żaden Arab. I jeszcze coś, kiedy jeden z moich biegaczy tkwił w piasku przy studni, by was obserwować, oddaliło się stamtąd czterech mężczyzn. Skradał się za nim na skałę. Munedzi był z nimi, mówił dużo i donośnym głosem. Mój zwiadowca słuchał i wszystko mi opowiedział, także to, co za trudno było mu zrozumieć. Czy wiecie, kim byli ci trzej pozostali?

-- Effendi, Khutab Aga i ja -- odpowiedział Halef.

-- Czy mógłbym się od was dowiedzieć szczegółowo o tej wyprawie'?

-- Tak. Chętnie, jesteście gotowi.

-- Dziękuję wam.

Uściskał Hadziemurę i mówił dalej:

-- Już wam powiedziałem, że Munedzi był milczący, dopóki wyrok na czterech mordercach nie został wykonany. Po ostatnim wystrzale wstał i z zamkniętymi oczami mówił głębokie słowa o śmierci, miłości i sprawiedliwości. Było tak, jakby przemawiał przez niego anioł, który zamierzał wypędzić z mojego serca wszystko zło. Postanowiłem wyrzec się skarbu, a także waszych koni i hedżina, na którym zależało mi o wiele bardziej niż na Kans el ?~dha. Ale coś mówiło mi, aby pokazać wam, że jesteśmy wojownikami, zasługującymi na wasz szacunek.

Dlatego postanowiłem pozornie na was napaść, nie wyrządzając żadnej krzywdy. Było to możliwe tylko dlatego, że odważyliśmy się dostać tym niebezpiecznym wejściem. Żaden z nas przy tym nie doznał szkody, a musicie przyznać, że i reszta się udała. W pobliżu stoją nasze

304

wielbłądy, teraz się rozwidniło, więc wyruszamy. Czy pojedziecie z nami?

-- Nie musisz nawet o to pytać -- odpowiedział Halef. **-- Słusznie**

postąpiłeś, i zasłużyłeś na nasz szacunek.

Coraz bardziej podziwiałem w duchu tego człowieka, był poszukującym, a kto szuka, ten znajduje. Teraz, kiedy stawało się corazwidniej ujrzałem wyraźnie twarz szejka Beni Lamów, przypominał mi Piotra ze słynnego obrazu "Ostatnia wieczerza" Leonarda da Vinci.

Jakże inną, wprost przerażającą twarz miał natomiast Ghani! Nie wyglądał bynajmniej na ulubieńca. Jego obrzękła twarz była odrażająca, oczy nabiegły krwią, a wargi były sine. Sprawiał raczej wrażenie zwierzęcia niż człowieka. Odzież jego przesiąknięta była krwią. I ten trup na plecach - to było okropne!

Halef także na niego spoglądał. Ghani to spostrzegł i wybuchnął dzikim rykiem:

-- Ty psi synu, nie patrz na mnie! To wam zawdzięczam to nieszczęście, tylko wam! Przeklinam was na niebo i piekło... To, co teraz nastąpiło, trudno opisać`. Kiedy Halef sądził, że Ghani skończył szaleć

**,
rzekł do niego:**

-- Nie zwalaj winy na nas, ty sam ją ponosisz. Effendi ostrzegal cię, że śmiech obraca się w łzy i to nastąpiło. Brzemię, które teraz nosisz, sam sobie

Dalej nie mógł mówić, bo przerwał mu nowy wybuch Ghaniego.

Poprosilem Halefa, żeby zamilkł. Pozostawiliśmy tego wyrzutka Beni Lamom, a my zajęliśmy się Munedżim, który w skutek ciągłych jazd był tak osłabiony, że prawie nieprzytomny. Urządziliśmy mu siedzenie w siodle, przywiązaliśmy go, a kiedy wyruszyliśmy wzięliśmy go

między siebie. Jechaliśmy do przełęczy, do miejsc; a gdzie znajdowały się wielbłądy Beni Lamów. Tlitaj szejk wysforował się na czoło i wyprowadził gromadę na pustynię piaskową. W końcu dotarliśmy do skalnych wysp, gdzie znajdowała się Bir Hilu.

Po drodze natrafiliśmy na wartownika, który zameldował szejko-

305

wi, że nic nowego nie zaszło i przygotowana jest jama do złożenia trupów. O czym mówił zrozumieliśmy dojechawszy na miejsce pojedynku, które zajęte było przez ponad trzystu Beduinów, wśród których sporo było rannych. Przyjęli nas milczeniem. Skala, która ograniczała plac od północy, miała nie bardzo szerokie, ale głęboko wynurzające się wgłębienie, które było zasypane, nawiewanym przez wiatr lotnym piaskiem. Piasek ten, był zgarnięty i usypany w kopiec pod skałą. Utworzyła się spora nisza, zamknięta z trzech stron ścianami skalnymi. Przed nią leżały zebrane zewsząd trupy poległych. Teraz dopiero zrozumieliśmy, co tutaj zaszło.

Kiedy wracając z południa, by jechać na ratunek Persowi, minęliśmy studnię, Beni Lamowie zajęli to miejsce i czekali na Beni Khalidów. Ci co prawda ostrożnie się zbliżali, bo istniała możliwość, że pozostaliśmy tutaj, ale że może tu czyhać inny wróg, to w ogóle nie przyszło im do głowy. Gdy zatrzymali się przy studni ze wszystkich stron rozległy się strzały. Beni Lamowie natarli. Szejk Abd el Darak słusznie nam powiedział, że trwało to kilka minut. Ziemia była czerwona od krwi. Leżały tu zdobyczne wielbłądy. Widzieliśmy cały stos broni i rozmaite przedmioty, które wyjęto trupom z kieszeni. Zdrowi, lub lekko rani Beni Khalidowie po krótkiej obronie uciekli, wielu

uciekało pieszo. Prawdopodobnie minie wiele lat, zanim będą mogli myśleć o zemście.

Nie liczyliśmy trupów. Leżeli w dużym półkolu wokół jamy skalnej.

"Pdm gdzie staliśmy, ujrzeliśmy jednego, który był nam znany, mianowicie oszczepnika, tego od "oczywiście". On też poległ.

Abd el Darak wskazał nam drogę.

-- Znacie tego?

Ujrzeliśmy szejka 'Pawila. Siedział wyprostowany, opieraty o plecami o skałę. Twarz jego nosząca ślady bata Halefa, otrzymała dodatkowe uderzenie kolbą, tak, że był prawie nie do poznania. Śmierć nastąpiła od strzału w pierś. Nie był on obecny podczas głównej walki, pojmano go, tak jak czterdziestu ludzi, których odesłał, gdy chciał

306

zdobyć dla siebie Kans el Adha. Gdyby nie ta chciwość, może by się uratował ze swoim oddziałem.

-- Grób pomiędzy nami a nim! -- rzekł Halef, wskazując najpierw na niego, a potem na gromadę trupów. -- Czy pamiętasz jeszcze jego słowa sidi?

-- "Pdk -- odparłem.

-- Jak one brzmiały'?

-- Przysięgam na Allacha i na świętą Kaabę, że ta pustynia nas rozsądzi! Od tej chwili między nami ziele grób. Kogo do siebie przyjmie, mnie czy was, niech to rozstrzygnie Ten, na którego przysięgałem, albo niech rozstrzygnie tak przez was ubóstwiana bogini - miłość~.

--'Iak, ona rozstrzygnęła. Chodźmy!

Pospieszyliśmy do studni, gdzie posadziliśmy Munedziego. Nie był sam, był przy nim Ghani. Zajmował się pojeniem wielbłądów, swojego, ślepcę i tego, który wziął dla trupa swego syna. Był tylko przez noc z nim związany, a rankiem, zanim wyruszyliśmy, uwolniono go.

-- Wydaje się, że chcę zabrać ze sobą zmarłego -- rzekł do mnie Halef.

-- I chyba Munedziego także.

-- Czy pozwolimy na to?

-- Hm! Właściwie ślepiec do niego należy.

-- 'I~raz już nie, gdyż Ghani okazał się człowiekiem, któremu nie wolno powierzyć nikogo. Czy zgadzasz się abyśmy zaopiekowali się Munedżim'?

-- Nawet bardzo chętnie.

-- Dobrze, więc zaraz porozmawiam ze ślepcem.

Munedzi był całkiem przytomny. Podeszli~my do niego i Halef zapytał:

-- Czy wiesz Miinedzi, gdzie jesteś?

-- Tak, mój opiekun mi powiedział.

-- Twój opiekun'? Czy nadal uważasz go za swojego opiekuna'?

307

-- Pozostanie nim, póki żyję. Wiem, że naszych towarzyszy zastrzelono, ale ja zostanę z nim i pojedę z nim do domu, do Mekki.

-- Gzyjesteś całkowicie rozbudzony i w pełni świadomy? --Jestem całkowicie przytomny. Wedle twego głosu jesteś szejkiem Hadżim Halefem Omarem!

-- Tak.

-- Gdzie jest effendi z Wadi Draa?

-- Stoi obok mnie.

**-- Więc muszę mu coś powiedzieć. Effendi, wiesz, że źle cię oceni-
łem i proszę o przebaczenie. Czy nie odmówisz tego staremu ślepeму
człowiekowi?**

**-- Nie. W ogóle się na ciebie nie gniewam -- oświadczyłem. -- Mogę
ci to potwierdzić, zawiadamiając cię, że postanowiliśmy zabrać cię ze
sobą do Mekki.**

**-- Dziękuję wam za tę dobroć, ale nie mogę jej przyjąć, ponieważ
zostanę z Ghanim, moim opiekunem.**

-- Z tym...

**-- Nie mów dalej -- przerwał mi. -- Gdybyś wiedział, ile bólu mi tyrn
sprawiasz, na pewno byś milczał. Kocham go, bądź tak dobry i nie
nalegaj, abym go opuścił.**

**-- Więc jesteś przekonany, że możesz dalej oddać się pod jego
opiekę?**

**-- Całkowicie! Gdybyście mnie zabrali siłą, tak bym do niego
tęsknił, że odczuwałbym swoje nieszczę.ście podwójnie.**

**-- Jeśli tak mówisz, nie możemy dalej nalegać. Kiedy chcecie
odjechać?**

**-- Jak tylko wielbłądy zostaną napojone. Nie kaźcie nam głodować,
dajcie nam na drogę żywność, a dla mnie tytoniu.**

**-- Będziesz to miał. Pojedziemy za wami i sądzę, że wkrótce znów
się zobaczymy. Biada mu, jeśli się dowiemy, że każe ci znosić cierpie-
nia.**

Podczas tej rozmowy zbliżył się Ghani, ale udawał, że na nas nie

zważa. 'I~raz odwrócił się do nas i zawołał głosem ochryplym ze złości:

--'Pdk, masz rację, wkrótce się zobaczymy. Ale wtedy... wtedy...

Zazgrzytał zębami i groźnie wymachiwał pięściami.

Odeszliśmy. Zawołał za nami: .

-- Mogę tylko zabrać trzywielbłądy. Zapłacicie mi za trzy pozostałe, wy, psie syny!

Abd el Darak stał w pobliżu, usłyszał to i rzekł:

-- Abu Kurban mógł mu zabrać wszystkie sześć jako odszkodowanie za zrabowane i sprzedane w El Kasab. Nie zważajcie na niego.

Posłuchaliśmy rady, ale kiedy zobaczyłem, że "opiekun" posadził ślepcę na wielbłądzie i go przywiązał, podszedłem do niego raz jeszcze, by się z nim pożegnać. Odjechali razem ze zmarłym wiszącym na trzecim wielbłądzie, nikt na nich nie zważał poza Halefem, Hanneh, Karą i Persem. Patrzyli w ślad za nimi, aż zniknęli za skałą. Marwiłem się o Munedziego.

'Tirupy ułożono w dole. Na wierzchu położono tych nielicznych Beni Lamów, którzy polegli. Potem zasypano ich piaskiem. W ten sposób szczelina w skale była całkowicie zamknięta i nikt poza wtajemniczonymi nie mógł wiedzieć, co tam było. Szejk odmówił modlitwę za zmarłych i rozkazał, by pięćdziesięciu wojowników oddało trzykrotne strzały, tak jak my to zrobiliśmy nad grobem żołnierzy. Ten wojoskowy zwyczaj bardzo mu się spodobał.

Pochówek zabrał sporo czasu, a potem tyle było roboty, że Beni Lamowie nie zdołali już w tym dniu opuścić Bir Hilu. Powrotną drogę, musieli obrać w kilku oddziałach przez rozmaite studnie, by nie

odczuwać braku wody. Szejk pozostał jako ostatni, a że do naszego najbliższego celu, Ain Barid, był cały dzień drogi, a my, chociażby z powodu Ghaniego, nie chcieliśmy jechać nocą, postanowiliśmy wyruszyć dopiero następnego dnia.

Ale stało się inaczej, niż zaplanowaliśmy.

Ponieważ Abd el Darak tylko pilnował prac swoich ludzi, a sam nie brał w nich udziału, miał czas, by przebywać z nami i wykorzystał to

309

znakomicie. Tematów do rozmów było aż nadto. Przeważnie mówiliśmy o naszym spotkaniu z Beni Khalidami i to wciąż od nowa prowadziło do sprawy Munedziego, Ben Nura i do nauk od nich otrzymanych. Szejk należał do nielicznych ludzi, dla których religia jest czymś niezwykle bliskim, a nawet najważniejszą sprawą życia. Miał do nas setki pytań, na które odpowiedź nawet dla obeznanego z tą materią człowieka było nie lada sztuką. Jego entuzjazm porwał i nas. Późnym wieczorem stwierdziliśmy, że serdecznie się polubiliśmy. Nie tylko wewnętrzne zalety szejka, także jego wygląd zewnętrzny wzbudzał sympatię. On to wyczuł i rzekł z uśmiechem:

-- Jesteście mi potrzebni i muszę was jeszcze mieć, choćby na krótko. Dlatego proszę was pojedźcie z nami na kilka dni! Bądźcie naszymi drogimi gośćmi! Wiem, że na waszych ustach leży szybkie "nie", ale błagam, nie wypowiadajcie tego słowa. Przynieście szczęście do naszych namiotów, a kto potrafi dawać szczęście nie powinien tego zaniechać. Powiedzcie "tak", proszę was z całego serca.

Spojrzeliliśmy po sobie i każdy z nas uśmiechnął się i równocześnie rozległ się głos Hanneh:

-- Przyjmujemy wasze zaproszenie, pojedziemy z wami, chcę poznać kobiec;e namioty Beni Lamów!

A więc ważne słowo zostało wypowiedziane. Byliśmy skłonni spełnić prośbę szejka i zapewne po dalszych naleganiach byśmy się zgodzili, ale skoro znalazła się taka orędowniczka, Halef roześmiał się głośno i zawołał

-- O Hanneh, która ratujesz z nawiększych opresji niepewności, niech będzie błogosławione twoje słowo! Nigdy nie odmawiam żadnej twojej prośbie, a i teraz poznasz namioty, do których tęsknisz!

Kiedy nazajutrz wyruszyliśmy, obraliśmy najkrótszą drogę do obozu Beni LamcSw. Był to kierunek bardzo rzadko uczęszczany przez wędrowców. Dlatego dziwiliśmy się, kiedy w południe trafiliśmy na ślad, który przecinał nasz szlak i biegł w stronę, gdzie przez wiele dni drogi nie było studni. Ślady wskazywały na wczorajszy dzień. Po

310

kwadransie jazdy, ślad zawrócił. Abd el Darak zatrzymał się i rzekł:

-- To bardzo dziwne. 'I~n, kto jedzie po tak suchej pustyni i tak raptownie zawraca, musi mieć szczególny powód ku temu. A tym powodem jest to, że na tym pustkowiu znajduje się ukryta studnia, którą ten co z niej czerpie, zakrywa skórą i zasypuje piaskiem, aby nikt inny jej nie odkrył. 'Pdka woda jest ogromnie cenna i proponuję, byśmy pojechali dalej.

Halef miał zafrasowaną minę, zapytany o powód, rzekł:

-- Nie podoba mi się, że to właśnie trzy wielbłądy. Myślę o Ghanim.

Ślad prowadzi z jego kierunku. Co ty na to, sidi?

-- Masz chyba rację -- przyznałem. -- Pojedziemy tym tropem. Kto

wie, co Ghani zamierza, na pewno nic dobrego.

Pojechaliśmy w głąb pustyni i to szybciej niż dotąd. Napięcie nasze wzrastało. Minęły dwa kwadranse, gdy ujrzeliśmy leżący na piasku przedmiot. Kiedy podjechaliśmy bliżej, stwierdziliśmy, że przedmiot ten się porusza, a kiedy doń dotarliśmy, z wszystkich ust rozległ się krzyk oburzenia. To był człowiek, był to ... ślepiec.

Leżał związany, oczy miał zamknięte, co znaczyło, że w tej chwili duchem jest nieobecny, ruchy jego były mimowolne, spokojne.

Był to czyn okrutny. Później dowiedzieliśmy się szczegółów. Ghani zapytał go, kogo uważa za złodzieja Kans el ~Adha.

-- Ciebie -- odparł Munedzi. -- Żołnierzy też zamordowałeś. Ale mimo to zostanę z tobą, bo jesteś moim dobroczyńcą, którego nie wolno mi opuszczać.

'1'dk więc Ghani wiedział, że ma w nim świadka swej zbrodni, który mógł go zdradzić w Mekce i dlatego postanowił się go pozbyć. Był zbyt tchórzliwy, by popełnić morderstwo, postanowił więc pozostawić go na pustyni.

Napoiiliśmy biedaka wodą, co go wyraźnie orzeźwiło. Zbadaliśmy go czy nie jest ranny, ale nie - miał po prostu zginąć z pragnienia i głodu.

-- W Mekce, w Mekce! -- zazgrzytał zębami Halef. -- Ghani, Ghani,

311

byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś sam tu zginął z głodu i pragnienia, zanim przybędziemy, by pozbawić cię twej głowy w świętym mieście.

W taki sam sposób wypowiedziała się reszta. Ja natomiast się nie odezwałem, bo cóż mogłem powiedzieć.

Słepcowi dano najspokojniejszego wielbłąda i najlepsze miejsce, jakie mogliśmy mu zapewnić. Potem zawróciliśmy. On się nie poruszał. Jego zapadnięta twarz, była obliczem zmarłego. Ale kiedy oddaliliśmy się od tego miejsca i obraliśmy nasz poprzedni kierunek, uniósł ramię, wskazał miejsce, gdzie go znaleźliśmy i rzekł głębokim głosem Ben Nura:

-- Popatrzcie raz jeszcze za siebie i zapamiętajcie to miejsce, ponieważ tu wrócicie, kiedy nastąpi czas obrachunku ...!

Posłowie

Co jest największym obowiązkiem redaktora książki, zwłaszcza tłumaczonej z obcego języka, w wydawnictwie, które pragnie mieć i zachować dobrą renomę wśród czytelników? Zwięzła odpowiedź będzie brzmiała: dbałość o poprawność językową, gramatyczną i właściwą interpunkcję, sprostowanie ewentualnych błędów rzeczowych w nazewnictwie, faktografii, datowaniu itp., które zdarzają się autorom lub powstają z innych przyczyn, a poza tym jak najmniejsze ingerowanie w materię dzieła. Nie zawsze jednak, niestety, jest to możliwe, zwłaszcza, jeśli idzie o książki pisane przed kilkudziesięciu laty. Zmieniły się gusty czytelników, którzy nie chcą czytać w powieści podróżniczej lub przygodowej rozległych dywagacji na wszelkie możliwe tematy filozoficzne, moralne i licho wie, jakie jeszcze. Spauperyzowany czytelnik liczy się z każdą złotówką, dlatego też, jeśli w księgarni kartkując książkę trafi na szereg stron zawierających mętne wywody dydaktyczno-moralistyczne po prostu jej nie kupi, woiać wydać pieniądze na thriller, zawierający bzdurną, ale za to przebiegającą błyskawicznie akcję.

I to właśnie jest powodem, który zmusza redaktora książki, by z
nawiększą przykrością poczynił pewne skróty, usunął fragmenty, które
nie mają żadnego związku z akcją, a zawierają tylko poglądy autora
na różne zagadnienia, natury najczęściej moralnej. W szczególnym
wypadku Karola Maya spełnienie tej smutnej konieczności jest o tyle
prostsze, że łatwo można udowodnić, iż swoje piękne zasady etyczne,
głosił tylko na użytek czytelników, ale nie stosował ich we własnej
praktyce życiowej. Każdy, który interesował się twórczością tego
autora i jego biografią wie, że życie pisarza nie było łatwe, a jego losy
toczyły się bardzo krętymi ścieżkami. W młodości popełnił kilka
przestępstw i kary odcierpiał w więzieniu. Oczywiście nie dyskwalifi-
kuje go to jako człowieka i pisarza, znajomość tych faktów sprawia
jednak, że razi dewocyjna przesada w jego ostatnich książkach, nale-
żących do tzw. dojrzałej twórczości, rozpoczynającej się powieścią
"Most śmierci". Dzieło to powstało w roku 1899. Maszynopis prze-
kładu liczy 482 strony; w tym 42 strony, czyli około 8% zajmują nauki,
jakie jasnowidzającemu Munedziem daje mahometański anioł Ben
Nur, oprowadzający go po zaświatach i pokazujący most śmierci, Es
Ssirat, wąski jak ostrze brzytwy; pod mostem znajduje się przepaść, w
którą wpadają potępieni. Ben Nur zapoznaje Munedziego z różnymi
rodzajami grzeszników, nie zasługujących na przebaczenie. Autor
ustami jasnowidza potępia najsurowiej źle czyniących za życia, a jak
postępuje sam? W 1880 roku bierze ślub z Emmą Polter, swoją
ukochaną Emmeh z wielu powieści, a 1903 roku rozwodzi się, on
uważający się za katolika i poślubia Klarę Plóhn. Cała ta historia

miłosna stawia tak wzniośle mówiącego o zasadach wiary w swoich dziełach pisarza w cokolwiek nie pięknym świetle. Nie dość na tym: Klara doprowadziła do rozwodu posługując się rzekomymi nakazami duchów, otrzymanymi w trakcie seansów spirytystycznych, na które pilnie uczęszczał May z Emmą. Wulgarny spirytyzm i katolicyzm? Jak autor to godził? Norbert Honsza i Wojciech Kunicki piszą tak:

314

**"Oszczędźmy czytelnikowi dalszych szczegółów związanych z rozwo-
dem Mayów. (...) 'Ibn nie do końca zbadany wycinek życia pisarza
przynosi obraz ponury i ciemny, pełen kolejnych upadków. Emma,
wyposażona przez Maya w rentę, resztę swego życia spędziła w We-
imarze ("duchy" nakazały, by oddalona była więcej niż sto kilometrów
od Radebeul, gdzie mieszkał May z Klarą). Próbowwała wielokrotnie
nawiązać kontakt z Karolem, przysyłając mu ciepłe i pełne oddania
listy. Odsyłał je najczęściej swemu adwokatowi wraz z groźbą cofnię-
cia renty. Zmarła w obłądnie w 1917 r."**

**Podobnych sprzeczności pomiędzy dziełami Maya a jego życiem
jest więcej. W każdej z jego powieści, w których występuje jako Old
Shatterhand czy Kara Ben Nemzi, znajdujemy mnóstwo pouczeń,
jakich ci mężo`wie udzielają wszystkim wokół. Autor mówi o spra-
wiedliwości, miłości do Boga i ludzi, czystości duszy, zasadach wiary,
jednym słowem odgrywa rolę misjonarza. Kościół katolicki uważa go
za pisarza katolickiego, piszą do niego księża i zakonnice, chwając
chrześcijański duch, jakim przesiąknięte są jego dzieła, we własnym
jednak życiu autor stosuje wszystkie te piękne zasady dość~ oględnie.
Z biegiem lat twórczość Maya staje się coraz bardziej nasycona**

pacyfizmem, symboliką i moralizatorstwem, które zastępują treści przygodowe i awanturnicze, tak lubiane przez czytelników we wcześniejszych książkach pisarza.

W 1901 r. powstaje "A pokój na ziemi"

w 1902 - "W krainie Srebrnego Lwa" III

w 1903 - "W krainie Srebrnego Lwa" IV

w 1906 - dramat "Babel i Biblia"

w 1907 - "Der Mir von Dschinnistan" I

w 1908 - "Der Mir von Dschinnistan" II i "Winnetou" IV Już w

"Moście śmierci" Kara Ben Nemzi występuje na dalszym planie. W pojedynku z Beni Khalidami bierze czynny udział Halef, jego syn Kara i Omar. Należy przyznać, że używają oni sposobów walki, których nauczył ich Kara Ben Nemzi, czyli Karol May, a on sam występuje

315

w roli obserwatora, a co najwyżej doradcy. W "A pokój na ziemi" Kara Ben Nemzi obywa się bez Halefa, tak skłonnego do używania bata jako narzędzia perswazji, sam zaś podróżuje bez broni. Również w czwartej części "W krainie Srebrnego Lwa" Kara Ben Nemzi odrzuca broń, jako narzędzie zbrodniczej przemocy i dopiero w "Der Mir von Dschinnistan" kompletuje swoją zbrojownię, ku szczeremu zadowoleniu Halefa. Te powieści dla współczesnego czytelnika są już trudne do strawienia, zupełnie nie przypominają wcześniejszych książek Maya. Aby znalazły czytelników trzeba usunąć fragmenty, zmieniające dzieło przygodowe w nudne traktaty moralistyczne. I tak postępują wydawcy w wielu krajach. Na pełne nieskrócone wydania mogą sobie pozwolić~ wydawnictwa tam, gdzie cena książki nie stoi w

stosunku odwrotnie proporcjonalnym do zawartości portfela czytelnika. Może i w Polsce przyjdzie czas, że będzie można zdecydować się na wydanie (i zakup!) wszystkich powieści Maya bez skrótów.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń trzeba przyznać, że w naukach moralnych Maya, których udziela czytelnikom przez usta mahomekańskiego anioła Ben Nura, (a ten z kolei za pośrednictwem Munedziego) - są prawdziwe perły!

Portrety grzeszników i opisy ich niegodziwości adresowane są jakby wprost do dzisiejszych mieszkańców kraju między Odrą a Bugiem. Skąd taka znajomość realiów politycznych III RP w czasach o sto latwcześniejszych u anioła, mahomekańskiego zresztą? Posłuchajmy: "taki nieposzlakowany człowiek (...). Falszowania pieniędzy czy wagi nigdy się nie dopuścił, (zapewne tylko z braku umiejętności technicznych - przyp. mój), ale wytropił tajemnicę w interesach swojego konkurenta, a swoim klientom sprzedawał mleko rozcieńczone wodą i mięso z padłego bydła. W jego urzędzie nie brano łapówek, ale ważną posadę otrzymywał pupilek jego przyjaciela, a nie ten, który był jej godny. (...) Są bohaterowie frazesów, trybuni ludowi, posłowie do parlamentu, którzy swe słowa niby wybuchające bomby ciskali na zgromadzonych, nie troszcząc się o to, że trafi ich kiedyś miazdzące

316

słowo sędziego, o którym napisane jest: "Albowiem Boże słowo jest jak młot, który miazdży skały." Jakoś to wszystko bardzo znajome i aktualne, tylko gdzie ten most Es Ssiret? Gdzież on? Naprawdę szkoda, że niektóre z tych cytatów zostały usunięte z czterdziestostronicowego opisu drogi do mahometańskiego raj.

Jest jeszcze inny, bardzo ciekawy obraz przeży~ ugodzonego kulą człowieka, Khutab Agi: "Widziałem, jak walczyłeś z Beni Khalidami, widziałem jak Ghani skierował na mnie pistolet i wystrzelił, słyszałem wystrzał i poczułem jak kula trafia mnie w serce. Ale ten ból szybko minął, bo tylko ciało czuje tego rodzaju mękę, ja natomiast już nie byłem w ciele, lecz stałem jako dusza obok niego. Widziałem jak leży, widziałem was wszystkich, tę dolinę, oba wzniesienia, niebo nad nimi, Beni Khalidów, a także ciebie, jak uwolniłeś sobie nogi i jak na powrót cię związano." W 1975 roku powstała słynna książka Raymonda A. Moody'ego "Życie po życiu". Opisy stanów świadomości ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną, zamieszczone w tej książce zgadzają się z opowiadaniem Khutab Agi z powieści Maya, o równe siedemdziesiąt sześć lat wcześniejszej. Moody przytacza zbieżność swoich spostrzeżeń z "Tybetańską księgą zmarłych", powstałą około VIII wieku p.n.e., a przetłumaczoną w roku 1927, z pismami Swedeborga i X księgą "Państwa" Platona. Czy May kierował się tylko intuicją pisarską, czy też do jego lektur należały, oprócz nielicznych dzieł literatury pięknej, słowników, książek geograficznych i podróŜniczych, podręczników prawniczych i takich pomnikowych utworów ludzkiego ducha jak "Bellini, podziwu godny bandyta", "Emilia, zamurowana mniszka" czy "Rinaldo Rinaldini, kapitan zabójcc5w", także pisma Platona i Sw~ denborga'?

May planował napisanie zakończenia "Mostu śmierci", planu tego jednak, jak i wielu innych nie zrealizował. Czytelnicy pozostaliby zawiedzeni w swych nadziejach na wyjaśnienie dalszych losów osób i wszystkich tajemnic, o których autor pisał w swej powieści. Ale może

to i lepiej. Musimy pamiętać, że May pisząc "Most śmierci" był już

317

duchowo innym człowiekiem niż wtedy, gdy tworzył "Winnetou" czy słynny cykl podróżniczy, opisujący wojaze Kary Ben Nemziego i Halefa w Afryce i górach Balkanu. Kto wie, czy dalsza część przygód bohatera "Mostu śmierci" nie miałaby miejsca już za tym progiem

,
czyli w raju - obojętnie czy mahometańskim czy chrześcijańskim. A gdyby trzeba z autorem wstąpić do piekieł... Mimo wszystko May to nie Dante, więc sprawozdanie z podróży mogłoby być niezamierzoną parodią, lub niesamowitym nudziarstwem. Na szczęście znalazł się człowiek, któremu bliskie były dzieła Karola Maya i który zajmował się zawodowo jego twórczością. Właśnie on, Franz Kandolf, napisał część drugą - zakończenie "Mostu śmierci" i wydał powieść pod tytułem "In Mekka". Książka ta wyjdzie w najbliższym czasie w naszym wydawnictwie jako "W podziemiach Mekki". Autor znakomicie utrafił w styl Mayowski; czytelnik, który nie zwróciłby uwagi na nazwisko autora byłby przekonany, że książkę napisał May i to w swoim najlepszym okresie. W książce znajdujemy dalsze losy bohaterów, znajdujemy wyjaśnienia wszystkich zagadek, z dreszczem emocji czytamy o przygodach Kary Ben Nemziego i Halefa w tajemniczych podziemiach Mekki. Kto lubi powieści Karola Maya, ten powinien koniecznie przeczytać również "W podziemiach Mekki" Franza Kandolfa!

Nie zawiedzie się!

Aleksander Okrucieński.

Chcących podzielić się swoimi uwagami dotyczącymi powieści

Karola MAYA proszę o list, na adres:

ul.Gnjowicka 140 m.7

53-322 WROCLAW